



HELENA SEKUŁA



BARAKUDA

Rozciągnięty przed
drzwiami zagradzał
przejście. Leżał na
wznak, całym sobą
podany ku skłonowi-
skarpą, rozkrzyżowa-
nymi ramionami
ogarniał niebo. Pod
sierpniowym firma-
mentem, srebrzącym
odblaskami dalekich
swiatow, noc wyda-
wała się jeszcze
czarniejsza. Natknę-
łam się na niego
nagle, tuż za
olbrzymimi jałowcami
podchodzącymi pod
sam dom, cichy
i ciemny. Tylko z
jednego okna smu-
żyło ruchomymi

CZYTELNIK

**Helena
Sekula
barakuda
Czytelnik
Warszawa
1984**

Okładkę-i kartę tytułową projektował

ZBIGNIEW CZARNECKI

© Copyright by Helena Sekula Warszawa 1984

ISBN 83-07-00939-1

Rozciągnięty przed drzwiami zagradzał przejście.

Leżał na wznak, całym sobą podany ku skłonowi skarpy, roz-krzyżowanymi ramionami ogarniał niebo. Pod sierpniowym firmamentem, srebrzącym odbłaskami dalekich światów, noc wydawała się jeszcze czarniejsza.

Natknęłam się na niego nagle, tuż za olbrzymimi jałowcami, podchodzącymi pod sam dom; mrok rozrzedzały sześciocienne umbry o szybkach z grubego szkła, umocowane po obu stronach ganku na wysięgnikach z kutego żelaza, i tylko jedno okno smużyło ruchomym szkarłatem, jakby w nim dogasała zorza minionego wieczoru. Skupiona na tym znaku życia pośród leśnego odludzia, potkn^{am} się i upadłam.

Wtedy go zobaczyłam.

Osunęłam się po zdradliwej pochyłości, nie na śliskich wrzosach, jak w pierwszej chwili pomyślałam. Kiedy podniosłam się i uklękłam pr^{am} nim, poczułam pod kolanami lepką wilgoć, a wokół jego głowy trawa sprawiała wrażenie unurzanej w cieniu, lecz ten cień nie zniknął, tężał ze zmatowiałym połyskiem zmaczonej polewy.

Uj^{am} przegub. Ręka ni zimna, ni ciepła, pozbawiona tętna. Szeroko otwarte oczy patrzyły w pustkę. W źrenicach, jakby zaciągniętych werniksem, odbijały się światła latami. Dopiero teraz dostrzegłam trochę powyżej nasady brwi ciciiną rozetkę podobną do znamienia.

Jego twarz! Wydała się znajoma. Gdzieś już musiałam widzieć tego człowieka, ale gdzie, w jakich okolicznościach, dlaczego leży pod tym domem ukrytym w gąszczu wiecznie zielonych krzewów, przesyty grudką metalu, która pozostawiła mało widoczną ranę na jego czole?

Silniejszy powiew wiatru poruszył sosnami, przecesał czuby jałowców, owionął żywicznym zapachem, przyniósł woń nadrzecznych łęgów, przypadł do ziemi i legł. Taka sama cisza panowała w naturze, gdy kilka minut wcześniej wchodziłam przez gościnnie uchyloną furkę. Na zadrzewionym wzniesieniu majaczyła czarna sylweta

spadzistego dachu z plamą palących się latarni pod okapem i odbłaskiem ognia pełgającym w jednym oknie. Poza tym żadnego oświetlenia, nie licząc żarówki przy bramie. Ścieżkę wiodącą ku domowi pogrążał mrok, u jej kresu potknęłam się o zabitego mężczyznę. Musiał przyjąć tu niedawno, jego ręce jeszcze niezupełnie zeszywniały. Unieruchomiło mnie przerażenie.

- Nie bój się - nagle powiedział ktoś obok. Omal nie zemdlałam. Nie miałam odwagi odwrócić głowy, aby spojrzeć w kierunku, skąd usłyszałam głos.

W zasięgu kandelabrow, nie wiem skąd, pojawił się szczipły wyrostek. Z pewnością nie wyszedł z drzwi prowadzących na ganek. Źródło światła miał za plecami, widziałam tylko zaiys jego sflwetki.

- Wstań - znów zanurzył się w cień, pociągnął mnie za rękę.

- A on? - podniosłam się z kolan.

- On już nie potrzebuje pomocy, a ty tak. Jesteś półżywa.

- Przecież nie można tak po prostu odejść.

- Można. Jeśli się natychmiast nie pozbierasz, znikam - tykał mnie bezceremonialnie.

- Poczekaj! - zsunęłam z nóg sandały. Tylko nie pozostać samej na tym odludziu, z martwym człowiekiem, pośród złowieszczych krzewów o smoc[^] kształtach.

- Prędeż, zaraz spadną tu łapsy - podniósł moje pantofle i ruszył przodem. Zwinny, cichy jak jaszczurka. Nie poprowadził dróżką, skręcił w gąszcz, mimo to szedł pewnie, musiał znać teren.

Śpieszyłam za nim, potykałam się o korzenie, zataczałam w kłujące objęcia jałowców. Zaraz straciłam orientę

cję kierunku, czasu, rzeczywistości. I nie czułam już nic więcej, tylko swoje płuca rozsadzane oddechem.

- Przyjechałaś wozem? - przystanął na moment.
- Tak - nie starczyło mi energii nawet na tyle, aby się zdziwić, skąd wie o aucie.

- Gdzie jest, pod bramą? - znów przyśpieszył kroku.

- Nie. Pozostawiłam przy zwirowce. Myślałam, że stamtąd już blisko, ale posiadłość leży dalej od głównej drogi, niż przypuszczałam. Zawsze miewam kłopoty z oceną odległości.

Chłopiec nurkując pośród rozłożystych łap choiny wywiódł mnie na leśny trakt. Pod stopami zachrząścił szuter. Ostre kamyczki uwierały bosc nogi. Tutaj już wyraźnie dobiegał odgłos szosy, łuny samochodowych latami dobywały i odkładały w mrok wyolbrzymione cienie drzew. Jeszcze trochę szybkiego marszu i natrafiliśmy na moją simkę.

- Ja poprowadzę - rozporządził wyrostek. Bez sprzeciwu podałam kluczyki.

- Co za nonsens kłaść pantofle, w których nie można chodzić - rzucił mi na kolana sandały i ujął kierownicę.

- Nie dlatego, wdepnęłam w krew.

- W takim razie dobrze zrobiłaś. Inaczej zostałyby fatalny trop.

Nie pomyślałam o śladach, budziła grozę człowieka krew roznoszona na butach. Ale nie wyjaśniałam mojego punktu widzenia.

- Szykowny ten twój wóz. Może jednak nie zwrócił niczyjej uwagi powiedział.

Z poprzecznicy wytoczyliśmy się na pusty asfalt, połykający zorzą reflektori-ow dalekich jeszcze pojazdów, wynurzających się zza falistosci terenu.

- Po co tu przyjechałaś?

- Nie twoja sprawa.

- Moja też. Kazem uciekamy z miejsca, gdzie zamordowano człowieka.

- Skąd wiesz, może sam się zabił.

- Wiem.

- Jesteś dość przerażający.

- Jeśli już, to przerażająca. Jestem kobietą. Pr[^]sięgnęłam, że jeszcze przed sekimdą rozmawiałam z chłopcem. Lecz odkąd się pojawił, osłaniała go ciemność. Wyraźnie widziałam tylko sylwetkę, a na skraju lasu, gdy bieглиśmy do mojej simki, raz jeden reflektory przejeżdżającego szosą samochodu wydobyły z czerni nocy jego twarz. Delikatną buzię z zapowiedzią uśmiechu w kącikach ust, w ramie kruc[^]ch kędziorów. Wielkooką, z dziecinnie odwiniętymi rzęsami, których cienie i ruchome światło okryło całe policzki. Wdzięczna pacholęca głowa z obrazów Murilla, malarza uduchowionych świętych i uroczych chłopców.

- Wyglądasz na wyrostka.

- Czasami tak wyglądam, gdy mi zależy. Przed tobą nie muszę udawać.

- Znasz mnie.

- Trochę o tobie wiem. Gaja, tak sygnujesz swoje prace, prawda? Ale nie martw się, jestem ci bardzo życzliwa.

- Kim jesteś?

- Niełatwo powiedzieć. Człowiek wciąż siebie stwarza, przez całe życie kształtuje osobowość. Jak rzeźbiarz dokłada pecyny do lepionej bryły. Pewno wiesz, co powiedział jeden starożytny gość, kiedy zagapił się na jdynącą rzekę.

- Bardzo ładnie. A mniej filozoficznie?

- Możesz mi mówić Barakuda.

- Przecież to gatunek drapieżnej ryby.

- Właśnie tak się nazywam.

Czemu nie? I takie imię może nosić to Licho nieokreślonej jdcy, które pojawiło się nie wiadomo skąd, jakby wyszło

z jednego z tych niesamowitych jałowców o przerażających kształtach: wielogłowych smoków, koszmarnych ja-szczurów, gadzinowatych potworów gadających ze sobą szelestem kolczastych łapek. Mieszkaniec piekielnego zwierzyńca.

- Zabity człowiek miał w notesie adres twojego mieszkania i teatru, gdzie projektujesz kostiumy -

zawiadomiło Licho.

- Obszukiwałeś trupa? - Mimo woli mówiłam jak do chłopca, a Ono nie protestowało. Nie zareagowało też na moje oburzenie.

- Miał również ogłoszenie z „Życia Warszawy”.

Milczałam. Znałam treść tego ogłoszenia.

Zauważyła,

wycięta z gazety i przecho-wywała je moja matka. Ją przyprawiło o bezsenne noce, mnie uwierało jak cierni. Wydobywało wspomnienia przeżyć, których nie chciałam pamiętać.

Złościło. Budziło opór wobec natręta naruszającego zamkniętą, zdawałoby się na zawsze, sferę doznań. Choć domyślałam się, nie chciałam wiedzieć, kim jest autor ukrywający się za hasłem oferty. Od dawna skutecznie odgrodziłam się od przeszłości.

Pośród ludzi parających się kunsztami znano mnie przede wszystkim pod anagramem imienia, także anagramem podpisywałam swoje prace, nazwisko miałam po mężu, panińskiego nie używałam. Zresztą ludzi noszących je był kiedyś cały przysiółek. Przez lata rozbiegli się po Polsce, po świecie. Istniało znikome prawdopodobieństwo trafienia na mój ślad, zwłaszcza że nie mnie poszukiwano bezpośrednio. Anons brzmiał;

„Osoby posiadające wiadomości o Jadwidze Bartnik-Surażyńskiej, urodzonej w Wigajnach w Ziemi Suwalskiej w roku 1939, proszone są o napisanie do biura o adresach w Warszawie, skrytka pocztowa numer... Zwrot wszelkich poniesionych kosztów. Nagroda”.

- Nie ciekawi cię to ogłoszenie? - osaczało mnie teraz Licho, usiłując zmusić do odpowiedzi.

- Nareszcie rozumiem, dlaczego się mną zająłeś. Nie powinnam stamtąd uciekać, a już na pewno nie z tobą. No cóż, straciłam głowę. Ale źle trafiłeś, ode mnie niczego się nie dowiesz.

Zaczął się śmiać.

- Winszuję dobrego nastroju, i co cię tak cieszy?

- Kiedy ludziom naprawdę pomagam, biorą mnie za szuję.

- A nie jesteś? I to jest takie śmieszne?
- Nie mam zamiaru cię szantażować, tyle dla jasności intencji. Natomiast zabity nazywa się Wincenty Baraszko. Coś ci mówi ten szyld?
- Nie jestem pewna, ale chyba Lak... - Naszła mnie myśl, czy przypadkiem nie o mnie tu chodziło. Spóźniłam się i dlatego żyję. Nigdy nie potrafię zdążyć na czas. Paradoks, czyżby uratowała mnie wada na co dzień komplikująca życie? Nie stawiam się na własną śmierć. Tylko kto i po co miałby mnie zabijać!
- Z kim miałaś się spotkać w Oiyłu?
- A kto mieszka w tej ponurej daczce? - nie miałam ochoty na zwierzenia.
- Dom wcale nie jest ponury. Należy do Uthera Stunningtona, przedstawiciela kolumbijskiego konsorcjum plantatorów kawy z siedzibą w Nowym Jorku. Ale jego nie ma w Warszawie.
- Ten, kto ze mną rozmawiał, przedstawił się jako Stunnington. Imienia nie wymienił.
- Gaja, żaden Stunnington nie mógłby nastawać na twoje życie.
- Więc ilu jest tych Stunningtonów?
- Dwóch. Pendragon i Uther. Ojciec i syn.
- Skąd to wszystko wiesz, pracujesz u nich?
- Wiem. Nie pytaj skąd, nie odpowiem. Na jaką godzinę zostałaś umówiona?
- Sama wyznaczyłam czas. Miałam być o dziewiątej, ale gdy dobrnęłam na miejsce, zrobiło się grubo po dziesiątej.
- Dlaczego nie wybrałaś sobie wcześniejszej pory?
- Kiedy pracuję, nie cierpię rozrywać dnia, a mój dzień pracy jest długi. Zwłaszcza ostatnio.
- Przygotowywałaś wernisaż.
- Nawet i o tym wiesz! Zdziwiasz mnie.
- O twojej wystawie w Ameryce może wiedzieć każdy, jeśli się chociaż trochę interesuje współczesną sztuką. Pisały o tobie francuskie gazety.
- Nie gazety, tylko jeden dziennik.
- Na to samo wychodzi.

- Jutro w związku z moją ekspozycją powinnam lecieć do Stanów.
 - Dzisiaj. Minęła północ. Ale dlaczego w przeddzień wyjazdu pozwoliłaś ściągnąć się do Oryla? Nie mogłaś odmówić?
 - Nie mogłam, \^^:aśnie przed wyruszeniem do Nowego Jorku koniecznie musiałam obejrzeć wiejski dom kawowego przedstawiciela, aby dobrać odpowiednie tkaniny zamówione przez niego u marchanda, z którym ja z kolei mam kontrakt.
 - Country house Uthera Stunningtona jest kompletnie urządzony!
 - Zatem użyto pretekstu.
- Wraca obraz zabitego człowieka. Nie mogę się go pozbyć, mający przed otwartymi oczyma, wciska się pod przymknięte powieki. Natrętny znak zapytania. Choć nie potrafię przypomnieć gdzie, ale już kiedyś musiałam widzieć tę twarz żywą. Drobną siateczkę zmar-
- n

szczek promieniście zbiegających ku skroniom i pionowe krechy wyraźnie zaznaczające zarys policzków.

Na tym nie koniec. Postarzałe oblicze, pokiereszowane bruzdami głębokimi jak pęknięcia, jest tylko liczmanem, spod którego wynurza się młodsze, też znajome.

- Łąka! Szpaler wykonany najprostszą techniką, od czternastego wieku znaną w Europie. Wyróżnia się oryginalnością splotu, odmiennością strukturalną, wychodzi w przestrzeń! - spiker prowadzący aukcję wymienia numer katalogowy i niczym djrygent wznosi swoją batutę, srebrny młotek na długim trzonku z hebanowego drewna.

Ubrany w smoking z kremowego szopu, prezyduje na podwyższeniu za stylowym pulpitem w głębi sali, oddzielonej archiwoltą od części, z jakiej na niego patrzę.

Wygląda jak środkowy obraz tryptyku, mając po bokach sklezione łukami przejścia, wiodące do dalszych galerii.

- Twórcze poszukiwania nowego wyrazu przez artystkę pochodzącą z kraju, którego pisana historia liczy dziesięć wieków, gdzie tradycja i sztuka kobiecego trwa od lat tysiąca... - spiker zawiesza głos, daje zgromadzonym posmakować to millennium.

Reklama.

Hermes spogląda porozumiewawczo. Nie jest ignorantem, nie uważa, że Polska to tylko Kościuszko, Pułaski, nowojorscy dokerzy, posiadacze stad w stanie Texas, polish jokes, komuniści, pontyfikat Jana Pawła II i Czesław Miłosz, amerykański profesor z Berkeley nagrodzony Noblem za trudne wiersze w trudnym języku. Jednak postarał się, aby podczas aukcji pewne fakty z dziejów i geografii zostały zaakcentowane. Widać sceptycznie ocenia swoją publiczność, zwłaszcza jej wiedzę o kulturze ludu żyjącego w Europie między Tatrami a Bałtykiem.

Prezentowana tkanina, jedna z moich wczesnych prac dzianych, nie była poszukiwaniem nowego wyrazu, tylko wtedy nie miałam na krosno. Natomiast prawdziwym jej walorem jest kolojyt. Gama przyćmionych tonów zieleni, wysmakowanych, delikatnych: irysowej, soczystej, mała-

chitowej i sap green - barwy, jaką daje sok z jagód szakłaku.

Tak zaczęła się licytacja. Ogarnia mnie trema.

- Będzie dobrze. Gaja - uśmiecha się do nonie

Hermes, to znaczy prachyla ku mnie głowę, bo promienieje wciąż, permanentnie. Ja także prezentuję radosne oblicze

Radosne oblicze, poza przedsiębiorcą pogrzebowym i tylko podczas pełnienia obowiązków służbowych, powinien mieć każdy: i ten, kto odniósł sukces - aby go utrzymać, i ten, co się po niego wspina - aby go osiągnąć, i ten, co go nie zdobył i nie zdobywa, i nawet nie ma widoków na zdobycie - aby zachować pozory, że nie jest z nim źle.

Chyba że komuś już na niczym nie zależy i bez oporów idzie na dno. Ale tu, w salach wystawowych Muzeium Sztuki Współczesnej przy Madison Avenue, wynajętych przez Hermesa na naszą wystawę, nie ma przegranych. Ich dziedzina rozpościera się dalej, gdzieś od ulicy Osiemdziesiątej Wschodniej, ale owych ludzi nie interesują imprezy w tej części Manhattanu, gdzie portierzy wyglądają jak generałowie, a dorożkarze powożą w cylindrach. A i Hermes nie posyła zaproszeń na wernisaże do ubogich dzielnic i z całą pewnością nie ma tam ani jednego znajomego. To ziemia groźna, groźniejsza wraz z rosnącymi numerami. Na Sto Dwudziestej zaczyna się Karlem. A do Harlemu biali już nie chodzą. Od dawna.

Nie zapytałam Hermesa, od jak dawna. Zdawał się wstydzic ciemnych problemów Miasta, które kocha bezkrytycznie. Dla niego tu jest środek świata, stąd kultura, stąd sztuka, stąd największa myśl epoki - na cały glob.

PRZEŻYCIE Z ORYLA TKWI WE MNIE JAK CIERŃ.
TWARZ ZABITEGO PRZYWIOZŁAM ze sobą. Dręczy w nie spane noce, nie daje zapomnieć we dnie. Chociaż niedługi czas, poprzedzający dzisiejsi wieczór, miałam szczerze wypełniony, jego obraz dopada mnie w nowojorskiej windzie, towarzyszy na ulicy, wchodzi ze mną do drugostoru, czatuje późną godziną w hotelowym pokoju, gdy zamykam za sobą drzwi. Martwe oczy ścigają mnie nawet w tej sali światłami odbitymi w kieszonkowych soplach żyrandoli, promieniami załamującymi się w rautach flintów.

I niechęć do siebie, i moralny kac przez tę tchórzliwą

ucieczkę.

- Stuningtonowie nie są twoimi wrogami.

Przekonasz się - jeszcze raz zapewniło Licho zatrzymując wóz w osiedlowej uliczce na Stegnach.

Nie odezwałam się. Myślałam, dlaczego Ono zahamowało właśnie tu, na Sycylijskiej. Powiedziało, zanim zdążyłam zapytać.

- Wsiadam. Dalej będziesz musiała radzić sobie sama - znów spojrział na mnie spod wywiniętych rżęs czarnoooki chłopiec z obrazu Murilla. - Zresztą stąd na Sadybę niedaleko, jezdnie puste, a ty jesteś już dostatecznie opanowana.

Ono wiedziało nawet, gdzie mieszkam.

- Trzymaj! - wcisnęło mi w rękę wymiętą kopertę ze skrawkiem papieru. - Lepiej dla wszystkich, jeśli tego ogłoszenia nie znajdą przy nieboszczyku.

Nie zapytałam, kim są ci wszyscy.

- Twoje pantofle sama wyrzucę, żebyś ich w ostatniej chwili nie pożalowała - rozporządziło Ono. I jeszcze z dłońią na kłamce: - Jedź prosto do domu i nie zrób jakiegoś głupstwa po drodze. Żadnego meldowania milicji, bo wsiąkniesz w niekończące się wyjaśnieni[^] i z wyjazdu do Stanów nici. A w Oiyłu i bez twojego wstawiennictwa z pewnością już są gliny i robią, co mogą, to *znp'*~[^]yniewiele. Ale ty nie daj zmarnować sobie szansy.

Nikt mnie nie musiał przekonywać. Termin przybycia zastrzegął kontrakt. Niedotrzymanie warunków pociągało dotkliwe kary umowne. Nie mogłam komplikować odlotu, na który miałam rezerwację, i zaprzepaścić wernisażu! Nie stać mnie było ani finansowo, ani psychicznie na zmarnowanie możliwości, jaka trafiała mi się po raz pierws[^] w życiu. A skończyłam już czterdzieści trzy lata.

Rano wsiadłam w samolot do Nowego Jorku. Razem ze mną przybył cień ZABITEGO I SIĘGA WSZĘDZIE, GDZIE JESTEM.

W nas[^]ch salkach robi się coraz ludniej.

Od jak dawna biali boją się przekroczyć sto dwudziestą wschodnią? Za czasów mojego dzieciństwa, kiedy gnieździłyśmy się z matką na Lower East Side, poniżej Czter-

dziestej Wschodniej, do wojny i jeszcze po wojnie dzielnicy emigranckiej nędzy, gdzie pospołu tłoczyli się w zagęszczonych domach w jednakim szarym niedostatku Włosi, Żydzi, Chińczycy i Polacy, nie baliśmy się dzielnicy Negrów.

Ja, mały przybysz ze sponiewieranej, ograbionej, wygłodzonej Europy, ^edy nie odczuwałam nowojorskiej egzystencji jako biedy. Byłam rówieśnicą wojny, liczyłam tyle samo lat. Jak sięgałam pamięcią, cierpiałam skrajną nędzę. To znaczyło: zawsze. Pojęcia obfitości nie znałam nigdy.

Kiedyż to się zdarzyło?

W innym życiu i wczoraj, na innej planecie i tutaj, kiedy nie nazywałam się Gaja, tylko Jadźka, a czasem pogardliwie polish jokes, i nawet w najśmielszych snach nie mogłam wymarzyć, bo snów takich nie miewałam, że w wiele lat później urządzi mi wernisaz Hermes, jeden z najpoważniejszych marchandów z Madison Avenue, którego nazwisko jest stemplem wysokiej jakości w dziedzinie wszelkich sztuk pięknych tutaj na wschód od Piątej Alei.

Amerikanin greckiego pochodzenia, piąte pokolenie przybyszów znad Morza Jońskiego, którzy nad Hudsonem odrzucili swą greckość jak piętno

- Niepiśmiennym góralom z Peloponezu Grecja kojarzyła się tylko z ubóstwem, jakie wyгнаło ich z piargów półwyspu. A bieda w Ameryce jest hańbą. Znac^, że nie potrafięś odnieść sukcesu, zdobyć powodzenia. A więc alboś gnuśny, albo gamoń, albo nieudacznik. Paradoks. Spadkobiercy wielkiej kultury, ciemni, pozbawieni świadomości dziedzictwa, ulegali angielskiej legendzie żywionej na ziemi ameykańskiej, bo angielska legenda nadaje ton kontynentowi. Wabił ich cudzy etos, etos lepszych - usprawiedliwiał przodków Hermes, tłumacząc pochodzenie swojego boskiego imienia, on już bez kompleksów, dumny ze swej genezy etnicznej.

Hermesa poznałam w Warszawie.

Najpierw pojawiła się forpoczta, zwiad marchanda z Madison Avenue.

- Gaston - przedstawił się niepozorny Francuz o mordce strapionego rezusa. Nie przyszło mi do głowy, że to właśnie ten Gaston, kiytyk sztuki, instytucja kreująca i

konsekrująca talenty na stałej kolumnie paryskiego dziennika, rzetelny augur, prawie nie ulegający koniunkturum.

Znakomitość obejrzała moją wystawę w Kordegardzie na Krakowskim Przedmieściu, zażąda przedstawienia innych moich prac, kupiła jedną tkaninę, targowała się niczym Fenicjanin i znikła, jak przybyła.

Niebawem nadeszła żółta koperta, nadana z redakcji francuskiego dziennika. Zawierała egzemplarz gazety z dwiema szpaltami tekstu. To było o moich makatach. Recenzja ciepła jak owcza sierść, z jakiej splatam kobierce. Dwa razy powtarzało się słowo: remarquable - wybitne.

Jeszcze nie zdążyłam przywyknąć do swej nowej kondycji osoby odkrytej przez Gastona, kiedy pojawił się lierold Olimpu.

- Jestem Hermes - dla niepoznaki bóg nosił sztywno podsmażone farmeiy, a na nogach holenderskie saboly zamiast uskrzydłonych patricius. Zdradzała go głowa w aureoli loków koloru bladego złota, profil jak na frj'zie Partenonu i smukła sylwetka rzeźby Praksytelesa.

Właśnie prałam.

Z opadającymi pasmami włosów, ze spoconą nagą twarzą i w wypchanych starych portkach poczułam się niezręcznie w konfrontacji z tą urodziwą młodością. Zaczęłam coś bąkać od rzeczy po angielsku, co go bardzo ucieszyło, bo chociaż, jak przystało na boga, jest poliglotą i włada biegle kilkoma językami, polskiego nie zna. Zrozumiał z mego zakłopotania, że jego imię niczego mi nie wyjaśnia.

- Przyjechałem z Nowego Jorku. Firma Hermes na Madison Avenue - ujawnił się bóg handlu, nie zrażony moją ignorancją. - Nadal nic to pani nie mówi?

Szef galerii z Madison - tyle wiedziałam. Ta ulica ma swoją markę na świecie wśród ludzi parających się kimsztami. Lecz wprawił w zdumienie sam boss. Nie t[^] sobie wyobrażałam poważnego marchanda. Właściwie nie zastanawiałam się dotychczas nad kimś takim, salony sztuki Manhattanu były dla mnie tak odległe jak gwiazdozbiór Andromedy. Ale sam tytuł brzmił powagą wieku dojrzałego, znawstwem wypracowanym latami doświadczeń. Jednym

słowem, dostojny pryk, a nie chłopiec z głową w złotych puklach. Hermes ma lat trzydzieści cztery, wygląda o dziesięć mniej.

I c[^] poważny człowiek rzuca wszystko i leci gdzieś na antypody, aby obejrzeć wełniaki mało znanej nawet we własnym kraju plastyczki?

Przyzwyczajona do mecenatu państwowego, sprawowanego na co dzień przez urzędników nieruchawych, nieprzystępnych, pysznych i obojętnych, celebrujących | z wysoka czasami tylko pozory działania, a tak naprawdę zajętych własną karierą, dążeniem do rang i honorów, czujnych na każde drgnienie koniunktury, tak świetnie samowystarczalnych, że gdyby zniknął ostatni twórca, nie zakłóciłoby to ich funkcjonowania. Nadal rozdzielaliby stypendia, nagrody, miejsca w domach pracy twórczej, wyjazdy zagraniczne i odznaczenia. Urządzali jubileusze, wernisaże, witali i odprowadzali delegacje i pisali świetne sprawozdania.

Ziuta z takim modelem protektora, w pierwszej chwili nie wzięłam poważnie niekonwencjonalnie prezentującego się marchanda.

Hermes współpracuje z liczącymi się kiytkami sztuki na całym świecie, jego agenci docierają zarówno do Rośnych pracowni, jak i zapoznanych talentów. Płyną na Madison różnojęzyczne sprawozdania z wystaw, wykwinne foldery, ilustrowane albvimy tłoczone na czerpanym papierze i najdrobniejsze gazetowe wzmianki.

Przełożone na kod perforowanej taśmy trafiają do komputera, który czyta, selekcjonuje i streszcza, przystosowując bezmiar informacji do percepcji personelu liczącego razem z szefem osób dwie. Tak powstaje geografia przedsiębiorstwa. Zawędrowała tam także wiadomość o moim wernisażu w Kordegardzie na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

- Musiał mnie ten komputer mocno wyróżnić, kropką, ekstra ptaszkiem albo jakimś ażurkiem. Jak zaistniałam na mapie firmy? - byłam ciekawa.

- Ulotka z warszawskiej galerii.

Te ulotki zostały wydane jako karty pocztowe z barwną reprodukcją moich prac. Wyszły dość interesująco, chociaż

kolor mógłby być lepszy. Zawiniła marna jakość kartonu i farb.

Hermes zaproponował wystawę połączoną z aukcją. Zażądał opcji na trzy miesiące, wyłączności sprzedaży wszystkich moich prac powstałych po zawarciu porozumienia przez następne pięć lat i prawo pierwszeństwa do odnowienia kontraktu.

Zaczynałam rewidować swoje wyobrażenia o marchandzie z głową w złotych lokach. Waśnie! Także w całej ikonografii patron handlu Hermes Agorajos zawsze przedstawiany jest jako młodzieniec.

ZACHOWUJĘ SIĘ JAK STRUŚ I NIE PYTAM HERMESA, CZY TO Z JEGO PORĘKI zwrócił się do mnie właściciel wiejskiego domu ukiytego pośród nadbużańskich jałowców. A on też nie wspomina o poleceniu mnie klientowi z daczą w mazowieckich lasach.

Teraz, nie śpiąc po nocach, słowo po słowie odtwarzam przebieg rozmowy z kimś, kto przedstawił się jako Stun-nington, i nie znajduję niczego, co mogłoby wzbudzić nieufność.

- Poleciałem Hermesowi zakupić dla mnie pani tkaniny.
- Miło słyszeć.
- Porozumiałem się z Hermesem, zatrzyma te, które pani wybierze.
- Aby doradzić, muszę coś wiedzieć o wnętrzu, do jakiego są przeznaczone.
- Dlatego telefonuję. Dom znajduje się pod Warszawą na kolonii wsi Oryl.

Ależ ja jutro odlatuję do Nowego Jorku.

- Wiem. Z tego powodu dzwonię dzisiaj.
- Trochę czasu mogę znaleźć dopiero wieczorem.
- Dostosuję się do pani rozkładu dnia. Dokąd pani każe przysłać samochód?
- Dziękuję. Przyjadę swoim.

Ani słowa o przeszłości! Związły, uprzejmy, obojętny tekst wypowiedziany tonem nawykłym do wydawania poleceń, głosem nieznanym, ale w jaki sposób miałabym ów głos rozpoznać, skoro zupełnie nie przypominałam sobie jego brzmienia.

Dotrzymałam pola, swobodnie, bez zająknięcia podję-

łam rozmowę, gdy bez żadnego uprzedzenia zadzwiczyło w słuchawce: - Mówi Stunnington, i lunowiłam się z nim na spotkanie. Tylko przez cały czas natrętnie pamiętałam o ogłoszeniu wydrukowanym przed rokiem w „Życiu Warszawy”.

Stunnington. Niechętne wspomnienie z niezmiernie odległego i jakiegoś innego, nie mojego czasu. Niby dawno zasłyszane, co się zdarzyło komuś zaledwie znanemu.

Jak fala przyboju przyniosło z odległego brzegu, o którym już się nawet zwątpiło, czy w ogóle był, zatarty pozór tamtego istnienia. Wprawdzie obudziło pamięć, ale nie wskrzesiło treści, jakie przecież musiało zawierać w odległym cudzym życiu, nie do wiary, przecież przeżytym przeze mnie.

Wykreślony rozdział.

Nie odczuwałam żadnego związku między mną dziś a dziewczyną sprzed ćwierć wieku, wtedy przemieszczoną nagle, jak w niezwykłej opowieści, z poddasza starej czynszowej kamienicy przy Lower East Side do białego malowanego domu w podmiejskiej osadzie nad zatoką. Opowieści rodem stąd, powielanej przez masowe media kultury, tak bardzo w stylu welfare state - państwa dobrobytu.

Zajrzałam do warszawskiej książki telefonicznej. Był. Uther-Caradoc Stunnington. Dwa numery, dwa adresy. Oryl i ulica Sycylijska na Stegnach.

Uther-Caradoc, imiona zupełnie nieznanymi. Jednak nie On. Może najwyższej ktoś z Jego rodziny, zupełnie obojętny, nigdy nie widziany zwykły klient mojego marchanda. Wrócił mi spokój.

Przestałam rozmyślać, kto powołując się na Hermesa oczekuje mnie w swojej podmiejskiej willi. Bez wrażenia jechałam na spotkanie z człowiekiem noszącym dość pospolite angielskie nazwisko. Szłam tam inna, samodzielna i niezależna. Niemłoda. Obywatel świata ludzi myślących, chroniona przed upokorzeniem moją sztuką.

Pozór.

Pendragon - nazwało go Licho, które objawiło się w Orylu, jakby wyszło z wnętrza potworowatych jałowców, a opuściło mnie przy ulicy Sycylijskiej na Stegnach. Sprawilo

przykreść brzmienie rzadkiego imienia, które właściwie nie jest imieniem, tylko tytułem plemiennym wodzów starych Biytów. Teraz już nie mogłam się łudzić, że to ktoś zupełnie nieważny.

Pen. Ileż lat temu był więcej niż dojrzałym mężczyzną, obecnie jest sędziwym człowiekiem. A wszystkie rachunki ze mną zamknął dwadzieścia pięć lat temu jednym pociągnięciem pióra. Skąd więc się tutaj wziął, z jakiego powodu mnie szukał, kaprys bogatego starca, ciekawość?

Poruszyła niepamięć wiadomość, może przeczytana w gazecie, o mojej wystawie na Madison i nagle zapragnął zobaczyć nigdy nie przeczuwaną metamorfozę osoby kiedyś mu nieobcej. I aby nie mogła uchylić się od przybycia, posłużył się marchandem przygotowującym wernisaż. Ale co zaszło tuż przed moim przyjściem, dlaczego zabito człowieka **POD DRZWIAMI JEGO DOMU?**

- Przyszedł cały Nowy Jork - uśmiecha się do mnie Hermes.

Nawet on nie przewidział takiego powodzenia aukcji, chociaż panuje opinia, że mój Grek nie obejmie mecenatu, nie będzie lansował żadnego nazwiska, jeśli nie jest pewien sukcesu i dużego dochodu. Podobno nie myli się w wyborze, a już z całą pewnością ma smak, gruntowne wykształcenie i coś, co można nazwać intuicją lub siódmym zmysłem, pewnego rodzaju talentem., bez czego nie będzie dobrego kupca w tak ulotnej materii, jak sztuka.

Hermes nie jest bezinteresownym miłośnikiem kunsztów, tego, co robi, nie traktuje jak posłannictwa ani posłannictwa nie udaje. Obrót artystyczną substancją jest jego zawodem, łubianym, ale który musi przynosić zyski. I wcale tego nie ukrywa. Nie osłania celu wzniosłym bełkotem.

Stoję wysunięta na pół kroku przed Hermesa na czymś w rodzaju podium i sama czuję się eksponatem umieszczonym obok kruchłego rokokowego stoliczka z rozłożoną na nim księgą pamiątkową, oprawną w cielecą skórę. Mogę wesprzeć rękę na poręczu stylowego fotelika obitego oliwkowym jedwabiem, lecz nie powinnam siadać, chyba gdybym zasłała, cłociaż też lepiej nie.

Jeśli już muszę zemdleć, powinnam zemdleć na stojąco i

pozostać w pionie, aby nie zepsuć kompozycji, jaką tworzymy: ja, mebelki, Hermes i foliał.

Wbrew pozorom niewymuszonej swobody, kameralnego, domowego klimatu, bo taki jest najkorzystniejszy dla moich kilimów adresowanych do ludzkiej codzienności, do człowieczej Sadyby, więc mimo tej atmosfery luzu i odprężenia, przytulnej miękkości, nic tutaj nie jest przypadkowe. Wszystko zostało starannie obmyślane i wyreżyserowane, nawet ja nie jestem ja, to tylko element widowiska przygotowanego przez Hermesa w najdrobniejszym szczególe, tylko Gaja, bo moje nazwisko jest nie do wymówienia dla Amerykanów, artystka tworząca w tkaninie. Właśnie tak: tworząca w tkaninie.

Z prostotą, mistrzowsko operująca kolorem i techniką, nie ulegająca modom, indywidualność z obsesją dwóch tematów. Miasta i łąki. Oczywiście w całym bogactwie niezliczonych motywów.

Jeszcze wiele innych podobnych opinii Hermes zamieści w ilustrowanym programie, małym arcydziełku sztuki graficznej, wykwinnym albumie wydrukowanym minuskulą anglosaską na welinie o barwie delikatnej, zgaszonej zieleni - podobnej w tonie do wyciągu z kwiatu irysa - korespondującej z zielenią łąk na makatach, pigmecie trudnym do wyprowadzenia.

Strawiłam wiele dni nad jego uzyskaniem, zanim dobrałam odpowiednie proporcje bieli, szarości i zieleni, nadające prostej owczej wełnie ten jedyny odcień, żywy, a nie jaskrawy, subtelny i niezmienny w różnym oświetleniu.

Wystawie patronuje łąka reprodukowana na afiszu, a w prospekcie umieszczona obok weduty „Deszczowego Miasta”, utrzymanego w srebrzystych beżach. Pod nimi tekst Hermesa.

Fascynacja dwoma biegunami przeżywanego rzeczywistości. Miastem, egzemplifikacją współczesnej cywilizacji, i urzeczenie jej przeciwieństwem, nie skażoną naturą, jaką symbolizuje łąka.

Prawda jest mniej intelektualna.

Moją wyobraźnią władają dwa doznania. Wspomnienie sapów i pflanin spod wsi między rzeką a lasem, zastygłe w

kolorycie i kształcie jak na starych obrazach przymglonych przez czas z miejsc, których nie widziałam i do których nie tęskniłam od prawie czterech dziesięcioleci. Lecz tak dobrze znane w najwcześniejszym dzieciństwie, aż zdawałoby się niezauważalne: pięciornik i mniszek, mak, głóg i łochynia, krwawnik i ostróżka, i gorzkie, niepozorne kwiaty picidunu, po doświadczeniach wśród pustyni Miasta zakidkowały, rozkrzewiły się na moich makatach z nie kremplowanego owczego runa, mnie na ukojenie, ludziom na radość.

I pami(j)ć Miasta blichowanego słońcem, opasanego nieskończoną niebieskością, a na tej niebieskości mewy zbite w srebrzyste obłoki, mewy podobne lybitwom znad jeziora tamtej wiejskiej ziemi i podobne grzywaczom liżącym. białą pianą cembrowiny pirsów i odarty z gałęzi wysokopienny bór - maszty portowych żurawi.

Światy, które mnie stworzyły i ukształtowały. Mnie człowieka i mnie artystkę.

Hermes nie wie, bo i skąd, o moim dzieciństwie i wczesnej młodości przeżytej tutaj. Rozdziału liczącego dwanaście lat nie uwzględniłam w biografii twórczej podyktowanej do wytwornego folderu

Po raz pierwszy przybyłam tu na zardzewiałej krypie, dziurawej jak durszlak, która niewiadomym zi'ządzeniem losu przebrnęła Atlantyk, w czas niefaskawy dla zmęczonych statków, porą, gdy ocean orzą sztormy.

Moja matka, zaszczuta, ogłupiona nieszczęciami i nędzą, przerażona wędrówką, bezmiarem gniewnej wody wzburzonej od horyzontu po horyzont, leżała krzyżem i odmawiała nowenny między atakami morskiej choroby. Najpierw na intencję szczęśliwej podróży, później już tylko prosiła o miłosierną śmierć i odpuszczenie grzechów, a zwłaszcza ostatniego kłamstwa, za które, jak sądziła, została pokarana straszliwą zemstą bezlitosnego żywiołu.

I uczyniła ślub; jeśli szczęśliwie dobrnie z dzieckiem do amerykańskiego brzegu, jeśli dane jej będzie stanąć na jakiegokolwiek twardej- ziemi, nigdy już nie skala się fałszem.

Bóg długo dał się błagać.

Wreszcie po niesprfną dwóch tygodniach otwarła się przed nami zatoka i przestało rzucać, wgniatać w fale,

strącać w otchłanie. Po 'trzynastu dniach zamknięcia w brzuchu lewiatana wychynęłyśmy na pokład, a matka uklękła i głośno podziękowała Stwórcy za pnyjęcie jej przyrzeczenia.

Nasz pierwszy statek w życiu. Skąd miałyśmy wiedzieć, że to pływający złom, wytwór przestarzałej produkcji brytyjskich stoczni, do cna sterany wojną; przetrwał konwoje, ominęły go bomby, ominęły miny, torpedy, oszczędziły tajfuny i doczekał demobilu, aby w pierwszym cywilnym rejsie przepłynąć przez ocean kobietę i dziecko. Było więc coś z cudowności w naszym przebyciu wielkiej wody.

Ale wówczas ów znużony transportowiec wydawał się wspaniały i groźny, a jego oszalały taniec wśród żywiołu przypisyw^{am} gniewowi Boga za zniewagę wyrządzoną Mu naszym kłamstwem, które matka ślubowała odwołać.

NIE MUSIAŁA NICZEGO ODWOŁYWAĆ, TAM JUŻ WIEDZIANO.

W mojej pamięci przetrwał duży pokój wyłożony puszystym dywanem i wymurowany książkami od podłogi po sufit. Dotychczas nie widziałam ścian z książek i bałam się, aby nie runęła powąta tak niepewnie podparta. Ale jeszcze bardziej bałam się mężczyzny, który uważnie służył, co w niezrozumiałym dla nas języku mówił drugi mężczyzna, a potem już w mieszanym ze swojskim krzyczał na moją matkę.

- You are a liar! Zaprzaniec! - Miał potężne ramiona, kapelusz zsunięty na tył głowy, wielki jak przetak z odwinęta po bokach kresą, i jasne, wcale nie złe oczy.

- Dopuście nyyie, panie, do starszej pani, Anny - godnie prosiła matka.

- I kogo chciałaś cyganić, kobieto?!

- Niejaki Baraszko Wincenty, co jako pomocnik u słynnego mecenasa w Suwałkach służywał, nas wysłał. Ja nie uczona, panie, robiłam, co kazał. Biedę my wielką cierpieli, mężów i ojców nam wybili. Do roboty przybyłam, a i dzieciak pomoże, chociaż ona nieduża jeszcze, ale do pracy od maleńkości przyłożona.

- Dalej kręcisz jak pies ogonem. It's a shame! Sromota! Żadnej w tobie skruchy ani pożalowania za niegodziwość, tylko chytróść. Boga się nie lękasz, kobieto!

- Bóg o nas zapomniał, panie.
- Jak się nazywasz? - przyjrzał mi się surowo.
- Jadwiśka — dygotałam ze strachu.
- Nawet takie, takie very small dziecko łągać nauczyła!

Jadwiśka Surażyńskich dawno nie ^je. Pon Stunnington przez agencję zbadał, zanim wy zdążyły przybyć, cłociaz udało wam się podejść litosiemą paniom starszom. Jak się nazywasz naprawdę? - Przybliżył do mnie swą gniewną twarz. Zmartwiałam.

- Jadźka - wyszeptalam zdrewniałymi ustami, z prze-
rażenia nie mogłam nawet płakać. Wołano mnie Jadźka, ale
tutaj kazano mi być J a d w i ś k ą Bartników-Surażyńskich,
przezywanych Nikodemowymi, którą, wiedziałam bardzo
dobrze, żandarm w wojnę zabił. Ale ten w kapeluszu w ogóle
nie chciał uwierzyć, że mam takie samo imię: J a d w i g a , i
identyczne nazwisko.

- A na chrzcie dano jej Jadwiga. I papier na to jest z
parafii wzięty.

- Jedno cygaństwo, wy i wasze papiery.
- Wiedźcie mnie przed panią starszą! Wszystko jej
wyznam.

- Pani starsza nie będzie z wami rozmawiała. Pan
Stunnington nie dozwolił. Już dosyć nazywałaś na jej
łatwofemności, babo!

- Wiedźcie mnie przed pana Stunningtona.

- Damn! Mówi do onej jego mecenas, a ja
przekładam. I nikt inny nie zamieruje z tobą, kobieto, gadać.

- Będzie, co ma być. Wola boska - poddała się losowi
matka.

- Robotę onej dadzą. Ratami strąci się wam
piniundze. jakieście wyciągali z pani starszej. Jak spłacie,
to sobie uskładacie na powrót, jeśli będziecie chcieli nazad,
jak nie, to nie. Ale pamiętajcie, niczego już nie dostaniecie
od naszego dziedzica! I módlcie się za niego, inny by was do
cyrkułu i do tiumry za te oszukaństwa wyprawił.

- Będę się modlić, panie.

- Zawierzy się onej jeszcze trochę piniundzów,
abyście

zaś mieli za co komorę nająć. Ale też musicie oddać,

rozumiecie?

- Rozumiem, panie.
- No to podpiszcie ten papier - złagodniał. Mnie wtknął do ręki kawałek czekolady, matce podsunął rewers, mocą którego zobowiązywała się spłacić co do centa sumę wyłożoną przez mrs Annę Stunnington. Tak rozporządził jej syn.

Niewarte dlań zachodu przewinienie mojej matki skończyło się umoralniającą przemową - z przywołaniem bojaźni bożej i imienia pana Stunningtona - wygłoszoną dziwną gwarą przez mężczyznę w kapeluszu przypomniającym przetak. Takie skojarzenie nasunął mi pierwszy raz widziany stetson, noszony przez Steve'a, zaufanego człowieka Pendragona Stunningtona.

Ale wydatkowany kapitał należało wycofać z doliczeniem odpowiednicji procentów. I nie miała znaczenia suma przy jego stanie posiadania, mniej zauważalna niż pył. Milion czy cent musiał przynosić właściwy do swej mocy dochód.

Nawyk skrupulatności, jakiś wewnętrzny mechanizm, jakim go obdarowała natura albo wychowanie, nie poddający się żadnym ustępstwom, kazał wszystko policzyć i wystawić rachunek, i dopisać odsetki. Dla nas **OZNACZAŁO TO DWA LATA SKRAJNYCH WYRZECZEŃ.**

Kiedy ułagodzony ocean przestał nami miotać i gdy wycieńczona morską chorobą, uczepiona matczynej spódnicy, zastrachana wieśniaczka wychynęłam na pokład, odurzył nas słony powiew biyzy, przytłoczył bezkres wodnej równiny z ginącą bruzdą, reioną kilem statku za nami, a przed naszymi oczyma jawił się ogromny fresk.

Nowy Jork.

Spiętrzone kamienne biły, sześciany, igły, kopuły, wieżycy. Wszystko wyostrzone jaskrawym słońcem, obrysovane wyraźnym konturem na tle rozlanej ultramaryny, niemal bez głębi, płaskie jak makieta zawieszona w niekończącej niebieskości, bo barwa morza zlewała się z barwą nieba.

Poczułam się strasznie mała.

W miarę zbliżania się ku ujściu Hudsonu gładka dekora-

I cja nabierała waloru i otwierała się perspektywa na mosty zawieszane nad rzeką. Miasto olbrzymiało, rozrastało się, przysłaniało horyzont, aż zapanowało wszechwładnie, wspaniałe, straszne, porywające. A ja wciąż malałam i zrobiłam się jak łebek od szpilki. Nie byłam pewna, czy poza matką jeszcze ktokolwiek mnie widzi.

Długo prześladowało mnie to uczucie, kiedy ciśnięta w emigranckie getto znalazłam się w różnojęzycznym skupisku prostych, biednych ludzi, zahukana jak i oni, bo zaradni, bardziej aktywni odwarstwiali się i znikali z Lower East Side. Pozostawali ci z pierwszej fali powojennej wędrowki, w jakiś sposób naznaczeni wojną, psychicznym inwalidztwem, bez siły przebiccia.

Takie we mnie zapadło to Miasto. Ucieleśniony sen gigantomana, fascynujący olbrzym z neurasteniczną architekturą, piękne, nieludzko obojętne. Zawążyło na moim losie, odcisnęło swój gmerk.

AA^aśnie pod młotek idzie „Miasto o zmierzchu”.

Duży szpaler utrzymany w konwencji weduty, w pastelowych tonacjach pustynnego piasku i gamie odcieni bladego bzu. To jest stary Nowy Jork. Pierwsze drapacze Luisa Sullivana, dwie jednakowe wieże World Trade Center i jeden z najwcześniejszych wieżowców, drapacz Singer z cylindryczną nadbudową, i hieratyczny wieżowiec Woolwortha, echo po gotyckich kasztelach, i Empire State Building, i drapacz Chryslera nakryty szpiczastym hełmem, całym w złotych łuskach.

Ta kopuła na mojej makacie jest w najbardziej nasyconej piaskowej barwie, wycieniowanej żółcieniem szafranowym, otrzymany z soku płatków krokusa, dającym ton złocisty, podkreślony wplotem z miedzianego filigranu.

Ale Oni tego nie widzą.

Dla nich to jeszcze jedna odmiana tematu. Miasto u schyłku dnia, wyraz fascynacji autorki współczesną cywilizacją, zaprawionej egzystencjalnym niepokojem, które sublimuje, oswaja, humanizuje i spleta w epicką opowieść snutą owczą przędzą.

WIOSNĄ MIASTO JEST JESZCZE DO ZNIESIENIA, ZIELEN W CENTRAL PARKU soczysta, a powietrze nie

obezwładnia parną duchotą. Lato jest tu ciężkie jak w tropikach, wysysa siły wraz z lepką wodą spłajającą z ciała, dręczy ciągła zmiana auiy, kiedy wprost z klimatyzowanych pomieszczeń wychodzi się na wilgotny upał lilicy, a pozbawione regulacji temperatury mieszkanie na poddaszu przypomina kocioł w pralni.

Ale tego dnia w cieniu biurowców Park Avenue rzeński ranek niosła biyza od oceanu i gdzieś tam w górze nad ogrodami, krzewiącymi się na dachach wieżowców, świeciło łagodne słońce.

Skończyłam czyścić przypadające na mnie kilometry podłóg, wykładzin tkaninopodobnych i zwykłych, mebli pokrytych dekorfolią, mebli powleczonych plastlakiem, na stelażach z giętych metalowych rur. Pierwsze piętro, dział szeregowych kancelistów.

Drewno, parkiet, pluszowe mokiety, dywany z prawdziwej wełny pojawiają się i rosną w gatunku wraz z kondygnacjami i rangą zatrudnionych. Także zarobki sprzątaczek.

Wychodziłam, kiedy urzędnicy zaczęli swój dzień. Po otrzymaniu pracy zapisałam się na kursy tkactwa artystycznego. Ratami spłacałam czesne.

Odpowiedziałam na pozdrowienie portiera i zatrzymałam się, bo coś mówił, nieważne co, pewno coś zabawnego bo śmiałam się, zresztą nie musiało być szczególnie dowcipne. Wtedy w ogóle łatwo się śmiałam, z upodobaniem obserwując wrażenie, jakie robię na mężczyznach.

Odkrycie niedawne. Interesujące.

Podobałam się; szare oczy błękitniejące, jeśli ubrałam się w coś niebieskiego, i włosy jak snop żytniej słomy o odcieniu, o jaki próżno starali się najlepsi producenci dla swoich farb i płukanek. Miałam włosy jak ideał z reklam; o stuprocentowej amerykańskiej dziewczynie, zdrowe; by, białe i równe, i twarz nie tkniętą szminką.

Taką mnie zobaczył. Młoda, nieskomplikowana, towarzysko nieliczącą się dziewczynę, nie znaną nikomu z jej znajomych.

- Dzień dobry, mister Stunington - powitał go portier ze zręcznością, kuglarza chowając w rękawie zapalonego papierosa.

Odpowiedział na pozdrowienie, jego brunatne oczy za-] trzymały się na mojej lniającej grzywie, spadającej na ple grubym pasmem i związanej błękitną wstążką w koński ogon, dotknęły ust, omiotły płócienną sukienkę bar wyblakłego nieba i nogi w beżowych sandałkach.

Znałam już podobnie nostalgiczne spojrzenia. A schlebiali szczególnie. Ten wielki pan, który kiedyś nawet raczył osobiście krzyknąć na moją matkę i nigdy i się nie pokazał, i nigdy więcej nie zainteresował naszym losem, odkąd Steve umieścił ją jako sprzętaczkę tu w biu-] rach firmy, teraz mnie zauważył i tak patrzył.

Odwrocił wzrok, minął mnie bez słowa i poszedł do] windy zastrzeżonej dla generalnych dyrektorów, elegancji, wysportowany, z mocno opaloną twarzą i lekko osret rzonymi skroniami. Mężczyzna o trudnym do określenia wieku, jak większość ich tutaj na Park Avenue superme now po czterdziestce, konserwujących się po tajemniczych! uzdrzawialniach, korzystających z pomocy chirurgii od- inądziej, kosmetyków, kwarcówek, masaży, szkieł kontaktowych, peruk, tupetów, kłiracji hormonalnych.

**ZA WŚZELKĄ CENĘ ZATRZYMAĆ MŁODOŚĆ. TU-
TAJ STAROŚĆ JEST NIETAKTEM.**

- Gobelin wykonany technik^ haute-lisse! - spiker ob- jaśnia raport splotu, zwraca uwagę na miękkość rysunku i barwienie naturalnymi pigmentami.

Oni przechodzą nieśpiesznie od tkaniny do tkaniny, smakują koloryt, faktiarę, jedyną w swoim rodzaju sprężystą szorstkość, jaką odznacza się tylko żywe tworzywo, napawają oczy żmudną, wypracowaną ręczną robotą. I to jest główny powód, jeśli nie jedyny, dla którego przyszedł tu cały Nowy Jork.

Oczywiście przenośnia. Nowy Jork wprawdzie stanowi jeden organizm administracyjny, lecz kilka, a nawet kilkanaście różnych miast. W każdym z nich można przeżyć życie i nie znać innych, nawet nie wychodzić poza jego obręb.

Jest Nowy Jork włoski i serbski, austriacki i węgierski, polski i chiński. Nowy Jork żydowski i jugosłowiański. I Nowy Jork rozsiadły na wschodnim Manhattanie wśród ulic o niskiej numeracji, gdzie mieszkają ludzie bogaci.

To oni zaludniają dziś sale wystawowe Muzeum Sztuki Współczesnej, oni, mieszkańcy dystygowanych real estate w otoczeniu gwarantującym good neighbourhood - dobre sąsiedztwo.

W takiej enklawie nie wynajmie się mieszkania kolorowym, a także białym, którzy z różnych względów nie odpowiadają obowiązującym tu kryteriom. Jeden wyłom w obwarowaniu, a na dzielnicę spada niesława i uciekają z niej dotychczasowi lokatorzy. Właściciele mogą spisać swe wykwintne domy na straty.

Towarzystwo skończone siedziby nieuchronnie oblegnęli biedni Jugosławi, Serbowie, Polacy, Chorwaci i liczni nacje Wschodniej i Środkowej Europy, przyjdą też ja tamci ubodzy Włosi, a za Włochami zawsze ciągną nieb(gaci Żydzi, a niebogaty Żydów trzymają się Murzyni.

Później fala przyboju wyniesie na dostępny już brze ludzi złotych i skośnokich, o karnacji cynamonowe rozbielonej czekolady i kremowych jak słońowa kość.

Będą się mrowić w przeludnionych izbach, na ulicach w nieustannej krzątaninie, w pogoni za kawałkiem chleba za większym dostatkiem, za szczęściem, za sukcesem, będą się kochać i płodzić dzieci, nienawidzić i pogardzać drugim, bo biedniejszy, bo inny, będą chorować i umierać będą się dorabiać i ciućać i jeszcze bardziej deklasować wykolejać, popadać w apatię, narkotyzować i uczyć, rabować, modlić i zabijać.

Melting pot - tygiel, w którym, jak twierdzą tutejsi socjolodzy, mieszają się i ameykanizują wszelkierodowości.

Takie było przed ćwierćwieczem Lower East Side, poniżej Czterdziestej Wschodniej na Manhattanie. Teraz nie spotkałam tam ani jednego znajomego człowieka, ani jednego znajomego domu. Na ich miejscu zastałam kolonią eleganckich rezydencji. Rzadka zabudowa, duże ogrody a w nich rozpasanie kwiatów. Róże, hortensje, rododendrony, azalie, lilie i tuberozy.

Asfaltowe jezdnie bez chodników dla pieszych. Przez chodników nie przewidziano w dzielnicy, gdzie roczny czynsz wynosi kilkuletni dochód średnio uposażonego obywatela, a

akt własności - zarobki całego życia. Na większość tych budynków nie ma amatora. For rent - do wynajęcia, for sale - do sprzedania, informują wywieszki.

Miasto jest skrachowane, dręczone ujemnym bilansem nie ma pieniędzy na służby komunalne, socjalne, nie mć pieniędzy na komunikację, nie stać go na dostateczną ilość

policji, aby zapewnić ochronę ludziom. I coraz więcej mieszkańców, zwłaszcza bogatych, osiedla się w pobliżu metropolii albo migruje w głąb kontynentu.

-Nie wychodź sama wieczorem, zawsze bierz wóz albo taksówkę i zawsze noś przy sobie drobne, kiedy idziesz pieszo. Jeśli ktoś zażąda, daj mu je - instruował Hermes, gdy tylko przyjechałam. Brak pięciu dolarów albo odmowa może kosztować cios nożem lub cięcie brzytwą, może kosztować życie.

Czuwał nade mną.

-Gaja, dokąd? - zatrzymał mnie, gdy chciałam na chwilę wymknąć się z przyjęcia dla dziennikarzy wydanego przez firmę w przeddzień wernisazu. Tu bardzo dba się o publicity.

Kiedyś, skazana tylko na siebie, tęskniłam do gromady, zazdrościłam innym pr^jaciół, znajomych. Z latami samotność stała się moją naturą. Są wprawdzie ludzie, których bardzo lubię, ale paradoks, już po krótkim obcowaniu męczą mnie, po dłuższym doprowadzają do rozpachy nawet milczącą obecnością.

Uciekłam od zgiełku w ciszę pustej pracowni dekoratorskiej, oddzielonej od salonów ekspozycyjnych całą kondygnacją. Mruczała kUmafyzacja, pachniało kiu'zem, farbą. Swojsko. Panował dobrze znany bałagan towarzyszący wszelkim kunsztom.

Stały tu drabiny, szczątki starych dekoracji, rulony falistej tektury, płótna, papier-mśche, sterta makulatury.

I nagle z tego stosu ugodziło mnie dawne życie, zjawa z przeszłości na strzępie starej gazety.

„TH^ MURDER OF DOKTOR ORLANO
HARROCKS”

- uderzyła w oczy gruba trzcionka ze stronicy pozbawionej początku i końca, poniżej fotografii mężczyzny z oddartą dolną połową twarzy.

Widok okaleczonej podobizny i bróńnienie nazwiska wyłoczonego czarną farbą wyzwomłły wspomnienia mi-

2-

a

Barakud

33

nionego czasu, zdawałoby się tak pogrzebanego w świadomości, jakby nigdy nie istniał. Przerwały obronną niepa-1

mięć, runęły udręka, poraziły bólem, jakby tamto dzia się wczoraj, a nie dwadzieścia lat temu.

MOJE DZIECKO URODZIŁO SIĘ I ODESZŁO W TEJ TAJEMNICZEJ PRZEDRANNEJ godzinie, kiedy najsła-1 biej bije puls świata, kiedy najczęściej umierają chorzy starcy i noworodki.

- Dziewczynka. Nie udało się utrzymać jej przy życiu - 1zawiadomił mnie doktor Orlano Harrocks. Trzymał na ręku spowity w płótno maleńki, żalony tłumoczek.

WIADOMOŚĆ ZROZUMIAŁAM, ALE MNIE NIE PO-I RUSZYŁA. NIE CZUŁAM NIC. NIE DOTYCZYŁO MNIE I SPOCZYWAJĄCEJ POD NIEWIDZIALNYM KŁOSZEM] ŚRODKÓW OSZAŁAMIAJĄCYCH.

- Kompozycja strukturalna, wyjście w przestrzeń... -I spiker prezentuje jedną z prac wykonanych metodą apli-1 kacji z drobnych elementów. — Różnorodność wzoru two-1 rzy płaszczyzny i wypukłości, przydaje fakturze głębi, | upodobnia do rzeźby.

Spiker ciągnie po wiekach, czego tam nie ma! Szlak | bursztyno \Vy, pasy słuckie, baczmagi, kurdybany, karabe- , le, bucharskie opony, w ogóle kultura magnacka. Włos się) jeży.

- Zagada, zanudzi publiczność - niepokoję się.

- Ludzie lubią patynę - mówi pewny siebie Hermes.

Spiker wydobywa się z dygresji o wpływach bizantyjskich, perskich i tureckich, widocznych w polskim stroju szlacheckim, zatrzymuje się przy inspiracji Wschodu w naszym kobieństwie, podkreśla znaczenie tradycji.

Tradycja.

Ziemia, które mnie wydała, nie wykształciła ani stroju ludowego, ani znamiennej architektury, może na to za uboga, może zbyt płynna etnicznie, ale przez całe pokolenia tkano tam w każdym domu. Własny kunszt odziewał, oblekał grzbiet konia, mościł dom i oz[^]biał.

Pewno nosiłam owo rzemiosło we krwi, jak dobrotliwą bakterię albo dziedziczną chorobę. A w najwcześniejszych, dziecinnych jeszcze próbach gorliwie i nieudolnie naśladowałam matkę.

„U nas każda kobieta robiła samodziąły. To był mus

powszechny, jak pobór mężczyzn, ale wielka tkaczka rodziła się raz na wiek. Po okolicy prędko rozchodził się słuch o niej i ona już nigdy nie zaznała przednówka. Z najdalszych stron ludzie wełnę wieźli i na dywany od takiej tkaczki, bywało, cierpliwie czekali i po parę lat” - marzyła dla mnie matka o sytej karierze, jaką znała ze swych rodzinnych stron, dzieląc kukuiydziany chleb, do którego nie mogła przywyknąć, ale nie stać jej było na inny.

Skazana na dzielnicę nowojorskiej biedy, podwójna emigrantka z kraju i ze środowiska, jeszcze bardziej obca przez swą świeżą wiejskość, jak zwierzę ratujące się w chorobie instynktownie wynajduje właściwe ziele, grzyby czy porosty, tak ona czepiała się rzecz[^] najbardziej jej bliskiej, swojskiej.

Uciekała w tkactwo przed pogardą, obojętnością, ksenofobią otoczenia, uciekała przed nostalgią, o której, nie znając właściwego słowa, mówiła, że ją boli ziemia rodzinna.

Świttem podejmowała dalekie, napawające lękiem wyprawy do zamożnych dzielnic, gdzie, zanim przybyli śmieciarze, przeglądała wyniesione przed furtki worki z czarnego plastyku napełnione odpadkami. Wybierała stamtąd barwne szmaty, prała je, cięła w paski i zwijała w motki, aby kiedy uskłada na krosno, utkać z nich derki, chodniki, kapy.

Ale pieniądze jej się nie imają.

I skąd wziąć toosno na południowo-wschodnim Man[^]hattanie? Nie wiedziała. O pomon poszła do sąsiada, który w tym oceanie cudzoziemskości był istotą swojską. M6v mową zrozumiała, kędzioiy barwy oszadziałej grudy przy[^] kiywał czarną jarmułką z wytartego aksamitu, świętowa w soboty, w piątkowe wieczory jego samotny cień chwia[^] się na ścianie poruszany pełgającymi płomykami świe zatkniętych w wieloramienny lichtarz.

Smutny prorok objawiony w suterenie naszej kamieni-1cy, spowity kadzidłę oparów z wrzących klejów i pokos-1tów, brodzący w obłokach złocistych stniżyn spływaj ą-|cych spod hebla.

Swojski, bo podobny dobrze znanym krawcom, czapni-1kom, stelmachom, rymarzom, zaludniającym kiedyś cias-|ne podwórka ubogich kamieniczek w rynku Miasteczka!

położonego blisko Wsi rodzirnej, miasteczka zamordowa-] nego w wojnę, jak i wieś.

Stolarz.

Ostrugał i wypolerował drewniane listwy, nawiercił! otworkami. Uczynił najprostszy warsztat tkacki. Krosienko tabliczkowe. Znane z dzieciństwa. W jej stronach, oprócz własnoręcznie uszytej lalki ze strzępu płótna, jedyna zabawka dziewczynek. Nie zamierzona dydaktyka cwi- [cząca przyszłe tkaczki.

- Niech nie płaci, bo nie ma czym - burknął, gdy supłała i miedziaki. - Utka mi derkę, u nas też takie robili, -j Pochodził gdzieś spod Grodna, przybył do Nowego Jorku po pierwszej wojnie światowej. Tu przeżył życie. Pochował j żonę. Wykształcił jedynaka.

Lata nauki syna ojciec przesłęczał nad markietarzem. Płaty okleiny przemieniał w intarsje o delikatności koronki, malował miniaturowe obrazy substancją wielorakiego drewna. Ileż jesionu, brzoštu, jaworu, ileż grusz i czereśni przetworzył, zanim syna wykierował na inteligenta. Ułożone w sęgi sięgnęłyby korony białej bogini czuwającej u nabrze[^] Miasta.

Syn został inżynierem, otrzymał pracę w koncernie ITT. Ożenił się z Amerykanką, ale ona nie cfciała, aby w ich eleganckim domu z basenem i strzyżonymi trawnikami mieszkał taki niemodny ojciec, co za nic nie chciał rozstać się ze swoją stolarnią, jarmiłką i menorą - obrzędowym świecznikiem. Więc żył sam, tylko coraz trudniej było mu kleić markieterie. Osłabły oc[^].

Moja matka nawlekała osnowę z grubych jutowych nici, rozkręconych resztek stajych lin, wyproszonych w porcie, i nocańii plotła szmaciaki. Jakiś mus kazał jej zarywać noce przy tych dziurkowanych deszczułkach.

Tak się broniła. Pozór życia znanego i rozumianego, niosącego powiew lasu, oddech dzikiej rzeki w bordiurach trzciny i tataraku, w ramionach czarnych olch, a nie betonowych cembrowin, innego niż tutaj czasu, innej niż tutaj przestrzeni, innego słońca i obyczajaju.

Wytoczonym z drewna, grubym szydełkiem, tam w jej stronach nazywanym kulką, działa szmaciane makaty,

łachmanowe arrasy oszalałe od barw i kształtów. Kwitły i owocowały gałganie kwiaty, pleniły się zioła, stały wielkie boi i pasły się zwierzęta. Jak w raju, pospru te domowe i leśne.

Nie, nie była wielką tkaczką. Mnie, dziecku jedynemu, jakie jej ocalało z rzezi, wieszczyła mistrzostwo ucząc pierwszych ściegów.

- Może ty, cerko, otrzymasz ten dar, bo przedza cię nawidzi, każde włókno legnie do twoich rąk.

Teraz tu, w Muzeum 'iztuki Współczesnej, stałam trochę i w jej imieniu, a w folderze wymieniano i ją, moją pierwszą nauczycielkę. Satysfakcja pr[^]sza za późno, już nie potrafiła ani się bardzo cies[^]ć, ani smucić, ani mocno przeżywać.

Moja matka.

Wykolejona wieśniaczka z twarzą spękanej gemmj z rozbity osobowością, zamordowana przez wojnę i dwa naście nowojorskich lat. Zmiażdżona przez świat, którego nigdy nie rozumiała i w którym zatraciła instynkt. Naiw[^] na i przebiegła, wspaniałomyślna i chciwa, wielkodus i małostkowa. I zupełnie bezbronna.

Pokonało ją Miasto. Nie obroniło krosienko.

W nowojorskich slumsach rozsypał się do reszty pro świat mojej matki, jego miejsce zajął schemat powielany przez masowe media kultury. A poniżej Czterdziestej Wschodniej największą hańbę stanowiła bieda.

Podziwiano i zazdrozczono temu, kto się stamtąd pc trafił wyostać. Trawiła obsesja sukcesu. Materialnegoj Wymiernego w rzeczach i liczbach. Tu nikt niczym się nie gorszył, niczemu nie dziwił, ludzie żyli w różnych ukła dach, żyli niepoczcziwie, żyli bezmyślnie że zwichnięt skalą wartości.

WZIEŁAM ZAPROPONOWANE PIENIĄDZE.

PODPI-] SAŁAM, JAK ŻĄDANO, ZRZECZENIE

wszelkich rosz-] czeń finansowych i moralnych, teraz i na zawsze. Otrzymałam odszkodowanie za moje martwe dziecko. Odebra-] łam czek z rąk tego samego adwokata, który przed laty | krzyczał na moją matkę za pośrednictwem Steve'amówią-l cego dziwną, nawet dla nas nie zawsze pojętą gwarą, a teraz był uprzejmy i zwracał się

do mnie po angielsku, J a ja doskonale go rozumiałam.

Kupiłyśmy standardowy doraek w podmiejskiej osadzie, J zamieszkałej przez drobnych iirzędników, rzemieślników, subiektów, domek biały, z pomalowanymi na czarno | | okiermicami i futiynami, ze spłachetkiem trawnika obsadzonego żywopłotem z bukszpanu.

Matka upodobniła się do sąsiadek.

Obcięła warkocz, kimsztownie ondulowała włosy, nosiła jaskrawe albo kwieciste sukienki, malowała paznokcie na krwistoczerwony kolor, paliła papierosy, piła alkohol.

Zawarła znajomości, nie stroniła od mężczyzn, z zadowoleniem kłaniała się znajomym paniom i one jej się kłaniały, czasami zapraszały się na kawę albo na kieliszek.

Nie tkąła już szmaciaków, a miejsce po, tej pasji zostało puste. Nie zap^nify go ani zabiegi wokiS własnej powierzchowności, ani nietrwałe związki z mężczyznami zagubionymi jak i ona, ochwaconymi światem rzeczy, życiem pogoni za rzeczami i dla rzeczy, stanowiącym miarę wszystkiego, pozbawionym iimych treści, nie wiedzącymi, co począć z czasem wolnym, z tym darem ciężkim jak kula u nogi, więc zabijali go dodatkową pracą i alkoholem.

Odwiedzała naszą starą dzielnicę, obnosiła spiętrzone z loków fizyuiy, wymyślne stroje, swoją nową kondycję osoby, której się powiodło. Wracała rozczarowana.

Po krótkotrwałym zawistnym podziwieniu przestano się nią interesować. Przestała być stąd. I nikomu jej tam nie brakowało. Ta społeczność jak ruchome piaski wypełniła miejsce po niej tak dokładnie, jakby ona nigdy nie istniała, jakby nie przeżyła wśród nich dziesięciu lat.

Znów wszędzie obca.

Ponownie zaczynała biografię od zera. Od wejścia do białego domku z czarnymi żaluzjowymi okiennicami. Ale tak naprawdę nie została tu zaakceptowana. Zbyt odmienna, zbyt prosta, za często nietrzeźwa. Trochę tragiczny, trochę śmieszny, starzejący się wamp-neofita.

W odwet za obojętność świata, który jej nawet nie odrzucał, tylko nie zauważał, idealizowała ludzi, naturę i zwierzęta pozostawione w jej dalekiej wsi. Coraz częściej piła, coraz częściej wspominała o powrocie.

Ale łatwiej przyszło znów przemierzyć ocean, niż pokonać ostatnie trzysta kilometrów z Warszawy do Wigajń. Nie przebyła ich nigdy, chociaż z początku wybierała się tam ciągle, tylko zawsze wyrastały jakieś trudności nieprzewidywane. Niedobra pogoda, brak modnego ubrania, złe samopoczucie, moja szkoła, moje nieudane małżeństwo, mój i wód, później urządzenie mieszkania w Sadybie, pielęgnowanie grządek. Należało preteksty. Z czasem przestała szukać usprawiedliwień.

Przeszkoda była w niej.

Świadomość przegranej, surowy osąd życia, jakie widziało. I nie miało znaczenia, że większość ludzi z kręgi rodzinnej wsi wymarła, rozpierzchła po świecie, a reszta nie wiedziała nic o kolejach naszego losu. Poczucie klęski naganność postępowania i wstyd przed opinią liczącą się dla niej środowiska nosiła w sobie.

I we mnie tkwiły opory i niechęć do naruszania utartego stanu rzeczy i wzgląd na zastrzeżenia matki, i powody nieuświadomione, a najpewniej jeden, nazbyt wcześnie wykorzenienie z tamtej ziemi.

Lecz do końca nie rozumiałam wszystkich przyczyn jakie najpierw odgradziły od mego najpierwszego miejsca na świecie, by później, pod wpływem gazetowej wzmianki przekształcić się w przymus, który mnie tam pogał, bo przecie nie sama tylko obawa i ciekawość przewidywane go oddźwięku, wywołanego faktem ukazania się mojego rodzowego nazwiska w ogłoszeniu prasowym, zamieszczonym we wszystkich pismach regionu.

Nie powodując nostalgii przez lata, trwał we mnie zastępy w swym kształcie, delikatny, malowany pastela mi obraz stron rodzinnych. Płanin i sępów, mrocznego boru, chabrowego oka jeziora i pleniących się traw. Tera zastałam inną rzekę, inną łąkę, inny las, niż te wytrawione w pamięci. Powabny, obcy pejzaż. I bliższy pozostał tam ten, nieistniejący.

Nie poczułam się tutaj u siebie, jak nie czułam się u siebie na Lower East Side, jak nie czułam się u siebie w białej willi z czarnymi żaluzjami pośród azalii, rododendronów i Afwopłotu z bukszpanu.

Może jestem u siebie w Warszawie w domu ze splechotką ogródka, może w pracowni scenografa, ale prawdziwie, najpewniej jestem u siebie tylko w moich makatach. Uciekam w nie od zawodów, rozczarowań ludźmi, OD NIEUŁAGANIE MODELUJĄCEGO MNIE CZASU, OD UDKĘKI DNIA CODZIENNEGO.

Nieustannie ćmi obawa o matkę i Hanne, moją córkę. Same zostały w Warszawie. Nieodpowiedzialna stara kobieta pod opieką czternastoletniej dziewczyny.

Hanna ma wielki i dobry wpływ na babkę. I pewno dlatego Harna jest zbyt poważna na swój wiek. I nazywamy ją Harną, gdy o babce, między sobą, przywykłyśmy mówić Stenia.

Nad tymi dwoma bezbronnymi istnieniami, oprócz których nie mam nikogo, usiłuję teraz zdalnie czuwać przy pomocy telefonicznego kabla i za każdym razem, gdy przez niewi^ialne łącza nasze głosy pokonują dzielący nas ocean, doznaję uczucia uczestniczenia w cudzie.

- Dziękuję ci, córko - powiedziała ceremonialnie moja' matka. - U nas wszystko w porządku. Ja jeszcze sobie siedzę, a Hanna śpi.

- Dlaczego śpi? - Już w oszalałej wyobraźni choroba, klęska, nieszczęście. I nagle nic więcej nie istnieje, tylko straszliwie daleka i bliska obecność w membranie.

- Przecież jest noc - szemrze głos mojej matki.

Znów rusza serce, powoli ustępuje z gardła dławiąca obroż. No przecież, jakież to proste, u nich jest noc. Zapomniałam o sześciu godzinach różnicy w czasie dzielącym mnie od domu na Sadybie.

Hermes wymienia nazwiska, jakie sprowadziła na m(wernisaż magia pracy ręcznej, która owcze runo przet rzyła w nić, nasyciła ją naturalnymi pigmentami i utk w harmonijne kompozycje o delikatnym kolorycie.

- Jutro będziesz znana w Nowym Jorku - zapewnia!] Właśnie weszli popularni dziennikarze telewizyjni, Walt Cronkit i dziewczyna nazywająca się podobnie - jak wszechnie łubiana warszawska prezenterka - Barbar; Walters.

Wciąż stoję na podium, nalewam armaniak do kryszta-

łowych kieliszków, bo ja tu jestem gospodynią - tak zdecydował Hermes - więc nalewam po odrobinie ciekłego bursztynu z francuskich winnic w cięty w rauty flim z czechosłowackiej huty.

Koniak roznoszą po salach śliczne jak z obrazka hostes-sy, wynajęte przez Hermesa w doskonałej agencji reklamowej, prowadzącej biuro w sąsiedztwie jego firmy przy Madison Avenue. Jak łagodny golfstrom opływa nas ruchomy, ludzki nurt. Hermes przedstawia przechodzących: polityka, sztuka, giełda, literatura, przemysł.

Establishment!

Odwonieni dezodorantami Yardleya, Niny Ricci, Heleny! Rubinstein, napachnieni perfumami Yardleya, Niny Ricci.i Heleny Rubinstein, namaszczeni pomadami Yardleya, Niny Ricci, Heleny Rubinstein, ubrani starannie w smokingi i suknie o bezbłędnym kroju, ubrani z wystylizowaną abnegacją w efektowne gałgany, ubrani w niby bezpreten-sjonalne szmaty - lecz i te nobliwe, j te łachmaniarskie kupili w bardzo eleganckich i drogich magazynach u Altmana na Piątej Alei, w firmie Bonwit Teller albo u Saksa czy Taylora, a najpewniej w którymś z maleńkich boutiques rojących się przy Madison Avenue, gdzie każdy z takich strojów kosztuje majątek.

Mnie Hermes też chciał przyodziać, abym godnie reprezentowała jego galerię na wielkim widowisku, jakim VST końcu stał się wernisaż.

- Trzeba ci dać oprawę - orzekł zatrzymując się przed sklepikiem, w którym zazwyczaj oprawiał ws:g^stkie swoje klientki.

Za kryształową szybą na podściółce z fiołkowego aksamitu leżała niczym rzadki Wejnot j edyna bluzka z kremowego floretu, cała pokryta tchnieniem ręcznego haftu w takim samym kolorze. Jedyna bluzka, przy której nie podano nawet ceny.

Zapałam się przed wystawą wyglądającą jak etui na biżuterię i nie dałam zawlec do środka. Znałam zwyczaj owoych wykwintych sklepiczków. Strzeżcie się takich, co nie raczą wymienić kosztu eksponowanego łaszka. To rozbójnicy.

- Too expensive! Za drogo - zbuntowałam się po raz pierwszy.

Dzielnie znosiłam weliny, grawiury, armaniak z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego, słowa nie powiedziałam przeciwko pierwszej jakości ciałom, czyli hostessom kosztującym trzydzieści dolarów za godzinę.

Nie protestowałam, chociaż moim zdaniem, zamiast dostałego koniaku mogła być żytnia. Autentyk. Na ziemi, z jakiej pochodzę, nie uprawia się szczepu winnego, tylko zboże i niekoniecznie podając gorzałkę musiały się uśmiechać najkosztowniejsze pyszki w Mieście. Cierpiałam te szaleństwa, chociaż pożerały wpływy, ale nie dam się obłupić w boutique'u na Madison. Po moim trupie.

- Ubranie jest moją prywatną sprawą - stanęłam okoniem. Jeszcze jak prywatną, w tej choliernej umowie stoi jak wół, że sama ponoszę wszelkie koszty osobiste związane z reprezentacją. Nie będzie mnie Hermes ubierał za moje pieniądze!

Pieniądze.

Przyjechałam tutaj ze stu pięćdziesięcioma doi obywatelskiej wyprawki i Hermes od razu otworzył kredyt, z którego czerpałam bardzo oszczędnie, bo do] wszystkich udre]k, jakie przywlokłam ze sobą, dosz niepokój, czy mój dochód ze sprzedaży wystarczy przynajmniej na pokrycie należności za pobyt. Przeraziły nakłady na reklamę, oprawę i lokal.

- Nie będziesz mi dyktował, co mam na siebie włożyć.'

- Jest zastrzeżone w kontrakcie.

- Tak? Nie zauważyłam - łgałam.

- Widać nie czytałaś uważnie, warto ci się spierać] o drobiazgi?

- Warto. Too expensive - upierałam się z cierpliwością] muła. - To, co przywiodam ze sobą, nie jest gorsze.

Umowę i scenariusz wystawy Hermes przysłał do Warszawy, jadąc tu, dobrze wiedziałam, czego się po mnie] oczekuje. Powinnam także stylem ubioru podkreślać moją] kondycję twórcy przedmiotów pięknych. A w przekonaniu]

Hermesa najwyższą klasę także w dziedzinie mody zapew- (niał tylko Nowy Jork.

A naprawdę cały świat zalewa tania seryjna tandeta,] zuniformizowana i bez wyrazu, taka sama w Paiżu, | Nowym Jorku, Tokio, Madrycie czy Melbourne. Taka sa-] ma, bo produkowana w tych samych zaldadach należących! do międzynarodowych koncernów, lokowanych na obsza-] rach, gdzie podatki najniższe, a siła robocza najtańsza.

Indywidualizacja przedmiotów zaczyna się od okreśło-] nej ceny, wprawdzie zróżnicowanej, lecz przeważnie nie-] dostępnej dla przeciętnej kieszeni. Są to rzeczy piękne,! wykwintne, wyrafinowane, w doskonałymi gatunku. Wy-« twarzane przez rękodzielników w pracowniach, warszta-] tach i niewielkich zakładach.

I w tej mnogości wszelakiego rzemiosła Nowy Jork jest | bardzo paryski, tylko wszystko jest w większej skali. Ma

rr

r

swój odpowiednik Boiileyard Saint Antoine - całą dzielnicę ^enistów, ma swój odpowiednik Belleville, obsadzoną przez krawców i kaletników, ma Faubourg Poissonnifere - ulicę kuśnierzy i białoskómków, i wiele, wiele innych.

Przybywali i wciąż przybywają na ziemię amerykańską rozbitkowie z różnych stron świata, przywożą swoje obyczaje, urazy, swoje fobie, swoje upodobania, przyzwyczajenia, swoje potrawy i umiejętności. Ciągają swoje nostalgie, swoich bogów, swoje uprzedzenia i swoją mądrość.

Wyrzucani z kadłubów samolotów na p^y lądowisk, wyrzucani spod pokładów statków na pirsy u ujścia Hud-sonu, bez pieniędzy i znajomości języka, bezradni jak głębinowe lyby wydobyte na powierzchnię, przeważnie nie migrują dalej na kontynent, pozostają w tym jedynym Mieście, w tej wieży Babel, skupisku wszelkich narodowości, ras i koloru skóry. Przygarniają ich kolonie wcześniej osiadłych rodaków, wchłaniają dzielnice biedy, etnicznie wymieszane.

Nie ma barier języka, obyczaju czy rasy dla cudownie zdolnych rąk bieglej w kunszcie. Więc wynajmują swoją₄₁

sztukę manualną, swoją wyobraźnię, swój talent. Kształtują srebrną blachę, splatają ażuwy ze złotego drutu cienkiego jak włos dziecka, wycinają światy w ziarnku ryżu, obrabiają lakę, miedź, perłowiec i drewno.

Pamięt[^] Hindusów rzeźbiących słoniową kość, Wochów ślepnących nad baśniowo misternym filigranem, których prace sygnuje swoim gmerkiem firma jubilerska usadowiona przy Moście Złotników we Florencji dłużej, niż liczy historia Stanów na ziemi amerykańskiej.

Pamiętam starych Żydów o pergaminowych twarzach, zbiegów z całej Europy, poliglotów mówiących wszystkimi językami świata i żadnym dobrze, powoli zabijanych diamentowym pyłem, wielkich, bezmiermycharyistów-szlifierzy brylantów. Ich czułe palce nie zmieniały naturalnej proporcji struktury szlachetnego minerału, chociaż ci[^]y] i sto pięćdziesiąt faset na powierzchni wielkości siemienia.] Diament jest dziełem natuy, brylant tworzy szlifierz.

Obrabiali cenny kamień na zlecenie najszlifierzyszych na I świecie pracowni z ulicy Pelikanów w Amsterdamie, a ich I sztuka, opatrzona stemplem łych pracowni, trafiała do) magazynów jubilerskich Nowego Jorku, Los Angeles, Wa-] szyngtonu.

- To jest bardzo piękne - powiedział Hermes, kiedy I obejrzał moją suknię z kremowej greży, połyskującej natu-1 ralną barwą oprzędu jedwabnika, przybraną koronką! z ciemniejszego o ton, najcieńszego tramu, zrobioną szy-1 dełkiem przez matkę.

Na ażurowej siateczce koloru baldaszków kwitnącej lipy rozkrzewiły się jakieś bezimienne rośliny z ogrodu jej młodości. Pantofelki Matki Boskiej, a może puchaty kwiat przelotu z nastrzępioną główką jak miniaturowa chryzantema albo gwiazdki o pięciu płatkach ze złotym okiem w środku, zbite w śnieżne wyspy u brzegów jeziora, nazy- [wane w jej stronach anemonami.

Może były to przetworzone w jej pamięci zioła z czasów, kiedy nie zn[^]a smaku papierosów ani alkoholu, ani zbrod- | ni, ani pogardy tak wielkiej, aż zadającej śmierć, ani | umarłych nadziei, ani nie spełnionych pragnień. Powstała | w jej dłoniach rzecz wielkiej urody z bezbłędnym wyczuciem

faktury, kolorytu i kompozycji.

- Podobały się moje wstawki? - pytała, gdy do niej telefonowałam.

- Bardzo. Ubiore się w tę suknię w najważniejszym dniu.

- Ładnie napisali o twojej scenografii - matka z pewną rezerwą wymawiała słowo, którego długo nie potrafiła obłąskawić. - Hatma wycięła recenzję z gazety.

- Ale o jakiej scenografii, mamoo?

- No, do tego Hiszpana.

KORONKI, SCENOGRAFIA!

Ależ tak, przypominam sobie, gdzie widziałam człowieka zabitego w Orylu. Jego twarz wynurza się z zawsze mrocznych zakamarków w suterrenach na zapleczu sceny, do których wiodą karkrfomne schody z wyszczerbionym stopniem.

- Uważać na trzeci schodek! - ostrzega się nowych, i nie ma mocnych, aby go naprawić. Trzeci schodek jest jakiś bezpański i nikt się do niego nie przyznaje, chociaż terytorium teatru podzielone jest między władców absolutnych.

Zaległam w mojej klitce, zupełnie serio nazywanej pracownią scenografa, i projektuję oprawę plastyczną do „Don Carlosa”. Tło umowne, zaznaczone najprostszymi środkami. Cały wyraz należy do koloru i oświetlenia, cały akcent - na kostium.

Przepych. Feeria barw i światło wzbogacające walor, wyrażające nastrój, wydobywające osobowość postaci, podkreślające gest. Coś z klimatu art impossible - sztuki niemożliwej.

Maluję mięsisty połysk atłasu i głęboką matowość aksamitu, w myśli ustawiam punktowce i reflektory sceny. Światło powinno stwarzać złudzenie materii, czegoś, co da się dotknąć. Teatralny elektryk potrafi osiągnąć każdy efekt. Ale skąd wezmę safian, altembas, bisiory i złotogłów, strusie pióra i pozór koronek rosellino, skoro nie mam nawet strzępu najskromniejszego gipiuru.

I w te myśli jak dysonans - rumor na schodach. Czy dyrekcja czeka, aż ktoś skręci kark na trzecim stopniu?

Pukanie do drzwi.

- Jak ja tego nie lubię! - wołam zamiast zaproszenia.
W takich chwilach nienawidzę gości i wszyscy koledzy o tym wiedzą, oni też nienawidzą, ale nikt z nas z innymi się nie liczy i wchodzimy do siebie, kiedy chcemy, i przeszkadzamy sobie bez skrpułów.

Lecz to nie był nikt z kolegów. Wszedł handlarz. Dźwi-

ielką uszatą torbę, wysłużona i brzuchata, spod
•mkniętego eklera wystawał kęs tkaniny.

.tawca garderób teatralnych.

en z tych smutnych, samotnych osobników, wyprze- Y
przebrzmiałe stroje z dna jakiegoś czarodziejskiego, który
niewiadomym zrzędzeniem boskim przetrwał jak caratu,
zmierzch-monarchii austro-węgierskiej, wojny i Drugą
Rzeczpospolitą, iwacy, fanatycy teatru, gatunek rzadki i
przez sceno- w niezmiernie ceniony, zwłaszcza w Warszawie,
• autentyczna zawartość wiekowych sepetów trafia lecześnie.
nieciekawej starzyzny, jaką przyniósł, wyłowiałam i metrów
pysznej blondy i kawał całkiem znośnego idownictwa
Malines, przszytych do zetlałego ła- a, będącego niegdyś
suknią.

jserwował mnie ukradkiem, jego uważne spojrzenie iło jak
czułki owada nie znaną przeszkodę. Wtedy łałam, że z
wyrazu twarzy, ze sposobu, w jald wygła- n zmurszałe
materie, chce wyczytać, ile skłonna jestem acić za' rzeczy,
Irtóre wybiorę, igdy więcej się nie pokazał.

im był? Handlarzem starzyzny, nałogowcem teatralnej iy,
opuszczonym człowiekiem wyprzedającym wspom- lia na
progu starości? Jeśli zawodowym dostawcą, »ł zapisać mój
adres, bo nie zawsze pracuję w klitce za łą. Ale jakimi
drogami trafiło do niego ogłoszenie izety obojętne osobom
postronhym i po co je zabrał woją ostatnią wyprawę,
skończoną pod progiem wiej- jgo domu bogatego
cudzoziemca, czy chciał je sprzedać, sprzedał mnie
koronkową falbanę, tylko wiadomość tzała się mniej warta
niż nadjedzona przez mole frywo- ?

Jpod wielu warstw pamięci wyłania się ta sama, chociaż la
twarz dostawcy garderób- teatralnych. Oczyszczona
ze znamion wieku. Młoda.* Czy to ktoś z mojego najwcześ-
niejszego dzieciństwa, czy z Lower East Side? I dlaczego
kojarzy się ze stukotem kół pociągu, drogą, oceanem, ktoś z
naszej wędrówki na drugą czy z drugiej półkuli? Nasz
powrót. Chciała go matka, ja tylko zmiany.

Było mi wszystko jedno, gdzie zacznę od nowa. Nie
tęskniłam do Polski, odnalazłam ją znacznie później. Ziemia
nie znana poza oderwanymi obrazami, jak ze złego snu,

ognia, salw, lamentu, zastygłymi w najdawniejszej pamięci, we wspomnieniach matki ograniczona do jej wsi, a panująca tam bieda wyłaziła z każdego słowa opowieści, choćby nie wiem jak upiększanej.

Nie, nie budził sentymentu i nie ciekawił daleki kraj i nic nie wiedziałam o jego życiu, zamknięta w świecie poniżej Czterdziestej Wschodniej w społeczności zajętej bez reszty tylko swoim dniem codziennym, odizolowanej, ciemnej jak i my.

Dopiero gdy zaczęłam godzić się na wyjazd, chciałam się czegoś dowiedzieć o tej obojętnej mi Ojczyźnie i wtedy najbardziej ujęły mnie zdobycze socjalne, zwłaszcza bezpłatne nauczanie. Bo już tyle wiewałam, że mój dar plastyczny i manualny muszę podbudować solidną wiedzą przedmiotu.

Później, w warszawskiej szkole, w mojej miękkiej, śpiewnej mowie znad wschodniej rubieży, prostej mowie mojej matki - dopatrywano się przywiązania do narodowej tradycji, brano mnie za któreś tam pokolenie urodzone na obczyźnie, a ja nie prostowałam pomyłki, usprawiedliwiała moją wręcz doskonałą nieznajomość historii rodzinnego kraju, jego geografii i kultury.

Chwalono za zachowanie języka. Zaczęłam *zreżk* książki.

Próżno jednak brnę przez tamten czas, nie odnajduję w nim twarzy człowieka zastrzelonego pod jałowcan^o nadbużańskiej posiadłości. I dlaczego zabito go własni m, i jaką rolę rozpisano mnie, sprowadzając pod wylud-ony dom? Jak tylko sięgał pamięcią, sekwoje rosły tu zawsze i były z takie potężne, zanim powstała jego pamięćⁱ on sam. ipawała nabożną grozą myśl, że kiedyś nie istniał. Jak to żłliwe, jak to jest nie istnieć? Nie potrafił ogarnąć obraźnią świata bez siebie. Z zawistnym podziwem Dglądał na mamutowe drzewa. Wieczne. A jednak one : kiedyś nie istniały, lecz tak dawno, tak bardzo dawno, nie można uwierzyć.

^^ie ma nikogo, kto widział owo miejsce bez nich ani jak w^o się większe. Nawet Granni, która jest niewypo- idzianie stara i też żyła zawsze, nie znała sosnogromów lymi, niż są teraz. Nawet ci, co tutaj spoczywają, nie /arzyszyli narodzinom sekwoi.

Spoczywają - druga bardzo ważna i bardzo delikat-
sprawa, tak samo przypowiadająca o dreszcz trwogi, szta łączy się z
nieistnieniem,, którego widowym zna- m jest biała rotunda.
Wysoko nad nią leciutko kołyszą gałązki olbrzymów z
ciemnozielonymi szydełkowatymi imi.
Ta tle potężnych, godzących w niebo pni, pokrytych ą
pożłobioną grubymi pęknięciami, podobnymi rozpa- lom,
pawilon wydaje się zbudowany z filigranu, w oto- liu
przytłaczających gigantów obcych jego rodzinne- pejzażowi,
broni się doskonałością proporcji, szlachetną linią, elegancją
kolumn wspierających kopułę wolu- i z liści akantu. Słońce
zapala na jej łuskowatym dachu małych słońc, ile jest fdytek.
Połączane - objaśniała Granni. Uroczysty ton sygna

lizował coś niezwykłego, bo sens słowa, cłociaż słyszanego niejednokrotnie, wtedy dla niego jeszcze nie oznaczał nic.

- Grobowiec - mówiła z szacunkiem zatrzymując się przed rotundą, a on wiedział, że ten niepodobny do niczego wyraz oznacza właśnie ową białą budowlę z jarzącą się tysiącem błysków wypukłą czaszą i napisem nad portalem: MAUSOLEUM RODZINY STUNNINGTON. Wiedział, co wyraża, zanim poznał alfabet. Za każdym razem powtarzała go Granni, kiedy zbliżali się do wrót po dwunastu niepokalanie białych stopniach.

Dopiero gdy nauczono go składać zgłoski, opanował poprawną wymowę budzącego lęk słowa, albowiem Granni nigdy nie posiadała umiejętności czytania po angielsku. Ale to ona wyjawiała cłłopcu, czemu słu^ okrągły budynek z kopułą promieniującą w słońcu tak bardzo, że poraża oczy.

Monopteros - pawilon ogrodowy. Zapytany nauczyciel użył greckiego terminu, dając przy tym zgrabny wykład przystosowany do inteligencji i cierpliwości pięcioletniego słuchacza. Och, nauczyciel był erudytą, zręcznie wybrnął z kłopotliwego pytania. Ojciec chłopca nie życzył sobie, aby synowi mówiono o śmierci, chorobach, transcendencji i nekropoli pod sekwojami. Mały był przewrażliwiony, skłonny do egzaltacji, z nieokiełznaną wyobraźnią pod^ - caną opowiadaniem nie piśmiennej babki.

Dlaczego on kłamie? - zastanawiał się mały z buzią wyrażającą zainteresowanie wywodem preceptora, nawet nie domyślającego się, jakie postępy w udawaniu poczynił już jego uczeń.

Dlaczego kłamie dziecku? - myślał chłopiec słowami Granni. Słyszał, jak w ten sposób o nim mówiła, więc myślał o sobie: dziecko.

Dziecko już niejednokrotnie przyłapało wychowawcę na mętniactwie, wieloznaczności interpretacji, odpowiedziach niezpełnie na temat, ale jego ambiwalentne wyjaśnienie dotyczące białego budynku pod sekwojami pogrzebało ostatecznie zaufanie cłłopca.

Odtąd pogardzał nauczycielem i nie szanował jego nauk. Ukrywał to jednak starannie. Jeśli jego lekceważenie stanie się zbyt widoczne, ojciec zmieni nauczyciela, a inny może

okazać się gorszy i bardziej domyślny.

Najbliższa ze wszystkich była Granni. Ufał jej bezgranicznie również i dlatego, że traktowała go poważnie, zawierzała wielkie tajemnice, rotunda stanowiła jedną z nich.

Wolno przemierzał schody zgodnie z rytmem kroków starej kobiety, trzymającej go za rękę, i wstępowanie po wypolerowanym marmurze stanowiło część misterium poświęconego spoczywającym, misterium powtarzanego często i nigdy nie spowszedniałego.

Za każdym razem z modlitewnym uniesieniem przystawał przed wejściem i patrzył, jak ciemne palce Gratmi, palce jakby wyrzeźbione z kory eukaliptusa, dotykały przycisku ukrytego w żłobkowaniu pilastru dźwigającego nadproże. Ażurowe wrota uplecione z liści akantu rozsuwały się i bezszelestnie kryły w ścianach. I już nic nie oddzielało od nieistnienia. W tym momencie groza sięgała szczytu, w krtani dęwało, jakby tam uwiązał orzech w skorupie, i zamierało serce. Stara kobieta przygarniała go ramieniem słabym i suchym jak skrzydło ptaka, lecz gest ten miał wielką moc, dawał poczucie bezpieczeństwa, poczucie zespolenia w jedną istotę. Mijało napięcie, uspokajał znajomy szept:

- Wieczne odpoczywanie... - Granni nizała dźwięki znajome, chociaż niezrozumiałe, szeleszczące jak szpilki sekwoi. Długo nie zastanawiał się, czy miały irnie znaczenie oprócz tego, jakie on im przypisywał. Na chwilę niegroźna stawała się myśl o nieistnieniu, bez lęku odtwarzał

pamięci wielokrotnie powtarzane przez Graimi imiona tu [;poczywających.

„Deborah i Angus Stunington. Potomkowie pionierów I z^ożycieli Nowej Anglii przybyłych na korabiu »Mayflo-|n“«r«, zmarli od moru w majątku Roselido u podnó: ^ :»erra Mądre w roku pańskim 18...”

„Zdjąłem brzemię z barków twoich, dłonie są wolne od dźwigania koszów. Psalm 81”

głosiła inskrypcja utrwalona w kamieniu pod portre- ni, na których widniały podobizny prawie naturalnej lwielkości. Najbardziej interesowało, co to jest mór i korab, la kiedy Granni uporała się z objaśnieniem, nie rozumiał, I dlaczego

nie uityo po prostu nazwy: statek. Lecz wcale nie | ciekawiło, kim była para wyobrażona na nagrobku, upozo- Iwana i wystrojona w slylu z epoki wiktoriańskiej. Nie I pytał, a Granni powtarzała tylko tekst epitafium, nic nie I dodając od siebie.

Przychodzenie tutaj należało do postępków zakazanych I i objętych najgłębszą tajemnicą między nim a Granni, która miała jeszcze jedno niezwykle i obce imię: babcia. Mógł ją nazywać tak jedynie wówczas, gdy byli sami. Należało do takiego samego .ściśłego sekretu, jak i ich misteria w rotimdzie. Zdradzenie się groziło rozdzieleniem z babcią na zawsze. A z a w s z e pochodziło z tej samej budzącej grozę dziedziny, co i nieistnienie.

Tj'lko raz popełnił nieostrożność, przyplącili ją cierpieniem i długotrwałą rozłąką. Więcej takiego błędu nie zrobił. Nawet po jej pogrzebie, gdy ojciec przyprowadził go do rodzinnego panteonu, niczym nie dał poznać, że tu kiedykolwiek był, chociaż z b a b c i ą rozłączony został na zawsze tak bardzo, jak nigdy dotychczas. S p o c z y w a ł a jak ci wszyscy tutaj W pawilonie pod kopułą przykrytą połączaną łuską.

Gdy odeszli od kipyty Granni, ojciec przedstawił my przodków. Pani w sukni z tiumiurą, w olbrzymim kaj luszu strojnym w rajery, wdzięcznie wsparta na rączy wysmukłej parasolki obszdej falbaną, i pan w cylin(i halsztuku pod sztywnym kołnierzykiem - to jego pradiadkowie.

- Protopłaści rodu - powiedzie, co odróżniało ich ocl innej pary ulokowanej w mniej eksponowanym miejscul także pradiadków, ale skromniejszych, bez dodatku pró-ł topląści. I w ogóle ledwo ich wspomniął. Chłopiec zrozu- miał, że dla jego ojca są mniej ważni.

W wiele lat później, kiedy zaciekle tropił historię rodziny, odkrył, że po Deborze i Angusie nie zachowała się"l| żadna podobizna, a wytorną parę na nagrobną stde *skopiowano z ilustracji pisma: „Jeździec Angielski”, Londyn 1875.

Lecz kiedy przychodził tutaj z babcią, wyobraźnię za- przątało coś znacznie bliższego niż wizerunek damy z ko-| kardą na ponad miarę wypukłym siedzeniu i dżentebnenaj w pantalonach ze strzemiączkami.

Przystawali przy kolejnych spoczywających. Na ich epitafiach, także z marmuru, ale o niewyszukanym kształcie, nie było portretów, nie wspomniano o korabiu „Mayflower”. Wytrawiona w kamieniu inskrypcja głosiła:
„Steve i Jenni Kardastch.”

„Zgromił morze... tak że wyszło/ i przeprowadził ich przez głębiny jak przez pustynię. Psalm 106.”

Babcia tutaj zazwyczaj dłużej szeptała swoje szez- ■ czące słowa, które z czasem zaczął rozumieć. Nie dziwiło | nawet, dlaczego Granni prosi o wieczne odpoczywanie dla Stanisława i Janiny, a nie dla Steve’a i Jenni. Ona w ogóle przekreślała angielską transkrypcję, a poza tym bardziej frapowało; morze, które wyszło. Lecz nigdy me zdążył się nad tym dłużej zastanowić, bo babka wiodła go dalej.

Zatrzymywali się przed epitafium z podobizną młodej kobiety w sukni z gipiurowym gorsem, opinającym pierś, szyję i zachodzącym na podbródek, w sznurze paciorków zamotanych na tej wydłużonej szyi, z ciężkim kokiem, zwiniętym na czubku głowy.

„Becky Stunington. Nieodżałowana małżonka Jołina. Pani majątku Roselido w Sierra Mądre. Żyła lat dwadzieścia czteiy.”

„Uther-Caradoc Stimmington, syn Becky i Johna. Żył dwa dni.”

„I ujmij się za tą winoroślą / i szczepem, który zasadziła prawica twoja. Ps:ilm 80 ' - głosił napis.

- To jestem ja? - pytał, za każdym razem przeżywając na nowo utratę i odzyskiwanie siebie. Doznanie wstrząsające i piękne. A Granni powtarzała, że tamten Uther-Caradoc był synem dziadka z jego pierwszego małżeństwa z Becky, dopiero po jej śmierci ożenił się z babcią.

Chłopiec mocniej zaplata rączkę na dłoni starej kobiety, a jej suche palce oddają porozumiewawczy uścisk. I zaraz przyklękają przy kolejnej krypcie.

„John Stunington. Pan majątku Roselido w Sierra Mądre.”

Nagrobnny portret ukazuje gładko wygolonego jegomoś-

cia w czarnym fraku i białej pikowanej kamizelce. Siedzi z wytwornie skrzyżowanymi nogami w spiczastych lakierkach. Plebejska twarz, kwadratowe ramiona rozpychające ubranie, duże ręce wciśnięte w jasne rękawiczki gładce, lekko wsparte na gałce trzcinki. Złota dewizka ciężka od

breloków, perła w gorsie - dandy. Promieniuje krzep i sukcesem. Wieczny sukces głosi inskrypcja:

on jako drzewo zasadzone nad strumieniem wód, /
wydając swój owoc we właściwym czasie, / które liść nie
więdnie. / A wszystko, co uczyni, powiedzie się Psalm 1^o.

- Pomódł się za swego dziadka, Uther - mówi Granni |
i dodaje w tym swoim języku przypominającym szele
osypujących się liści: - Boże, nie pamiętaj mu pychy!

- Boże, nie pamiętaj mu pychy! - będzie powtarzało!
dziecko, zanim nauczy się rozumieć znaczenie tych słów. |
I tak oto zbliżyli się do najważniejszego.

„Anni Stunington...” - głosił napis. Nie ma portret
i nie ma daty śmierci, bo to jest miejsce dla Gra kiedy już
będzie spoczywała.

Chłopiec podnosi rączkę i powtarza jak rotę przysię czego
nauczyła go na tych tajemnych misteriach nic wiedzianie
stara babcia w ich sekretnym języku:

- Tu spoczywa Anna Stunington z domu Śurażyńsk
urodzona Roku Pańskiego 18... w Wigajnach w ziemi |
Jaćwingów, zmarła na obczyźnie po... -tu wstawić, po ilu |
latach - recytowało dziecko - i prosi o Zdrowaś Maijja.

- Wszystko to uczynię, kiedy dorosnę - przyrzekał*
żarliwie i łamał mu się głos na widok też złobiących drobną |
twarz Granni, ciemną, maleńką, jak oblicze indiańskiego |
totemu.

- Wnusi - obejmowały go krule ramiona. Dziecko |
wtulało się w nie, szloch wsiąkał w babciną suknię pach-
nącą werbeną.

Nie potrafiło wypowiedzieć uczucia, jakie je przepełnia- j ło,
bolesnego szczęścia, że kiedyś w przyszłości będzie | mogło
spełnić jej pragnienie, a chciałoby jej podarować nie | tylko
słowa na kamiennej płycie, ale i „Mayflower”, i ko- |
^b, i „zgromić morze tak, aby wyschło”, i pychę
(dziadka Johna, nazywanego przez nią Janem.

Stara kobieta kochała dziecko i wiedziała, Jak bardzo jest małemu droga i jak bardzo potrzebna. Chciała widzieć go już dużym i silnym, a przrpiajmniej odchowanim z lat dziecinnych. 1 z rozpaczą liczyła przemijające dni, jej odejmowane przerażająco szybko, a chłopcu przybywające niezmiernie powoli. Co rano stawała do przegranej walki z wyczerpującym się życiem i, jak umiała, uczyła dziecko prawd prostych a niezmiennych jak dekalog.

Nie widziała nic niewłaściwego w obarczaniu wnuka takim testamentem, bo w jej stajym Kraju nie skazywano nieżyjących na baniqę przemilczenia, a dzieci nie izolowano od wspomnień i mogli zmarłych. A poza małym nie by^o nikogo, komu mogłaby zawierzyć ostatnie życzenie z przekonaniem, że zostanie spełnione.

Po odprawieniu tajemnego obrzędu nad kryptą oczfekującą spoczywania Granniobojeodczuw^zmęczenie aurą sanktuarium i oboje pragnęli powrotu do świata żywych.

Już tylko, aby wszystkich sprawiedliwie obdarować pamięcią, zatrzymywali się pr^ Kate, nigdy nie zapomnianej żonie Pendragona Stunningtona, zmarłej tragicznie w dwudziestej wiosnie życia. Poświęcali chwilę uwagi Ruth Stunnington z domu Stunnington. Nie zapominali o Aniołkach: Annabel, Arturze, Eneaszu, Sally - czworgu dzieciach zgasłych we wczesnym niemowlęctwie, dzieciach Pendragona z Kate i Yanessą.

- Kobiety i dzieci nie darzą się w tej rodzinie - zamiast wiecznego odpoczywania szeptała Granni nad epitafiami Aniołków. - Becky umarła w połogu, Kate... Ruth przy powiciu dziecka - z zabobonnym fatalizmem wymieniała imiona niewiast z dwóch pokoleń.

- A jaka mnie powiłaJ? — pytał mały, nie żeby mu specjalnie zależało na tej infonAacji, ale skoro, jak słyssał,

każde dziecko, żeby istnieć, musi się urodzić, chci-
wiedzieć, kto się przyczynił w jego sprawie. Gdy miał Ig"
pięć, pojęcie: matka było mu obce tak dalece, że nję
kojarzyło się z kobietą, która go wydała na świat.

1

W Roselido, skąd do dziewiątego roku życia chłopięg
nigdzie nie wyjeżdżał, nikt z nielicznej służby, złożony z
samych mężczyzn, nie tknął w jego obecności tematu
zastreżonego przez ojca. A babka, jedyna osoba lekcewEf.
żąca różnych zaleceń dotyczących dziecka, chociaż nigdy nie
przeciwstawiała się wprost, w tym przypadku zachowałałfl
lojalność. U

QS

4

Albo nie miała odwagi złamać zakazu, albo podzielałał
rację syna, a może w starczej zaborczości nie chciała; dzielił
się z nikim uczuciem wnuka. Po latach niepodobna dociec
motywacji, w każdym razie, póki żyła, zastępowała chłopcu
matkę. A jego pamięć połączyła z osobą babki" doznania
najsilniejsze. Poczucie bezpieczeństwa i miłość^ niezbędnę
dziecku jak pożywienie.

Więc kiedy pytał o kobietę, która go urodziła, nie tęsknij
do niej i nie odczuwał całej złożoności przeżyć, jakie
wzbudza osoba matki. Osierocenie skutecznie rekompę-
sowała wielką czułość sędziwej Grandmother.

- Ona tu nie spoczywa. Żyje. Jest gdzieś w świecie -
odparła babka.
- A jak się nazywa?
- Vanessa - Granni wj^nieniła jej imię z rezerwą i to
było wszystko, co miała o niej do powiedzenia. Wyjątek w jej
zwyczajach. Wyraźnie miała do Vanessy urazę I i dziecko,
emocjonalnie zespolone z babką, podzieliło jej niechęć. Z
lojalności wobec Granni przestało o tamtą pytać aż do czasu,
kiedy poczuło się pasierbem losu, wyzutym, zubożonym o
człowieka najbliższego.

- Rozejrzyj się, Uther, masz młode oczy-mówiła Granni, gdy opuszczali rotundę z zachowaniem największych ostrożności. Chłopiec wypatrywał, czy gdzieś w pobliżu pje widać znajomej ^Iwetki nauczyciela. On był najgroźniejszy- W zamyśle ojca miał sprawować opiekę nad dzieckiem, równoważyć, a z czasem przyćmić autorytet babki, fliczego nie równoważył, dla chłopca pozostał co najwyżej osoba, przed którą należy mieć się na baczności.

Nigdy icli nie przyłap^.

- Nikogo nie widać - stwierdzało dziecko szeptem łamiącym się od emocji i była to także najpyszniejsza zabawa, jaką znał.

Babka umcłiamiała meclianizm, a mały rzucał się w szparę międz: ^ rozstępujące skrzydła drzwi i biegł do żywopłotu z opimcji. Tu zaprzężony w mały wózek spał stojąc mądry kłapouchi Sierotka, wychowanek Granni, zwierzę z charakterem, czyniące pewne ustępstwa jedynie na rzecz starej kobiety.

Teren neutralny, stąd prowadziła ścieżka, do upraw Granni, więc chłopiec dreptał wolno, udając zainteresowanie kwiatami, pęczkami kolców pokrywających mięsiste liście lub poszukując, już bez udawania, jadalnych nasion kaktusa. Lubili je obaj, on i Sierotka.

Potem osioł i para spiskowców wielce z siebie rada, ręka w rękę, kopyto w kopyto ruszała w stronę babcinych grządek położonych dobre dwie mile dalej.

- Dla zdrowia - mówiła Granni.

W dolinie na słonecznym zboczu rozpościerał się stworzony przez nią Eden. Początki sięgały czasów jej pr^by- cia. Wtedy nie wiedziała jeszcze, że pozost^ie tu na zawsze. Następnie przez siedemdziesiąt pięć lat przeżytych w Roselido temu skrawkowi ziemi poświęciła każdą wolną chwilę.

Stał się ucieczką przed nostalgią, przed upokorzeniem i poczuciem mniejszej wartości, azylem przed światem, w który nigdy nie wrosła, gdzie czuła się źle i obco, traktowana jako coś więcej niż służąca, ale znacznie mniej niż pani domu, zaślubiona przez bogatego człowieka nie żałującego pieniędzy na poślacany dach nekropoju, ale jki

wydzielającego skąpo na dwie niewymyślne sukty*'' rocznie.

Chroniła się przed tym wszystkim w rzeczywistość ską i znaną, rządzoną lytmem kwitnienia i owocowanijl Rozumiała rośliny, jak zwierzęta i dzieci, a one odwzajem^ niały bujnością i plonem.

- Zawsze mi się darzyły - zwierzała się dziecku, pie szej ludzkiej istocie poświęcającej jej serdeczną uwagę^ latach dojmującej samotności. - Moje cytrusy i winog zakasowały wszystkie inne. Nawet ogrodnik, człow uczony i wypraktykowany w tutejszej naturze, nie zbie takich urodzajów.

- I dziadek się zdziwił, i ciebie zrobił ogrodnikiem! 3 mały brał żywy udział w opowieści słyszanej niejedno^ nie i niezmiennie trzymającej w napięciu.

- Jeszcze jak się zdumiał! - znowu smakowała suk przed dziesiątków lat, na powrót świeży dzięki oddźwid kowi, jaki budził u wnuka. I czuła się nagrodzona u schyq ku swych dni miłością tego dziecka za wszystkie ponii nia, gorycze i tęsknoty.

- I babcia dostała do pomocy podogrodnika - cieszył si^ chłopiec - iii... - przygasał wspominając następstw^ triumfu Granni - iii dziadek wyrzucił ogrodnika, iii o^ musiał szukać innej pracy... - milknął, bo dalej wyglądali coraz gorzej, wprost beznadziejnie. Liczył też, że moż^ wreszcie Granni zlituje się nad ogrodnikiem, znajdzie mu jakieś zajęcie i wszystko dobrze się skończy. Ale babka ciągnęła nieubłaganie:

- A o robotę było trudno, bo trwał kryzys - smutniała - i tak moja radość obróciła się na szkodę bliźniemu. Nawet te trochę szczęścia zapaskudził chciwy, okrutny człowiek, niech mu ziemia lekką będzie.

- Nie lubię dziadka - mściło się dziecko za ciężki los ogrodnika, za krzywdę Granni.

r

56

Musisz go zrozumieć. Całe życie niby muł cłodził ^

Icieracie. W takim trudzie człowiek twardnieje jak łyko i nie ma w nim miejsca na delikatność czy miłosierdzie. Ale wszystko, co dostał twój ojciec i co przypadnie tobie, dziadka dorobek. Nie zasłużył, abyś właśnie ty jego nie lubił- Zresztą to już nie ma znaczenia, umarli nie ma sensu lubić lub nie. Im żadna różnica, ale nie wspominaj go źle, boś jego wnuk i wielka w tym jego zasługa, że żyjesz jak loiaż i cieszysz oczy swej babki na starość.

_ Jestem słońcem twoich oczu.

_ Nie bądź próżny, Uther - karciła surowo.

Przecież sama tak mówiłaś, słyszałem.

- Ale tobie nie przystoi tak mówić. - Tłumaczyła, jaką wadą jest próżność.

Cierpliwie przeczekał moralizatorski napad babki, co zdarzało się rzadko i zwykle trwać krótko. Jednocześnie stosowanie kilku różnych systemów dydaktycznych uruchamiało odruch warunkowy, wyłączający uwagę, jeśli zaczynało zbyt intensywne wychowywanie. Naturalna obrona organizmu przed sprzecznymi metodami, często znoszącymi się wzajemnie.

Babka ścinała ukwiecone kłoski werbeny. Starczały jej za perfumy i całą kosmetykę. Werbeną przesiąkała jej suknie, werbeną pachniały jej suknie.

- Dziadek lubił lawendę - zwierzała się wnukowi, więc sadziła także lawendę, grządki drobnych krzewów kwitających niebiesko i fioletowo. Ususzonymi w cieniu kwiatami napełniała płóciernie poduszeczki, rozkładała po szafach, szufladach i różnych zakamarkach. Pelikatnym zapachem nasiąkały sprzęty i obicia, tapety i dywany. Woń lawendy na zawsze spłotła się Utherowi ze wspomnieniem domu.

W południe Granni dzieliła zabrane zapasy. Najpierw otrzymywał swoje Sierotka. Krył się przed upałem w kępie gęsto ulistnionych orzechowców, skąd wypływało źródło,

^ \

i nie dawał się stamtąd wywabić ni prośbą, ni rozkazuj, wcześniej niż przed wieczorem.

- Próżniak jesteś, ale też stworzenie boskie - wygarnia, ła kłapouchowi prawdę w oczy i pilnie dbała, aby pozosta, więc mu obrok w zasięgu mordy. Osioł kiwał mądrym łbe^ i zasypiał stojąc.

Po zadbaniu o Sierotkę chronili się w klimatyzowany^ pawilonie. Z chłodzonej baterią torby, która pr^jechałg na wózku ciągnionym przez tego obiboka Sierotkę, Granm dobywała pieczoną wołowinę, kawałek kurczaka lub inne niewymyślne jedzenie. Nigdy nie nabyła przekonania dc żywności z puszek, wyjątek stanowiły soki, i tylko na tyle interesowała ją spiżarnia pawilonu.

Na zakończenie chłopiec dostawał owoce i maślane rożki nadziane konfiturą z róży, upieczone przez Granni wczesnym rankiem przed wyprawą, a ona zapalała cienkie beżowe cygaro.

- Świństwo, ale do czego w tej Ameryce człowiek nie przywykł - wdychała obłudnie, z upodobaniem wydmu- chując smuzkę dymu. Popijała przy tym niemal wrzącą kawę, napój pachnący i smolisty, podobnie jak palenie odradzany przez lekarza. Z rozkazu syna powściągliwie wydawano jej używki. Nie kwestionowała tych ograniczeń. W pawilonie ukrywała wciąż odnawiany zapas ciemnego ziarna i jasnej, smukłej hawany „Monte Chnsto Special”. Z satysfakcją łamała wszelkie zakazy.

- Kawę też polubiłaś w Ameryce? - zagadywał lojalny współnik i świadek wszystkich jej szaleństw. W pawilonie była cudownie niepedagogiczna i przez to jeszcze bardziej kochana.

- Pić cappuccino nauczyła mnie Włozska. Tutejsi od- bierają smak kawy, bo ją gotują.

- A co piłaś w twoim kraju? - badał mały nigdy nie syty wiadomości stamtąd.

- Maślankę, kwas chleбny dla chłodu trzymany w stud- jii albo w ładyszkach w sklepku, loszku wykopany w zie- jji do którego schodziło się po stopniach z polnych kamie- ji, piło się też napój z owoców głogu i napar miętowy zimą, a od święta

prawdziwą herbatę z cukrem odłupywanym z białej nazywanej głową.

– A co jadłaś?

– Barszcz z botwiny i kaszę ze szperką, pyzy z makiem i pyzy słonią i wiele innych potraw nie znanych w Kalifornii, jak na przykład bondka z duszą.

Utrudziła się, zanim zdołała wyjaśnić, że bondka z duszą to wyskrobana z dzieży reszta ciasta z razowej mąki, nadziewanego kawałkiem solonej wieprzowiny i upieczonego w piecu na liściach chrzanzu lub kapusty, tak samo jak chleb.

Nigdy nie nauczyła się zbyt dobrze języka nowej ojczyzny, a gdy opowiadała wnukowi o swej odległej młodości, wiele przedmiotów nazywała w swojej dawnej mowie.

Dziecko szybko chwyciło sens nie znanych słów, a ich cudzoziemskie brzmienie dodawało uroku i niezwykłości Granni i jej tajemniczej krainie, o której nie należało wspominać ani nauczycielowi, ani tacie.

- Opowiadaj jeszcze - zachęcał chłopiec moszcząc się babce na kolanach.

- O czym? - drobiaziła się, chociaż dobrze wiedziała, o czym ma mówić, kiedy są tylko we dwoje. I byłoby jej niewypowiedzianie smutno, gdyby dziecko nie pragnęło jej opowieści.

- O Jadzigach.

- Nie Jadzigach, tylko Jać-win-gach - rozdzielała na sylaby trudny, egzotyczny wyraz.

- Albo mów o zimie! - niełatwy wybór spośród tylu frapujących tematów.

Zimą krainę Granni otulał śnieg. Domy stały w czapach z białego puchu, na nagich drzewach leżała okiść. W niedzielę jechało się na sumę koniem zaprzęgniętym do par radnych, malowanych sanek, wygiętych z przodu jak łabędzia pierś.

Konia zakładano w hołoble i pod duhę, a wzdłuż szorót przytwierdzone były szargańce, rzędy dzwoneczków² spżu o tonie czystym i dźwięcznym jak sygnaturka.

W rozległych lasach żyły rysie, małe tygrysy z usz; zakończonymi pędzelkami z sierści, a nocami w krańcu Granni powstawali z kurhanów polegli przed wiekami jaćwiescy

witezie. Zaś wiosną, kiedy stopniały śnieg i spłynął wraz z krą,
o świecie w rzece kąpały się dzikie odpoczywające w przelocie
na północ. W promieniach wschodzącego słońca ich mleczne
pióra mieniły się różowo. ”

Barwy, zapachy, obrazy zapamiętane i dopowiedziane
dziecięcą wyobraźnią splatają się nierozzerwalnie z pamięcią
babki o jej ziemi ojczystej, najpiękniejszej na świecie bo
malowanej tęsknotą. /

Kiedy w piętnaście lat później Uther przybędzie! do kraju
jej urodzenia, obeznany już z jego historią, literaturą,
geografią i językiem, dozna pewnego zawodu, bo mimo całej
książkowej wiedzy miał nadzieję ujrzeć także pola obsiane
werbeną i lawendą i dużo sędziwych kobiet piekących
maślane rożki nadziewane konfiturą z róży.

Lecz zimą krainę babki znalazł talfą samą, jak w jej
opowieściach, a konie zaprzężone w hołoble i pod duhaini
jeszcze wciąż ciągnęły śmigłe sanki o łabędzich kształtach i
niósł się za nimi daleko wysoki głos szargańców. Mogły
jaćwieskich witezi badali archeolodzy, w przetrzebionych
lasach wciąż jeszcze żyły mały tygrys z wiechetkami na
koniuszkach uszu, od narodzin Anny Stunington z domu
Surażyńskiej mijał rok sto i dziesiąty.

1

64

Lecz wtedy, w Kalifornii, gorącym południem, gdy mil-
kły nawet owady zmorzone upałem, chłopcu po przebiegach
poranka także kleiły się oczy, babka układała go na

posłaniu i zanim zasnął, nuciła słabym, miłym ^osem jedną ze swoich pieśni stamtąd.

Mówiły o Edwinie, rycerzu krzyżowym, i czekającej na niego ukochanej, o kozaku niosącym życie pod tatarskie brzeszczoty i Hannie proszącej go o sznur koralu albo o witeziu, co miał gotowego rumaka i zbroję, a od dziewczyny żądał, aby go uścisnęła i podała miecz.

Najbardziej spodobała się dziecku ballada, której bohaterem także był rycerz, cóż zrobić, widać nie ma tam zwyczajnych facetów, jak nauczyciel czy tata, ale ten rycerz wyruszył w świat nie porzucając żadnej płaczącej dziewczyny, tylko aby dziewczynę znaleźć i pojąć za żonę.

- Grami, każdy musi kogoś pojąć?

- Nie każdy, tylko ten, kto chce.

Widocznie ten rycerz z ballady chciał, ale chciał żony mądrej, więc najpierw napotkanym niewiastom zadawał kilka pytań. Po długich poszukiwaniach znalazł jedną, co prawidłowo odpowiedziała na test.

„Piorun głośniejszy nad dzwonów dzwon. / Piekło jest głębsze nad morską toń. / Miecz jest ostrzejszy nad rybią ość. / Szatan jest źlejszy nad panny złość.”

Rycerz wielce rad z mądrości dziewczyny kazał grać muzyce, wyprawił wspaniałą ucztę i zaraz ją pojął.

Utherowi także się podobała replika rozumnej parmy, a obcojęzyczne brzmienie dodawało balladzie nieodpartego uroku. Zapomniał o ostrożności i popisował się w domu, aż posłyszał tata i rozpetęło się piekło.

- Nie należy tego śpiewać, synku. Barbarzyńskie! - powiedział z hamowanym gniewem, a dziecko poczuło się zdrajcą. Wydał jedną z tajemnic Grami, chociaż ostrzegęła go, aby nigdy, zwłaszcza przy nauczycielu i tacie, nie wspominał o bat>ciniej mowie stamtąd, o pieśniach, opowieściach i o bywaniu w rotimdzie.

Z ciężkim brzemieniem winy stał z opuszczoną buzią nie śmiąc spojrzeć w oczy Grandmother.

3-
a

Barakud
65

- Nieprawda! - zaprotestowała Granni głęboko tknięta. - To bardzo stara, piękna i godna pieśń. Śpiewa ją w moim kraju, gdy jeszcze słychu nie było o Stimmih] nacli,

zanim urosło drzewo, z Irtórego zbudowano szkm na jakiej tu przybyli.

- Mój syn ma być Amerykaninem, jak ja! Nie żyj sobie, aby powtarzał bezmyślne przyspiewki ciemnych polskich chłopów!

- Wyrodku, a skąd ty się wieszysz! - babce z obr; trzęsły się usta. - T^lko dzięki naszym kobietom ten wasz angielski ród. Bóg was pokarał za pychę! I wyzywaj losu, który uśmiercił wam tyle dzieci w kolei a zachował jedyne. Nie wyzywaj losu, mówię ci ja, twi matka! - w miarę słów babki białała twarz ojca.

- Nie będziesz mącić w głowie mojemu synowi!

- Przebaczyłam twojemu ojcu to, co uczynił z cie-i bie. Lecz jeśli ty tak samo pokierujesz małym, przeklnę cię. Spod mogilnego kamiteńia wyciągnę rękę i przekl-

—” ————— *} ~ ~ — ——— 7 ———— j —————
wrogowie, zbyt już zajęci wypominaniem rzeczywistych! i urojonych krzywd, aby powstrzymała ich obecność] dziecka. A on trząsał się i płakał bezgłośnie z sercem) rozdartym między babkę i ojca, przerażony, że wyrzekli się go oboje. Zapomniany przez nich w tej chwili, jakby nie istniał.

Rzucił się na ziemię, bił w nią nogami, krzyczał. Protestował. I po raz pierwszy zrozumiał, jaką miał nad nimi władzę. Umilkli. Ojciec wyprzedził Granni i porwał go na ręce.

- Mężczyzna nie płacze - mówił tata, jak zwykle na widok jegt łez. Pragnął wychować syna na mocnego, amerykańskiego supermana.

„Dzientelmen zachowuje umiar w wyrażaniu uczuć, tak samo jak nie manifestuje potrzeb naturalnych” - powie-

r

(jziałby nauczyciel, hołdujący brytyjskiej powściągliwości.

„Nie wstydz się płakać, natura dała łzy tak samo mężczyznom, jak i kobietom, znaczy, potrzebne są i jednym, i drugim” - usłyszałyby od babki, kobiety prostej, wiedzącej swoje: w smartwieniu jak człowiek popłacze, to mu lżej.

Teraz w ramionach ojca, szczęśliwy z odzyskanej zgody ze światem, próbował spełnić oczekiwania wszystkich, lecz nie potrafił zachować się jak mężczyzna, tylko ryczał niby Sierotka, gdy bywał z czegoś niezadowolony albo kiedy stęsknił się za Granni.

Nazajutrz po łych przeżyciach obudził siępośród znajomych sprzętów, lecz nie w swoim pokoju. Przez inne okno widział inną część ogrodu i inne drzwi, umieszczone w innym miejscu - nie prowadziły do pomieszczeń Granni.

- Dzień dobry - nachyliło się nad nim olśniewające zjawisko, podobne do wrózek namalowanych w obrazkowych książeczkach z ruchomymi ilustracjami. Przyglądał się spod rzes, niepewny, czy to jeszcze nie sen.

- Nie śpisz już, przecież widzę - powiedziała wróзка i wyciągnęła do niego ramiona. Od uśmiechu w jej policzkach powstawały dołeczki, a włosy miała ze światła.

- Dlaczego mnie tu przyniosłaś?

- Teraz masz pokój obok taty. Gdy wróci, pierwszy go powitasz, nie cieszysz się?

- Cieszę - grzecznie przyznał mały, zbyt oszołomiony tyloma wrażeniami naraz. - Dokąd pojechał tata?

- Jak zwykle, pracuje.

- Tylko jeździ i jeździ, za mało dba o dziecko - powtórzył opinię zasłyszaną od Graimi. - A kto ty jesteś? - wreszcie ośmielił się zadać pytanie niutujące go, odkąd otworzył oczy i obj[^] ją za szyję. Była bardzo przyjemna w dolyku, wszędzie mięciutka, pachniała pięknie, chociaż obco.

- Jestem Cor, będę się tobą opiekować. Mieszkam bij, sko ciebie, tutaj - wskazała te inne, cudze drzwi.

W kąpielowym, także innym niż jego dawna łazienka znalazł swoją flotyllę zwierzątek do zabawy w wannie, ale przegrywały w konkurencji z Cor. Wszystko w niej było nadzwyczajnie interesujące. Gładkie ręce z dołeczkami na nadgarstkach u nasady palców, którymi go namydlała złote loki, teraz odgarnięte za opaskę, i dwie intrygujące wypukłości z przodu.

- A dlaczego ja nie mam? — zaniepokoił się, gdy już mu odpowiadała na pytanie o te wypukłości.

- Takie piersi mają tylko kobiety, a ty jesteś chłopcem

- Jesteś bardzo piękna - ocenił swą pierwszą w życiu kobietę. - Chodź, polizę cię Granni,

- Granni wyjechała - zawiadomiła Cor.

Milczał zaskoczony wydarzeniem tyleż niespotykanyuł co niepojętym. Ojciec wyjeżdżał - tak. Wracał pod konie tygodnia. Naturalne jak występowanie dnia po nocy, ale babka zawsze znajdowała się blisko, jak sięgał pamięci nie opuściła go dotychczas ani razu.

Jeszcze nie przeczuwając nic złego obraził się na babkę, lecz żał minął, kiedy Cor zaproponowała spacer do Stockersfield. Wydarzenie bez precedensu w jego pięcioletnim życiu. Dotychczas nie opuszczał granic Rose-i lido.

Pomknęli w tę niezwykłą przygodę otwartym samochodem górską drogą nad brzegiem oceanu. Ze zbocza obsadzonego winnymi szczepami zjechali w dolinę, a wstążką asfaltu prowadziła przez plantacje śliw, pomarańczowych drzew i figowych krzewów, mijali szpalery eukaliptusów pachnących przenikliwie i niezbyt mile, wysokich i cienkich jak minarety, z liśćmi karbowanymi i płatami opadającej kory.

Chłopiec przejęty udziałem w czymś, co dotychczas widywał tylko w telewizorze albo na ekranie domowego lona, zasypywał nauczyciela pytaniami. Bogactwo doznań domagało się interpretacji.

Stockersfield.

Pierwsze widziane w życiu miasto wydało się Ułtrowi

ogromne i ruchliwe. W rzeczywistości, spokojne małe miasteczko, ukryte w bujnej zieleni, położone blisko Roselido, zamieszkałe w przeważającej części przez rencistów gciągających ze wszystkich stron kraju do Kalifornii. Miasteczko pełne kwiatów i trochę senne, siedziba kilku sekt religijnych i jednej szkoły średniej, kilku filii banków i popularnych marketów, sflóżących okolicznym plantatorom.

Lunch zjedli w tanim barze.

_ Wybierz, na co masz ochotę - Cor położyła przed nim kartę, gdzie obok napisów, jeszcze dla małego nieczytelnych, namalowano potrawy sugestywnie i kolorowo, więc wskazał obrazki, jakie najbardziej mu się podobały.

Podano tarte kartofle ułożone w okrągłą kulę z wgłębieniem na wierzchu wypełnionym tłuszczem, sałatę z siekanymi burakami, polaną sosem jabłecznym, pieczonego królika i przekładaniec z winogron.

W drodze powrotnej zmęczony przeżyciami usnął w mięciutkich ramionach Cor. Wycieczką do zwykłego miasta, jedzeniem zwyczajnych potraw w zwyczajnym barze młoda opiekunka rozpoczęła wychowanie społeczne chłopca. Nastąpiły dalsze niecodzienne wydarzenia, zapoczątkowane jej pojawieniem się w Roselido.

- Będziesz miał gości, Uther. Odwiedzą cię dzieci z sąsiedztwa - zawiadomiła Cor przy porannym myciu.

Przyjechało troje: sześciolatek Patrick, jego pięcioletnia siostra Jo i także pięcioletnia Suzy - córeczka opiekunki rodzeństwa Levingston.

Wtedy wśród ludzi bogatych panowała moda na wychowawczynie z własnym potomstwem, w tym sfjnym wieku, co dzieci powierzane opiece. Ideałem była matka chłopca i dziewczynki. Współżycie w rówieśniczej, acz nie ty] rodzinnej grupie, miało zapewnić wszechstronny ro; osobowości małym dziedzicom fortim dostatecznie dy? żych, aby ich właściciele mogli sobie pozwolić na utrzymy^ wanie takich domowych przedszkoli.

tyfl
OZWM

P

Tata Stunington me uległ trendowi na dietną nurs^

- Będzie dbała o własne kosztem mojego - podejrzew i kazał zaangażować dziewczynę samotną, o przyjeźni apaiycji, oczywiście pod względem zdrowia, usposobieni inteligencji i pr^gotowania zawodowego produkt najwy zszej jakości.

Referencje Cor, opinia lekarska i wyniki testów na^ badanie intelektu przynosiły zaszczyt nie tylko jej, ale i branżowej agencji pośredniczącej. Uther miał jedna@ szczęście, bo Cor posiadała również walory niesprawdzaę na przy pomocy komputera. Prawy charakter i coś, co zwykło nazywać się sercem.

Przebywanie Uthera z rówieśnikami także należało do nowego programu wychowawczego, lecz na posłanie małe^ go do przedszkola tata nie wyraził zgody. Bał się niebez^ pieczeństw codziennej jazdy po górskich drogach do Stoc- kersfield i potencjalnych skutków obcowania na co dzień^ z dziećmi farmerów, drobnych urzędników i sprzedawców sklepowych.

- Ma przebywać z takimi, wśród których będzie żył i pracował - postanowił ojciec i sam zajął się wyszukaniem | odpowiedniej elity w najbliższym otoczeniu.

Levingstonowie byli rodziną starą, z tych, o którychH mawiano: White - American - Christian - Protestant. | Gorące i nie w pełni osiągnięte pragnienie dwóch pokoleń^ Stunningtonów.

Mieli Levingstonowie jeszcze dwie zalety. Mieszkali o mieczę z Roselido i legitymowali się mniejszą ilością zer na koncie niż Stunnington, jeden z generalnych dyrekto-1 I

●
I

rów Standard Oil. 70

Ojcu Uthera sprawiało satysfakcję przeświadczenie, że ciężar jego majątku wyrównuje wyższe notowanie towa- rzyskie Levingstonów.

_ Doskonale - ucieszyli się z propozycji. - Będzie miło, jeśli nasze dzieci nareszcie się poznają i zapr^ażnią.

W taki prosty sposób spotkali się mali Levingstonowie i

Suzy z małym Stunningtonem, pod opieką dwóch wylicwalifikowanych wychowawczyń, na bieżąco zorientowanych w najświeższych osiągnięciach współczesnej psychologii i dydaktyki.

Małe dzieci, jeszcze nie ujarzmione tresurą, mają cudowną łatwość zawierania znajomości. Już w minutę po spotkaniu cała czwórka runęła w szaleństwo wspólnej zabawy. W pomieszczeniu, wyłożonym od stropu po podłogę elastycznymi matami, dzieci łąziły po drabinkach, z których mogły bezkarnie skakać, spadać, zwisać. Wywijały kozły, urządzały galopady. Nurkowały w skrzyni wypełnionej piłeczkami ping-pongowymi, a kiedy znudziła im się zabawa w sali, z nieopisanym zgiełkiem wypadły do ogrodu. Na przedzie pędziła Suzy z dwoma złotymi pędzelkami związanymi przy uszach błękitną wstążką, w kusej niebieskiej sukieneczce, takiej samej jak Jo.

Dzieci gnały za Suzy. Uther najbliżej. Wychowawczynie wymieniały fachowe uwagi popijając coś chłodnego w cieniu ogrodowego parasola.

- Z łatwością się adaptuje. Oczywiście jest trochę dziki - mówiły o chłopcu. - Nic dziwnego, izolowany od naturalnego środowiska, zdany na opiekę, pożał się. Boże, sędziwej damy bez wykształcenia i nauczyciela bez autorytetu.

Niech się dzieci wykrzyczą. Normalne. Nie tłumić podczas zabawy naturalnych instynktów. Ale nagle od strony piaskownicy nad ten zmasowany harmider wzbija się ostra, pojedyncza wokaliza.

-Suzy! - rozpoznała głos swego dziecka opiekunka Levingstonów. Pobiegly obie z Cor i zobaczyły, jak Patrick

z całej mocy trzyma miotającą się dziewczynkę, a Uth[^],
zdziera z niej tę śliczną niebieską sukieneczkę.

- Wampir!-wrzasnęła matka Suzy, zapominając o teo«
rii nieposkramiania naturalnych odruchów dzieci. - Dla, '
czego nie uprzedzono mnie, że on jest nienormalny? ^
trzęsa się z oburzenia tuląc do piersi małą, dygocącą od
płaczu. - Patrick, jak mogłeś pomagać temu zboczeńcowi?!

- On chciał ją obejrzeć, nigdy nie widział
dziewczynki,
usprawiedliwiał się drugi obwieś. j

Uther milczał przerażony gwałtownością interwencji,
choć w swoim postępowaniu nie widział nic złego. Nieraz
widywał dziewczynki, zwłaszcza w Stockersfiel[^] na ulicach i
w drug-storze, dokąd wchodzili z Cor na lody, ale zupełnie co
innego patrzeć na nie z daleka, a mieć je na wyciągnięcie
ręki. Fascynowały go, a Su[^] nieodparcie | podobna do
jednej z jego lalek. *

Było to elektroniczne cacko japońskiej sztuki zabaw
karskiej, prawie tak duża jak Uther, z prawdziwymi jasnymi
włosami, uczesany w kucyki. Lalka mówiła pięćdzi[^] | siał
słów po francusku, umiała płakać, karmiona jadła prawdziwe
potrawy i robiła kupki. Uther ciekaw, co ona ma w środku,
rozebrał ją na części, ale się rozczarował.

Nie wiadomo, czy podobna idea przyświecała mu przy
zdzieraniu sukienki z Suzy, ale dziewczynka stawiała opór,
więc mały despota nieprzyzwyczajony, aby mu czegoś
odmawiano, u[^]ł siły.

- Degenerat z obsesją erotyczną - nie mogła się
uspoko- 'ić wychowawczynie małych Levingstonow.

- Jest po prostu nieobyty - tłumaczyła Cor.

- Nie mogę pozwolić, aby ten jaskiniowiec uczył się
obycia na naszych dzieciach, chyba rozumiesz! - zagamia-i ła
swoje stadko, wyciszone już i smutne.

Cor zrozumiała, że tamta jest idiotką, lecz mimo to
zaniepokojona zachowaniem Uthera, wzięła małego pod
klucz w m i ę k k i e j sali. Chłopiec najpierw prosił o otwo-1
rzenie, wołał, krzyczał, walił w drzwi, szalał. Wyciągnęła go
stamtąd rozżalonego i spłakanego.

_ Dlaczego mnie zamknęłaś, Cor? - szlochiał przytulony do

niej.

– Tak się odczuwa przemoc, Uthier.

Po pierwszej kłęsce towarzyskiej tata zaniechał na razie zapraszania małego kolegów z innych domów.

– Niech potrenuje na malcach farmerów - zdecydował i kupił synowi przedszkole.

Na skraju posiadłości odgrodzono kawałek terenu i wzniesiono prawie z dnia na dzień budynek, urządzone go i zaangażowano przedszkolankę. Mikrobus, pomalowany na wesoły zielony kolor, przywoził z wyklę dzieci z najbliższej okolicy. Uther nie podlegał tutejszym rygorom, przybywał bawić się w gromadzie i opuszczał ją, kiedy chciał. Już nie próbował rozbierać dziewczynek.

Atrakcje zorganizowane przez ojca zdudziły chłopca nadspodziewanie prędko i nastał dzień, w którym katerycnie zażądał powrotu babki.

Marudził, płakał, krzyczał - jawny bunt. Stał się złośliwy, nieposłuszny, dokuczał Cor - walczył. Zapomniał o żalu do Granni za zdradę opuszczenia i coraz rozpaczliwiej za nią tęsknił. Codziennie kładł się spać z nadzieją, że kiedy się obudzi, zobaczy babkę, lecz zjawiała się tylko Cor, więc mścił się na niej za nie spełnione marzenia, codziennie nieszczęśliwszy.

- Jeśli się nie zmienisz, będę musiała odejść, Uther - ze ściśniętym sercem rzuciła na szalę pmywiązanie dziecka, wiedząc, że to kropla na rozszałały pożar. Nie trzeba było wytrawnego pedagoga, aby dostrzec, co się zmałym dzieje. Rozłączenie z babką ugodziło w podstawy jego jestestwa, zachwiało harmonię świata, odebrało poczucie bezpieczeństwa.

Na groźby Cor reagował różnie.

- Idź sobie! - krzyczał. - Nie chcę cię! - tak zachowywał się wówczas, kiedy podejrzewał, że przez Cor nie powrac[^] babka.

- Będę dobry — obiecywał innym razem i kurców[^] przywierał do ostatniej bliskiej istoty, jaka mu pozost Cichł, przyczajał się jak zwierzątko i bezskutecznie poszu kiwał sposobu, aby nie tracąc Cor, odzyskać Granni.

Cor uiyła wszystkich środków perswazji do przekond nia

Stunningtona o fatalnych skutkach rozdzielenia ms go z babką.

- Chłopiec jest rozpieszczony, należy ująć go w kar rozsądnej dyscypliny - kategorycznie sprzeciwił się ojciec.
- Nie wszystko się otrzymuje, czego się żąda, musis go o tym przekonać.

- Nie jestem oprawcą, proszę sobie wynająć strażnik więziennego! - postawiła się zdesperowana Cor.

Stunnington cenił sumiennych pracowników. Mimo krótkich pobytów w Roselido, dokąd przyjeżdżał tylko na weekendy, zdążył zauważyć jej szczerą troskę o małego Ustapię. A i bez utraty twarzy mógł pojednać się z matką.

Rano, gdy mały obudził się, owionął go znajomy zapach! werbeny i objęły ramiona kruche i lekkie jak ptasie skrzydła. A wraz z Granni powróciła równowaga świata, jego ład. Dziecko odżyło. Nie odstępowało babki na krok, często budziło się w nocy i sprawdzało, czy nie znikają z sąsiedniego pokoju. Lekki sen starej pani przerywa tupot bosych pięt, gramolił się do niej i zasypiał z głową na jej poduszce.

Nie zapomniał o Cor. Dotkliwie doświadczony pamiętał, że ona pojawiła się, gdy zniknęła babka. Teraz starał się zapobiec odwrotnej konfiguracji. Ale ojciec nie zamierzał usuwać Cor, a Granni odniosła się do niej z sympatią. Nawiązała się nić porozumienia między prawniką szwedzkich emigrantów, wieśniaków ze Skanii, a polską chłopką z nad Rospudy.

Granni umarła, kiedy miał dziewięć lat. Nie chorowała. nie legła złożona śmiertelną niemocą. Nieraz wzdychała w swojej mowie:

- Żeby tylko Bóg nie dał długiej pościeli.

Uther nie pytał o znaczenie słów, ale zapamiętał je podobnie, jak jej modlitwy za zmarłych. Kiedy dorosnie i opanuje język babki, też nie zrozumie tego zdania. Jego sens wytłumaczają mu dopiero w rodzinnych stronach Anny Stunnington.

Granni prosiła Boga o skonanie s^bkie i łaskawe, nie poprzedzone zniedołężnieniem, ośpieniem umysłu, obłożną chorobą. Została wysłuchana. Zgasła cicho, jak żyła. Nie

podniosła się z popołudniowej drzemki.

Przed Utherem ukryto jej śmierć. Nie zobaczył babki w trumnie. Nie uczestniczył w pogrzebie. Ojciec oszczędzając chłopcu żałobnej ceremonii pragnął złagodzić czekający go wstrząs.

Cor wywiozła małego z Roselido. Po raz pierwszy w życiu znalazł się dalej niż w Stockersfield, w innym prawdziwym mieście, w Los Angeles, odbierającym mu tatę co poniedziałek.

- Cor, dlaczego my tu nie mieszkamy? - dziwił się oglądając obszerny dom z frontonem ujętym w dwa boczne ryzality, otoczony dużym ogrodem. "Z jednej strony, daleko za wysokim parkanem, szumiał bulwar, z drugiej nie odgradzony, pod łagodnym skłonem wzgórza, omywając łąkę złotego piasku szemrał Pacyfik.

- Roselido jest dla ciebie zdrowsze. Tak uważa ojciec - powiedziała Cor.

Istniał jeszcze jeden powód. Ten przeszło sześćdziesięcioletni wówczas mężczyzna miał również drugie życie, chociaż znaczące dla niego o wiele mniej niż to w Roselido. Starannie izolował od siebie oba światy.

Faworyta, czyniąc zadość pozorom, zajmowała apartament z osobnym wejściem w skrzydle budynku. Oszczędnym z natury Stunington nie uważał za konieczne prowadzenie oddzielnego gospodarstwa, skoro bywał tu cztery dni w tygodniu. Cztery, bo w każdy piątek o pierwszej, kiedy prawie cały kontynent kończy tydzień pracy, prosto z biura wyjeżdżał do Roselido.

Po na jej śmierci starszej pani, zanim Cor z Utherem przybyli do Los Angeles, na telefoniczne zarządzenie szefa jego doradca prawny zdążył kupić lokal z dala od Willi Stumingtona i w przeciągu kilku godzin ślad po damie nie został. Nigdy już tu nie powróciła.

Pod koniec tygodnia przyjechał ojciec i zabrał syna do Roselido.

- Twoja babka umarła. Bardzo cię kochała i nie chciałyby, abyś z jej powodu rozpacział - powiedział.

Chłopiec siedział nieporuszony i ani jednej łzy.

- Ludzie nie żyją wiecznie. Każdy z nas musi umrzeć,

a Granni żyła długo, doczekała sędziwego wieku - Stunington pożałował swojej niekonsekwencji. Teraz musiał sam zwalić od razu w świadomość dziecka okropną prawdę o starzeniu się, przemijaniu, śmierci, przed czym strzegł syna jak przed chorobą. I bał się gwałtowności jego reakcji.

Chłopiec milczał. Wszystko to wiedział od dawna, że sprawami ostatecznymi oswajała go babka, być może i w przewidywaniu chwili, kiedy osieroci wnuka. Wiedział, lecz katastrofy z nieistnieniem spotykały innych, tych, co spoczywali pod sekwojami, podobny wypadek nie mógł przydarzyć się ani jemu, ani ojcu, ani Granni, ani nikomu bliskiemu. Oczekująca na babkę krypta z jej imieniem na płycie niczego w t[^] rozumowaniu nie zmieniała.

Teraz nagle Granni nie ma i nigdy już nie będzie.

Nigdy

- potrafił pojąć. I nie mógł sobie darować beztrudnych dni w domu nad Pacyfikiem, właśnie wtedy gdy Granni odchodziła w nieistnienie, by spoczywać na zawsze.

- Pójdziemy do niej, Uther. - Tak samo milczący szedł obok ojca. Z dłońmi w jego dłoni przemierzył dwanaście

niepokalanie białych stopni, przekroczył wrota z wici akantu, dał się prowadzić drogą tylekroć przebytą z Granni. Aż zatrzymał się nad stelą, wtedy zapłakał. A ojciec po raz pierwszy nie żądał od niego, aby zachowywał się jak mężczyzna. Milczał.

Przez łzy Uther czytał inskrypcję, bo puste miejsca w napisie zostały już wypełnione, a znaną całość uzupełniono nowymi słowami:

„Anni Stunington z domu Bartnik-Suragyhka małżonka Jołina. Szlachcianka polska, zmarła w Roselido...”

Chłopiec powtórzył w myśli, co przyrzekł jej umieścić na nagrobku, gdy dorośnie. Nie, z pewnością niczego o szlachiance polskiej. Dobrze pamiętał.

Sama nazwa nie brzmiała obco, chociaż pozostała niejasna. Przewijała się we wspomnieniach Granni o Wigajnach, nazywanych wsią albo zaściankiem.

Żyła tam szlachta zagrodowa, wszyscy tak samo się nazywali, a większość pisała się nawet z taką samą partykułą. Tym się głównie różnili od innych. I czynownik gubemialny, aby uniknąć pomyłek, kazał ich ponumerować, bo zdarzało się, że Jana syna Jana po dziadku Janie Surażyńskim pognano na Sybir za sąsiada Jana syna Jana z dziadkiem też Janem Surażyńskim. Tyle z tych opowiadań zrozumiał.

- Dlaczego kazałeś napisać szlachcianka polska? - badał ojca.

- Twoja babka pochodziła ze szlachty.

Ojciec postępował niekonsekwentnie. Ojciec nie zapomniał jeszcze, jak krzyczał na Granni za balladę w jej języku.

- Wstydzisz się mnie, bo prostego człowieka ma za nic - wyjaśniała babka zapytana po powrocie z wygnania o przyczynę gniewu ojca. - 1^cha zaślepiła i odejmuje rozum, pamiętaj o tym, Uther.

wtedy wyobrażał sobie pychę jako rodzaj zaraźliwej choroby, może nawet roznoszonej przez muchy.

Pamiętając to wszystko, nie rozumiał, dlaczego ojciec) niechętny, wspomnieniom, pogardzający rodzinną ziemią,^ mową i obyczajem starej pani, teraz po jej śmierci kazał pochodzenie swej matki wytrawić w kamieniu.

Dopiero gdy podrósł, zauważył zabieg ojca o splendor rodziny. Pendragon Stimmington, tak samo jak i jego ojciec, bardzo pragnęli należeć do warstwy starych Amerykanów. Granni za życia prosta i niereprezentacyjna nie nadawała się na ozdobę rodu, ale po śmierci pochodzeniem z europejskich nobili podbudowywała świeżą przynależność Stunningtonów do amerykańskiej elity.

Uther dowie się kiedyś, skąd ojciec zaczerpnął natłumienie do napisu na steli babki. W wiele lat później w Paryżu na Pferre-Lachaise zatrzyma się przy grobie pod pomnikiem iłuta Lesingera i przeczyta:

„Frydeijk Szopen syn emigranta francuskiego ożenionego z panią Krzyżanowską, córką polskiego szlachcica”.

Od przyścia do krypty babki u boku ojca Uther chodził do rotundy codziennie, nie kiyjąc się i nie pytając o zezwolenie. Nikt nie śmiał mu w tym przeszkodzić.

- Zamieszkamy w Los Angeles - po kilku tygodniach!;aproponował ojciec. Chciał oderwać dziecko od miejsc wypełnionych wspomnieniami. — Jesienią zapiszesz się do :oUege'u - postanowił. Wolał już posłać syna wcześniej do izkoły, niż patrzeć, jak godzinami przesiaduje w nekro-)ólu.

- Dobrze. Zabiorę ze sobą Sierotkę - zgodził się zadziwiająco łatwo i zaniechał pielgrzymek pod sekwoje. Ojciec nie wiedział, co myśleć o zmiennym, kapryśnym usposo- nieniu syna.

Chłopiec chodził tam w nadziei odnalezienia babki. Nie, tlie w jej zwykłej postaci, wiedział, że to niemożliwe, ale podobnie obecnej jak za życia. Lecz nie odnalazł nad stelą

Granni żadnej więzi, żadnego poczucia bliskości. Przekonał się - jej tam nie było.

Nie odnalazł jej także na kwaterach werbeny i lawendy ani w całym opuszczonym przez nią Edenie, dokąd chadzał z Sierotką, ani w ogrodowym pawilonie, chociaż w im tylko znanym schowku wciąż leżał zapas ciemnego kawowego ziarna i jasnej, cieniejącej hawany „Monte Cristo Special”.

Wtedy zrozumiał. Granni żyć będzie już tylko w jego sercu. Więc bez oporów porzucił Roselido, nawet cieszyła go odmiana, wyjazd do dużego miasta i perspektywa szkoły. Nie pozostawił tylko towarzysza ich wypraw, kła- poucha wychowanego od małości przez babkę.

Pobiegły lata, wspomnienie Granni przestało wzbudzać dojmujący ból, przestało być rozpaczą, uwolnione od cierpienia spoczywało przechowywane w pamięci, niby cenny, przymglony dagerotyp.

Chłopcem zafascynowała inna nostalgia.

Wszyscy koledzy i koleżanki mieli matki. Niektóre z nich mieszkały oddzielnie, żyły w innych rodzinach, pojawiało się nowe potomstwo, ale te pierwsze dzieci widywały je albo przynajmniej o nich wiedziały. Tylko on jeden nie. Nawet w pamięci nie mógł wywołać obrazu kobiecej twarzy, doityku dłoni, echa głosu. Nic.

Jego matki nie wspominano. Teraz domyślił się w tym woli ojca. Lecz dlaczego skazano ją na niebyt w świadomości syna? Co uczyniła, że zamknęła się nad nią milczenie szczelniejsze niż wieko trumny?

Już to samo mogło poruszyć wyobraźnię i skłonić do drążenia tajemnicy. A przecież tęsknił i czuł się upośledzony brakiem matki, uboższy od innych, wyzuty z czegoś, co dane jest nawet zwierzęciu. Więc chciał wiedzieć dlaczego.

Nigdy nie słyszał o niej bodaj słowa, tylko raz jeden od Granni. Pamiętał jej niechętną, powściągliwą i jakby zażenowaną odpowiedź, kiedy zapytał, wówczas pięcioletnią 3 kobietę, która go urodziła.

Vanessa! Nigdy nie widziana, żyjąca gdzieś w świecie. I ona powiedziała babka. Na jej świat składało się Roselido i jego od niego o piętnaście mil Stockersfield i Wigajny – IV Stajm Kraju. A świat, o jakim uczył się Uther, był J

łgromny.

Gdzieś w świecie! Takiego zlecenia nie przyjmie żadne
aiuro detektywów. O detektywach wtedy wiedział już
wszystko.

Na przeszkodzie stała jednak nie tylko nieznajomość]
idresu i bliższych danych, ale też małość i brak
jieniedzy. Nie posiadał ani centa.

Otrzymał, czego tylko zapragnął, o czym wspomiał'
:zy wskazał w stercie zawsze świe[^]ch katalogów regular-
lie nadsyłanych przez świetne firmy. Więc miał wszystko)prócz
najdrobniejszej chociażby monety. Zawsze płaciła Zlor,
przeważnie czekiem. Dostęp do pieniędzy mógł mieć ylko
przez nią. Długo się namyślał, czy wtajemniczyć Cor. [^]ie
znalazł innego wyjścia.

- Chcę odnaleźć matkę, Cor — zdecydował się
wreszcie, niał do niej zaufanie.

- Nie mogę ci pomóc, Uther. To sprawa nie tylko
twoja, ównież twojego ojca.

- Nie chcę mówić ojcu. A od ciebie potrzebuję jedynie
)ieniedzy i nie musisz o niczym wiedzieć.

- Nie mogę ci ich dać na ten cel bez zgody mister
Jtunningtona.

- Mister Stimmington rozdzielił mnie z babką tylko za
edną piosenkę śpiewaną w języku, do którego nie lubi się
>rzyznawać. Nie lubi też mojej matki, skoro nie pozostawił
ni o niej nawet wyobrażenia, tylko czysty blank - miał lat
tonad trzynaście, pasjonował się kamerą, zużywał setki
metrów taśmy, z upodobaniem posługiwał się słownic-
tvem zapożyczonym od filmowców. Blank oznaczał puste Iclatki
na końcu rolki.

- To poważniejsza sprawa niż ballada, Uther. Z pew-
nością ojciec kiedyś sam ci wszystko powie.

_ Rozumiem. Jesteś lojalna względem faceta, któiy ci płaci.

_ Oczywiście, Uther. Twój ojciec nie opowaźnił mnie do
dysponowania jego pieniędzmi w takiej sprawie.

_ Powinnaś mieć wzgląd na moje dobro - dopominał się
rozczarowany i wścickły. Zawiódł się na Cor, ale opanował
rozgoryczenie. - OK. Możesz zapomnieć o naszej rozmowie?

- Nie powtórzę jej mister Stunningtonowi, Uther.

Dotrzymała obietnicy, jak dotrzymywała zawsze. Lecz od tej pory nigdy już nie dopuści Cor do spraw najbardziej dla siebie ważnych i taki pozostanie. W przyszłości ze wszystkimi zamierzeniami będzie się zmagał sam.

W tamtej chwili wymknął się Cor zupełnie, czego nawet nie przeczuła. Chłopiec pozostał pozornie w niczym nie zmieniony. Przyszło mu to bez trudu. Zawsze już będzie służył trening zdobyty u babce. Potrafi udawać i milczeć, zwodzić i przekonująco kłamać, jeśli tylko kłamstwo prowadzi do celu.

Siadów Vanessy zaczął szukać w domu. Nie zauważony wślizgiwał się do pomieszczeń zajmowanych przez ojca, zakradał się do gabinetu, lecz nie mógł przeniknąć szuflad i półek w zawsze zamkniętym sejfie. Przeglądał worki z odpadkami, wystawiane wieczorem przed bramę, prześledził starą korespondencję, wreszcie pośród śmieci trafił na strzęp welinu barwy, bladego bzu. Pochodził od Vanessy.

Ogarnął go nie znany dotychczas rodzaj ęzcęścia, dostępny łowcom i hazardzistom. Drżały ręce, kiedy wygrzebywał skrawki, z których złożył kopertę wąską i wytwor-

r

na, wionął z niej jeszcze jakby cień ulotnego zapachu. Tęgi zdobył adres żony ojca.

List do matki układał przez bezsenłą noc, aby rano podrzeć i spalić szczątki. List do matki pisał przez następną tydzień i niszczył bruliony, bo wszystko, co przekształcił w słowa, wydawało się praskie, banalne albo zbyt miękkie, skomlenie niegodne trzynastoletniego mężczyzny. Wreszcie wysłał zaledwie kilka zdań, oględnych i takich, jakie dyktowało serce.

„Mamo, bardzo chcę Ciebie zobaczyć. Przez wiele lat nie wiedziałem o Tobie. Później poznałem tylko imię. Przez pół roku zdobywałem Twój adres, bo nie chciałem wtajemniczać nikogo w swój zamiar i nie wiedząc, jakbyś się na to zapatrywała. Napisz do mnie. Mamo, proszę. Abyś nie była

skrepowana, listy kieruj na poste restante. I bądź spokojna, bez Twego zezwolenia nikt i nigdy nie dowie się, że do siebie pisujemy”.

List ofrankował znaczkiem z klasera, bardzo pięknym, emitowanym okolicznościowo z okazji rocznicy przybicia) karaweli „Santa Maria” 'do kolumbijskiego wybrzeża. Oczekiwał, żył jak w transie.

Codziennie zaglądał na pocztę. Vanessa nie odpisała nigdy. Nie zdążył stracić nadziei na odpowiedź z Nogent - - Sur-Mame, kiedy zawołał go ojciec.

-Siadaj, Uther - ojciec podniósł głowę znad papierów. W kręgu światła padającego spod abażuru lampy stojącej na biurku leżała wąska, wytworna koperta z bzowego welinu. Nie musiał widzieć adresu nadawcy, aby rozpoznać jej pochodzenie. Nawet chwycił nozdrzami ten ulotny, jakby zwietrzały zapach perfumowanego papieru.

A więc dla niej nie był wart nawet listu, a przynajmniej dyskretnego milczenia. Doniosła ojcu. Dziwka - pomyślał piej - co za dziwka! I nie mógł wyjść poza tę myśl z upokorzenia, żalu, wściekłości. Chciało mu się płakać i ^mniotać najbardziej obelżywe wyrazy, jakie znał.

_ Vanessa nie jest twoją matką, Uther - ojciec położył dłoń na kopercie. Tym gestem pokwitował wszystko, co poprzedzało jej otrzymanie. Żadnych pytań ani słowa „yrzutu. Uther poczuł wdzięczność za tę delikatność.

- A w ogóle skąd pomyśł, że to ona?

- Na steli nagrobnej Eneasa widnieje jej imię. Eneasz syn Pendragona i Vanessy - zacytował zdanie z inskrypcji, nawet teraz nie zdradził Granni.

- Nie rozumiem. Są tam również imiona Ruth i Kate - ojciec wymienił kobiety z kwatery Ani ołków.

- Żadna z nich nie mogła być moją matką! - Uther uprzedzał, jak sądził, kłamstwo ojca. Chciał oszczędzić im obu wstydu i goryczy wynikających z oczywistej nieprawdy, którą demaskowały daty ryte w kamieniu. Miał je wytrawione w pamięci.

Bał się niepotrzebnie. Jego ojciec nie posłużyłby się tak łatwym do odkrycia fałszem. Z czasem przekona się, że on nigdy nie kłamał zupełnie, tylko retuszował fakty.

- Nie jesteś synem Ruth ani Kate. Ruth umarła nie mogąc wydać na świat dziecka. Kate z bliźniętami zginęły w wypadku samochodowym. Stało się to na dwadzieścia trzy lata przed twoim urodzeniem. Gdyby ^li, miałbyś już bardzo dorosłe rodzeństwo.

- Albobym nie istniał - pojęcie niesione przez owo słowo nie przestało fascynować, nawet nie potrafił ogarnąć wyobraźnią świata bez siebie.

- Dlaczego t^ myślisz? - twarz ojca wychynęła z neutralnego cienia za lampą, uważnie przyjrzał się chłopcu.

- Miałbyś tamte dzieci - umilkł. Od dawna zdawał sobie sprawę, że urodził się w późnych latach swojego ojca. Rówieśnicy Uthefa mieli już dziadków w t^Tn wieku, ale też dawno zauważył, jak ojciec nie lubi mówić o starosj^ ^ Gdzie byłeś w czasie wypadku? - zapytał.

- Razem z nimi. Prowadziłem wóz. Rozgniótł nas kon. tenerowiec. Szofer zasnął nad kierownicą. Jemu nie st^ się nic. Ja przeżyłem. Oni nie.

W miarę odpowiedzi tężała twarz ojca. Uther umił^ Poczul się winny za wywołanie okrutnych wspomniA Współczul ojcu, chciał mu okazać przywiązanie. Nie pi? trafił, wstydził się. W tym czasie wciąż siebie kontrolowi i obserwował bez życzliwości oczyma kogoś obcego. Ni^ zgrabny drałgal o zbyt długich kończynach sprawiaj ący(wrazenie, jakby działały niezależnie od siebie. Mutowa? Gesty dzieciństwa, znany im z ojcem szyfr serd porozumienia, przeżyły się, wprawiały w zakłopotani^ innych nie odnalazł, jego sposób wyrażania uczuć, jak i jego głos jeszcze nie dojrzały.

- Nie chciałem ci zrobić przykrości - zamruczał, czując się wielki i niezręczny.

- Wiem - ojciec znów skrył się poza krąg światła zakre-i słonego czaszą abażuru. - Nie rozumiem tylko, dlaczego) upierasz się przy Vanessie, a nie przy Lucienne.

- Kto to jest Lucienne!

- Nie widziałeś swojej metryki, Uther-wreszcziedomy-ślił się ojciec.

- Nie widziałem - burknął ■'bity z tropu. Nie uważał za potrzebne, ba! nie przyszło mu nawet na myśl szukać

potwierdzenia słów Granni. Były jak opoka, wierzył jej bezgranicznie.

- Oto skutki, gdy wszystko załatwia biul-o prawne. Trzynastoletni mężczyzna nigdy nie trzymał w rękę swoich dokumentów! - roześmiał się ojciec. Poczł ulgę. Chłopiec nie dlatego wybrał Yanesę, bo poddawał w wątpliwość osobę Lucienne, tylko nie wiedząc o istnieniu Lucienne wybrał Yanesę.

_ Proszę, tak wygląda twój certyfikat - ojciec wydobył Icartę formatu in folio i podał ją cłłopcu.

_ Uther-Caradoc, urodzony z Lucienne Berville... - przeczytał junior Stunington. Nie ulegało wątpliwości, jego matka miała na imię Lucienne, pochodziła z Bostonu.

pomieszanie uczu. Radość, nie matka wzgardziła jego listem. I poczucie klęski. Granni skłamała. Pierwsze pęknięcie na idealnym portrecie babki, jaki nosił w sercu.

przypomniał sobie jej skrępowanie, nienaturalną małomówność, kiedy osiem lat temu odpowiadała na jego pytanie o matkę. A może terroryzowana przez ojca inaczej postąpić nie mogła? I teraz sam już nie wiedział, co sądzić o zachowaniu Granni, której proste prawdy stały się jego własnymi.

A jednak skłamała, nadużyła zaufania! Mimo ws^stko wolał wierzyć, że chciała tylko odsunąć na później temat zbyt poważny i za trudny do zrozumienia przez małe dziecko. Przecież jego matka nigdy nie była poślubiona ojcu, co wynikało wyraźnie z aktu urodzenia.

- Vanessa nadal jest moją żoną. Żyjemy w separacji, ona stale mieszka w Europie. Nieszczęśliwa, niezrównoważona kobieta, okrutnie doświadczona przez los. Skomplikowane i bardzo smutne sprawy, ale ciebie w żadnej mierze nie dotyczy. Ona nigdy cię nawet nie widziała. Nie rozwiódłem się, aby nie pogarszać jej ^tuacji psychicznej, lecz pozostawiliśmy sobie zupełną swobodę.

- Dla spokoju Vanesy nigdy nie ożeniłeś się z moją matką?

- Jej nie zależało na małżeństwie. Lucienne Berville pozostawiła ciebie i odeszła. Nie wiem, gdzie się znajduje, 1 przyznam - nigdy nie starałem się dowiedzieć. Z chwilą

gdy nas porzuciła, przestała dla mnie istnieć. Nie chciałem, atyś o tym wiedział.

- Może jednak trzeba ją odnaleźć. Ułatwić powrót.

- I^ragmesz złudzeń?

Zaprzeczył, ale gdzieś w głębi siebie beznadzi chciał nie iluzji, lecz żeby prawda okazała się mniej oj na, piękniejsza. Podobnie jak kiedyś, pięcioletni, wał odmiany w losie ogrodnika z opowieści Granni.

- Ile miałem lat, gdy nas opuściła?

- Sześć tygodni.

- Jak odeszła? - z każdym pytaniem, z każdą odpowi^
dzą umierała żałosna nadzieja ukiyta na dnie serc^ nadzieja na chociaż trochę mniej ciemny portret kobieljfi która dała mu życie.

- Bez uprzedzenia. Zniknęła ze swoją książeczką cze-'
kową. Zostawiła list. Nie wróci nigdy i nie życzy sobie,' abym jej szukał, bo nie ma mi nic więcej do powiedzenij^

- Gdzie wtedy mieszkaliście?

- W Bostonie. Tam się urodziłeś.

- Gdzie wtedy przebywała Vanessa?

- Kiedy poznałem twoją matkę, Vanessa od wielu lat mieszała już w Europie. I nawet się nie widywaliśmy.

' - Pokaż fotografię matki.. Chcę wiedzieć, jak wyglą dała.

- Nie zachowałem żadnej.

- A powinieneś. To mi się należało. Pozostała moja matką, jak ty ojcem. Jakim prawem pozbawiłeś mnie czegoś, co ma każdy?

- Niczego ci nie odebrałem. Uspokój się. Inie krzycz jak rozhisteyzowana Miorzynka.

- Rasista! - nie panował nad sobą, nie chciał panować. Starął się ojca dotknąć, obrazić, zadać ból. Wspomnienie Lucienne Berville, niedobrej matki, wzbudziło niechęć do ojca, mścił się na obecnym za tamtą nieuchwytną, której nie potrafił osiągnąć, dla której nic nie znaczył, której nic nie obchodził. Jak ojciec powiedział? Odeszła z książeczką czekową! Sprzedajna wyrachowana dziwka.

, Nie jestem rasistą, o czym dobrze wiesz - ojciec nie dawał się sprowokować.

prawda. Chłopiec nigdy nie słyszał od niego słów pogar- jyy dla ludzi o odmiennym obyczaju czy kolorze skó[^]. I nigdy nie odmawiał swego podpisu przeciwko segregacji.

– A ciemni polscy chłopci?

– Pamiętasz? - z pr[^]króścią zdziwił się ojciec. - Powiedziałem tak w gniewie. Życzyłem sobie, abyś rósł na Amerykanina, aby nie przeszkadzały ci sentymenty do jakiegoś skrawka ziemi na drugiej półkuli.

Uparta pamięć Uthera podsuwa wspomnienie Granni. Drobnymi łykami popija smolisty napar. Ulotny zapach werbeny miesza się z aromatem kawy i wysmukłej, eleganckiej hawany. Babka podnosi na chłopca ciepłe brązowe oczy, któiyh nie pr[^]gasił wiek, otacza się kłębem pachnącego dymu, mówi:

- Wigajny stały o miedzę od Prusów, tam z przemysłem chodził mój ojciec i ojca ojciec, i ojca dziad, na tamtą stronę konie wodzili, na naszą - noiymberszczyznę nieśli. Nie tylko moi, cała wieś owym rzemiosłem się trudniła. Bywało, chłopak z ogierem poszedł i tam został, bywało, dziewczyna ichnia na naszą stronę z pasmanterią przybyła i ostała.

My, ludzie z pogranicza, wymieszani jak w kotle. W naszych familiach różne nacje pospołu siedzą. W Suwałkach cmentarzy było pięć; polski, rusiński, żydowski, tatarski i luterskiego Boga. A za Filipowem nad rzeką jarem płynącą, na jednym stoku na mogiłkach krzyże rzymskiego wyznania, a po drugiej, też na górce, kierkut, kamienne tablice mojjeszowe. A mieszkali tam jeszcze i Litwini, i Cyganie, Ormianie i Rumimi.

Moja prababka, Mazurka, z Prusów się wiodła, zaś ojcową babką z tatarsko-rusińskiego rodu. A cała ta ziemia po Jaćwingach. I w pieśni starej stoi, jak jaćwieskich witezi wybili do nogi, a najeżdźcy ich cóiy pojęli.

r

Takie jest wasze dziedzictwo, twoje i twego ojca, tak i we

mnie wszystkie owe nacje pospołu siedzą, i choci[^]
o nich wiedzieć nie chce, przecież nie pozwalają, żeby o⁵ ich
spadkobierca, Murzj[^] a czy Meksykana w pogard[^] miał.
Tylko mowy mojej się wstydzi - milkła markotniejąc

- Babce po polsku nie pozwalałeś rozmawiać! - krzykuje
teraz mściwie Uther, za smutek babki, za swoje sieroctwo, za
żał do matki.
- A Conrad Korzemm... Korze... - ojciec nie potrafi
wymówić nazwiska i daje za wygraną. - Conrad pochodu z
Polski, ale sam uważał się za angielskiego pisarza i pis[^] tylko
po angielsku! Nie słyszałem, aby ktoś miał mu za de.
- Popatrz! A ja myślałem, że twoja lektura to wyłącznie
gazeta giełdowa.
- Dzięki mojej gazecie ty możesz czytać Conrada i co
tylko chcesz. Inaczej zamiatałbyś ulice w Los Angeles. Nie
zapominaj o tym, synu.
- Nie zapomnę, że bękart Lucienne Berville tobie za-
wdzięcza brak wspomnień o tej dziwce!
- Słuchaj, rozwyrzony gnojku, potrafię z tobą inaczej
rozmawiać! - nareszcie skruszył opanowanie ojca.
- Co mi zrobisz? Rozdzielisz z babką, zniszczysz pa-
miątki po mojej matce, możesz mnie jeszcze pozabawić
deseru, telewizji. Możesz mnie wydziedziczyć. Tak, wy- ■
rzeknij się mnie, jak się pośpieszysz, masz szansę spłodzić i
następnego spadkobiercę.
- Chodź ze mną, chłopcze - głos ojca złagodniał. Odło-
żył okulary, używane tylko do pracy, i zmęczonym ruchem
potarł oczy.
- Wtrącisz mnie do ciemnicy? - Uther nie rtożył się,
niepokorny i zbuntowany.
- Niemądry jesteś. Pokażę ci jej portret.
- To dlaczego doprowadzasz człowieka do szału! -
zawstydził się, miał wrażenie, jakby dał się wciągnąć w grę,
która okazała się grą na niby.

r

, Miałem okazję usłyszeć, co o mnie myślisz.

_ Byłem wściekły, chciałem ci dokuczyć.

Jak pamięcią sięgał, owo malowidło wisiało w małym asażu. Zastany element wnętrza. Nigdy nie zatrzymywał się przed nim i nie przyjrzał uważnie. Obrazy godne oglądania eksponowano w dużej galerii na piętrze, leżącej na osi budynku. Od czasu do czasu przybywał nowy, wówczas nauczyciel zabierał Uthera i dawał popis erudycji. Takim lekcjom często i z upodobaniem przysłuchiwał się ojciec.

-Twój dziadek kazał mnie uczyć tylko dziedzin niezbędnych w zawodzie, ale mój syn będzie wszechstronnie wykształconym człowiekiem - mawiał nie ukiwając dumy.

-Niesprawiedliwość, abym uczył się za siebie i za ciebie - protestował Uther. Inteligentnemu chłopcu nauka przychodziła bez wysiłku, lecz od rana do nocy tłoczono w niego najróżniejsze wiadomości, więc się buntował.

Teraz stał z ojcem w małym pasażu i myślał, dlaczego żaden impuls nie przywiódł go, bodaj na chwilę, ku temu portretowi bardzo młodej i bardzo pięknej kobiety, raczej dziewczyny przedstawionej w naturalnej wielkości. Złote włosy ostrzyżone modą lat pięćdziesiątych, twarz drobna jak pyszczek kota i małe pełne usta. Dominowały przedłużone do skroni oczy, mieniające się zielono i niebiesko. Ich błękitną barwę podkreślał jedyny klejnot, olbrzymi szafir leżący na piersi w głębokim wycięciu sukni koloru indygo. I nie wiadomo, czy korund nasyczał się pigmentem oczu kobiety, czy tęczęwki czerpały go ze szlachetnego minerału.

-Nie tak ją sobie wyobrażałem - Uther nie odczuł żadnego wzruszenia. Nie odpowiadał mu wygląd młodej osoby. - Wcale do niej nie jestem podobny - zauważył trochę jednak rozczarowany.

-Co mnie nie martwi - powiedział ojciec. Już wtedy

Uther przypominał go uderzająco. Obaj wysocy, zbudowani, mieli brązowe oczy i ciemne włosy *Ar Surażyńskiej*, tylko starszego były mocno osrebrzone.



- A jednak należy jej poszukać - nie ustępował chłoi piec.

Ojciec się zachnął.

- Ledwo odrosłeś od ziemi, wyprawiałeś dzikie brew[^] rie z powodu babki, a później Cor. I znów rozczuliłeś się nad sobą. Biedny. Nie musiało być ci najgorzej z ojce skoro brak mamusi zauważyłeś dopiero teraz. Uprzedza nie będę jej szukał i nie dam na to ani centa. Gdy dorc niesz, postanowisz, jak zechcesz.

- Ona odeszła z innym mężczyzną?

- Jesteś bardzo wrażliwy, jeśli chodzi o ciebie, ale żadnych względów dla ojca. Dajmy już spokój. Jestem zmęczony.

- Uraziłem cię nienaumyślnie - Uther zyskał pewność[^] że trafił w sedno.

- Pewno nieumyślnie.

- Nie będę jej szukał - obiecał. Nirfatwym dla siebie postanowieniem wyrażał nie tylko przyrzeczenie, ale i solidarność względem ojca.

I znów nad kobietą, która urodziła chłopca, zamknie się milczenie, zdawałoby się, ostateczne. Stała się bardziej nieobecna niż wówczas, kiedy syn nic o niej nie wiedział. Uther obiecał sobie nie starać się nigdy odnaleźć i w ogóle zapomnieć o Lucienne Berville, zdrażliwej kochance i nieczulej matce.

W trzy lata później przy okazji wyjazdu w sprawach firmy ojciec zabrał go do Nowego Jorku. Nie towarzyszyli im ani nauczyciel, ani Cor.

- Bez nianiek - zażądał Uther, podkreślając swą od niedawna wywalczoną autonomię.

Skończył lat szesnaście, wyglądał na starszego, rosły, wysportowany, mistrz pływecki szkoły i zupełnie niezły uż żeglarz. Jak ojciec, miał niskie, ciepłe brzmienie głosu, orzeż telefon nie sposób ich było odróżnić. Za rok kończył Allege, czuł się dorosły i doświadczony.

_ Sam nie będziesz się nudził?

- Nigdy nie nudzę się w swoim towarzystwie - zapewnił z powagą.

W tym czasie oceniał siebie bardzo wysoko. Uważał się za intelektualistę.

_ Przysłę ci hostesę, będziesz miał przewodnika po mieście - próbował jeszcze ojciec.

- Ani się waż, wyrzucę ją za drzwi. Słuchaj, tata, zgodziłem się na szofera, ale nie dam obstawić nursami. - Uther rozumiał lu-az ojca, odkąd Kate z bliźniętami zginęła w katastrofie, i dla jego spokoju przyrzekł tutaj, na nie znanym terenie, nie siadać za kierownicę. Korzystał z wozu i usług Jimmiego z agencji wynajmu.

Ojciec dał za wygraną i zrezygnował z przydania synowi opieki, a Uther, jak przystało na człowieka głębokiego, o bogatym życiu umysłowym, pospieszył korzystać z mnogości propozycji kulturalnych metropolii.

Strand Bookstore.

Pierwsze kroki skierował do słynnej księgami obwieszanej uciesznymi podobiznami współczesnych pisarzy. Wieczorami teatyi Broadwayu, w dzień muzea i galerie.

Metropolitain Museum, zespół budynków wypełniony zbiorami ze wssystkich epok, labirynt umarłych cywilizacji, nieustająca wystawa kunsztów ludów wszelkich ras, wszelkich ziem - od czasów najdawniejszych.

Muzeum Guggenheima. Niezwyczajna architektura, bez sal, schodów, korytarzy. W całym gmachu tylko rampa wznosząca się pierścieniami ku górze, wzdłuż niej na ścianach umieszczono dzieła.

Muzeum sztuki nowoczesnej; arte povera - sztuka biedna.

Kompozycje z kawałków cegły, odłamków ceramiki, suchych

gałęzi, gałganów, odpadków metali, kości.

- Szkoda życia na oglądanie, jeśli każdy wariat potra[^] to zrobić! - zdenerwował się Jimmie na widok ekspozycji. art brut - sztuki surowej, prac stworzonych przez umysłowo chorych lub działających pod hipnozą.

Uther uważał za niedemokratyczne, aby człowiek taly sam jak on czekał godzinami przykuty do samochodu, wi[^]ę włożył go wszędzie ze sobą. Jimmie snuł się oswiata ziewał jak hipopotam i długo nie protestował, doceniając dobrą wolę młodego przybysza z Zachodu, aż śmierteli* znudzony monotonią jego zainteresowań zaproponow[^]:

- Jutro w Atlantic City kończą się wybory Miss Ameri[^]ca. Jest na czym oko zawiesić. Pięćdziesiąt jeden najpięk: niejszych dziewczyn, po jednej z każdego stanu. Sk(K czymy?

Utlierowi, chociaż po raz pierwszy był na Wschodzie, nazwa miasta nie brzmiała obco. Co roku, w pierwszych[^] dniach września, po Labour Day, doniesienia i serwisj fotograficzne z Atlantic City prawie przez tydzień nie schodziły z pierwszych stron gazet, transmisje stamtąd wypełniały programy telewizyjne.

Ale w jego college'u szerzyła się w tym czasie moda na intelekt. Pod grozą utraty czci człowieka myślącego nie należało przyznawać się do uczestnictwa w takim wido-i wisku.

- Mądrości nam nie uciekną, a eliminacje na królowaj skończą się jutro.

- Trzeba poznać, aby odrzucić - na poczekaniu dorobił ideę szesnastoletni hipokiyta, nie mogąc oprzeć się pokusie obejrzenia dennego dna z bliska, a z dala od pręgi[^]erz opinii szkolnych mózgowców.

- Co proszę? - nie zrozumiał Jimmie, chłopak prostoduszny, umysłowo niewyrafinowany i pozbawiony snobiz-l mów intelektualnych.

- Jedziemy do Atlantic City.

Miasto położone niedaleko Nowego Jorku, na wyspie Rasecon na Atlantyku, architekturą przypominało bezład- e pomieszanie teatralnych dekoracji. Wszelkie repliki[^] ui<pejskich stylów. Obok siebie siedziby szkockich Tanów

jak z Waltera Scotta, francuskie zamki znad Loary, niemieckie burgi, pałace Wenecji. Kopie golyku, baroku, ggcesji - piernikowe i nierzeczywiste. Disneyland na poważnie.

Atlantic City proponowało przybyszom wyścigi koni i psów, spaceru po corso zaprzęgami kuców w koszach na kółkach, wesołe miasteczka, parki grozy, ruletę, bary, restauracje i nocne lokale.

Uther znalazł się pośród tłumów na Bordwalku, drewnianej promenadzie ciągnącej się wzdłuż brzegu oceanu, deptaku obsadzonym kramami sprzedającymi, jak wszędzie, tandetne suweniry i nieodłączne atrybuty festynów.

- Salt water toffi - Jimmie wynurkował z ciżby z paczką cukierków. Jak okiem sięgnąć, wszyscy tłoczyli się, gapili, spacerowali zaopatrzeni w torby z charakterystycznym napisem. - Często się - zachęcał Jimmie - tutejsza specjalność! - Karmelki okazały się zupełnie dobre, chociaż smakowały słonawo-gorzka słodyczą.

Jimmaie, jak przystało na przewodnika, opowiedział przybyszowi z Zachodu miejscową przypowieść.

Kiedyś fala morska zalała pozostawione na noc w nadbrzeżnym kramie łakocie. Rano dziewczynka przyszła kupić iiysów, ale sprzedawca nie miał innych i dał jej te przesiąknięte słoną wodą. Niebawem przybiegły gromady dzieci i chciały tylko salt water toffi. Okazały się świetne, przekupień został milionerem.

Bordwalkiem przeciągała parada kandydatek na Miss America. Dziewczyna wybrana w Atlantic City nie ma prawa do udziału w międzynarodowych konkursach. Prezentuje wzorec amerykańskiej kobiety, jest dla tutejszych, nie na wynos. Otrzymuje sto, niekiedy więcej, tysięcy dolarów, za co w ciągu rocznej kadencji ma obowiązek przemierzać kontynent, reprezentować, udzielać dów, być miła, uśmiechnięta i szczęśliwa. Jest własność ogółu, żywą maskotą kraju. Różne firmy płacą jej wysoj^ honoraria za reklamowanie wyrobów.

Konno, w odkitych landach ciągnionych przez kuę pięćdziesiąt jeden pięknych, wspaniale zbudowany,^! dziewczyn promenowało po corso.

- Keep smiling! - wołano z tłumu, domagano się uśmiegu. Widać się uśmiechały, przesyłały całusy i pozdrowienia. Przez sześć dni zabiegały o popularność, o sympatię publiczności.

Finałowa gala odbywała się w sali kasyna gry. Jimmiej nie bez trudu zdobył bilety na numerowane miejsca blisko podium. Kosztowały potrójnie u bukmacherów nie gar., dzających i takim zarobkiem.

Zasiedli wieczorem w szczelnie wypełnionej, najwięk. ksz. na kontynencie sali. Kandydatki prezentowały różne talenty, śpiew, grę na instrumentach, tańce, odpowiadały na mądre pytania. Wreszcie ogłoszono werdykt jury i intronizowano królową, miss stanu Connecticut. Widownia zagrzmiała oklaskami, wybuchła wrzawą i wiwatami, zakwitła wyspą baloników, olbrzymich wachlarzy, wstęg i transparentów z napisami: Connecticut. Krajanie święcili sukces rodaczki.

Najpiękniejsza dziewczyna Ameryki kłania się w ceremonialnych reweransach. (Złotą ową omotuje tęcza.) Wielkie szafiry gorzeją w diademie, naszyjniku, bransoletkach opasujących nadgarstki, migocą brilolietty uczepony uszu.

Światła pimktowców niecą błyskawice w fasetach po- i dwójnych rozet oprawnych w delikatną platynę. Korundj pulsuje błękitną krwią, roztacza aureolę.

- Grande Duchesse! - nad szmer sali wzbija się zmega- fonów męski głos. Tak nazywa się biżuteria, w. jaką przyn brał królową na ten wieczór wielki nowojorski złotnik. Sniker podkreśla rzadką piękność kamieni, kunszt szlifierstwa i licza karaty. Zaraz po nim poleca usługi zakład kuracyjny, opowiadając publiczności, na ile ubezpieczone na tę uroczystość koronacyjne insygnia pierwszej panny United States.

- Wracamy - Uther nie słyszał już reklamowych sloganów. Dziewczyna z podium sugestywnie przypominała tamtą z portretu wiszącego w małym pasażu w domu nad Pacyfikiem, chociaż wcale nie była do niej podobna. Wystarczył kształt i rodzaj noszonego przez nią klejnotu, by poruszyć wszystko, co zdawało się raz na zawsze

pogrzebane przed trzema laty.

Nazajutrz pojechał do słynnego jubilera.

Zanim fotokomórka uchyli stalowe drzwi, gość sławnej firmy musi przejść przez hall, gdzie prześwietli go specjalna aparatura, czy nie posiada przy sobie materiałów wybuchowych, broni lub innych niebezpiecznych przedmiotów.

Potem automat otwiera drogę do sąsiedniego pomieszczenia, na progu wita klienta grzeczny, barczysty i uzbrojony dżentelmen. Razem przekraczają pancerne wrota i wchodzą do obszernego, cylindrycznego szybu ze spiralnie wznoszącymi się stopniami. Nad biegiem schodów ciągną się nisze. Za pancernym szkłem, odpornym na stłuczenia, kule, ogień i substancje trawiące, spoczywają na podściółkach z ałtasu albo aksamitu, odpowiednio oświetlone, szlachetne kamienie baśniowej urody.

Można się przed nimi zatrzymać, przyglądać, kontem-plować, nie należy witriny dolykać, nawet muśnięcie uruchamia czujniki optyczne, dźwiękowe i strażników.

Przy każdej wnęce - wystarczy przystanąć - fotokomórka automatycznie włącza taśmę z informacją.

- Szecherezada, Królowa Śniegu, Kropla Rosy, Zorza Poranna, Wenus Galipygos...-imiona własneszmaragdów o barwie majowej zieleni, brylantów o chłodnych ogniach tęczującego lodu, pereł szarosrebrnych i opalizując[^] różem konchy.

Z ostatniego podestu klienta i jego przewodnika wijij. znowu uwozi na parter. *Jeśli* gość życzy dokonać zakuj w zacisznym gabinecie, wciąż w asyście tego samę[^]1 mięśniowca, wrzuca dowód tożsamości w brzuch koinp | j tera.

Elektronowy mózg błyskawicznie bada autentycznojj dokumentu i przekazuje do kantorku opinię o jego posią, daczu. W pamięci ma zakodowane i uzupełniane spis., stałych klientów, klientów ewentualnych, a także osobnj, ków, których do salonu sprzedaży wpuszczać nie należy,

- Serdecznie prosimy - wyświetlił komputer, zwraca, jąc prawo jazdy Uthera, bo dysponował tylko takim dowodem.

Z nieodłącznym towarzyszem znów unieśli się na piętro
W hallu, po opuszczeniu dźwigu, Uthera poraziło wzruszenie.
W głębi na ścianie ujrzał portret Lucienne Berville?

Lucienne Berville namalowana przez innego malarza,
inną manierą i w innym czasie. Uczesana i ubrana modą lat
siedemdziesiątych, w ciężkim, bogatym naszyjniku i dużych
zausznicach z kamieniami wielkimi jak ziarna bobu.

Lucienne znacznie starsza od tamtej dziewczyny z szafi-
rem, na portrecie w małym pasażu. Sercowata twarz stE^a się
jeszcze bardziej sercowata, mocniej zarysowały wydatne kości
policzkowe, czas bardziej wytrawił nieregularne rysy. Usta
większe, podbródek cięższy, a jej dwubarwne oczy czerpały
pigment z berylu i mieniły się zielono. Nadal bardzo piękna,
lecz melancholijną urodą przejrzalej, kwiatu, urodą jesieni.

Lucienne, postarzała, smutna i zmęczona, wydała się
Utherowi bliższa niż tamta. Zapatrzył się na nią ogarnięty
uczuciami sprzecznymi i trudnymi do wyjaśnienia. Opa-
nowany wzruszeniem i wielką czułością, myślał; mamó,

i wydawało mu się, że wszystko, co robił przez ostatnie trzy lata, wiodło go tutaj, gdzie trafił na ślad matki.

– Właściwie nie przyszedłem nic kupić - wyjąkał speszony po znalezieniu się przed damą o głowie dostojnie srebrnej, twarzy bez zmarszczek, obleczoną w wytworną czerń podkreślającą wspaniałą figurę. Nosiła tylko raz zamotany na szyi jeden długi sznur pereł, o ziarnach grubych i kształtnych, doskonale dobranych wielkością i odcieniem.

- Czym mogę panu służyć, mister Sturmington? - uśmiechnęła się życzliwie i zaproponowała coś do picia. Zachowywała się, jak pani domu ^tająca miłego gościa, nie przypominała sprzedawczyni, tak jak wykwintny salon nie przypominał sklepu.

- Portret wiszący w hallu... mam taki w domu, tylko z szafirem - zaczął nieskładnie.

- Poszukamy szafiru - pomyślała, że interesuje go klejnot, i otworzyła przed Utherem katalog z kolorowymi fotografiami biżuterii.

- Bardzo przepraszam, ja tylko chciałem dowiedzieć się, kim jest ta pani namalowana w naszyjniku ze szmaragdów!

- Nasza modelka.

- Nazywa się Lucienne Berville?—zamarło serce i św/iat zatrzymał się w obrocie, kiedy głośno wypowiedział jej imię.

- Nie. Oona Sullivan, Miss Ameryki z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego, i od tamtego czasu nasza modelka.

- Ależ to Lucierme Berville, przecież... - omal nie powiedział, że niepodobna, aby jego ojciec się mylił.

- Osoba o takim nazwisku nigdy nie pracowała dla naszej firmy.

- Łudzące podobieństwo - opanował się.

Jak czerw załęgło się podejrzenie: ojciec kłamał. Nie

⁴. Earakuda

97

zachował nawet zdjęcia Lucienne Berville, a gdy oji Uther, trzy lata temu nagle zaczął domagać się wyjaśnień zbył go wskazując portret Ony Sullivan. ^

W salonie słynnego jubilera Uther na zawszepozostawj} zaufanie do ojca. Ani słowem nie wspomni o dokonany*

odkryciu i nigdy już nie poruszy przy nim tematu matki. Odtąd będzie go obserwował uważnie i bardzo krytycznie?

W rok później Uther ukończył college i złożył egzaminy na wydział ekonomiczny uniwersytetu w Berkeley. Tego dnia otrzymał od ojca książeczkę czekową na swoje imię z sumą dość skromną, ale on, dotychczas nie posiadający ani centa, poczuł się wolny i bogaty, bo z tych pieniędzy nie musiał składać rachunku. Wyjechał na swoje pierwszy samodzielne wakacje.

-Wyberzemy się razem do Indii - namawiał ojciec.

-Chcę zobaczyć Amerykę. Nie znam swojego kraju. - Poza tamtym wyjazdem do Nowego Jorku nie był nigdzie więcej. Wiedział też, że ojciec nie zrezygnuje z Indii, aby wędrować z nim po Ameryce.

Do Indii ojciec jeździł niezupełnie turystycznie ani też dla interesów. Tam dość skutecznie walczył z objawianymi starościami, oddając się co roku na kilka tygodni w ręce orientalnych lekarzy stosujących doświadczenia i przekazy tysięcy. Wracał rzeczywiście odmłodzony i jakby łagodniejszy, bo z latami rósł jego despotyzm.

Steve, nieodłączny towarzysz ojca, opowiadał o tajemniczych klinikach w niczym nie przypominających lecznic czy sanatoriów białych kontynentów. Zwłaszcza fascynował Dom Zdrowia w Kaya Kalpa, gdzie w izolatkach z dala od słońca, czasami w zupełnych ciemnościach, poddawano bogatych starców głodówkom, dietom ziołowym, pławdom - no w tajemnych oliwach, pojono dekoktami, przywracając zwiotczalym ciałom elastyczność, a zgorzkniałym duchom pogodę.

-Uwalniasz się ode mnie - melancholijnie zauważył

idee, kiedy zawicxily wszelkie pokusy roztoczone przed Utherem, aby jeszcze chociaż o rok odwlec jego niezalez- ność, jakby własną osobą, faktem bycia przy nim mógł zasłonić go przed losem.

Wciąż obsesyjnie obawiał się dla syna dróg rojących się rozpedzonymi samochodami, powietrznych szlaków pełnych samolotów mknących z s^bkością dźwięku, a nawet pociągów i zdawał sobie sprawę z nianożliwości wyłączenia go z czasu i cywilizacji, w jakich przyszło mu żyć.

-Będę do ciebie telefonował - obiecał chłopiec. Coraz bardziej ciążyła zaborcza miłość, od zarania dni otaczająca szczerlnie niby kloszem, chociaż ojciec stwarzał pozory, że ten klosz nie istnieje.

Uther ruszył w kraj oszołomiony swobodą. Za nim opiekun wynajęty przez ojca, aby dyskretnie czuwał nad chłopcem i wspierał w razie trudności. Student z najstarszego rocznika imiwersytetu Berkeley po drodze zaznajomił się z powierzonym jego pieczy trampem i tak Uther, nieświadomy, wędrował ramię w ramię ze zmaterializowaną troskliwością ojca.

Boston.

Przez rok zepchnięta w podświadomość, z całą ostrością odżyła pamięć o Lucienne Berville. Chłopiec nie tylko nie zapomniał o nieczułej matce, lecz nagromadził wiele pytań, na które szukał odpowiedzi, bo po odkiciu mistyfikacji z portretem zachwiała się wiara Uthera w prawdomówność ojca. To była jego prawda o Lucienne Berville, ale on, Uther, musi poznać także prawdę Lucienne Berville, usłyszeć, co Ona ma do powiedzenia, zanim ostatecznie osądzi ją w swoim sercu.

Nie bardzo zdając sobie sprawę, całą włóczęgę wymyślił tylko dlatego, aby przyjechać do Bostonu, miasta swojego urodzenia, miasta Lucienne BerviUe, i aby ukiyc przed ojcem właściwy cel wędrowki.

Jedynie dostępne Utherowi dane o matce zawierała jego metryka. W bostońskim Urzędzie Stanu Cywilnego i cił do automatu przewidzianą takse.

- Pełny wypis - podyktował komputerowi fakty

szczególnione przez instrukcję i w kilka minut otr ądan ą infoimację.

Dotychczas nie widział swego pierwszego w ąciu doku J mentu w całkowitym brzmieniu. Ze zdziwieniem przyjął do wiadomości miejsce, w jakim przyszedł na świat. Do-U tychczas nigdy o nie nie pytał. Wydawało się oczywisty* kojarzyło z jakąś posiadłości ą w pobliżu Bostonu lub domem w mieście, w ądnym wypadku ze szpitalem czy nawet najelegantsz ą klinik ą.

Wszystkie Ani ołki, czworo przyrodniego rodzeństwa Uthera, jak głosiły inskrypcje na stelach w rotundzie pod sekwojami, urodziły się w Roselido lub w Los Angeles w domu nad Pacyfikiem. Tylko on, jak się okazało, ujrz ął światło dzierme w lecznicy o nazwie jak hotel Sheratona: „Continental”.

Widział w tym fakcie coś uwłaczającego, niew ątpliwie miało związek z sytuacją cywilną matki. Ojcostwo ojca wobec tamtych dzieci wynikało z uznanego prawem związku obojga rodziców. Istnienia Uthera ojciec mógł nie ■ przyjąć do wiadomości. Wprawdzie przyznał się do niego natychmiast, o czym niez bicznie świadczyła metryka, ale teraz owa rzeczywistość nie miała wpływu na doznania chłopca.

Znieważony klinik ą o nazwie brzmi ącej niczym hotel utożsamił się z nie z aślubi on ą. Jak nigdy dotychczas poczuł się synem Lucienne Berville, pani ęskiej matki, poddanej Bóg wie jakim poniżeniem, zanim porzuciła dziecko.

To znosiło lojalność wobec ojca, zwalniało z przyrzeczenia nieszukania Lucierme Berville. Obowiązek syna nakazywał odnaleźć ją, aby wynagrodzić krzywdę i upokorzenia, jakich jej pewno nie oszczędzono.

W Poza nazwiskiem nie dysponował ądnymi danymi na temat Lucienne Berville, co wykluczało pomoc biura adre-

W sowego. Mózg elektronowy mrugał pustym ekranem, nie jnog ąc uporać się z zadaniem. Jako ostatni swój atut Uther j^ ął bezradnej mńszynie nazwę szpitala, w którym się urodził, i wtedy pojawiła się informacja.

- Lucienne Berville... zamieszkała... zawód;
pielęgniarka - zaszeleściła perforowana taśma, ze szczeliny
usłużnie spłynęła szaroniebieska zadrukowana bibułka.

Uther zastygł pod naporem sprzecznych doznań. Radość,
wielka czułość dla odnalezionej, trema przed spotkaniem i...
rozczarowanie. Nastawiony na trudne, długie poszukiwania,
nie był psychicznie przygotowany na tę łatwość, z jaką odkrył
ślad Lucienne Berville. Oto w zasięgu ręki miał jej adres.

Oddarł wystający z kasety kawałek papieru i schował jak
relikwią. Nieczuły na otaczający świat, błąkał się po mieście
tocząc z matką rozmowy, układając, co jej powie, a tyle miał
do powiedzenia.

Przysiadł, aby uładzić myśli. W parku publicznym, pod
zielonymi koronami drzew, białą posągą Channinga,
Kościszki, Cassa, Philipa, lecz nie starczyło zaintereso-
wania dla Alei Zasłużonych, nogi niosły na ulicę, gdzie
mieszkała Ona. Pr[^]stawał tam i obserwował skromną
czynszową kamienicę, gdzie żyła Ona.

Przyglądał się wchodzącym i wychodzącym kobietom,
zgadywał, która z nich mogła być Nią. Marzył, że serce jej
podpowie, kto na nią czeka, lecz żadna nie podeszła i nie
powiedziała: - Synu!

- Czego tu szukasz, chłopcze? - Trzeciego dnia
zwrócił uwagę policjanta uruchomionego przez jakąś starszą
panią, wystraszoną uporczywym pojawianiem się młodego
człowieka. Niepokoiły natarczywe oczy ze szczególnym,
nawiedzonym wyrazem, z jakim odprowadzał niemal każdą
kobietę.

- Przyjechałem do matki! - odpowiedział skwapij[^]
wie, z radością, szczęśliwy, że może z kimś podzielić tg' kie
niezwykłe, takie zwyczajne wydarzenie. - Przyjech[^], łem do
matki! - powtórzył wsłuchany w muzykę słówi, uśmiechał się
jak szalony albo święty, w twarzy migi światło.

- To idź do niej - poradził stróż porządku.

- Mam wielką treść - zwierzył się, wciąż z tym
samy[^] nieprzytomnym uśmiechem.

- Nie możesz tu wystawać, synu, ona z pewnością na
ciebie czeka. Idź do niej - policjant pchnął go lekko.

Nieszkodliwy wariat - pomyślał.

- Tak, idę — Uther ruszył do tego domu, który od trzech dni stał mu się bliski jak Boselido, jak dom w Los Angeles. Wypełniało go szczęście i miłość. Niósł matce swoją tęsknotę, swoje przywiązanie i zgodę na wszystko, co się dotychczas wydarzyło. Żadnych wyrzutów.

Wreszcie nacisnął dzwonek pod wizytówką z jej nazwiskiem. Cisza. Stłumione nfiiauczenie kota. Z głębi mieszkania narastające kroki. Huk własnego serca.

- Pan do kogo? - zapytała kobieta, prawie niewidoczna w szparze uchylonych drzwi zabezpieczonych od wewnątrz.

- Do Lucieime Berville - nie tak wyobrażał sobie swoje wejście, nie te słowa przygotował jako pierwsze. Zniweczyła je ostrożność, rezerwa. Strącony z wyżyn uniesienia nie potrafił powiedzieć badawczemu oku w szczelinie: mam, jak sobie wymarzył, więc tylko wymienił jej nazwisko.

- Kim jesteś?

- Uther-Caradoc Stuimington, junior. Pi^bywam z KaUfomii - wyrecytował przestraszony, aby podejrziwa sługa nie zatrzęsła mu drzwi przed nosem. Szczęknął opuszczony łańcuch.

- Wejdz, proszę. - Kobieta wpuściła go do ciemnego f rzedpokoju, powiodła w głąb mieszkania, wskazała fotel obity angielskim kretonem, sama usiadła w drugim.

® Jeszcze zauważył białe tiulowe firanki, poruszane lek- Ijjn wiatrem, i pastelową w barwie, jedwabną suknię podkreślającą kształtną, pełną figurę kobiety.

_ Słucham cię, Uther-Caradoc? - badawczo przyglądały mu się oczy koloru łupku, oczy o egipskim wykoju z twarzy dojrzałej i pięknej, o barwie rozbielonego brązu.

_ Chciałem rozmawiać z missis Lucienne Berville. - Na co czeka ta tępa służąca, niecierpliwił się.

_ Ależ słucham cię! - w uśmiechu błysnęła bielą pysz-

nych zębów. Spoglądał na nią niemądrze, jeszcze nie rozumiał, że ma przed sobą Lucienne Berville.

Był synem czarnej kobiety, był kolorowy! Zdruzgotany odkryciem, nie mógł się odezwać. Z zamętu uczuć nie nazwanych i takich, jakich lepiej nie nazywać, wyłoniło się żenujące doznanie. Zupełnie nie to samo przeciwstawiać się dyskryminacji Murzynów, a nagle stać się jednym z nich.

Nie żywił żadnych uprzedzeń do ludzi o odmiennej barwie skóry, był szczerze przeciwko segregacji rasowej, a jednak w tej chwili dałby wiele, aby jego matka okazała się białą kobietą. Pożałował, że jej szukał, wstydził się tego żalu przed samym sobą i zaraz wybuchła ostra niechęć do ojca.

Skoro uznał syna - Mulata, dlaczego ukrywał przed nim jego pochodzenie? To przez ojca, nieprzygotowany, wychowany na białego sahiba, przeżywa teraz hańbiące uprzedzenie i protest wobec inności rodzonej matki, upokorzenie, którego w sobie nawet nie przeczuwał, uprzedzenie poniżające jego godność, poddające w wątpliwość jego człowieczeństwo.

Jak ratunek wspominał Granni i wszystkie nacje z pogranicza jej starego kraju, o którym opowiadała i z którego on się wiódł. Przywoływał ich t«,.az na pomoc, łych Jaćwingów, Polaków, Tatarów, Litwinów, Żydów, Eusin[^] i Prusów, aby go wsparli w godzinie próby, aby si[^] upodlił niechęcią do własnej matki, tylko dlatego, że jew czarna.

Czuł na sobie jej uważne spojrzenie, nie mógł oderwać oczu od swyci rąk Szukał na nich negroidalnych śladów, przecież powinny być. Zwłaszcza przy nasadzie paznokci ciemny pigment zdradzający nawet najbardziej jasnego mieszańca.

- Jesteś moją matką, Lucienne - powiedział wreszcie. Nie zdobył się na; Mamo, jak sobie wymarzył, i nienawidził się za to.

Teraz ona oniemiała.

- Takie personalia matki mam zapisane w metryce ~ pokazał jej druk otrzymany z komputera. - Proszę, przeczytaj !

- Ach, rozumiem, urodziłeś się w klinice doktora Orla- no Harrocksa, ja tam kiedyś pracowałam, no i zbieżność nazwiska - przebiegła oczyma podany jej kawałek niebieskiej taśmy. Odetchn^a jakby z ulgą. - Byłam pielęgniarką w „Continentalu” i nazywam się Lucienne Berville, ale nie jestem twoją matką, Uther.

- Nie wierzę ci - wewnętrzna walka, jaką stoczył, zamieniła się w czułość do czarnej matki, nie chciał już innej. Doznawał uczucia, jakby ją nie tylko odnalazi, ale i trochę stworzył.

- Ależ, Uther, dlaczego miałabym się wypierać własnego dziecka?

- Ze strachu przed moim ojcem.

- Czarne matki są odważne. Stulecia pracowały na ich odwagę.

- Mój ojciec jest człowiekiem bezwzględny — po raz pierwszy wypowiedział głośno wobec kogoś innego surową opinię o ojcu - potrafi złamać odwagę każdej kobiety-

I _ Przyjrzyj się sobie, nie jesteś Miilatem. Przecież to od I razu widać, chociaż masz czarne wło^ i smagłą cerę.

I _ Dlaczego odeszłaś z „Continentalu”? - zapytał. Do- oiero teraz dotarło do niego, że nazwa szpitala, w którym się urodził, podana jako fakt posiłkowy bezradnemu z brajlu dostatecznycti przesłanek komputerowi, zdecydowała

o wyselekcjonowaniu przez maszynę byłej pielęgniarki tej kliniki.

Miotła nim rozczarowanie, żal i wstyd za małoduszność, za ciemne uprzedzenia i coś jak cień ulgi, że to jednak nie ona. Nienawidził się za tę ulgę, pogardzał sobą, rosła uraza do ojca.

- Byłam nocną pielęgniarką. Czarni pracują w „Continentalu” tylko na nocną zmianę. Po kilku latach musiałam zmienić rj^m. Szkodził.
- Pamiętasz moją matkę?
- Nie pracowałam na położniczym.
- Możesz podać jakieś nazwisko spośród personelu wówczas tam zatrudnionego?
- Nie. Ale porozmawiaj z doktorem Harrocksem. Doktor Orlano Harrocks, wysoki, szczupły mężczyzna, wyglądał na świetnie utrzymaną sześćdziesiątkę i człowieka życzliwego. Przyjął młodego gościa w sposób ujmujący, ale Uther odniósł wrażenie, że o powodach, jakie go tutaj sprowadziły, doktor został już uprzedzony. Z pancерnej kasy, wmurowanej w ścianę gabinetu nie przypominającego w niczym pokoju lekarza, wymoszczonego perskim dywanem, urządzonego antykami, ozdobionego dziełami znanych malarzy, więc z tego sejfu ołdożonego palisandrem, aby nie naruszał harmonii dookolnego markietażu, ordynator kliniki wydobył opasłą księgę, rozłożył ją i wskazał odpowiednią stronicę zapełnioną łacińskim tekstem.
- rodze^
- Oto pierwszy zapis stwierdzający twoje un Przeczytać ci? - pieściwie gładził kartę pokrytą ręczn^ kaligraficznym pismem.
- Wolę sam - Uther przysimął kronikę lecznicy o zwie brzmiącej jak hotel Sheratona i dukał w myśl} przekładając na angielski zapisane tu łacińskie słcwg' Treść adnotacji, oprócz wagi noworodka, nie zawierała nic poza tym, czego by nie wiedział z wypisu aktu urodzeni j sporządzonego przez komputer. ■
- Pamięta pan moją matkę? - natychmiast pożałows pytania. Zaczynał pojmosferać, że traci czas. Tutaj niczego się nie dowie. Równie dobrze mógł rozmawiać z ojcem. 1
- Nie pamiętam. Minęło szesnaście lat, Uther. Od tamtej

pory przez „Continental” przewinęło się bardzo wiele pacjentów.

- Ona umarła przy moim urodzeniu? - badał, niejasno zdając sobie sprawę, że chciał przyłapać doktora na kłamstwie.

Ordynator zawahał się przez мгnienie, za szkłem jego okularów wytężona uwaga Uthera złowiła gotowość potwierdzenia, która jednak natychmiast zgasła.

- Kto ci to powiedział? - zdziwił się. Soczewki, oprawne w cienkie wykwinne złoto, teraz błysnęły dociekliwie.

- Nikt. Tak tylko pomyślałem - wycofał się Uther. Oceń, że postąpił naiwnie, odkrył całą swoją niewiedzę, i odeszła go chęć dalszych pytań.

Zrozumiał. Nie otrzyma żadnej odpowiedzi wybiegającej poza tekst z kroniki tak skwapliwie przedstawionej do wglądu. Sytuacja wydawała się Utherowi nienowa, nieobcy także ten wytworny pan, delikatny i przyjazny. Nie, nie widział go nigdy dotychczas, ale jego zachowanie układało się według znanego cłiłopcju schematu. Tak się do niego odnosili ludzie podporządkowani woli ojca.

Opuścił „Continental” z poczuciem popełnionego błęd. Nie powinien tu przychodzić, a już z pewnością nie powinien rozmawiać z doktorem Orlano. Był pewien, że on [^]vnadomi ojca, gdy ten powróci z Indii.

A więc j[^]li chce u[^]skać, co sobie obmyślił, musi działać szybko. Zaraz. I nie sam. W książce telefonicznej wyszukał adres prywatnego detektywa, specjalisty od spraw cywilnych.

- Chcę znać nazwiska matek, które w „Continentalu” jjrodziły dzieci w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym - podał dzień i miesiąc swego urodzenia.

_ Poszukiwanie rodziców, ustalenie ojcostwa? - sondował fachowiec od spraw dyskretnych.

- Nic ponadto, co powiedziałem.

- Bardzo ekskluzywna klinika, oni dobrze strzegą zawodowych tajemnic. Środkami oficjalnymi niczego tam nie wskóram. Będą duże koszta.

- Skłonny jestem zapłacić dwa tysiące i ani grosza więcej - oferta zabrzmiała stanowczo, suma, nawet jak na tak delikatną usługę, znaczna. Wszystko, co Uther posiadał.

Zlecenie przyjęto, ustalono termin wykonania. Uther przedstawił się zmyślonym nazwiskiem, wpłacił jedną czwartą należności i wyjechał do Nowego Jorku. Ogołocił

konto do zera i dopiero stamtąd zatelefonował do biura ojcowej firmy w Los Angeles.

- Zgubiłem wszystkie pieniądze. Nie mam nawet na powrót - łgał gładko. Pewności siebie dodawała nicobecność ojca. Gdyby był na miejscu, mógłby przybyć sam, przysłać Steve'a albo inną niańkę. Tamci tego nie zrobią, tylko uruchomią środki.

Oczywiście, poinformują ojca. Ale że junior jest gamoń albo kręt, jeśli przejrzą Idamstwo, tata dowie się dopia-o po powrocie z Kaya Kalpa. Błahym, bądź co bądź, wydarzeniem w żadnym razie nie zakłóca szefowi kuracji w indyjskiej odmładzalni.

Nie omylił się. Telegraficznie odtworzono stan jego ostatniego salda, ani o centa więcej i z zastrzeżeniem wysokości jednorazowej wypłaty.

Uther powrócił do Bostonu, zatrzymał się w hotelu po[^] tym samym nieprawdziwym nazwiskiem, jakie podał de-tektywowi, i czekał.

W umówionym terminie, najpierw upewnił się telefonicznie, a następnie stawiał przed facjowcem do sekretnych usług. Uregulował pozostałość rachunku, w zamian otrzymał kopertę, lecz nie zdobył się, aby otworzyć ją ng miejscu. Bał się swoje rozczarowanie czy triumf wydać na pastwę obcych.

- Nawet pan nie zajrzy, co jest w środku? - fachowiec nieufnie zmierzył dziwnego klienta.

- Wierzę panu - wymamrotał Uther i uniósł łup z dala od cudzych oczu. Dopiero kiedy znalazł się sam w hotelowym pokoju, odczytał cztery nazwiska opatrzone lakonicznymi notami.

„Mrs Pasguelina Ewans i mrs Elizalieth Arno-Winter, bank i przemysł miedziowy Bostonu, urodziły synów. Pierwsza o godzinie trzeciej pięć, druga dziesięć minut później.

Lucienne Berville, czarna pielęgniarka tejsze kliniki, powiła o godzinie drugiej osiem chłopca, nadano mu imię Baldwin.

Jadwiga Bartnik-Suragyhka, sprzątaczką nowojorskiego oddziału Standard Oil, o trzeciej piętnaście wydała na świat dziewczynkę. O trzeciej dwadzieścia dwie dziecko zmarło. Ochrzczono je z wody według obrządku rzymsko-katolickiego i nadano imię Cynthia." ,

Uther był wstrząśnięty. Nie istniał w spisie, chociaż

zgodnie ze swoją metyką urodził się w klinice Harrocksa tej samej nocy, co tamte dzieci. Jednocześnie zastanawiały inne fakty.

Czas urodzenia i waga noworodka zapisane w jego curriculum vitae, umieszczonym we wspianiałej księdze odsuniętej mu tak skwapliwie przez Orlano Harrocksa, [^]iędze przesztychowanej sznurami opatrzonymi pieczę- ęją godną traktatów państwo[^]ch, zgadzały się co do joty ² godziną przyjscia na świat i wagą dziedzica przemysłu niedziowego, Douglasa Amo-Winter.

^{rsi:} Lucienne BerviUe wyparła się związków z oddziałem położniczym „Continentalu” tak zupełnie, że nawet nie wspomniała o urodzonym tam synu, rówieśniku Uthera. Sprzątaczką z Nowego Jorku nosiła rodowe nazwisko Granni.

Postanowił odnaleźć tę kobietę.

I'liefart zaczął się w Wiedniu.

Przyjechaliśmy tam we troje. Messer, Prinz i ja. Pieniędzy mieliśmy niewiele, więc aby szybko zdobyć środki, Messer przygotował klasyczny numer: rodowe klejnoty.

Schemat jest prosty i komuś, kto nie widział nas w akcji, nie został wciągnięty w grę stając się przedmiotem i podmiotem działania, może się nawet wydać naiwny. Bo to my osobowością, aktorstwem, siłą przekonywania, czy jak to nazwać, stwarzamy klimat, nadajemy aranżowanym sytuacjom pozory rzeczywistości. Uzwyczajniamy niezwykle. Mamy też dar niezbędny wielkim przywódcom i szarlatanom, budzimy zaufanie i sympatię, nawet jeśli się specjalnie nie staramy. Stąd przezwisko Witka - Messer. Prinz zawdzięcza swoje wyglądowni i manierom. Do mnie przylgnia Barakuda, bo jeśli już upatrzę łup, dostanę go i obiorę do c[^]sta.

Stanęli u Ritza.

Witek, jako krewny po mieczu carów Bułgarii z dynastii Sachsen-Coburg-Gotha, z Prinzem, oddanym stai[^]oin kamerdynierem. Jedyna postać, jaką w tym układzie Prinz

mógł kreować ze względu na swoją koszmarną niemczy[^], nę. I tylko wieku nie musiał udawać.

Ja bezbłędnie mówię wiedeńskim dialektem, więc zosta-
łam doradcą prawnym księcia pana, dependentem znanej tu
kancelarii Rambitscha, mieszczącej się w Okazalji[^] domu na
Praterze. Ani przeczuwał szacowny członek pale» stry, kto
użyczył sobie imienia jego firmy.

Wiemy sługa wystawiał zwierzynę. Znalazł amatora
rodowych klejnotów, odbyto wstępne rozmowy. Przy okazji
nie mogły ująć uwagi dyskretne względy, jakimi u Ritza
otaczano potomka świetnego rodu, spokrewnionego niemal
ze wszystkimi panującymi domami Europy. A to zawsze
sprzyjało dobremu samopoczuciu naszych klientów. I jeśli
tresowany gatimek buldogów, jakim jest hotelowy personel,
kupił naszego księcia, amator nie mógł mieć żadnych
wątpliwości.

Gość przybył z zadatkami, w jego obecności skomunikowa-
no się telefonicznie ze mną. Dlatego warowałam w podłym
pensjonacie, aby wezwana przybyć jako Ratin Berta Sclunidt
z umową mniej wartą niż papier na nią użyty, ale wyglądającą
jak najprawdziwsza.

I zacz[^]o się. Bez zapowiedzi wtargnął drugi
mężczyzna. Lekko utykał.

- Pan się powtarza, mości książę - powiedział przybyły
ze ślicznym nadwiślańskim akcentem.

- Nie przypominam was sobie, mój dobry człowieku -
wycedził Witek swoją elegancką austriacką niemczyzną. -
Proszę wyjść!

- W Warszawie ekscelencja latał za Radziwiłła, tutaj za
rodowodowego Bułgara z przydługą niemiecką przezwą.
Denerwujesz, książę, nioich ludzi - kulas przeszedł na
niemiecki.

- Nie miałem pojęcia, że to pańscy ludzie - zapewnił
Witek.

- Pan wie, kim jestem? - stropił się nasz kulawy los. 110

— Pan jest ten, co rozdaje tu karty.

Nieźle powiedziane. Dokąd? - przybysz zawrócił z drogi do
drzwi Prinza szwarcującego się powolutku
i tnimochodkiem. Pchnął go brutalnie, aż st[^] hamował
nosem. Spojrzeliśmy na siebie z Witkiem, zwątpiliśmy [^]
prinza. Ze strachu zdechł w nim duch.

- Mój ojciec ma chore serce - powiedziałam ponuro. Kulawy diabeł nie wyglądał na faceta, którego można v(@ruszyć. - Czego pan chce?

- Pieniądzy - zaśmiał się Kulawy, przypocliębnie zawtórował milcząco dotychczas nasz rzekomy klient. - Inaczej zawiadomię, kogo trzeba.

- Szantaż - skrzywił się Messer wracając do swego książęcego sposobu bycia.

Przynajmniej wiedzieliśmy już, kto zastąpił nam drogę. Zwyczajne ścierwinki. Policji to oni nie wezwą, z pewnością sami nie posiadają czystej hipoteki. T^lko nie możemy zdradzić stanu naszej kasy. Bez grosza przedstawiamy mniejszą wartość niż skóra zdechłego psa. Ze zwykłej złości za niepowodzenie gotowi nas pobić, obrabować z resztek i na dodatek poszczuć policją, oczywiście anonimowo.

- Jaka suma was zadowoli? - zapytał Messer. Miał minę przedstawiciela banku Morgana. Też zrozumiał tę prostą prawdę. Nie stracił orientacji, tylko Prinz wciąż siedział sflaczały jak porzucona kukidotka.

- Gdzie macie pieniądze? - badał Kulawy.

- W hotelowym depozycie - Witek grał na zwłokę. Guzik mieliśmy w hotelowym depozycie, guzik mieliśmy w ogóle. Ale sejf stwarzał pretekst do w y j s c i a. Tylko oni nie wypuszczą nas razem, najwyżej pojedynczo. W ten sposób mogło uciec wyłącznie jedno z nas. Sytuacja pozostałych stałaby się beznadziejna. Odpada!

Zmier^ć się z nimi niepodobna, fisycznie jesteśmy przegrani. Messer, chociaż nie zdedilak, wygląda przy nich na kurczaka, nie ma żadnych szans. To neandert* Prinz się nie liczy, nawet gdyby nie umarł ze strachu.

lat

Cóż ja. Zawsze podziwiałam dziewczyny z ekranów rzucające chłopem jak workiem. Nie znałam najprosts^m chwytów. Pracuję głową, nie piąchą. TM

Właśnie, głową!

Kulawy i jego asystent są to zwykłe młotki, nie na tylg jednak, aby wypuścić nas wszystkich. Każdego z nich oddzielnie można unieszkodliwić, zwłaszcza działając z zaskoczenia. Więc powinnam wyprowadzić i zgubić jednego, niech Witek radzi sobie z pozostałym.

Messer zażarcie targował się o wysokość okupu, coraz dorzucając trochę do sumy, jakiej nigdy nie widzieliśmy na

oczy. Ale Kulawy chciał wszystko. Ck)ś, co w ogolenie istniało, a co już wmówił mu Messer.

W tym momencie Prinz wszedł do akcji.

- O Jezu - jęknął. Przysięgłabym, że posiniał; ostmał się na kanapkę, na której więdnął, odkąd tak brutalnie Kulas zawrócił go od drzwi. W pierwszej chwili nawet ja uwierzyłam. Starego szlag trafił ze strachu. Ale zaraz zrozumiałam - Prinz rozwijał podrzucony temat: chore serce.

- Nitrogliceryna! - rzuciłam się do sąsiedniego pokoju, wchodzącego w skład apartamentu księcia. Asystent Kulas posterował za mną. Wzięłam nieszkodliwy środek uspokajający, małe proszeczki podobne do nitro, i położyłam Prinzowi pod język.

- Wezwijcie pogotowie! - błagałam, a ł[^] ciekły mi ciurkiem. Nawet nie musiałam się tak bardzo zmuszać do płaczu.

- Najpierw pieniądze, potem możecie telefonować po karetkę - Kulas był niewzruszony.

- Mamy z ojcem dziesięć tysięcy szylingów - użyłam sobie, co mi tam. - A na niego - wskazałam Witka - nie mam wpływu. Który z was pojedzie ze mną?

Młotki popatrzyły po sobie.

F

Gdzie są wasze pieniądze? - zmierzył mnie spojrzeniem

Kulas.

, Przecież nie u Eitza. W kasie u Frau Bauer „Pod Złotą Kotwicą” - wymieniłam nazwisko szefowej i prawdziwy adres tej Arki Noego. Młotki mogły mieć namierzony mój pensjonat, zbyt wiele ryzykowałabym kłamiąc. Co traciłam? Łacłiy. Pozostaną w liotelu, a ja tylko w tym, co mam na sobie. Trudno, szmaty rzecz nabyta, ważna cała skóra. _ Wytraj oczy. Idziemy - zdecydował Kulas.

_ Wezwijcie do ojca lekarza. Błagam! — Koślawy, czułam, zaczynał brać poważnie moją rozpacz. Łzy nadal toczyły się jak groch po mojej nieruchomej twar[^].

- Ilyiko dasz pieniądze i sama wezwiesz spod „Złotej

Kotwicy” - nie ustępował Kulas.

- Pośpiesz się, córko - na przydechu wychiypiał Prinz. Jedyna odzywka, odkąd dostał ataku. Jego piękna głowa, oprószona dystygowaną siwizną, porus[^]ła się z wysiłkiem, z uchylonych ust znów dobywał się tylko ciężki oddech. Nie za ciężki jednak. Prinz grał pytonami. Klasa!

- Jeśli ojciec umrze, nie wyciśniecie ze mnie ani grosza. Przysięgam! - przestałam płakać, przemieniłam się w de- speratkę.

- Nie umrze. W razie pogorszenia kolega wezwie lekarza. - Kulas machnął dłonią w kierunku kamrata. - Sło- Vo!

Kupił moją determinację, niespokojny o pieniądze, do których już się przywiązał, czuł je prawie w kieszeni, dlatego dawał swój szmalcowniczy parol, mniej wart od nieżywej myszy.

Obyś zdechł! razem z kamratem, a ja klnę się na twoje kaprawe oczka, prysnę ci sprzed nosa, tylko muszę pozostawić trochę czasu Witkowi i zwiędłemu z mojej starcowi, który tak jest moim ojcem, jak ty matką.

Obwieś miał na dole wóz. Szpana rozjeżdżała peugotem. Wsiedliśmy. Niedobrze, jeśli mają jeszcze kogoś w odwo-

dzie. Ale nic nie mogłam poradzić. Jedno wiedziały Witek na pewno sprawi się prędko.

Droga „Pod Żłotą Kotwicę” zajęła kwadrans. Chwila zesłała, zanim odświeżyłam kredką usta i przypudrowałam[^] twarz. Kulas nie protestował, wołał, abym usimęła ślady łez. Toteż nic nie podejrzewał, gdy wyciągnęłam flakon perfum i rozpyliłam odrobinę, próbując pulweryzator. A potem siknęłam mu w oczy.

Potrzeba jest matką wynalazku. Nigdy dotychczas nie stosowałam w takim celu wonności Coty’ego, ale poskutkowały. Ścierwnik chwycił się za twarz. Wyskoczyłam na ulicę, za rogiem trafiłam taksówkę.

Strzał z pachnidła zwiększył o kilka minut szanse Witka. Kulas, zanim przejrzy, nie ruszy z powrotem do Ritza.

Po raz pierwszy przydał się awaryjny punkt zborny, jaki zawsze na wszelki wypadek ustanawialiśmy przed podjęciem akcji. W Wiedniu wybór padł na Poczta Główną czynną całą dobie. Kiedy tam wbiegłam, już obaj czekali, podobnie jak ja, bez bagażu, tylko Prinz trzymał wykwinny teczeko-neseser firmy Polskór z miękkiej, cięłej gładzi, sakwojaż do niczego, niepakowny, niepraktyczny i pewno dlatego wielce ceniony przez Prinza. Wyglądał, jakby naprawdę przebył zawał. Witek był zielony.

-Na lotnisko - Messer zawrócił nas ku obrotowym drzwom. Przez trzy tumikiety wlewała się i wylewała nieustanna ciżba. Wsiadamy w pierwszy samolot, na jaki zdążymy.

-Aż tak źle?

-Gorzej nie można - jęknął Witek.

-Zostawiliśmy jatki - wymamrotał Prinz.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Złapaliśmy taksówkę i z duszą na ramieniu opuszczaliśmy miasto. Oprócz rozściecej, nie wiadomo jak licznej hewiy, lada moment nogliśmy mieć na karku policję.

Skrywały nas świeże dokumenty, bo do numeru z księ

ciem mieliśmy inne, i wygląd. Wittek bez charakteryzacji, był, czym był, młodym szatynem o miłej powierzchowności. Prinz, po zdjęciu srebrzystej czupryny, łysym gościem po sześćdziesiątce, z zapadłymi policzkami. Dla lepszej mimiki wyjął sztuczną szczękę, co zmieniło układ twarzy i dykcję.

Mnie nie widywano u Ritza, a „Pod Żłotą Kotwicą” z zasady starałam się nie wliodzić ludziom w oczy. Na wszelki wypadek pozostawiłam w ulicznej śmietniczce blond perukę i zmyłam dyskretny makijaż, jaki nosiłam jako młoda mecenaska. Bez retuszów miałam twarz tysiąca, ani brzydką, ani ładną. Twarz, z którą można zrobić wszystko.

To nas chroniło, ale ścierwnikom już nic nie przeszkadzało natychmiast wykonać anonimowy telefon do najbliższego komisariatu. A jeśli policja trafiła do Ritza, już na nas polują posterunki na dworcach i w aeroportach.

Do kas na lotnisko weszliśmy oddzielnie, w samolocie także udawaliśmy obcych. Zdążyliśmy na rejsowy lot do Paryża.

Zamieszkaliśmy w Marais.

Przytuliła nas stara czynszówka, żarta przez grzyb i karakony. Witka z Prinzem w suterenie. Mnie pod samym dachem w kojcu nieco większym niż gołębnik. Nie znosiłam mieszkania w gromadzie, a i taktycznie lepiej było oddzielnie. Wolałam facjatkę z uchylanym stropem z grubego szkła w metalowej ramie, a Prinz bał się ośmiu pięter bez windy. Witkowi nie robiło różnicy, więc zapadli jak krety.

Nadciągała jesień dmąca zimnymi wiatrami, jeszcze zwiększającymi wieczne przeciągi w timelach metra, rosząca Paiż deszczami, nieraz po kilka razy dziennie, czego nie podawano nigdy i nigdzie w żadnych reklamowych edycjach zachęcających do odwiedzania stolicy świata.

Byliśmy wolni, bez ubrania, bez pieniędzy.

f

Prinz dostał różyczki. Dotychczas myślałam, że to cho5 roba dzieci. Na zmianę trząsł się w febrze, miotał rozpalą ny pod wielbłądzim pledem, jaki wbrew protestom obu męczyzn kupiłam na pchlim targu. Tanio. Kontraband{(z Maroka.

Resztę zasobów rozszarpał lekarz do spółki z apteką. A musiałam lepiej karmić Prinza powoli przychodzącej do zdrowia. Z Witkiem obywaliśmy się byle czym. Żywiłam nas najtaniej, jak można, jadaliśmy biblijnie: garść oliwek,

kawałek sera albo puszka sardynek i po szklanej wina na cały dzień. Mimo to reszta pieniędzy topniała) przerażająco prędko.

Nic nie zarabialiśmy.

Witek tylko w bieliźnie, oszczędzał jedyne ubranie, j zawinięty w koc, wylegiwał się po całych dniach ze spojrzeniem utkwionym w sufit. Nie odzywał się, apatyczny, jakby ciągle śpiący. Nawet jedzenia, żebym nie podstawiła pod nos, nie wziąłby sam. Popadł w depresję.

- Straciłeś węch, jesteś do niczego. Jak mogłeś nie rozpoznać ścierwnika - ożył Messer, kiedy Prinz trochę wydobrzył.

- Też nie rozpoznałeś - bronił się stary.

- *Ty* wystawiałeś zwierzynę. Nie mogłem być wszędzie - wypominał Witek. Szukał winnego, musiał mieć winnego, żeby usprawiedliwić niepowodzenie, które zachwiało jego wiarę we własną gwiazdę. Neurasteniczny, chorobliwie ambitny, zadufany w swoje mistrzostwo, przesądny jak szaman. Cierpiał.

- Pójdiesz do konsulatu jako ofiara kradzieÅ^ . Uwierzą. Odeślą cię do kraju na koszt ojczyzny. Twoja głupia morda to twój jedyny atut - znęcał się Messer.

Nieprawda. Prinz miał wygląd intelektualisty i mimo czterdziestu lat uprawiania szalbierstwa nigdy nie dał się złapać.

I

_ Nic niewart, pechowy i nielojalny - oskarżał Messer. - rJaprowadza ścierwnika, a potem ucieka, nas porzucając na pastwę.

_ Chciałem się wydostać, zrobić zamieszanie. Trochę dymu na korytarzu, pali się! panika. Nie wyszło. AJe jak dziewczyna - tak mnie nazywał, moje przezwisko czemuś mu nie odpowiadało - podzuciła zawał, zaraz robiłem zawał.

- Lepiej ćwicz ataki padaczki. Jak znalazł na przyszłość - miałam już dość tych sfrustrowanych chłopców i codziennego pytania, skąd wziąć na obiad.

- A Messer karate. Żał się. Boże, co z niego za kara tek— odgryzł się, na ogół potulny Prinz.

Zaraz po moim wyjściu z Kulawym Witek rozwijał temat: złamał się, pójdzie po pieniądze, jeśli ścierwnik wezwie pogotowie.

- Nim odbiorę gotówkę, łapiduchy wywiozą starego - przekonywał Messer - a ty możesz iść ze mną.

Tamten się wahał.

- Pozwól, sam zatelefonuję - Messer potrzebował pretekstu do przejścia kilku kroków dzielących go od ścierwnika.

- Dobra, zadzwonię - zdecydował się obwieść. Pochyłego nad aparatem Messer zdzielił kantem dłoni w kark. Asystent Kulasa upadł, ale zaraz próbował wstać i byłby to zrobił, tylko przytomnie interweniował Prinz kominkowym ożogiem i ścierwnik zalany krwią nmał jak wór z piaskiem, a Prinz oszalał. Tłukł leżącego, zanim Witek zdołał wydrzeć mu pogrzebacz.

- Ze strachu chyba zabił faceta. - Messer robił się chory na samą myśl, co pozostawiliśmy za sobą w Wiedniu. Ja też.

- Może miałem czekać, aż nas wymorduje - płacźliwie usprawiedliwiał się Prinz. On z nas trojga bał się najbardziej.

1

- Nie musiałeś walić jak w bęben - wypominał MesserJ
Od cłiwili przyjazdu do Paryża codziennie kupowała^

wiedeńskie popołudniówki. Dopiero po kilku dniach prz[^] czytaliśmy;

„Porachunki perwersów w apartamencie opuszczonyj* przez rzekomego księcia i jego kamerdynera! - krzyczał tytuł. - Uwagę detektywa hotelowego zwrócił dziwnie wyglądający, bardzo mocno uperfumowany mężczyzna[^] Później w toku śledztwa laboratorium policyjne ustaliło nawet rodzaj wonności używanych przez podejrz[^] nego. Był to fiołek parmeński, zapach dla pań, firmy Coty.

W nimierze, z którego uciekał mężczyzna stosujący kobiece perfumy, znaleziono jego ofiarę z pękniętą podstawą czaszki. Sprawca zaprzecza, jakoby był pederastą, lecz nie potrafi wyjaśnić, co robił i dlaczego zbiegł z pokoiów samozwańczego księcia. Człowiek zapisany w recepcji jako dziedzic wielkiego nazwiska znikł razem ze służącym, zapominając zapłacić rachunek. Podany przezeń adres zamieszkania okazał się fałszywy.

Prowadzący śledztwo inspektor Zeno Kansl[^] podejrzewa, że są to porachunki ludzi z marginesu społecznego. Życiu poszkodowanego już nie grozi niebezpieczeństwo. Śledztwo trwa.”

- Niech go ospa zatłucze, byle nie my. Odpukać - mruzczał Prinz i bębnił w spróchniały filong, z którego złuszczyła się farba.

- Pomódl się za jego ozdrowienie - odetchnął Messer na wiadomość, że ścierwnik ocalał. /

Poczuliśmy się lepiej. Z doniesień prasowych nie wynikało, aby inspektor Zeno Kansky miał szanse dobrać się do nas. Podałam na strzępki i wyrzuciłam wiedeńskie dzienniki i na wszelki wypadek postanowiłam zmienić rodzaj

r

rfum, gdy już będę miała je za co kupić. A tamte długo
[^]pamięta ścierwnik i inspektor Zeno Kansky.

Messer przestał napadać na Prinaa, już nie wysyłał go do konsulatu po bezfdlatny bilet do ojczyzny, tylko w najlepszej

zgodzie zaczęli razem wychodzić do miasta. Z jednej
2 wypraw przynieśli jesienne okrycia w zupełnie ładnym
gatunku. Mnie przypadła w udziale szykowna peleryna z
lekkiej angorskiej wełny. Odwrócona na lewą stronę i
uzupełniona paskiem z miękkiego zamszu przekształciła się
w płaszcz w beżowo-wrzosową kratę.

- Szalbiertwo u Lafayette'a - poinformował Prinz. - Ra-
zem dostaliśmy jeszcze przeszło p^ora tysiąca reszty.

- Kompletna deklasacja, co? - niby zakpił Messer, ale
rzeczywiście czuł się jak zdetronizowany szach perski.

Wieczorem poszliśmy do „Wesołego Barana”, arabskiej
knajpy na sąsiedniej ulicy, i każdy dostał jagnięcy szaszłyk z
górami ryżu i karafką wina.

Podniesieni na duchu i obzarci jak pytony powróciliśmy
do swoich kojców, jednak następnego dnia znów wdrożyłam
dięty i znów siedzieliśmy cicho. Ale nie mogliśmy czekać, aż
nas wygoni prawdziwy głód.

I tak przedstawiało się dostatecznie źle, startowaliśmy
spod kreski. Dobry kant to natchnienie, okazja, na którą
niekiedy trzeba długo czekać. Najlepiej, gdy trafia w jakieś
zapotrzebowanie lub jeśli się owo zapotrzebowanie zain-
spiruje. My byliśmy na przymusie. Aby działać w środowisku
posiadającym pieniądze, potrzebowaliśmy pieniędzy.
Perpetuum mobile. Tymczasem, walczyliśmy o przetrwanie.
Musieliśmy skoczyć, urwać kęs największy, jaki się dało, i
znowu zaleć.

Messer zarządził akcję „narkoman”. Ja wystawiałam
zwierzynę. Pomysł nie epokowy, ale miał pewne zalety.
Niewielkie nakłady i mimo wszystko, jeśli oczywiście nie
przeholować, bezpieczniejszy od sztuczek w wielkich do-

mach towarowych obwarowanych okami kamer, fotokó[^]
mórką i specjalną służbą.

Ale przy tym uderzeniu w razie porażki oscylowaliliśmy
między wściekłością policji a zemstą facetów biorących
procent od dziewczyn uprawiających nierząd zawodowo[^]

O powodzeniu decydował wybór odpowiedniego klifl
enta, co zależało wyłącznie ode mnie, od mojej znajomości
ludzi. A ja ich znam. Z tą wiedzą chyba przyszedłam na świat.¹
Zmysł! Jak słuch, wzrok czy węch. Albo jak kalectwo, H
często przeszkadza. Człowiek jest bardzo samotny widząc
innych odsłoniętych, przezroczystych. Przejierają myśli, J
pragnienia, cała ta psychiczna fizjologia. Bebechy.

Wkroczyłam w okolice placu Madeleine, w dzielnicę
elegancką, gdzie w enklawie uliczek w pobliżu Champs
Élysees, w równie eleganckich hotelach, wynajmuje się,
pokoje na godziny.

Promenowałam, jak to czyniło kilka dam, trasą 1 w
kształcie nieregularnego rombu, skąd po zrobieniu rundy
trafiałam pod pensjonat „Rose” na Faubourg Saint Honoré.

-Nowa? - zatrzymała mnie dziewczyna ubrana nie
wyzywająco, jak zresztą one tu wszystkie w pobliżu Made-
leine. Ich zawód, gdy chciały, zdradzał sposób poruszania
się, gest, spojrzenie, a nie przesadny makijaż czy strój.

-Tak, madame.

-Nazywają mnie Pudel - wymieniła ksywę.

-Barakuda - zrewanżowałam się - ale możesz mi nówić:
Fela.

-Na naszym wybiegu taksa siedemset franków. Dwa-
Iziesięć pięć procent bierze Armand. Zapytasz o niego pod
:oniec dnia w barze „Rose”. Nie ma sensu kręcić. Hotelo-
pedle nie przeoczą żadnego klienta. Powodzenia!

Weszłam do „Rose”. W recepcji, pod tablicą z kluczami,
dłgodzony kantorem czytał gazetę starszy pan.

-Proszę odliczyć - położyłam pieniądze na blacie -

R

przyjdę najpierw z jednym klientem, a w ogóle będzie trzech.

_ Rozumiem - tego już nic nie mogło zdziwić.

_ Dwaj wejdą oddzielnie. Płochliwi.

- Słuchaj, mała, nigdy cię nie widziałem. Pamiętaj, to przyzwoity hotel, żadnych awantur!

, Biegam w barwach Armada.

_ W porządku - uśmiechnął się porozumiewawczo.

Nie trwało długo i trafiłam gościa, jakiego potrzebowaliśmy. Wyglądał na średniego boui^eois z prowincji. Przy okazji załatwiania interesów w stolicy przyszedł na porubstwo dyskretne, lecz nie za kosztowne, inaczej kupiłby sobie wieczór z call-girl.

Ubranie w najlepszym gatunku, ale niezbyt modne, złoty zegarek oprawny w złotą, grubą bransoletę, dyndającą na przegubie, i sygnet z czerwonym okiem. Jaśniejszy pasek na serdecznym palcu zdradzał miejsce po zdjętej obrączce. Jakby ten naiwny wybieg był mu potrzebny na bulwarze Saint Honoré albo uwalniał od lojalności wobec kobiety, z którą żył najpewniej związany porządnym katolickim małżeństwem.

Poczucie winy i chęć uzycia leżały mu na głębie, małomiasteczkowy mister Jekyll i Hyde. O-Hyde-k ma sobie za złe pobłażanie skłonnościom uważanym za naganne, lecz nie może się, im oprzeć. Teraz, kiedy już się zdecydował, mimo wszystko rad z siebie dreptał dziarsko ku zakazanym rozkoszom.

- Ceny stałe, płacisz z *góry* - powiedziałam, gdy usiłował się targować.

Weszliśmy do „Rose”.

W recepcji uregulował należność za pokój i pochylony nad księgą gości marudził wymyślając fałszywe nazwisko, jakie zamierzał wpisać do rejestru. Pedel mrugnął do mnie i za plecami mojego klienta uniósł rękę pokazując capa. Środkowe palce przyciśnięte do dłoni kciukiem, wskazujący i mały wyprostowane jak różki. Gest obelżywy, czający rogakca.

f

Ledwo zdjęłam żakiet nobliwego kostiumu wiedeńskiej mecenaski - innej sukienki jeszcze nie miałam - który razem z właścicielką schodził na psy, kiedy do pokoju wtargnął

Messer z Prinzem.

- Policja obyczajowa. Dokumenty proszę - zażądał Witek jak najprawdziwszy glina i mignął nam znacznikiem spod klapy płaszcza, firmową plakieta domu towarowego, podobną w kształcie i kolorze do policyjnej.

Prinz przekręcił klucz w zamku i bez słowa oparł się o futrynę. Pewno, jego francuski był, jak i jego niemiecki. Więc mógł wystąpić tylko drugoplanowo jako małomówny pomocnik.

- Degueulasserie! Tak płoszyć klienta-byłam eleganczką dziewczyną w wytwornej dzielnicy, kłęłam z umiarem. Podałam Messerowi paszport. On wyrwał mi z rąk torebkę, wytrząsnął z niej drobiazgi i drapieźnie chwycił szklaną fiolkę, którą sama jeszcze wczoraj napefniłam pod korek kwaskiem cytrynowym. Białe, miały proszek wyglądał rasowo.

Mój o-Hyde-k przyglądał się scenie z osłupieniem, widok rurki z sypką zawartością przyprawił go o panikę. Trzęsącymi się rękoma, pobladły, wyszarpywał z kieszeni swój certyfikat.

Witek schował nasze dokumenty.

- Co pan robi, monsieur le commissaire? - jęknął nie-szczęśnik.

- Jesteś sierżantem - skromnie sprostował Wicio. - Idziemy do komisariatu.

- Pan nie ma prawa! - Messer wysłuchał, czego nie ma prawa robić policja Republiki, a przede wszystkim nie ma prawa zatrzymywać jego, monsieur takiego i takiego, cukiernika z Alençon.

A

- Pan nie został zatrzymany - zapewnił Messer. Otóż

obywatela fatyguje się na chwilę dla złożenia wyjaśnień, obna formalność administracyjną. W komisariacie spiesz się personalia jego i dziewczyny uprawiającej nierząd zawodowo i podejrzanej o handel narkotykami.

_ Złożę skargę! - dławiał się oburzeniem obywatel Alen-
ji _ Ja nie mam z tym nic wspólnego! Niech ona sama powie! - żądał zrozpaczony i wściekły.

„Jej świadectwo nie ma żadnego znaczenia, jest zatrzymana. Odprowadzić! - skinął na Prinza.

_ Idziemy - powiedział Prinz jedno z niewielu słów, jakie wymawiał z dobrym akcentem, i otworzył przede mną drzwi.

Na Witka zaczekaliśmy „Pod Wesołym Baranem”. Przyjechał zaraz. Cukiernik z Alenęon okupił się kilkunastoma tysiącami.

Przysięgłam sobie nigdy więcej tego nie robić i nie pokazywać się w pobliżu Madeleine. I lko wieczorem pojechałam dopełnić zobowiązań finansowych wobec Armanda. Nie należało prowokować go do poszukiwań mnie. Osobliwy syndykat, jaki reprezentował Armand na bulwarze Saint Honorś, konsekwentnie dba o dyscyplinę, a nieposłusznych karze okrutnie. Jeszcze okrutniej zostałabym potraktowana, gdyby ujawniono prawdę. No, ale pewna byłam, mój o-Hyde-k nikomu się nie zwierzył z przygody, zwłaszcza w „Rose”, skąd Witek wyprowadził go dyskretnie, a on nawet poczuł wdzięczność dla rzekomego policjanta za jego takt.

- ęa va! - przywitał mnie w barze „Rose” brodaty blondyn o wyglądzie kontestatora. Siedział nad kieliszkiem wina, ubrany w międzynarodowy uniform, spodnie amerykańskich farmerów, z brelokami na łańcuszkach, podzwaniającymi na norweskim swetrze.

- Zgadza się - Armand przeliczył podane pieniądze i dziobnął palcem w notes, żebym nie przeoczyła jego doskonałej ewidencji. Przy pierwszej literze mojego imienia podanego Pudlowi miał zapisaną cyfrę trzy i należy procent.

- Zostaniesz w naszej dzielnicy?

- Zastanowię się - powiedziałam. Nigdy, pomyślałam. Tu można zapolować raz, częstsze kłusowanie jest samobójstwem. Za płoszenie klientów w takich rezerwatach na całym świecie karze się bezlitośnie.

- Zawsze będziesz mile widziana - uśmiechnął się jał

gwiazdor i już wołał swoje „ęa va!” - do jakiejś innej, która właśnie pojawiła się w drzwiach baru.

Namyślaliśmy się, co dalej.

- Boję się - powiedział Prinz. I ja się bałam. W naszym fachu można się bać po fakcie, jeśli przed, lepiej nie zaczynać, łatwo się potknąć.

Co się stało? Żadna moja gra nie była bezpieczna. Zawsze poruszałam się między dwoma ostrzami. Policją i wściekłością oszwabionych, a nigdy nie doznawałam strachu przed robotą. Trema - tak, pewne miłe nawet spięcie - tak, przy całej świadomości konsekwencji, ale nie to obezwładniające uczucie, jakbym stanowiła nieruchomy cel na idealnej płaszczyźnie. Aż tak zaszkodził mi Wiedeń?

- Więcej nie chcę podrabiać policjanta - odrzekła się Prinz i odpukiwał w ten swój oblaży z farby filong. - Weźmy coś zupełnie spokojnego. Rozmiana pieniędzy albo pomyłka kasowa - podsuwał ograne chwytły małych szalbierzy. Jeden polegający na zęcności manualnej. drugi na wmówieniu, a nawet udowodnieniu, że należy się reszta z banknotu o wyższym nominale, niż się wpłaciło.

- Zupełne dno - zachnął się Messer.

- Beze mnie - poparłam go. Przy tego rodzaju wydłużeniach, praktykowanych w ruchliwych sklepach, jedno musi grać bezstronnego świadka, najlepsza jest młoda kobieta przy nadziei albo objuczona zakupami gospodyni domniowa. Chw[^] psychologiczny, te postaci budzą najwię- jfsze zaufanie i są poza podejrzeniem o znowę.

_ O co wam chodzi? - denerwował się Prinz.

- Są pewne rzeczy, których nie robię. Nieliczne, ale są. I to jest właśnie taka rzecz.

_ Ona ma się za coś lepszego od zwykłego oszusta! - obruszył się Prinz.

- Oczywiście. Jestem oszustem niezwykłym.

_ Zwłaszcza na deptaku Faubourg Saint Honore błyszczalas[^] niezwykłością! A wiesz, z ilu to paragrafów!

Princ był specjalistą od kodeksów karnych kilku państw europejskich. Czytał biegle w wielu językach, ale w ża- (Jnym nie potrafił się wysłowić porządnie. Gdyby nie ten mankament, ominęłaby nas bieda w Wiedniu, bo ja jako sekretarka księcia pewnie bym przejrzała ścierwnika, a Prinz w charakterze plenipotenta prezentowałby znakomitość.

- Gość idący na dziwki godzi się z pewnym ryzykiem,

natomiast kasjerka nie szuka przygody. Odpowiada materialnie. Nie będą jej odbierała chleba.

Znów siedzieliśmy cicho.

Uchodziliśmy za ludzi znających się tylko z sąsiedztwa, więc i z tego powodu nie spotykaliśmy się za często. Ale jeśli nie łączyło nas wspólne działanie, w ogóle nie przepadaliliśmy za swoim towarzystwem. Próżnowaliśmy bardzo odmiennie. Prinz, jeśli nie spał albo nie perorował przed szerszym audytorium, czytywał dzieła prawnicze. Messer po całych dniach włóczył się po mieście. Podpatrywał ludzi i domy. Jak pies musiał wszystkiego dotknąć nosem.

Ja przesiadywałam w Centrum Kultury, przezywanym Rafinerią, wzniesionym w miejscu odeszłych w legendę hal. Nigdy ich nie widziałam. W Paryżu popasałam po raz pierwszy.

W Centrum, pomijając jego bryłę - jednych zachwyca.

1

inni plują - zgromadzono wiele rzeczy, o których nabieci[^] się wyobrażenia dopiero wówczas, gdy widzi się je w orygi[^] nale. Zwłaszcza dzieła sztuki. Centrum nie nudząc UCEJ, A ja jestem samoukiem. Na piątym piętrze imiieszcz^{o*} kawiarnię, gdzie można też zjeść bardzo tanio. I wszędyS jest ciepło. Spędzałam tam całe dni, żywiłam się frytkami i kulturą. Dopiero na noc ściągałam do Marais.

- Zaproś mnie do siebie - zaczepił mnie młody mąż, czyzna podczas jednego z takich wieczornych powro. tów.
- A wiesz, nie ma mnie w domu - chciałam go wyminąć.
- Nie szukam dziewczyny.
- Masz pecha. Nie jestem chłopcem.
- Potrzebujesz pieniędzy - ciągnął niezrażony.
- A ty chcesz je dać, tak?
- Możesz u mnie zarobić.
- Dlaczego właśnie ja!
- Masz dużo czasu i mało kapitałów - powiedział. - A na Faubourg Saint Honoré też się nie obłowiłaś.
- Nie, nie obłowiłam. Jesteś od Armanda? - ścierplart[^] czyżby namierzili moje kłusownictwo! Rozglądałam się, gdzie by tu przysnąć.
- Nie. Przypadkowo zwróciłem na ciebie uwagę. Wy-

glądałaś na debiutantkę. Zaciekawiłaś mnie, później przyglądałem ci się jeszcze trochę.

- Łaziłeś za mną! - Niedobrze, na bulwarze Saint Honore miałam inny kolor włosów, byłam tylko przez | jedno popołudnie i chwilę wieczorem w barze „Kose”. Mimo to wytropił mnie aż na Marais. Niepokoiliam się, jakie też już informacje zgromadził o mnie.

- Muszę coś wiedzieć o człowieku, zanim zaproponuję robotę - powiedział.

Od wielu dni obserwował mnie w Centrum, wiedział nawet, co jadałam. Znał adres. Przesiadywanie w Rafinerii i na okrągło fiytki zorientowały go dość dokładnie w mojej

r

cvtuacji- Teraz zaczepił mnie pod domem i zaprosił się na oia mansardę. Nie miałam odwagi spławić go, a ipotrzej;walam grosza.

_ Nie interesuje mme, co cię łączy z mężczyznami mieszającymi w suterenie, ale żądam absolutnej dyskrecji.

_ Jasne. Co masz dla mnie?

__ od czasu do czasu zanieziesz paczkę pod wskazany adres. Za każdym razem otrzymasz tysiąc franków.

- Hojny jesteś jak herszt złodziei. Mało.

Milczał. Przyglądał mi się. potem wymownie omiółł yj^kiem moją nędzę. Jedyny płaszcz na kołku, ramiącz- ko z sukienką na zmianę, samotną parę pantofli przy progu i frotowy szlafrok przerzucony przez szczytek łóżka. Nie wyglądałam na osobę mogącą dyktować wanmki.

- Nie stawiaj się. Masz coś lepszego?

- Mam. Picasso i Celnik Russo, Wasilij Kandijskij i Marcel Duchamps w Rafinerii. Dwa lysiące! Za mniej nie tknę twoich paczek.

- Nie wiem, czy jesteś dość dobra. Musiałbym się przekonąć.

- Owszem. Jestem. Ale dotkliwie brak mi pieniędzy i tylko dlatego możesz mnie mieć za dwa. I nie targuj się, bo z pewnością każesz na każdą rajzę inaczej się ubierać i udawać, że ja to nie ja.

- Skąd wiesz?

- Jestem myślącą trzcina. Tak powiedział o człowieku jeden tutejszy. A kto o lym wie, jest inteligentny. Ergo, jestem

inteligentna. To znac[^], na moją szatnię wyłożysz oddzielnie. Wspomniana suma stanowi wyłącznie honorarium.

- Należy bardzo uważać na policję.

- Domyślam się. Zwyczajnym tragarzom nie płaci się dwóch tysięcy za Inirs.

- Jeszcze ci ich nie dałem.

- Ale dasz, bo tak tanio nie trafisz nikogo. T[^]lko jeśli już nie będę miała chęci biegać za posłańca, zastrzega[^], sobie możliwość spokojnego porzucenia zajęcia.

- Jeszcze nie zaczęłaś, a już myślisz o zaniechaniu!

- Nie znoszę niewoli. Muszę mieć zgodę na rozstaj w każdej chwili. Inaczej nie podejmę tej pracy.

- No, nie tak od razu. Po uprzedzeniu osoby, które będziesz dostarczać towar. Nie pjasz, co?[^]

- Jeśli mam wiedzieć, sam powiesz. - Nie powiedzie i jg wolałam pozostać nieświadoma.

Przystał na moje warunki, więcej go nie widziałam.

Nadal przesiadywałam w Rafinerii, co jakiś czas, zawsze o innej godzinie, przy którymś ze stolików, gd[^]ję jadło się na stojąco, odszukiwał mnie ktoś nieznamy.

Do mnie należało zająć dwa miejsca i poło[^]c na wierzchu torebkę. Nosiłam duże, kopertowe, akurat modne. Nigdy nie czekałam, łącznik przychodził co do sekundy.'

- Pozwoli pani wypić kawę - mówił wskazując to wolne miejsce. Odzywka nie była żadnym hasłem, znaczyła, co wyrażęła.

Przyzwalałam, gość łykał zawartość filizaneczki trochę większej od naparstka i zniknął. Pozostawałam jeszcze trochę. Odchodząc, tak podnosiłam torebkę, aby razem zabrać niepostrzeżenie wsuniętą pod nią tabliczkę, czasami dwie, czekolady Sucharda, za każdym razem pozostawianej przez przelotnego gościa. Tak wyglądały przesyłki, łudzaco uformowane i opakowane na obraz i podobieństwo wyrobów znanej firmy.

Oddawałam je w restauracji hotelu „Rose” przy Faubourg Saint Honore. Nieraz widywałam tam Pudła, mijała mnie obojętnie, i Armanda, nigdy nie obdarzył mnie swoim: „ęava!” Nie poznawał. Widział mnie raz, wieczorem, upodobnioną do jego dziewczyn. Teraz przychodziła do „Rose” osoba niepozorna, nijaka, nie zwracająca niczyjej

,ogi Albo imperium, jakiemu służyła, wykluczało ;Tzelką poufałość.

Upowiedziałam Messera. Trzymali się ode mnie z daleka, lenie przerywałam ryzykownego zajęcia. Podobnie rzecz ma się z jedzeniem słonych paluszków albo łuskaniem pestek-wciaga.

Jeszcze jeden raz, mówiłam sobie odbierając zapłatę pjzy barze w „Rose”, razem z wydawaną resztą, bo po przekazaniu czekolady zawsze zamawiałam kieliszek per- poda, czego nie znosiłam. Należał do reguł ustalonych przez faceta, który mnie zaangażował. Nie wiem, czemu nie mogło być co innego zamiast ohydnej zielonkawej cieczy, bielejącej jak mleko po dobraniu wodą, zajeżdżającej anyżkiem. Cyfry na rachunku za ten specjał informowały o dniu i godzinie mego następnego spotkania z łącznikiem w Centrum.

I doczekałam się.

Zgarnięto nas z Rafinerii. Trochę się pośpieszono albo bardziej zależało im na łączniku niż na mnie. W każdym razie on nie umieścił jeszcze tabliczek Sucharda pod moją torebką i dowód obciążał tylko jego. Teoretycznie pozosta- wałam czysta, lecz nie przeceniałam szczęśliwej okoliczności. Mogli za mną chodzić od dawna. Zupełne wyłganie przedstawiało się problematycznie.

Jestem cudzoziemką, nie muszę się chwalić swoim fran- cuskim, będę go kaleczyć i źle rozumieć. Inie mam pojęcia, 0 co chodzi. Jeśli się tylko nadarzy sposobność, dać nogę - ustawiałam się, kiedy mnie więzli.

- Proszę dokumenty - zażądał szpakowaty pan w pokoju z oknem zabezpieczonym siatką, ponvirym jak cela.

- Nieporozumienie, mon commissaire. Mam ważną wizę i pozwolenie na pracę - podsunęłam mu papiery, moje znakomite papiery. Dziobałam palcem w odnośne rubryki 1 bełkotałam w zmurzyniałej francuszczyźnie, gęsto wtrą- cając serbskie zwroty. Zgnębiona, zdeorientowana i rażona. No, nastroju nie nusiałam udawać, w takie opaj^ dostałam się po raz pierwszy.

- Obywatelstwo? - szpakowaty kartkował paszpoj^ Przecież nie dam się złapać na abecadle, tylko dlaczego razu podejrzewa mnie o nieprawdziwy patent. Rutyna rysopis z Wiednia czy jeszcze co innego, czego nie potrafią odgadnąć.

- Jugosłowiańskie. Z pochodzenia Serbka. Lica Milo- vić. Stud...

- Kim jest mężczyzna, z którym się spotkałaś? - chciał wiedzieć szpakowaty. Ja też.

- Garçon, jamais! Jestem porządną dziewczyną! - oburzyłam się. Niedostatecznie znając język mogłam właśnie tak zinterpretować jego pytanie. - Studentka! W Center pomoce naukowe korzystać. Kasety video, taśmy, doskonalenie mowy, sztuka.

- Niczego nie rozumiesz! - Zaczynaliśmy gadać jak gęś z prosięciem. Nieźle. Niech się wścieknie i dojrzej do tłumacza.

- Co studiujesz?

- La Sorbonne - nadęłam się triumfalnie i sypnęłam w niego serbskim.

Na pusty blat biurka z prostokątem kiedyś zielonko sukna cisnął kartonową teczkę. Wyciągnął fotografie.

- Skąd go znasz? - w>'skandował wolno i podsunął mi zdjęcie. W dwóch ujęciach, en face i z profilu, nad potylicą policyjna miarka, nad ogoloną głową numerek. Gęba zwyrodnialca. Na tych kryminalnych podobiznach nikt inaczej nie wygląda. Pierwszy wyrok feruje obiektyw urzędu śledczego. Coś o tym wiem, mój tatuś miewał podobne.

- Kto to może być? - mruczałam po serbsku. Wpatrywałam się w degenerata długo i uważnie, demonstrując bezmiar dobrej woli. Patrz, Fela, patrz! Jeśli nie stanie się cud czegoś nie v^myslisz, zrobią ci takie samo z po- działką i szykownymi cyferkami.

„ Nie wiedzieć - potrząsnęłam głową. Prawie nie kłajałam. Wynaturzeniec w kadrze bardzo odległe przypo- „jinał łącznika, z któiy mnie nakryli.

Szpakowaty wyciągnął inne portrety podobnych okrop- różnej płci. Paru dałoby się rozpoznać. Doręczali albo odbierali owe tabliczki w opakowaniu Sucharda, ale gapiłam się tępo w tę plejadę gwiazd, gotowa prędkiej dać się zamknąć, niż przyznać bodaj do jednego.

Zwłóczyłam.

Nie miałam pojęcia, jak się mam ratować i czy uda się czegokolwiek dokonać. Zysk na czasie na pewno nie zaszkodzi i może się *coś* sprzyjającego wydarzyć. Niech komisarz popadnie w bezradność i zażąda tłumacza. Chyba nie ma pod ręką nikogo ze znajomością serbskiego. Byłby to wyjątkowo jadowity pech.

Niespodziewanie ryknął, jakby usiadł na pinezkach. Na

mnie. Dla większej grozy huknął pięścią w stoczone przez komiki biurko. Myślałam, że buchnie z niego tuman próchna, z biurka, nie z komisarza. Ale wytrzymało.

- Pan si[^] nie gniewać, mon commissaire, ja niewinna! - zawołałam z rozpaczą i przerażeniem. Wypadało bardzo się przestraszyć, skoro wyraźnie tego sobie życzył.

Załam się. Nacisnął dzwonek umieszczony na owym wyleniałym meblu. Wszedł młody w golfie.

- Przekłęci cudzoziemcy! - zżymał się mój komisarz. - Znam angielski, hiszpański i włoski, ale ta idiotka mówi tylko po serbsku, no i wydaje się jej, że umie po francusku.

Właśnie dlatego, mon commissaire, lubię pochodzić z małych narodów, których języki jeszcze się nie zbanalizowały wśród glinnych sfer Europy.

- Ktoś zna u nas serbski? - Golf wątpił. - Zostaw ją w poczekalni i znajdź tłumacza - zdecydował komisarz.

Poczekalnia nie miała okien, zresztą fakt bez znaczenj. Znajdowaliśmy się na piętrze. Pomieszczenie mimo póź^{^^}. pory ruchliwe, kształtem przypominało żołądek, przepw[^] żąjący się z dwóch stron w koi-ytarze.

Golf wskazał mi miejsce na drewnianej ławie, podobnę, do konfesjonału, z wysokimi poręczami i oparciem Wypo, lerowanym do połysku przez zastępy zacnej i szemranei klienteli komisariatu.

Właśnie przez obrotowe drzwi zaczęły wchodzić dziewczyny. Naliczyłam ich coś z dziesięć, pochód zamykałg Pudel spod hotelu „Rose”. Towarzyszący im dwaj policjanci poupychali je w tych błyszczących konfesjonałach. One śmiały się, mówiły złośliwości eskortcie, puszczały w nos kłęby dymu.

Duch we mnie zdeciłł. Byłam pionkiem, drobnutkim trybikiem w jakiejś dennej sprawie, o której nic nie wiedziałam. Prawdopodobnie zanosilo się na konfrontację. Wreszcie znajdują tłumacza i już nie umknę za bariei[^] języka. Jeśli nic nie powiem, zgnoi mnie policja. Jeśli powiem, co wiem, zgnoją mnie tamci.

Jak się ratować?

W polu widzenia miałam drzwi wiodące do toalety. Musiała mieć kilka kabin, wciąż tam ktoś wchodził i wychodził. A teraz urządziły sobie zabawę panienki z bulwaru Saint Honore. Kiedy jedna wracała, następna znikwała w przejściu.

Miałam na sobie beżową pelerynę z angorskiej wełny, z której po odwróceniu robił się płaszcz w pastelową kratę. Oczywiście przypadek, ale uznałam go za pomyślny omen, przychylną wskazówkę losu! Pewno jeszcze nie przyszła moja ostatnia godzina, może nie sadzona jeszcze francuska tiorra. Pyskać stąd, zaraz! Wprawdzie pozostaną u komisarza moje świetne dokumenty, ale trudno. Wiać, w Imię Boże!

Wstałam

Dokąd? ujawnił się po sąsiedzku mundurowy, nie-widoczny, bo zakrywał go uszaty bok ławy.

_ Tam - polcazałam drzwi z rysunkiem dziewczynki. *pałny* z hotelu „Rose” wciąż jeszcze kursowały w tę j z powrotem.

_ Możesz iść.

W toalecie wciąż szumiała woda w spluczkach, weszłam do wolnej kabiny. Płaszcz na drugą stronę, ściągnęłam go paskiem, peruka do kieszeni, odkleić sztuczne rzęsy i starałam cały makijaż, torebkę zbyt znaczną wsunęłam za muszlę, zabrałam tylko pieniądze i drobiazgi. Z lustra nad mnywałką spozrzała na mnie prawie nie znana twarz. Moja własna.

Przejdę?

Pchnęłam drzwi. Minęłam poczekalnię, nie spozrzałam w stronę ławy, gdzie czuwał mój opiekun, moja dusza uciekła w krtań, nogi niosły zdecydowanie. Skręciłam ku schodom, zesłam na dół i opuściłam komisariat. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi.

Stacja metra. Zbiegłam w podziemia. W chwilę później kolejka poniosła mnie w kierunku dworca Saint Lazare. Byłam wolna, pozbawiona tożsamości. Miałam trochę pieniędzy i sforeę na karku.

Do świtu przetrwałam w kinie non stop w pobliżu „Odeonu”. Ruszyłam stamtąd rozsądnym rankiem.

- Wiesz przynajmniej, co się dzieje, widział cię kto? - zwiądł na mój widok wystraszony Prinz, kiedy z drugiej strony zaułku przekradłam się do naszej kamienicy piwnicznym korytarzem, ciągnącym się pod amboną stróżki. Już mnie tam szukano. Wywiadowcy pojawili się w nocy. Gdy tylko odeszli, konsjerżka przyszła do chłopaków.

- Były fliki, dowiadywały się o panienkę z poddasza, co się z panami zna.

- Pani im to powiedziała?

- Nie mówię, o co nie pytają. Lecz jeśli ona tu się pokaże, będę musiała zawiadomić policję - przestrzegają stróżka, nie wiadomo, jakimi intencjami kierowana, za^ wała mnie czy lojalna wobec policji, chciała jednak Zacho, wać neutralność z obawy przed ludźmi, na zlecenie kto rych lekkomyślnie nosiłam przekłete paczki.

Tego samego dnia Messer zamówił dla mnie nowe papie ry. Średniej klasy i średniej ceny. Brakowało pieniędzy^^ i miejsca, gdzie mogłabym spokojnie czekać, aż szpang 1.^3

handlująca tożsamością upoluje i dostarczy paszport idealnie odpowiadający cechom mojej osoby. Wzięłam, jaki się nadarzył, bez zezwolenia na pracę, z wizą na ukończeniu. Oczywiście można było załatwić fałszywe wpisy, ale nie należało tego robić, jeśli chciało się mieć dokument, a nie malowankę. Przy wszystkich mankamentach wystarczył jednak do wynajęcia dachu nad głową.

Przeniosłam się na peryferie Paryża, jak najdalej od Marais. Przytuliła mnie mansarda na czwartym piętrze kamienicy w pobliżu końcowej stacji metra. Opodal zaczynał się lasek Vincennes, a zr. nim rozpościerała podmiejska osada Nogent-Sur-Mame, cicha i wykwinna dzielnica ludzi bogatych, których stać, aby czerpiąc z uroków wielkiej metropolii nie narażać się na jej niedogodności.

W Paryżu przede wszystkim się zarabia, w Paryżu ąę wydaje, w Paryżu nawet się żyje, lecz w Paryżu się nie mieszka. Po to są właśnie na obrzeżach miasta piękne, małe enklawy z cichymi alejkami, przy których w rozległych ogrodach stoją wielopokojowe, rzadko zaludnione wille, a cena ziemi, bez przenośni, równa się wadze złota.

Nazywałam się teraz Mercedes Amado, Katalonka, pochodziłam z Barcelony, ale nie znałam ani słowa po hiszpańsku, więc zabrakło mi odwagi, aby pójść do prefektury i ubiegać się o przedłużenie pobytu.

Na lepszy patent na razie nie mogłam sobie pozwolić, należało szybko opanować hiszpański. Zresztą musiałam coś zrobić, żeby nie wściec się z bezczynności. Nie miałam

doków na żadne zajęcie na bliżej określonej pł^złość.
"j^gfjeszła wiosna. Lodowate zimno na moim poddaszu
wypędzalo z domu. Zabrałam książki i poszłam pod ruiny w
Vincennes. Tu grzało słońce, jsfa sąsiedniej ławce przysiadły
głuchonieme kobiety, pozinawiały gestami. Rozleniwiona
ciepłem gapiałam się j,a ich ruchliwe dłonie porozumiewające
się w języku niepodobnym do żadnego z tych, jakie znałam.

pośród szpaleru rozrosłych platanów pojawił się stary
Chińczyk' poprzedzany parą przepięknych ro^jskich chartów.
Obie kobiety podbiegły do niego i podawały jakieś papiery.
W trójkę powrócili na tę samą ławkę.

_ Madame przyjedzie za dwa miesiące - mówił wolno,
vvyraznie. One wpatrywały się w jego usta, czytały z układu
warg. Z tego, co zdołałam zrozumieć, wynikało, że szefowa
Chińczyka chce zatrudnić głuchoniemą służącą. Kitaj
upoważniony do selekcji, tutaj spotykał się na wstępną
rozmowę z polecanymi przez karmelitanki kandydatkami.
Zostały jednak odprawione, ponieważ nie znały masażu,
stanowiącego jeden z warunków przyjęcia.

Też nie znałam, ale wydawał mi się najirmiejszą prze-
szkodą w otrzymaniu tego miejsca, które spadało jak z nieba.

Ostrożnie poszłam śladem starego. Wspaniałe psy o sre-
brzystej sierści w złoci ste łaty z daleka wskazywały drogę. Po
drugiej stronie lasku Vincennes w Nogent-Sur-Mame
zamknęła się za nim ciężka furta w wysokim murze,
pokrytym spadzistym okapem z łupku, skrywającym stylowy
dom stojący w głębi ogrodu przy ulicy imienia Antoine
Watteau. Obok przetrwała kamieniczka, w której na początku
osiemnastego stulecia ów malarz spędził resztę życia.

Tak się znalazłam pod bramą siedziby Vanessy Sturmin-
gton, lecz zanim zaczęłam staranie o pracę u niej, zebrałam
nieco informacji o Związku Głuchoniemych. Dopiero
obeznana z formami jego działania, znalazłam nuu^ę w
spisie abonentów i zatelefonowałam na rue Wattea^'
Odezwał się Czen.

- Tu Dominique z Instytutu Głuchoniemych. Jakie wg
runki ma spełniać osoba poszukiwana przez madame?

Wyliczył: młoda, o przyjemnej powierzchowności, intg
ligentna, znajomość pisania i czytania po francusku, an-
gielski mile widziany, ale niekonieczny, umiejętność mg,
sażu, podstawowe wiadomości z zakresu kosmetyki i fry^,
jerstwa. Świadectwo lekarskie stwierdzające absolutne

zdrowie, oczywiście poza ułomnością wrodzoną. Języj migowy obojętny, ale musi umieć odwarzać mowę z ruch\j warg.

- Mamy Katalonkę posiadającą takie kwalifikacje, lecz znajduje się poza Paryżem. Może przyjechać dopiero za pięć tygodni. Przysłać ją? - poleciłam sama siebie, rezerwując minimum czasu na przygotowanie. ^

- Pani nie wróci przed upływem dwóch miesięcy, a ja codziennie rano przechodzę koło zamku Vincennes, naprzeciwko stacji metra. Łatwo mnie rozpoznać, jestem Chińczykiem. Spaceruję z dwoma chartami - powiedział Czen.

- Nie wiem, czy zechce przyjechać, skoro nic wiążącego nie mogę jej przekazać.

- Proszę, niechaj się zgłosi. Zaczekam z poszukiwaniem innych. Zostanie przyjęta, jeśli spełnia wymagania.

Nie spełniałam, musiałam się wszystkiego nauczyć, i to migiem. Czasu miałam tyle co nic. W pierwszym rządzie wzięłam się za trening najcięższego. Niemoty. Ale i najdłuższe ćwiczenia nie przyniosą wiele, jeśli przede wszystkim nie utożsamie się wewnętrznie ze światem, do którego chcę przeniknąć. A pogrążenie się w absolutną ciszę było doświadczeniem najtrudniejszym i niepodobnym do żadnego z dotychczasowych przeobrażeń.

Z odizolowanymi uszami chodziłam po mieście. Siady-
^ałam w barach, gestami zamawiałam jedzenie. Z ruchu ygt otaczających ludzi usiłowałam odczytać rozmowy. %
podręcznika uczyłam się pojęć alfabetu migowego, chociaż go nie żądano.

Codziennie przekradał się do mnie z Marais i pomagał prinż. Hartował na nagłe odgłosy, rzucając za moimi plecami hałasujące gadzety, zaskakiwał pytaniami, na które człowiek odbierający wrażenia dźwiękowe odpowiadał odruchowo.

Messer wystarał się o sprokurowanie przez znanego mu specjalistę rekomendacji z klasztoru Karmelitanek z Barcelony z odręcznym pismem polecającym do zakonu tej samej reguły w Lionie, gdzie rzekomo dotychczas miałam przebywać. A w moim nieświetnym paszporcie, w rubryce znaki szczególne, wkomponowano; głuchoniema.

Tak zaopatrzona, po pięciu tygodniach spotkałam się z

Chińczykiem. Na powitanie pozdrowiłam go znakami ludzi ze sfery wiecznego milczenia.

-Nie znam mowy rąk — uspokoił moje palce brunatną dłonią.

Odetchnęłam. Tego bałam się najbardziej. Zanim jednak stanęłam przed przyszlą szefową, nauczyłam się zupełnie znośnie porozumiewać w tym niezwykłym języku.

Tak trafiłam do szalonej Vanessy.

Ciężko zarabiałam na chleb. Z początku trwałam w ciągłym napięciu, ani na moment nie zapominając, że udaję głuchoniemą.

Raz na tydzień miałam dzień wolny. Przychodziłam na swoje poddasze, które zatrzymałam, i śpiewałam do ścian, rozmawiałam z wieszakiem, gadałam do lustra. I zaraz zasypiałam kamiennym snem, bo w Nogent-Sur-Marne przedrzemywałam nocę, czujna na najmniejszy szmer, chociaż zamykałam się w swoim pokoju na klucz. Bałam się zdradzić przez sen.

z czasem niemota stała się moją drugą naturą, rozdzieliła się osobowość. Pomogła kontemplacja Ze/ Doszłam do niezłych wj^ików. Potrafiłam tak odgrodzi^ się od świata dźwięków, jak najprawdziwsza głucho, niema.

Ale znacznie ciekawiej było słuchać. Mój status osobj, pogrążonej w izolującej ciszy dawał przewagę nad otoczg, niem. Tak weszłam do gry.

Kiedy tam nastalam, nic jeszcze nie zapowiadało póź, niejszej lawiny, może zresztą już zaczynała się toczyć tylko nieświadoma znaków, nie potrafiłam dostrzec jej zapowiedzi, a może i ja mam swój udział w potrąceniu przysłowiowego kamyka.

U Vanessy trwał stan małego obłączenia.

Nie dziwiła ochrona prywatności mieszkańców rue Watteau w Nogent-Sur-Mame. Inaczej ich wytworne drzwi nie zamykałyby się od domokrażców, akwizytorów, wszelakiego rodzaju wydrwigroszy, od pomylnych artystów, maniakalnych wynalazców poszukujących pieniędzy na urzeczywistnienie swoich rojeń, od instytucji jałmużni- czych i zwyczajnych samoobsługowych żebraków.

Dom mojej Amerykanki był nieprzenikalny. Wstęp mieli tylko nieliczni wybrani, też nigdy bez uprzedniej zapowiedzi. Środki ostrożności, jakie podejmowała, sugerowały coś

więcej niż tylko zwykłe uszczelnienie przed natrętami.

Jeśli wyjeżdżała, zanim wyprowadziła samochód za bramę, Paul, gastarbeiter pełniący w czasie wolnym od grubych robót obowiązki portiera, najpierw sprawdzał, czy ulica w pobliżu jest pusta, dopiero później miał prawo otworzyć wierzaje. Dziwactwo? Zbyt dobrze znałam za-, chowanie ludzi żyjących w jakimś zagrożeniu, aby jej ostrożność odebrać jako narowy.

Zanim zdążyłam rozeznac się w obyczajach, chwycić orient w powikłanych układach szefowej, zobaczyłam młodego mężczyznę pod niegościnną furką. Trwał nieru- chorno z zadartą głową, kilka kroków od wysokiego muru, co pozwalało zobaczyć piętro willi i uciłyłone teraz okno ubieralni Vanessy.

Zaciekawiona przystanęłam obok niskiego parapetu, j[^]iałam wrażenie, że on patrzy wprost na mnie. Złudzenie. Mie mógł mnie widzieć ukiytej za głęboką framugą, osło- lętej kolorowym cieniem witrażowych s[^]b.

— Podaj beżowe rękawiczki — zażądała szefowa. Już gotowa do wejścia, odprawiała przed lustrem dotkni[^]ia kredką, muśnięcia pudrem, kryształowym koreczkiran lunaczanym we flakonie perfum. Rytualne gesty, jak obiata składana tajemniczym bogom.

- Prosiłam o rękawiczki!

Nie ruszyłam się, nie powinnam nawet drgnąć. Odwró- cona do niej bokian nie mogłam widzieć i odczytać jej polecenia z ruchu warg. Nie zżyłam się jeszcze ze swoim trudnym wcielenian, wciąż obawiałam się błędu, ze strachem rejestrowałam takie odzywki szefowej. Może mnie sprawdza? Chociaż raczej nieprawdopodobne, bo gdyby miała cień podejrzenia, nie przyj[^]aby mnie do pracy.

A ona po prostu wówczas jeszcze nie przywykła do głuchej służącej i zapominała robić użytek z trzcinki, którą sprawiła sobie właśnie dlatego, aby przywoływać moją uwagę. Laseczka była długa, a ja miałam raz na zawsze zapowiedziane pozostawać w jej zasięgu.

- Co tam wypatrujesz? - podeszła i stanęła przy mnie. Zakłęła, gwałtownie odsunęła się od okna. - Ależ on mnie prześladuje, dłużej tego nie zniosę! - wybiegła z ubieralni wykrzykując coś o synu. Podążyłam za nią.

Po raz pierwszy, odkąd u niej nastafam, wybierała się do Szwajcarii, a przez młodego człowieka, długo wartującego na

ulicy, spóźniła się na samolot.

Pomyśl Mam, że chłopiec SDod furtki jest jej synem, którego za jakieś niewyobrażalne przewinienia karała wzbraniając jak włóczędze wstępu do domu, odmawiając swojego widoku. A ona kłęła, złorzeczyła, miotała przez;^ na swojego męża i bękart a, lecz nie wymieniała jego imienia. ®

Później wiele jeszcze razy widziałam i słyszałam, jgjj uporczywie i bezskutecznie bękart zabiegał o spotkanie z Vanessą i jak ona udaremniała jego wysiłki. Było to także kategorycznym życzeniem ojca, męża Vanessy, z któryu, musiała się liczyć bardziej, niż się do tego przyznawała sama przed sobą, ale wtedy jeszcze prawie nic nie wiedzię, łam o seniorze Stunnington. Natomiast junior przykiodził pod nieżyczliwą furtę, a niezależnie od tego cierpliwie ponawiał próby nawiązania kontaktu przez telefon.

- Mówi Uther-Caradoc Stunnington...

Ślucziawkę podejmował Czen.

Vanessa pierwsza nie podchodziła do aparatu, urządzenia tak skonstruowanego, że przy włączonym głośniku słyszała każde słowo, gdziekolwiek znajdowała się w domu, bez względu, czy rozmowę przyjmował Clińczyk, elektroniczna sekretarka.

Za szańcem Chińczyka, niezwruszonego jak automat, i automatu, poprawnego jak Chińczyk, Vanessa Stunnington stawała się niedostępna. Dla nie chcianych nieosiągalna.

Czen miał zapisane nazwiska takich ludzi i od razu ich spławiał. Na tę listę, podczas pierwszej wiosny mojej służby u Vanessy, trafił także mecenas Oskierko z Warszawy. Umieściła go w rejestrze proliibitów tylko dlatego, ponieważ próbował rozmawiać w imieniu Uthera.

- Teraz twój syn nasłał na mnie jakiegoś polskiego adwokata - przez ocean doniosła natychmiast Stunningtonowi.

- Na pewno z polecenia Uthera? - pytano zza morza.

- Oczywiście. PowcAał się na twojego syna-powiedziała, znów mocno podkreślając zaimek dzierzawczy.

Wieczorem piła koniak „Imperial”.

_ pewno mi zazdrościsz, biedna kaleka dziewczyno -

. jobrze na bani zaczęła przemowę, z której wynikało, że •gstem szczęśliwa, bom głucha, niema i goła. Ale nie kazała *izsrtać* z ruchu warg, nawet siedziała w taki sposób, abym fite mogła widzieć jej ust. Pewno w swojej przyćmionej

wiadomości wybrała złoty środek między absolutną dysjuncją a nieodpartą potrzebą mówienia do żywego człowieka.

-Zazdrościsz klejnotów, sukni od Cardina, niezależności. I nie masz pojęcia o mojej nędzy, o mojej niewoli. Stokroć mi gorzej niż tobie, chociaż jesteś upośledzona i musisz za pieniądze służyć od nocy do nocy sześć dni w tygodniu. I co wiesz o upokorzeniu, chociaż jesteś pariasem i żyjesz z dobroczynności?

Miała jednak świetne mniemanie o sobie. Orała wemnie jak w woła, płaciła symbolicznie i nawet po pijanemu uważała się za filantropkę.

-Ile zniosłam, ile wycierpiałam, jakimi ustępstwami, jakimi wyrzeczeniami okupiłam, aby moje dziecko mogło żyć blisko mnie, tutaj w Europie. Tego parweniusza, tego gangstera - to było o mężu i raczej z złejszego repertuaru nazwań, jakie dla niego rezerwowała - chłopiec nie obchodzi nic a nic, a że Artur jest także jego synem, przypomina sobie tylko wtedy, gdy znowu chce nas czegoś pozbawić.

Artur. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam imię syna Vanessy. Nigdy go nie widziałam. Nigdy nie zabierała mnie ze sobą nad Lago Maggiore, gdzie stale przebywał. On też nie odwiedzał matki i nie telefonował. Czasami, rzadko, ona dzwoniła do Szwajcarii, zamykała się w sypialni, po takiej rozmowie płakała.

-Potwór. Swojemu, synowi zabrał matkę i ukrywa przed nim brata. Ale ja jego matkę odnajdę na złość potworowi, nawet na końcu świata. Niech pocierpi, stary jest, ale z długowiecznych. Może pożyć jeszcze i ćwierć wieku. Tyle lat życia to mało, tyle lat piekła to wieczność.

Wiem coś o lym. Sama tkwię w piekle, przez niego! Ale[^]
dałam zrobić z siebie Sary. *

Nie zwróciłam uwagi na ten biblijny zwrot, wydał si figurą stylistyczną, lecz rozumiałam jej infemo, kie[^] podpatywałam, jak słucha głosu syna. Z taśmy. szedł po plecach od chr[^]liwych dźwięków zamkniętocy, w kasacie, jeszcze bardziej przerażała ekstatycznie zaślu, chana Vanessa, jakby rozbrzmiewały serafickie pienia Mater Dolorosa bez aureoli, bez świętości, bez nadziei Zaczynałam rozumieć, dlaczego on nie pokazuje się w do[^] mu przy rue Watteau.

Z okrucichów jej bezładnych monologów wyłowiałam ciekawe rzeczy dotyczące Uthera. Nie, nie wzruszyła jego tiistoria. Wtedy, na początku.

Kochany przez ojca, przystojny, bogaty, czego mógł jeszcze pragnąć? Brakowało mamusi, w tym wieku? Fana-berie panicza. Albo jest słaby, niedojrzały i ucieka w chimere, albo chce dopiec tatusiowi.

Wręcz napraszał się. aby go oskubać. Grzech byłoby nie skorzystać. Wprawdzie nie mogłam dostarczyć sensownej wiadomości o mamusi, przynajmniej na razie, ale nie znany brat też nie najgorszy początek.

Trafiłam do U thera bez żadnego zachodu. Przed wszystkim zajrzałam do spisu abonentów telefonicznych Paryża. Figurował. Numer 239181, mieszkał przy rue Blase 5 w Dzielnicy Łacińskiej.

Zebrałam trochę wiadomości. Zdawał się z tych, o których mówią: poważny. Pęd do oświaty, buldog na naukę. Tam u siebie skończył ekonomię i jeszcze mu mało, na Sorbonie zakuw[^] biologię. Ciekawe, na co mu biologia. Cała rodzina siedzi w nafcie. Ale może on chce robić petrosalami. Już gdzieś słyszałam o takich pomysłach.

Pos[^]am do niego bez zapowiedzi, wieczorem w swój wolny dzień. Idąc zadzwoniłam z ulicznego automatu, aby .[^]orientować, czy jest w domu. Był. Odwiesiłam słuchawkę nie dając głosu.

_ Co za to clicesz? - zapytał, kiedy wyłożyłam, co [^]łam do powiedzenia, i podałam szwajcarski adres jego brata. Nie zdradził żadnego uczucia, jalde moja wiadomość przeciez powinna wywołać.

_ Na co liczysz? - powtórzył. Przyglądatmi się cłłodny, nieprzenikniony. Zbyt cłłoty i zbyt nieprzenikniony.

Wł^ytrenowany spokój.

_ Na nic - żywiłam ambitniejsze zamiary niż jednorazowe zacerpnięcie z kasypetro-jedynaka. Najpierw niech dobrze pozna osobę t>ezinteresowną. Tylko czy uwierzy bezpłatną szlachetność? Jego pokazowa rezerwa kiyła 1 podejrzliwość i nieufność. Pewno dostał już szkołę, a ja nie byłam pierwsza w starcie do jego portfela,

- Przecież na coś lic^łaś? - nie ustępował.

- Nie - zabierałam się do odejścia.

- Poczekaj! Nie chciałem cię urazić. Powiedz, dlaczego mi robisz taką przysługę? - ciut odtajał.

- Pewno dlatego, że jesteś samotny jak ja. Lecz ja swój los wybrałam świadomie, a ty chyba nie. P^ynajmniej tak mi się wydaje - niezupęfnie kłamałam, miałam lat niewiele ponad dwadzieścia, byłam wciąż sama, nie miałam przyjaciół, tylko dwóch wegetujących w suterenie na Marais wspólników.

- Skąd te wiadomości o mnie?

- Nie powiem - Wolałam nie mówić, że jestem u Vanesy, oni wszyscy bardzo nie lubią nielojalnej służby, chociażby należącej do wrażego obozu. - Ale jeśli się czegoś dowiem, co cię może obchodzić, powiem ci.

- Nawet wiesz, co mnie obchodzi?!

- Szukasz matki i robisz to dość głośno. Usłyszałam. Milczał. Pewno zastanawiał się, jakimi drogami dotarło do mnie coś, czego nie rozgłaszał.

- Muszę już iść - nie należało przedłużać spotkania Nieciaj się z moją bezinteresowną życzliwością OSWQ ' niech przemyśli wiadomość i potwierdzi jej autenlycznojj w Szwajcarii.

- Zobaczę cię jeszcze?

- Tak. Ale jeśli spotkamy się kiedyś przypadkowo, nie znamy się. Nie miej mi za złe i niczemu się nie dziw.

Układy

- ze ws^stkieli moich odzywek, nie wiadomo dlaczego, ta go ujęła najbardziej.

- Przyjdź, tak zwyczajnie, bez żadnego powodu _ powiedział na pożegnanie. Zaskoczył. Zaciekałam go. Nie spodziewałam się prawie z marszu osiągnąć aż tyle.

Nie powiem, start był całkiem niezły, tylko zanim się wpostrzegłam, zaczęłam zbierać guzy i wrobiłam się w park grozy, bo wchodząc do gry wzięłam prawie wszystko w^rachubę oprócz tego, że karły dawno rozdano przede

mną, i oprócz głupiego, sentymentalnego serca. Okazało się obecne i nierozsądne.

Siedział na stopniach kolumny w przedsionku Sorbony, za sobą miał trzy pary podwójnych, przeszklonych wrót, na wprost spiżowe popiersia największych mózgów kilku stuleci i łuk wiodący w głąb budynku.

Jadł bagietkę. Z płatkami wędliny, sera lub jednym z niezliczonych rodzajów pasztetów - ten olbrzymi sandwich zrosł się z pejzażem paryskiej ulicy, jak fytki czy prażone kasztany.

Sprzedawany na każdym kroku ze straganów, wózków, kiosków, parapetów otwartych barowych witiyn. Powszechny w Dzielnicy Łacińskiej, masowo pożerany w gmachach uniwersytetu, gdzie w licznych kafeteriach można

otrzymać z automatu, podobnie jak nieszczególną
kawę f jedyną mamą kawę w Paryżu - i wodniste kakao.

r

:

Rwał wielkimi kęsami świeżą bułkę i czytał książkę opartą o kolana. Tłum studentów jak wyspę opływał filar, przy którym zacumował, czasami ktoś przystanął i spojrzął na arkusz brystolu nad jego głową, przytwierdzony do kolumny taśmą klejącą. Jeden z licznych anonsov, jakie tapetowały każdy wolny skrawek przedsiionka, gazeta, szpalta ogłoszeniowa, odbicie potrzeb i zainteresowań akademickiego mikroświata.

Na owym anonsie czarnymi wołami napisano po polsku: „Student, inteligentny, poszukuje towarzysza do konwersacji w języku polskim. Czeka na oferty poniżej ogłoszenia”.

Aby nie było wątpliwości, poprowadzona strzałka godziła jak pikujący samolot w autora.

- *Ty jesteś ten inteligentny?* - trąciłem go w ramię.

Przełknął ostatni kęs, złożył gruby tom. Mały słownik języka polskiego wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy - odcyfrowałem litery spełzłym złotem wyfloczone na sfatygowanej okładce.

- *Ja!* - dał głos. - *Z tzech stzech wyczło czmili tzech, a tszownice pieczchały na Antarktydę, gdzie nima anter- prenera* - wyrecytował badając wrażenie.

- *Bardzo ładnie. Co jeszcze potrafisz?*

- *Prawie świetnie język biernie. Dużo citam. Kłopoty wymowa i konwersacja.*

- *Masz tu doskonałych lektorów na językach słowiańskich. Czego jeszcze szukasz?*

- *Oni uczą język literacki.*

- *A ty łakniesz kminy, grypsery, żargonu.*

- *Ono tyż może być, ale ja chcę mówić potocznie, żeby mnie nikt nie odróżnił od rdzennego, i chcę poznać*

warun-



ki kraju, a zna je człowiek, co tam jest. *Ty* zawsze żywi[^] w Polsce?
^

- Jakbym stale tam żył, nie byłoby mnie tutaj.
- Się rozumi, ale jesteś stamtąd i jak się nastudiujesz będziesz powrotny. Oto co chciałem wyrazić.
- Będę - obiecałem. - Ale jeśli ci nie robi różnicy odcumuj od kolumny, bo muszę kupić bułę, inaczej roz! mnoży się smok, co mieszka w moim brzuchu.
- Wawelski? - Widać, wiedział już nieco o historii legendarnej mojego kraju. Dobył z torby dwa monstrualne sandwicze i jeden sprezentował mnie. - Ciagle tu jestem głodny - powiedział opychając się od nowa. - Chodźmy stąd, pogadamy - przeszedł na francuski, mówił jak pary-żanin.
- Jesteś Francuzem?
- Amerykaninem. Nazywam się Uther-Caradoc Stun-nington. Próżno szukać w Biblii lub w jakimś cywilizowanym kalendarzu moich imion, od trzech pokoleń w mojej rodzinie jest ich w obiegu nie więcej niż pięć. Bo jesteśmy starożytni. Jak utrzymuje ojciec, nasze nazwisko jest zapisane w Red Book, pewno nie słyszałeś, co to takiego!
- Czerwona księga - przełożyłem dosłownie. Jako tako radziłem sobie także z angielskim. Podstawy wbili mi do głowy u Metodystów w Warszawie.
- Oficjalny rejestr osób piastujących urzędy dworskie i pobierających pensje od króla. Od czterech pokoleń, to znaczy od przybycia mojego pierwszego przodka do Ameryki, rzekomo na korabiu „Mayflower” - co jest taką samą prawdą, jak i figurowanie w Red Book - w mojej rodzinie mężczyźni nie nazywają się inaczej, tylko Pendragon, Artur, Uther, Caradoc lub Eneasze.
- Eneasze, protoplasta Brutusa Trojańczyka, pierwszego legendarnego króla Brytów - błysnąłem erudycją. Miałem

dwadzieścia trzy lata, uważałem się za wybitnie inteligentnego i byłem zarozumiiały jak młody łoś.

■ – Właśnie. W naszej rodzinie nadaje się miana tylko f starobrytyjskie, a ponieważ zna się ich niewiele, w grobach leży już kilku Eneaszy, Arturów i nawet jeden Uther-Caradoc.

A w domu roi się od nieprawdziwych pamiątek. Fałszywych fotografii i fałszywych dokiimentów, nie naszych miniatur i nie naszych przyborów toaletowych z kości ^oniowej, nie naszych szpad i srebrnych serwisów, nie naszych stajych fajansów i dagerotypów i nie naszych kapeluszy tricome pozbieranych z całego świata przez nowojorskich antykwariuszy z Madison Avenue, aby nikt nie wątpił w odwieczną angielskość naszego domu, gdzie sam czuję się nierzeczywisty i skłamany, nowszy bibelot zakupiony nie wiadomo gdzie.

Upprzedzam cię o tym, bo jeśli zdecydujesz się uczyć mnie polskiego, nie unikniesz straszego snoba, który jest moim ojcem, a chcę, abyś wiedział, że uwiera mnie sfałszowana tradycja i wymyślne imiona.

- Nie przejmuj się, nie pj^ano nas o zdanie wybierając nam nazwy. Moja jest nie lepsza.

- Bej? - ożywił się. - Tytuł tatarski, jesteś Tatarem?

- Słoiót od Bartłomieja. Skutki mody na krzepkie, czerstwe imiona. O Tatarach w rodzinie nic mi nie wiadomo, ' ale niewykluczone, że którąś z moich prababek dogonił Tatar. Mój kraj leży na gościńcu Europy, kilka razy na stulecie maszerują po nim z zachodu na wschód i odwrotnie mordujące się armie, a przy okazji burzą nasze domy, gwałcą nasze kobiety, zabijają naszych starców i dzieci. Nasi mężczyźni natomiast umierają wyłącznie na polu chwały. Takie przynajmniej jest powszechne przekonanie i tak podają nasze podręczniki historii.

Owionęły korzenne zapachy i woń pieczonego mięsa. Znaleźliśmy się na uliczce greckich knajpek, czynnych od popołudnia przez noc do białego dnia. Wzdłuż chodników uchylone szyby wystawowe o wystających parapetach wabiły

wzrok i powonienie warkoczami czosnku, wiązkami papryki, strąkami turecki^o pieprzu, wiankaⁱ cebuli.

Ulica droga, obliczona na turystów, którym sugeruje się tu atmosferę le Quartier latin, będąca tylko nostalgią tutejszych Greków za austeriami Pireusu.

- Dla frajerów - Uther ogarnął gestem martwe natuiy witryn i restauracyjne godła nad wejściami. - Oskubują ich jak kapłony i karmią dość paskudnie. Ale ja mieszkam blisko i często bywam „Pod Tarczą Achajów”, więc nie traktują mnie jak przelotnego gościa i dają jeść przyzwoicie. - Chodź, oblejemy naszą znajomość! -dodałpopolsku z bardzo dobrym akcentem.

„Pod Tarczą Achajów” powitano Uthera wylewnie, a on zamówił ostrygi i butelkę chablis. Poczujęm się nieswojo.

- Przypadkiem nie jesteś Rockefeller, incognito?

- Nie jestem, chociaż branża podobna. Też robimy w nafcie. Można powiedzieć, duża stacja materiałów pędnych w dobrym punkcie.

- Ale ja nie mam stacji benzynowej, więc zarządzaj jedzenie proste, dużo i tanio. '

- Wcale tu nie jest drogo.

- Dla mnie jest.

- Ależ to ja ciebie zaprosiłem.

- Nie stać mnie na rewanż.

- Przepchniemy to przez bufet! - rozpromienił się. - Czy teraz jest dobrze?

Zaczęliśmy się śmiać i pochłaniać małże. Chłodne, wytrawne chablis zamiast podkreślać wylcwintny smak delikatesu, budziło niesamowity apetyt, jakby w ogóle trzeba było go pobudzać.

- Kto cię tych powiedzeń nauczył?

- Twój rodak. Wyznawca Diogenesa, beczka bez dna.

Uliął zawsze kaca i potrzebował kłina. Więc szedłem po lęlina, często kilka razy jednego wieczoru. Alkohol wsiąkał w niego jak w gąbkę.

r

- Jak go znalazłeś?
- Zaprowadziła mnie konsjerżka. Zalegał z czynszem, ona miała do niego słabość, chciała wydostać należność bez drastycznych środków. A propos, jakie są twoje warunki?
- Nie zajmuję się daniem korepetycji. Nie biorę pieniędzy.
- Twój poprzednik brał.
- Ale ja nie jestem mój poprzednik.
- Polacy są dziwni.
- Dziwni. Nie wyciągaj wniosków po poznanu jednego opoja i jednego studenta. Ale w ogóle ani lepsi, ani gorsi od innych.
- Interes jest interesem. Będę płacił za czas, jaki mi poświęcisz. I to jest sprawiedliwe. Musisz zdobyć środki na utrzymanie, rzecz normalna. W podobny czy inny sposób radzą sobie studenci na całym świecie. Dlaczego z taką nonszalancją ofiarowujesz swój czas, nie mogę przyjąć takiego подарunku. Time is money!
- Piła z ciebie, Ami, nie wiem, czy potrafię, a nie chciałbym być wspominany jak poprzednik. Widzisz, mnie, jak większości moich ziomków, wydaje się, że Bóg nam powierzył honor Polaków. Doznanie irracjonalne, czuję się odpowiedzialny za tego pijaka.
- Bo co sobie o nas pomyśla! - Uther zacytował mojego poprzednika. - Niepotrzebnie o nim wspomniałem. Zresztą zupełnie sympatyczny alkoholik i nawet mnie czegoś nauczył.
- Pogadamy o pieniądzach, jak cię czegoś nauczę.
- Pogadamy teraz. Pięćdziesiąt franków za godzinę, będzie w porządku?
- Zawsze robisz takie świetne interesy?
- Od interesów jest mój ojciec - zamilkł i zaraz zmienił temat.

Nie chce mówić o swoim autorze. Zdarza się. Nie domyśliłem się istoty rzeczy. Jeśli chciał żyć wśród normalnych ludzi i być traktowany jak zwykły człowiek, a

chciał, nie Mógł przyznawać się do owej niesamowitej góry pieniędzy, DO natychmiast budziła niesamowite reakcje; nienawiść, jerwilizm, zazdrość, żebranie.

Kiedyśmy się trochę zżyli, wspominał o zabitych przy-
ażniach i nie narodzonych miłościach, bo jego status
)dmieniał ludzi jak przekleństwo. Żyłowali go bezlitośnie,
;ksploatowali brutalnie. Więc uciekał od nich z żalem,
liesmakiem, pogardą. Bał się dnia, w którym zaakceptuje
łewizę ojca: wszystko ma swoją cenę.

Czy jestem lepszy? Nie odczuwam nadmiernego po-
lądania rzeczy, nade wszystko cenię niezależność, . w
hierarchii wartości nie stawiam posiadania na pierw- zym
miejscu, zaś wszelkie pasożytowanie jest mi wtrę- ne.

Nigdy nie zastanawiałem się, jak wygląda młody milio-
er. Kiedy podjąłem się uczyć Uthera, niedużo o nim
siedziałem. Student, jakich w Paryżu wielu, z zamożnego
omu, trochę zbimtowny przeciwko mieszczaństwu
snobizmem rodziny, nie na tyle jednak, aby nie korzystać jej
zasobów. Myślący i bardzo samotny, dlatego wyczulo- y na
najlżejszy objaw życzliwości.

Mieszkałem wtedy w starej siedmiopiętrowej oficynie,
;ojącej w głębi wąskiego jak kiszka podwórka, w dziupli a
poddaszu powstałej po przedzieleniu większego pomie-
:czenia przepierzeniem z tektury.

Po drugiej stronie symbolicznej przegrody, której nie-
wałość skrywała oklejająca ją tapeta, kwaterował niebo- czny
Szwed, niepospolitej siły i łagodności. Bardzo ko^ iliwy.
Jego bogate życie miłosne przeczyło obieguwej

opinii o chłodnym usposobieniu mężczyzn północnego jimat.

Młody Wiking, jasny, złotorudy, z głową i brodą w takich samych pierścieniach, o oczach jak modraszki i ciele gladiatora, prawem kontrastu uwielbiał i był uwielbiany przez kobiety Orientu, śniade i zupełnie czarne.

W rezultacie ożenił się z Marokanką, kruchą i delikatną jak porcelanowa figurka. Mają dwoje czarnowłosych dzieci z chabrowymi oczyma i skórą koloru brzoskwini. Od tamtych-paryskich lat nie straciliśmy ze sobą kontaktu.

Wtedy w Paryżu, jeszcze nic o sobie nie wiedząc, prawie równocześnie wprowadziliśmy się do sąsiedni kłatek. W nocy obudził mnie metaliczny pisk spiralnie wkręcający się w uszy.

W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, dlaczego nie potrafię wydobyć się z pościeli. Kiedy zapaliłem światło i wygrzebałem się spod rumowiska fibry i podartej tapety, ujrzałem zaparkowane obok łóże z nikłowymi gałkami, na nim śliczną dziewczynę kakaowego koloru i białoskórego olbrzyma naciągającego szatki.

- Sven - przedstawił się, okrywszy nagość. - Jesteśmy sąsiadami - wskazał dziurę, jakby nie było oczywiste, skąd się tutaj wziął. Wyglądał mocno zmartwiony.

- Kramarze! Nie dość, że wynajmują nam zapluskwione strychy z kocimi gównami, nie sprzątanymi od stu lat, jeszcze ściany robią z papieru - mruczał rozgoryczony.

Jego obszerne łóże, podobnie jak moje - sprzęt solidny, sporządzony na początku wieku, gdy wierzono jeszcze w trwałość i niezmiennność tworzonych świat - nogi miało zakończone kółkami. Igrce skandynawskiego hipopotama z arabskim kwiatem lotosu zamieniły legowisko w pojazd, czemu sprzyjał lekki spadek podłogi. Nabrawszy przyśpieszenia, po staranowaniu tekturowej przegrody wtoczyło się do mojej dziupli, łamiąc żeliwnym szczytkiem krzesło i umywalkę.

- Za to samo wyrzucili mnie z poprzedniego miejsca - ponuro użalił się Wiking i zaczął dźwigać pozostałości

przepierzenia.

- Nie przyszło ci do głowy odkręcić kółka?
- Przyszło. Ale przecież mebel nie należy do mnie.
- Nadmierny szacunek dla cudzej własności. Trzeba zdjąć kółka, w przeciwnym razie na takich samobieżnych łózkach objedziesz Paryż i skończą ci się kwatery.

Przesiedliliśmy mahoniową dziewczynę, która z przescieradła upięła na sobie efektowną szatę, na moje posłanie, jedyne wolne miejsce po zagęszczeniu powierzchni przez ich leże, i przetoczyliśmy landarę na jej dawne stanowisko, pr^oczym pozbawiliśmy wyro samokroczą- cych właściwości. Nazajutrz podnieśliśmy z ruiny forsz- tówkę, otwór zastawiliśmy dyktą oklejoną podobną tapetą.

Tak poznaliśmy się ze Svenem i z czasem adaptowaliśmy część sklejki na odsuwaną klapę. Dziura wybita wezgłowieм łóża poczęła służyć nieskrępowanej międzysąsiedz- kiej komunikacji. Zupełnie odsłonięta podwajała naszą przestrzeń podczas wydawania przyjęć, okazywała się niezastąpiona, kiedy któryś z nas cierpiał na nie wyjaśnione płatności u portierki.

Sven nie był źle sytuowany, ale nigdy nie regulował komornego. Co kilka miesięcy przyjeżdżał do niego ktoś ! domu, im pozostawiał troskę o swój najem. I nieodmien- lie powtarzał się ten sam tekst.

- Chcecie mi zrobić radochę? - Chcieli. - To zapłaćcie ;zynsz. - Płacili. Tylko jeden raz jakiś wyrodek powie- Lział, że nie chce. Ale okazał się dalekim krewnym.

Studiującym we Francji cudzoziemcom pozwalano za- obkować, ale o pracę nie kolidującą z rozkładem uczelni było trudno. Dzięki Svenowi dostałem zajęcie w barze zybkiej obsługi. Zmywałem naczynia, sprzątałem lokal lwa razy w tygodniu. Nikogo nie obchodziło, o której

r

w nocy zaczynałem i kończyłem porządki, ważne, aby laiajпка lśniła na szóstą rano.

Baz do roku Wiking odnawiał z właścicielem kontrakt na okrągłe dwanaście miesięcy, a ponieważ ni chciał, ni musiał harować wieczór w wieczór, podzielił robotę ze *jmną* i Otokarem, jugosłowiańskim Macedończykiem studiującym na wydziale filologii romańskiej i zupełnie nie wspieranym z domu.

Uther przysłał do nas, przychodził często, czasami noco- virał. Klucze pozostawialiśmy pod słomianką, mógł wejść zawsze i coraz bardziej z tego korzystał. Do siebie nie zapraszał. Nie wspominał dlaczego, lecz sprawiał wrażenie, jakby swoje mieszkanie miał za ostatnie miejsce, gdzie można przebywać z ludźmi czy w ogóle żyć.

Czasami znikał z horyzontu bez słowa i tak samo powracał. Nie pytaliśmy o przyczyny, jak nie prowokowaliśmy wyjaśnień żadnego z nas. Nie tolerowaliśmy wścibstwa i nie dziwiła żadna odmienność, tyle jej było naokoło w Paryżu.

- Mógłbyś pojechać ze mną do Szwajcarii? - O nie- przyzwocie rannej godzinie przyszedł Uther i wyciągnął mnie z łóżka.

- W kantonie Grisons pewno już spadł śnieg, dó Davos ściągają narciarze. - Chociaż zaspany, znalazłem się jak erudyta. Nigdy nie widziałem tego kraju, nie odczuwałem wzruszeń ucząc się geografii, ale niezmiennie fascynowały nazwy przeżyte wraz z nastrojem książki Manna.

- Mam sprawę nad Lago Maggiore.- Perły przed wie- prze. Zajęty własnym wnętrzem Uther nie zwrócił naj- mniejszej uwagi na moje obycie literackie. Mnie natomiast nie przyszło do głowy, że właśnie zostałem obdarzony zaufaniem.

- Kiedy chcesz jechać?

- Zaraz. Jest tam Artur, mój brat. Wczoraj odkryłem jego istnienie.

- Go ahead!

Przed południem łądowaliśmy w Locamo. Wynajętyj, samochodem ruszyliśmy w stronę włoskiej granicy, sl^,j skręciliśmy na wykutą w skale drogę. Pięła się zakosami ku górze nad krawędzią krzesanicy, aż skończyła platformą, na której pozostawiliśmy wóz. Wyżej jeździła już tylko kolejka zębata. Wysiedliśmy na końcowym przystanku na zielonym płaskowyżu. W perspektywie na łagodnym zboczu pośród alpejski^o lasu wznosiła się kolonia parterowych przeszklonych pawilonów.

- Sanatorium? - domyśliłem się.

- Tak. Podobno on jest cokolwiek przerasowany - uśmiechnął się niepewnie.

Ale to było coś znacznie gorszego.

Ze stęzałej, niedbale ulepionej twarzy patrzyły brązowe oczy, nieprzenikliwe i bez wyrazu, mętne kleksy o barwie mazutu, zastygłe pod nieproporcjonalnym czołem. Ciemne włosy starannie ostrzyżone, wymodelowane z zamiarem poprawienia proporcji, niczego nie korygowały, przypominały skalp zdjęty z prawidłowo sklepionej głowy.

Duże ciało, jak zbyt wyrośnięte ciasto, obleczone popeli- nową bluzą, od połowy okryte lekkim pledem, spoczywało na lśniącej niklami konstrukcji spełniającej rolę łóżka, fotela, leżaka i wózka. Jedyny metalowy sprzęt w pokoju urządzonym zbyt kownie i ze smakiem, z podłogą wysłaną starym persem.

- Ecce Homo - wyszeptał wstrząśnięty Uther. Pewno bezwiednie przyszedł mu na myśl słowa zapamiętane z modlitewnika babki, chociaż nalane ciało, wypełniające elastyczny materac, wcale nie przypominało ukrzyżowanego Galilejczyka. Podobne wielkiemu krabowi, trwało poddane słonecznemu ciepłu, nieczułe na dźwięki, zapachy i je- ien z najpiękniejszych widoków roztaczający się u jego stóp. I _ Biedny homunkulus! - Utherowi mierzchna twarz, vvlczyl zerami.

Odróciłem się i odszedłem pod ścianę ze szkła, jej

gjo^dła obracające, się na osi otwarte były na taras obrośnięty wistarią, pnączami wiciokrzewu i purpurowymi baldachami różanecznika, jak tratwa pośród kęp geranium, rododendronów, paproci i żarnowca, przetkanych ciemną zielenią abides retica i sosen pinastrów. Za nim piętrzyły się Alpy-

Spowite mgiełką oddalenia, odbijały promienie słońca czapami wiecznego lodowca i jezorami firnu na skłonach. Niżej, na południu, leżało Lago Maggiore z nitką wijącej się nad brzegiem szosy.

Czy chory je widział? Nie jest pewne, czy w ogóle widział, może odbierał obrazy rozsypane jak garść szkiełek w zepsutym kalejdoskopie. Porażone martwością oblicze nie uzewnętrzniało żadnych uczuć.

- Bracie! - Uther klęczał przy tej kolebce z chromowanymi rur, obejmował spoczywającego ramionami. - Bracie - szeptał i płakał nad odnalezionym, płakał z udręki i litości nad nim i nad sobą, i trochę nad swoim ojcem. Potworem doświadczonym przez los, ukrywającym starszego syna jak hańbę.

Nie było odzewu. Nie drgnął nawet żaden wymanikiuro- wany palec tłustych rąk ułożonych wzdłuż korpusu.

- Nie trzeba rozpaczać, on nie jest nieszczęśliwy ^ powiedział kobiecie głos. To zjawiła się szarytka. Stała przy Utherze z dłonią na jego ramieniu. Jak wielki bielinek chwiały się nad jej głową skrzydła kornetu.

Nie słyszałem, jak nadeszła. Oni tu wszyscy chodzili w obuwiu na elastycznych podszewkach, nie wydających szmeru i nie pozostawiających śladów na wypolerowanych posadzkach, sterylnych chodnikach korytarzy, na kobiercach moszczących luksusowe izolatki zamieszkałe przez istoty najgłębiej upośledzone, pochodzące z rodzin mających jednak dość pieniędzy na opłacenie tej kosztownej przechowalni ludzkich braków, położonej w cudownymi

zakątku i elegancko zwanej sanatorium.

- On nie ogarnia swojego stanu - dodała zakonnica.
- Żadnych doznań? - Uther już się opanował.
- Odczuwa ciepło, chłód, pragnienie. Cieszy go jedzenie i słoneczne światło. Na swój sposób rozpoznaje opiekunów.
- Korona stworzenia - nie mógł pogodzić się Uther.
- Tylko ludzie w swej zarozumiałości tak o sobie sądzą.
- Czy on też ma nieśmiertelną duszę? - wyraźnie chciał dokuczyć szarytce.

- Ma. A teraz muszę panów przeprosić. Topora karmienia i toalety - otworzyła drzwi łazienki wyłożonej kafelkami, z basenem wpuszczonym w podłogę. ft^zekeręciła kurki.

- Ga, ga, ga - zagulgotało stworzenie do wtóru strumieniowi płynącemu z kranu. Pulclmą twarz opromieniło coś jak uśmiech.

Niemowłęce gaworzenie dojrzałego mężczyzny wydało się potworniejsze od defojrmacji ciała, katatonicznego bezruchu i bezmyślnego spojrzenia.

- Pomyśleć, on leży ciurkiem od trzydziestu dwóch lat. Straszne. Nie miałem wyobrażenia o jego stanie. Inaczej nie narażałbym ciebie na taki widok. Przepraszam.

- Nie bądź osioł. - Wracaliśmy do kolejki.

- W dzieciństwie miałem bardzo mądrego osła, wychowała go moja polska babka, bo coś się stało z jego matką, ponieważ z moją też się coś stało, wychowała i mnie. W jego wspomnieniach ożyła stara pani ukradkiem ćmiąca hawanę „Monte Christo Special”, długie i cienkie cygaro z jasnego tytoniu, popijająca mocną kawę i uprawiająca w Kalifornii zagonek modrego lnu. Kobieta niewykształcona, prosta i nieprzeciętna.

Ożyły Wigajny sprzed stulecia, kraina jej wczesnej młodości, kraina, jakiej nie ma i nigdy nie było, zrodzona

nostalgii i oddalenia w sercu człowieka samotnego i wykorzenionego, który nigdy nie wrósł w nowe miejsce.

Swoją arkadyjską wizję ziemi niezwyklej i jedynej zaszczepiła wnukowi, a gdy teraz zbyt dokuczają mu problemy bieżącej chwili, ucieka na planetę dzieciństwa z opowieści babki, do kraju nie istniejącego. Tak pomyślałem.

_ Nawet nie wiem, kim jestem.

_ A kim chciałbyś? - nie zrozumiałem. Wydało mi się,¹⁵⁷ że

oiówi o swoim miejscu w życiu.

- Może wyłagłem się w próbówce. Do niedawna nie miałem pojęcia nawet, skąd pochlodził moi dziadkowie, chociaż mam rodzimny nekropol z połączonym dachem, a na steli babki wyryto inskrypcję niemal żywcem ściągniętą z nagrobka Szopena.

I wcale nie jestem pewien, czy ci inni, którym fundował płyty mój dziadek, naprawdę pod nimi spoczywają. Ich ciała pewno pozostały na roponośnej działce, jaka dała początek całej forsie. Przenosić - koszt. Co za różnica, czy jest w krypcie garść truchła, czy nie? Jakie znaczenie może mieć kupka spróchniałych kości? Dopiero kawał wypolerowanego marmuru, odpowiedni napis i koniecznie portret dają właściwe wymiary nieboszczykowi.

Próbując przejrzyć tajemnicę swojego pochodzenia uparcie tropił dzieje rodziny. Rozpoczął od kamiennego podgórze, gdzie pierwsi Stuningtonowie, Angus i Deborah, hodowali kozy na kwaśnych połoninach Sierra Mądre.

Wiedział, gdzie leżała ich farma. Miał dziesięć lat, gdy zawiózł go tam ojciec i pokazał początki dziedzictwa. Miejsce niczym nie przypominało majątku z ojcowych opowiadań i nie wiadomo już nawet którą przebiegały jego granice, bo cały obszar od blisko stu lat włączono do ciągnącego się setkami kilometrów terenu należącego do konsorcjum Standard Oil.

Widok monotony.

Pola aż po horyzont obsadzone lasem żurawi pompujących ropę. Wstęgi niebieskich się w węzły, a od nich odchodzące inne pasma przewodów, tylko o grubszym przekroju. Kłaki, rafinerie, olbrzymie kuliste cysterny na wspornikach wysokich na kilkanaście pięter. Cisza i zupełny brak ludzi. Tyle zapamiętał z tamtej panoramy

„Stare Roselido było dużym majątkiem” - mówił z dumą ojciec.

Gospodarstwo, którego hipotekę w kilka lat później Uther z niemałym trudem odgrzebał w notarialnym archiwum w Birmingham, nie nosiło żadnej nazwy, tylko numer katastru.

Ojciec opowiadał o domu pierwszych Stuningtonów jak gdyby w nim spędził dzieciństwo, chociaż zburzony został na długo przed jego urodzeniem. Ten nigdy nie widziany dom

przedstawiał synowi jak starą angielską siedzibę, przeniesioną gdzieś z okolic Dartmoor Forest z osiemnastowiecznej Anglii, pełną świetnych pamiątek po kornwalijskich szlachcicach, przesyconą atmosferą dworskiej tradycji aż po dziurki od nosa.

„Zajmowali się hodowlą”. Nad źródłem utrzymania potomków pionierów z „Mayflower” Pendragon Stunnington nie rozwodził się, kóz nie zaszczycał nawet wzmianką, natomiast w jego opowieściach rżały po stajniach folbluty, groom podprowadzał wierzchowca, a pod opieką hundsmana ujadała psiarnia.

I w ten starobrytyjski pejzaż - wtętrę z zupełnie innego sztychu, innego obyczaju i innego czasu. Na widok sztuce- ra podnosił się z ganku legawy, przychodził służący w lnianej świtce, kłaniał się nisko i mówił: „Wielmożny panie!”

Dopiero gdy chłopiec dorośnie, zwróci uwagę na tę niespójność obrazu. Jakby nałożyły się na siebie dwie różne ryciny.

Zaraz po części legendarnej ojciec przechodził do interesów i na scenie pojawiał się wspaniały dziadek John. Man of action, człowiek sukcesu! I nastawał rok tyśiąc

r

igo)set dziewięćdziesiąty, wielkim gejzerem biła ropa, jgg^ywana wówczas olejem skalnym, i okazywało się, że gtare Boselido pływa na niezmiernym bogactwie, w sa- piym środku roponośnych pól, stanowiąc centralny punkt i znikomy ułamek całego obszaru.

Ale ten dar boski należało jeszcze utrzymać. I nadzwyczajny dziadek zrobił to. Obronił majątek przed drapieżnymi spółkami, nie dał sobie wydrzeć ziemi za jednorazową opłatę. Sponad paru tysięcy właścicieli gospodarstw tylko trzech weszło w skład zarządki konsorcjum, jednym z nich został dziadek John, a self-made man, człowiek mądy, chociaż niewykształcony, znający się na nafcie. A man of his hands!

Aby całej fortuny nie opierać na ropie, przezornie umiś⁵⁹ zszczał pieniądze i w innych przemysłach, a także kupił

posiadłość, nazwał ją Roselido, kazał wznieść dom i zbudował grobowiec rodzinny. Legł ti; w wieku lat dziewięćdziesięciu ośmiu, pod płytą, na któ*im* 3j za życia kazał wyryć inskrypcję po wsze czasy mającą s[^] iwić jego sukces: „Będzie on jako drzewo zasadzone nad strumieniem wód,/ Wydadają swój owoc we właściwym czasie,/ Którego liść nie więdnie./ A wszystko, co uczyni, powiedzie się.”

We wspomnieniach ojca dziadek był dobry, sprawiedliwy, wspaniałomyślny. Ale Uther pamiętał też dziadka Johna z opowiadań babki i te dwa wizerunki niezupełnie do siebie przystawały. Długo nie mógł odkryć, skąd się ten człowiek wziął.

Nie figurował w księgach grimtowych z nazwiskami farmerów, którzy sprzedali lub wydzierżawili spółce działki, zanim jeszcze przekształciła się w konsorcjum naftowe. Znalazł tam tylko Angusa, męża Deborah, i jeszcze Sarę Stunington. Skojarzył owo imię z epizodem z dzieciństwa.

Zdarzyło się to w Los Angeles. Uther mó*ł* mieć wtedy jedenaście lat, znalazł się na przyjęciu urodzinowym, gdzie spotkał dziewczynkę trochę &d siebie młodsza, nazywaj się Amy Stunington. ®

- Nie wiedziałam, że zapraszasz pr[^]błądy - pov[^]je działała mała dama do małego gospodarza po przedstawię, niu jej Uthera i ostentacyjnie odwróciła się od chłopca, Uther właśnie skrajnie pogardzał babami, uważał dzie, wczyny za rodzaj domowego zwierzęcia o znikomej przy[^]datności, więc niewiele myśląc huknął impertynentkę w kark, poprawił po lokach.

Podniosła lament, i rzuciła się z paznokciami, więc jeszcze raz jej przyłożył. Teraz Amy darła się wniebogłosy:

- Ty przybłądo!

Ryk małej oderwał od brydża w sąsiednim salonie rodziców urodzinowj[^]ch gości.

- Milcz! - zawołała ostro jej mama słysząc wyzwiska, ale Amy do przybłądy dołożyła jeszcze polskiego włóczęgę,

- Milcz! - powtórzyła matka.

- Przecież sama tak ich nazywasz! -niedyplomatycznie odęła się Amy. Na co mama wymierzyła jej policzek i wywlokła za drzwi.

- Amy Stunington, czy to nasza rodzina? - zagadnął ojca

w jakiś czas później, bo nurtował go problem. O drace nie wspomniał.

- Nie utrzymujemy z nimi bliższ^{ch} stosunków.

- Ale jesteśmy spokrewnieni, czy nie? - nie dał się zt^{ać} Uther.

- Prababka tej dziewczynki, Sarah, była żoną stryjecznego brata twojego pradziadka, więc już nawet nie powinni.

W kilka lat później podczas poszukiwań, natknąwszy się w rejestrze na imię Sarah, Uther skojarzy ją z Amy i niedostępną Yanessą obwarowaną w stylowym domu pod Paryżem.

Informacji dostarczyły także stare roczniki lokalnej gazety. Wsp^{acze}śnie duże miasto Birming City, w pobliżu

r

jenów Standard Oil, przed naftą było małą miejsciną, ponieważ jednak pełniło funkcję ośrodka administracyjnego. miało sąd, więzienie, coronera, policję i pismo:

Siedem Dni Birmingham City”, założone na piętnaście lat przed pojawieniem się pierwszej wzmianki pisanej ^dziadku Johnie.

W końcu ubiegłego wieku tygodnik donosił o bliżej nieokreślonej tropikalnej gorączce zawleczonej w głąb lądu przez imigrantów z Filipin, która przetrzebiła ludność okręgu. Zamieszczał nazwiska zmarłych i osieroconych członków rodzin.

Nieszczęście dotknęło oba klany Stunningtonów. Epidemia zabrała Jonathana, farmera i milicjanta straży obywatelskiej, oraz jego trzy córki, pozostała po nim wdowa Sarah i dwaj małoletni synowie.

Pastwą zarazy padł Angus i Deborah, przy życiu pozostała tylko ich jedyna córka Becky. Johna Stunningtona gazeta nie wymienia.

Pierwszy ślad po dziadku odnalazł Uther w okręgowym Archiwum Akt Dawnych, gdzie zgromadzono wszystkie dokumenty dotyczące ubiegłego stulecia. Księga ludności z roku nawiedzenia przez zarazę zawierała wpis o zawarciu związku małżeńskiego między Becky Stunnington i Johnem Stunnington ze wsi Titusville w Zachodniej Pensylwanii. John miał wtedy lat dwadzieścia siedem, jego młoda żona osiemnaście. Zaślubiny odbyły się w dwa miesiące po śmierci jej rodziców.

Drugi z najwcześniejszych śladów po Johnie w Birmingham City to intercyza notarialna figurująca w Księgach Wiczychystych, mocą której, między innymi, oboje małżonkowie w razie śmierci jednego z nich dziedziczyli po sobie majątek uznany owym dokumentem za własność niepodzielną.

Becky wносиła zabudowania, sześć tysięcy akrów ziemi wolnej od obciążeń hipotecznych, John zadeklarował świeżo nabytą działkę przylegającą do farmy żony i tysiąc dolarów złożonych w banku w Birmingham City. Grunt kupio, ny przez Johna tuż przed ślubem stanowił część arealu

wystawionego na licytację po śmierci właścicieli i spadkobierców. Kupił te nieurodzajne piargi za tani grosz.

W żadnym z miejscowych kościołów; anglikańskim prezbiteriańskim, katolickim, gdzie istniały kroniki UT(>! dzin, ślubów i zgonów od czasów założenia parafii,, nie było żadnej wzmianki o Johnie Stunnirigtonie ani o jego związku z Becky.

Nie należeli do żadnego kościoła, a może zagarnęła ich któraś z sekt mnożących się w Kalifornii i przemijających jak efemerydy na przełomie stulecia?

W Roselido przechowywano starą Biblię tłoczoną na pergaminie w Anglii u schyłku siedemnastego wieku z ręcznie malowanymi inicjałami ornamentalnymi, barwionymi złotem, urzefem i purpurą folio, księgę oprawną w cielęcą skórę, z okuciami i* kłamrą ze srebrnego filigranu, zdobionego koralem.

Pamiętka po pradziadkach, utrzymywał ojciec. Na ostatniej, nie zadrukowanej karcie widniały imiona Becky, jej rodziców i rodzeństwa. To na ich metryki zgonów natknął się Uther podczas poszukiwań w okręgowym archiwum. W Biblii zapisane były daty narodzin i przedwczesnych śmierci dzieci, z nakreślonymi krzyżykami. T^lko czas rozstania ze światem Becky oznaczono innym charakterem pisma i atrament nie wyblakł jeszcze tak, jak na tych wcześniejszych.

Kronikę otwierał ledwo czytelny zapis o dniu ślubu Angusa i Deborah, który odbył się wstanie New Hampshire w Nowej Anglii w kościele prezbiteriańskim.

Jeśli wierzyć w autentyczność notatek na ostatniej stronie starego foliału, rodzice Becky, więc także i ona, należeli do kościoła reformowanego, do odłamu puiytanów umiarkowanych.

I

Jeśli wierzyć, bo kosztowną Biblię, jak wiele innych ainiątek rodzinnych, mógł kupić dziadek albo ojciec jthera. Wielu antykwariuszy na zamówienie sprowadzało

Europy cenne zabytki piśmiennicze, przystosowując je do wymagań klienta.

Dokonywając rodzinnych wpisów nie należało do
^(^atków. Specjaliści komponowali dowolny charakter pisma ¹⁶³

i dobierali atrament z odpowiednią patyną.

Złote myśli, maksymy, podobizny przodków w najlepszym gatunku. T^lko dziadek John był za mało wyrafinowany i dlatego spreparowanie portretów pierwszych Stuningtonów powierzył jakiemuś prowincjonalnemu partaczowi ze Stockersfield, który odrobił protoplastów z grawiury dołączanej jako ilustrowany dodatek do gazety, chociaż, trzeba przyznać, gazety wytwornej i wydawanej w Anglii.

Sądząc Jednak z brzmienia imion, byli oni protestantami.

Natomiast u Granni wisiały na ścianie dwie madonny. Obie sm^aolice, ze skośnymi wąskimi oczyma. Jedna w złotej, sadzonej kamieniami sukience, w koronie, z Dzieciątkiem na ręku, przedstawiona en face, druga - w promienistej aureoli z sierpem księżycy, w bogatej szacie ze srebra, usianej klejnotami, odwrócona do patrzącego en trois quatre.

Najsłynniejsze polskie madonny z ciemnymi obliczami ikon bizantyjskich. Do nich modliła się babka ze skromnego modlitewnika obciążonego czarną skórą, pozakładanego różnymi kolorowymi obrazkami świętych. Nie miała Biblii i nie sięgała po nią.

Czasami jechała do kościoła rzymskiego rytu w Stockersfield, wtedy okrywała głowę kosztownym prezentem syna, wspaniałą hiszpańską mantylą. Krzyżujące się na ramieniu dwa bryty czarnej koronki spływały miękko przez pierś i plecy aż do stóp starej pani. Troskliwie ogarniając brzegi pysznej tkaniny mościła się w samocho-dzie.

W wiele lat później Uther jeszcze zobaczy w krainie swp-babki kobiety śpieszące na primę w ažiurowych szalach na głowach, udrapowanych w ten sam sposób, w jaki oiig nosiła swoją mantylę. Granni pozostała wierna tamtej modzie, niezmiennej od kilku pokoleń stajych wieśni^g! czek.

- Bóg jest wszędzie - mówiła, tłumacząc się prze[^]wnukiem, dlaczego tak rzadko odwiedza świątynię - widzi nasze serca i nasze uczynki siedząc na niebieskim tronie.

-^lA na czym stoją nogi tego tronu? - badał pięcioletni sceptyk.

- ¹⁰Bóg nie musi się niczym podpierać, jest wszechmocni

- odpowiedz a z godnością.

Jej Bóg był rzymskim obrządkiem, rzymskiego obrządkiem był Bóg dziadka Johna i ojca, chociaż babka kwitowała ich krótko: - Niedowiarki!

Pendragon Stunington nigdy nie uławał swojej religii, chociaż nie praktykował. Zaliczanie się do tego Kościoła nie przynosiło jego zdaniem ujmy. Wiele możliwych rodzin należało do obrządkiem rzymskim, a przez kilka lat jego wyznawca zasiadał w Białym Domu. A jeszcze później, po wyniesieniu na tron papieskim kardynałem z Krakowa, ojciec Uthera niekiedy nawet lubił podkreślać swoje wyznanie i pochodzenie matki.

Ale zmarła bezpotomnie prezbiterianka Becky Stunington i bezbożny papista John Stunington zawarli tylko ślub cywilny, żadne nie zdecydowało się na przyjęcie religii drugiego, czy może pokrewieństwo między nimi wykluczało związek małżeński, zarówno według rytu protestanckiego, jak i rzymskiego, ponieważ oba nie zezwalają na łączenie się osób o bliskich więzach krwi.

Tylko skąd wziął się spośród puiytańskich Stuningtonów jeden papista, który w trzydzieści lat po śmierci Becky i ich jedyne dziecko, mając lat pięćdziesiąt siedem, oślubił w kościele pod wezwaniem Chrystusa Króla Stockersfield dziewiętnastoletnią polską imigrantkę Surazyńską?

Jej sięga Stanu Cywilnego w Birmingham City w związku z pierwszym małżeństwem Johna, tamże annały katastrofalne i Status Animarii parafii w Stockersfield stanu Kalifornia zgodnie wymieniają jego miejsce urodzenia: wieś Titusville w zachodniej Pensylwanii.

Utherowi, czwartemu pokoleniu wzbogaconych na ropie i wdrażanemu do przyszłego administrowania majątkiem, nazwa miejscowości nie była obca. Wiedział, że tam w 1862 roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym zaczęła się amerykańska nafta i stamtąd wzięła początek największa fortuna Stanów Zjednoczonych, konsorcjami Rockefellerów.

Lecz w Titusville wnuk Johna nie odnalazł żadnej wzmianki o narodzinach dziada, chociaż kroniki kościelne i municypalne przechowały się w komplecie.

Ślad ginął.

Nie znał imion rodziców dziadka i przez długie lata nie

zdawał sobie sprawy, że słyszał je już w najwcześniejszym dzieciństwie, i to w polskim brzmieniu, wymieniane przez Granni przed modlitwą za umarłych.

Stanisław i Janina Kardaszowie urodzili się i przeżyli długie lata jako poddani, a po uwłaszczeniu wolni najmici w majątku Markowszczyzna w okolicy Krosna, należącym do polskiego magnata piastującego urząd szambelana dworu monarchii Austro-Węgierskiej. Tamże przjrzęło na świat najmłodsze z ich dzieci, otrzymało na chrzcie imię Jana Ewangelisty, o czym prawnuk dowiedział się dopiero z dokumentów w Archiwum Imigracyjnym stanu Kalifornia. Iyiko tam pozostał ślad, że John Stunnington, zanim urzędowo przyjął nazwsko żony, nazywał się inaczej.

Uther wreszcie zrozumiał niespójność wspomnień oir jakby przemieszanych ze sobą dwóch stajych, odmiennymi! rycin. Zapamiętany przekaz Jana Kardasza, jego remini scenie z galicyjskiego dworu arystokraty spod Krosij[^] rozbudował zapożyczonym obrazem z życia kornwalij, skich szlachciców, i taki uznał za własny.

- Był dzielnym człowiekiem, nie rozumiem, dlaczego wyparł się przynależności etnicznej? - zdumiewał się Uther.[^]

Nie rozumiał tym bardziej, że w Kalifornii pozostały trwały ślady po wybitnych Polakach: Góra Bielawskiego jezioro Wanda, most w San Francisco zbudowany przez Ralpa Modjewskego, syna sławnej polskiej aktorki Heleny Modrzejewskiej. A ostatnie „Who's Who” wymienia w tym stanie ponad dwustu pięćdziesięciu nieprzeciętnych Amerykanów polskiego pochodzenia spośród ogólnej liczby stu szesnastu tysięcy.

T[^]lko nie jest pewne, czy Jan Kardasz identyfikował się z narodem, którego reprezentantem dla niego i jego rodziców pozostawał polski arystokrata w służbie Habsburgów.

- Prześledziłem dzieje czterech generacji klanu i nie znalazłem śladu po kobiecie, za której przyczyną ujrzałem światło dnia. - Zwróciłem uwagę, że Uther starał się omijać nazwę: matka, jakby stanowiła pojęcie drażliwe, wymagające ukrywania pod eufemizmami.

Jego podróż w głąb czasu, w miarę czynionych odkryć coraz bardziej pasjonująca, ujawniła pochodzenie rodziny i brak związków krwi między potomkami Kardaszów z Roselido a pozostałymi Stuningtonami na przeciąg pokolenia od śmierci Becky i jej dziecka, póki Vanessa nie posłubiła ojca. Teraz niedostępna, odizolowana na swojej szklanej górze w Nogeut-Sur-Mame, najbardziej działaj[^] na wyobraźnię.

Jednak ta wiedza nie spełniła oczekiwań.

Wrócił więc do nocy zapisanej w jego metryce jako data

r

dzenia i do dzieci, które wtedy podobnie jak i on

**V^częły samodzielne życie.

zasięgał o nich wiadomości, dziedzic banku Evan-
v studiował finanse w Bemie, Douglas Amo-Winter
®^ył się w Harvard, syn Lucienne Berville, Murzyn o bar-
jasnej karnacji, uczęszczał na ten sam uniwersytet, g *jlgo*
rodzice, piel^iarka i szofer, potrafili nastarczyć ^^ków na
opłacenie bardzo wysokiego czesnego i innych ^iadczeń
obowiązujących w elitarnej uczelni.

_ Istnieją. Zatem nie mogłem być żadnym z nich -
skomentował podążając za tylko sobie zrozumiałą logiką.

Z pomocą skąpych danych o Jadwidze Surażyńskiej,
utrwalonych na fotokopii karty ewidencyjnej pacjentki,
dostarczonej przez specjalistę od sekretnych usług, odnalazł
w księgach ruchu ludności w Bostonie akt przyścia na świat i
zgonu dziewczynki imieniem Cynthia, powitej przez polską
imigrantkę, krajanekę jego babki, niewykluczone, że z nią
spokrewnionej, a więc i z nim, poza tym zatrudnionej kiedyś
w nowojorskim biurówcu Standard Oil.

Na drogim cmentarzu trafił na grób Cynthii. Na staran-
nie przystrzyżonym trawniku, pod prostym marmurowjro
krzyżem, kwitły kępy biało-różowych stokrotek.

- Miejsce grzebalne zakupiła na wieczność, czyli dzie-
więćdziesiąt dziewięć lat, i opłaciła jej pielęgnację z góry za
lat pięćdziesiąt missis Jadwiga Suragyhka w roku tysiąc
dziewięćset pięćdziesiątym siódmym. Od tamtej poiy missis
Suragyhka nie kontaktowała się z nami ani
korespondencyjnie, ani przez rzecznika, ani osobiście.
Adresu nie pozostawiła - po sięgnięciu do kartoteki odpo-
wiedziano Utherowi w zarządzie cmentarza.

Na tym łagodnym, zielonym wzgórzu obsadzonym drze-

wami miejsce ostatniego spoczynku i sprawowanie opieki nad nagrobkiem kosztowało dużo. Jednorazowe opłacenie za pół wieku znaczyło kilkadziesiąt tysięcy.

Poradzono, aby przyszedł w Święto Zmarłych, wtęj pojawiają się tu nawet tacy, co nie odwiedzają grofó^ swoich bliskich przez okrągły rok.

Przyjechał w Zaduszki. Czekał od wczesnego rana w kp. pie rododendronów będących znakiem enklawy. Namogi. tę Cynthia Surazyńskiej przyszła czarna pielęgniarka kii. niki „Continental”.

- Dzień dobry, Lucienne - zatrzymał się przy kłęzącej zapalającej znicz.

Zaskoczona, przestraszona, jakby robiła coś zakazanego, nie od razu zdobyła się na odwzajemnienie pozdrowienia.

- Dlaczego ta kobieta nie przyszła sama, tylko wyręcza się tobą, Lucienne, nawet w dzień pamięci?

- Nikt się mną nie wysługuje. Przychodzę tu w każdą sobotę, mam pod opieką cały sektor. Plewię, podlewam, w doroczne święta zapalam światła. Dorabiam na Harvard mojego syna, Uther.

- Podaj mi adres matki Cynthia.

- Nigdy jej nie Vidziałam i nie wiem, gdzie mieszka.

- Kłamiesz. Jednocześnie urodziły się wasze dzieci i w tym samym miejscu, tę samą noc zapisano jako początek mojego istnienia.

- Nie znałam jej. Mylisz się sądząc, że kolorową pomieszczono w „Continent^u” razem z białymi damami. Aż tak daleko tolerancja nie sięga. Prawda, urodziłam tam Baldwin w budynku wydzielonym dla niższego personelu, gdzie niezbyt chętnie, ale jednak przyjmuje się i czarnych. Oddział ten nie ma żadnej komimikacji z pawilonami noszącymi nazwy kwiatów, przeznaczonymi dla wytwornych, bogatych pacjentów.

- Ona była biedna. Ale dlaczego, gdy do ciebie przyszedłem, wyparłaś się kliniki Orlano Harrocks!

- Aby uniknąć właśnie takich pytań, ponieważ nic nie wiem i nic nie chcę wiedzieć o białych kobietach, które .gij na świat dzieci w noc twojego urodzenia, Uther.

o^zo więc proszę, pozostaw mnie w spokoju i nie nachodź¹⁶⁹ mojego domu.

Mic więcej z niej nie wydobył.

Sprawdził w administracji. Nie kłamała. Ale dodatkowo, sobotnią pracę przyjęła tu na początku roku pięćdziesiątego ósmego, a nie jak sugerowała Uttierowi - od czasów Uarvardu swojego jedynaka. I rejonu, gdzie poctiowano zinarę niemowlę polskiej imigrantki, nie otrzymała przypadkowo. Podejmując obowiązki zastrzegła, czego Uther dowiedział się od innych porządkowych, powierzenie jej pieczy właśnie sektora, w którym znajdowała się mogiła córki Jadwigi Surazyńskiej.

Zachowanie Orlando Harrocksa podczas odwiedzin Uthera w bostońskiej klinice od razu wzbudziło jego podejrzenia. Układało się według znanego skądinąd schematu, na jaki junior był szczególnie wyczulony. Tak odnosili się do niego ludzie uzależnieni od ojca, co tym bardziej skłaniało do podjęcia dalszych badań, a te z kolei przyniosły nowe fakty.

- W dniu, kiedy prawnie zacząłem istnieć, a więc w dniu zarejestrowania w Księgach Stanu Cywilnego, doktor Orlando Harrocks, dotychczas nie mający ani jednego udziału, wszedł w posiadanie czterdziestu dziewięciu procent akcji kliniki „Continental”, przedtem należących do mojego ojca, który za pośrednictwem podstawionych osób wykupił całość na cztery miesiące przed moim urodzeniem.

Tropił dalej.

Jedna przesłanka wyłaniała drugą, przypominały rozkręcającą się spiralę. Kolejny pierścień i następny, i następny, otwierający widok na dalsze i dalsze. Wciągało, zwłaszcza kogoś jak on, trawionego obsesją poznania swojego prawdziwego początku. Znow wędrował w czasie.

Na piętnaście miesięcy przed datą zapisaną w jego

Tmetryce jako data urodzenia Vanessa kupuje dom w Gent-sur-Marne i wyjeżdża do Francji. Jednocześnie jej T-głęboko upośledzony syn, wówczas ośmioletni, zostaje przemieszczony z luksusowej przechowalni w San SCO do luksusowej przechowalni nad Lago Maggiore.

Przez blisko półtora roku Vanessa nie komunikuje się z nikim, niedostępna nawet dla własnej rodziny, obwarowana

w domu przy rue Watteau.

Szerzy się pogłoska, że wcale jej tam nie ma. Leczą, rozstrój nerwowy w szwajcarskiej klinice. Inna plotka podaje pr^czynę budzącą niesmak środowiska. Vanessa ukiywa się w Nogent, ponieważ znowu jest przy nadziei Gorszy się jej stanem liczny klan Stunningtonów i wy. twome towarzystwo, potępiają skandaliczną odwagę tej pary ryzykującej sprowadzenie na świat następnej człekokształtnej okropności. Są przesłanki do ponurych prognoz. Artur nie jest ich pierwszym nienormalnym dzieckiem, poprzedziło go dwoje tak samo niedorozwiniętych, zmarłych we wczesnym niemowlęctwie.

Jesienią pięćdziesiątego siódmego roku kolejny skandal Stunnington przywozi z Bostonu syna i powierza opiece sędziwej babki, kobiety nigdy nie widywanej przez towarzystwo z Frisco, żyjącej jak za klasztorną furtą w Roseli- do, posiadłości na podgórzu Sierra Nevada.

Niemowlę jest normalne - niesie wieść, nikną nadzieje na ewentualną sukcesję bodaj w dalekiej perspektywie, tym bardziej rodzinę Stunningtonów trzęsie oburzenie na bezwzględność i brak poczucia przyzwoitości u tego parweniusza, potomka zwykłego chłopca, który przywłaszczył ich dobre nazwisko. Nie licząc się z niczyją opinią, spłodził i przekazał owo świetne miano dziecku urodzonemu przez nie wiadomo kogo, nieledwie na oczach prawowitej żony.

Według zapisu w metryce matka chłopca nazywa się Lucienne Berville, co niczego nie wyjaśnia. Środowisko nie zna takiej osoby, nigdy jej nie widziało i nigdy nie

r

Ijaczy- A dane biograficzne czarnej pielęgniarki pozofaią anonimowe nawet wobec pacjentów z Bostonu, a cóż jppjero w dalekiej Kalifornii.

Vanessa, wciąż niedostępna, przebywa we Francji. Kiedy mały kończy sześć tygodni, wnosi o separację z mężem, pozostaje na stałe w Europie i przez dwadzieścia pięć lat nie zajrzy na rodzinny kontynent.

po odtworzeniu wydarzeń, które już dawno przestały budzić¹⁷¹

emocje i odeszły w niepamięć, czasami tylko wspomniane przez starsze panie, Uther stwierdził następne Jżamstwo ojca. Jego rozstanie z Vanessą nie nastąpiło, jak sugerował, na długo przed pojawieniem się Utliera, tylko zaistnienie Uthera stało się bezpośrednią przyczyną zerwania.

Uther sumuje przesłanki ;

Jego waga jako noworodka pokrywała się z wagą tylko

o kilka minut starszego Douglasa Amo-Winter.

Kupienie przez ojca „Continentalu” na cztery miesiące przed urodzeniem syna.

Separacja ojca i Vanessy w sześć tygodni po jego, Uthera, przyjściu na świat. A przecież nie zapomniał odpowiedzi ojca, kiedy po raz pierwszy, niespełna czternastoletni, zapy[^] o matkę. Usłyszał, że opuściła ich, gdy miał sześć tygodni. Porzucenie pracy, podróż z Nowego Jorku do Bostonu, opłacenie kosztownej kliniki, a następnie miejsca na cmentarzu i pielęgnacji grobu zmarłego noworodka - nawet na jeden z tych wydatków nie stać byłoby sprzątaczkii.

Imię i nazwisko matki w jego metryce brzmi, jak imię ¹ nazwisko czarnej pielęgniarki, która tej samej nocy powiła syna, dziecko o bardzo jasnej skórze. Ale identycznie nazywają się zamieszkali w Kanadzie powinowaci prawdziwych Stunningtonów i szC2y cą pochodzeniem od wygasłego rodu arystokratów z Burgundii. A Berville to jeszcze i miejscowość we Francji, gdzie mieszkał bard^{^^} już s[^]ziwy Tadeusz Kościuszko, Polak, wielki genera) Stanów Zjednoczonych, bardzo poważany przez oica Uthera.

Lucienne Berville wynajmując się do opieki na cmentarzu życzyła sobie dbać o sektor, gdzie pochowano dziecko polskiej imigrantki, której podobno, jak twierdzi, nawet nigdy nie widziała.

Solidarność, poczucie wspólnoty losów? Może obie byjij, nosicielkami obcych embrionów poczętych in vitro - pod, sumował Uther zaskakującym stwierdzeniem.

Nawet przez myśl mi nie przeszło snucie tak fantastycznych wniosków, a i o samym problemie zaledwie słyż[^]em z gazet. Teraz zaczynałem rozumieć, dlaczego on zabrał się na Sorbonie do biologii, mając ukończoną zupełnie inną dziedzinę w Berkeley.

- 172Albo urodziłem się w zuprfnie innym dniu i

dokładnie zatarto ślad po mojej matce, albo pochodzę z retorty, poczęty ektosomatyicznie w kolebce biologicznej, jak uczenie nazywają szklany słój. A tej Murzynce lub Polce, albo obydwu, dla zwiększenia szansy eksperymentu, wszczepiono ziarno Vanessy, bo z jakichś przyczyn ta przerafiowana kobieta nie mogła urodzić normalnego dziecka, więc inplantowano zarodek w zdrowy organizm którejś z tych dziewczyn.

Fascynował mnie swoim wywodem.

- Jak niesie wieść, bostońska wylęgarnia, taką opinię ma „Continental”, na parę dziesiątków lat przed rokiem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym, kiedy to kongres Stanów Zjednoczonych zakazał wszelkich prób z ludzkimi komórkami płciowymi in vitro, prowadziła takie doświadczenia i baidzo ftiożliwe, właśnie tam na skutek uszkodzeń genetycznych spartaczono troje dzieci Vanessy, tych nieszczęsnych homunkulusów, aż wreszcie udało im się wyhodować mnie.

r
I Nie były to jedTie teorie Uthera. Obkuty w temacie do ^nic możliwości, miał jeszcze inną, jeszcze bardziej ^^gsamowitą, czemu spr^ało wprost niebywałe, jak się *"iałem przekonać, jego podobieństwo do ojca.

Czytałeś książkę Davida Rorvika „In his Image. Tlie Clonning of a Man”?

V\rówczas nie tylko nie czytałem bestselleru, wokół którego niebawem wybuchła wrzawa, lecz nawet nie słyzałem o nim, nie słyzałem też o profesorce z Oxfordu, doktorze J.D. Bromfiallu, ani o procesie wytoczonym przez jjięgo amerykańskiemu wydawnictwu. "ITie clonning skojarzyło mi się z ogrodnictwem. Inna sprawa, że do tamtego czasu nie spotkałem się z terminem: klonowanie w odniesieniu do człowieka.

Każda komórka żywego organizmu zawiera dokładną i skończoną informację genetyczną o dojrzałej istocie od koloru włosów po kształt paznokci. Mówiąc z 4użym uproszczeniem, można z jednej odrobiny obdarzonej jądrem protoplazmy, pobranej od osobnika, wyhodować inne identyczne jednostki. I to nazwano klonowaniem.

Właśnie doktor Bromhall eksperymentował z zimmokr-

wistymi i podobno stada żab jednakowych, jak spod sztan-
cy, kicały po jego laboratorivim. A David Rorvik opisał w
swojej książce, jak uczony z Oxfordu w taki sam sposób
wywiódł spadkobiercę bezpłodnemu amerykańskiemu mi-
lionerowi, jego żywą kopię, za co profesor podał dziennikarza
do sądu. Pod wpływem nagromadzonej wiedzy, przez lata
trawiającej obsesji i skutkiem owych rewelacji - Uther skłonny
był zupełnie serio brać pod uwagę swoje zaistnienie przez
klonowanie z udziałem anonimowej kobiety. Tu znów
powracamy do Murzynki i imigrantki, które w tym kontekście
właściwie zostają sprowadzone do roli przedmiotu,
instrumentu, rodzaju organicznego inkubatora, w jakim przez
czas przewidziany naturą będzie dojrzewał pozapłciowo
poczęty szczep.

Powodowało to lawinę problemów etycznych, morai
nych, uczuciowych i najbardziej dręczące pja-tanie, taka
kobieta jest chociaż cokolwiek matką, czy nie, odczuwa
przynajmniej cień sentymentu do wyżywioiw w swoim ciele
istoty.

Aby potwierdzić lub odrzucić swoje teorie, w tajemnicy
przed ojcem i wystrzegając się oddanych mu ludzi, co nie
sprzyjało przedsięwzięciu, bezskutecznie poszukiwał poj-
skiej imigrantki, noszącej nazwisko babki.

Dotarł do ostatniego miejsca jej zamieszkania w osadzie
pod Nowym Jorkiem i tu ślad ginał. Znów natknął się barierę
wzniesioną tą samą, znaną dłonią. Osiedle standardowych
domków w pięć lat po urodzeniu Uthera zostało wykupione
przez Standard Oil i nie pozostał tam nikt z dawnych
mieszkańców, nikt, kto mógłby coś powiedzieć
o nowym miejscu Jadwigi Surazyńskiej na ogromnym
kontynencie.

Umknął więc do Europy spod kontroli ojca, co miało się
niebawem okazać jeszcze jednym złudzeniem, zajął się
biologią i językiem polskim, hołubiąc projekt wyjazdu do
starego kraju babki. Ale się doń nie śpieszył. Może pod-
świadomie bał się utracić czar ziemi niezwykłej i jedynej,
arkadię stworzoną nostalgią polskiej Granni.

W tym okresie jego życia zadzierzgnęła się nasza przy-
jaźń.

- 174Być może poszukiwana przez ciebie kobieta

utrzymuje więź z dawnymi znajomymi albo rodziną w Polsce. Można próbować do nich trafić - doradziłem wielce zadowolony ze swej przenikliwości, popełniając ten sam błąd, co i Uther. Żadnemu z nas nie przyszło do głowy szukać jej poza Stanami.

Następstwem mojego, jak sądziłem, znakomitego pomysłu, do którego Uther się zapalił, było ogłoszenie w polskiej prasie. Zatelefonowałem do ojca, a on umieścił w gazetach

1 (Jo ludzi korespondujących lub znających amerykań-
^^adres Jadwigi Surazyńskiej.

* jsfiebawem po naszym powrocie ze Szwajcarii przyszedł «neczorem na moje ppddasze Uther starszy o kilka dziesiątków lat. Taki sam wzrost, brązowe oczy, faliste włosy, tylko srebrne, takie same rysy twarzy i podobny wyraz niezadowolonia, bo był to Uther niekontent. Wrażenie wgłębiało brzmienie głosu. Emanował Yardleyem i pew- ^cią siebie.

_ Uther - mruknąłem zaskoczony, bo mignęło podejrzenie dla kawału przebrał się i ucharakteizował na siwowłosego dżentelmena. Mimo wszystko nie wyobrażałem sobie aż tak uderzającego podobieństwa między nim i ojcem.

- Pon Stunington o cie c - zagadał towarzyszący mu kizepki facet, z twarzą postarzałego młodzieńca i wyrazem sennego psa. - Mój pon mo ku wom biznes - prawil dalej, przekładając skażoną chłopską gwarą myśl patrona.

- Un kce, abyšta się od Uthera odstiychnęli, za co da wom piniundzów.

- Nie potrzebuje pośrednictwa - zwróciłem się do starego po angielsku.

- Poczekaj na korytarzu, Steve - Stunington odprawił osobliwego tłumacza.

- On nie umie mówić po polsku - doniosłem, jak tylko za tamtym zamknęły się drzwi.

- Nie trzymani go dla znajomości języka. A ty powiedz swojemu ojcu, aby nie mieszał się do moich spraw. Zrozumiano?

- Nie zrozumiano - warknąłem.

- Wiem o was wszystko. Twój ojciec prowadzi jakieś poszukiwania na zlecenie mojego syna. Od niego Uther dowiedział się o Szwajcarii.

- O Szwajcarii Uther dowiedział się dość dawno z lekcji geografii - nie poczuwałem się do odkrycia homunkul nad Lago Maggiore. ^
- Nie przyszedłem słuchać głupich dowcipów.
- A w ogóle po co pan pr^szedł?
- Zatelefonujesz do ojca, aby zaniechał wszelld.ch intę resów z Utherem, a ty przestaniesz się z nim widywać. Dam pięć tysięcy dolarów.
- Phi! T^le to ja dostaję na drobne wydatki - zrobiłem, zblazowaną minę. Wrzałem.
- Dziesięć i ani centa więcej.
- Tata zabronił brać money od nieznamyomych.
- Możesz układ przyjąć lub nie, możesz także bezintere-sownie przestać mącić w głowie mojemu synowi, jeśli jesteś aż tak głupi, żeby nie skorzystać z okazji, iyi,, pieniędzy nie zarobisz zmywając paryskie wychodki. Ale jeśli nie pozostawisz w spokoju Uthera, s^bko zbrzydnie ci to miasto. Obiecuje. Nie przyjmie cię do roboty żadna garkuchnia, wyrzucą z tej facjaty i nie wynajmą żadnej innej. A wiesz chyba, jak Francuzi traktują uciążliwych cudzoziemców. Bardzo chciałem powiedzieć mu coś przykrego, ale oparowałem się przez wzgląd na Uthera, tylko otworzyłem szeroko drzwi z ukłonem, jakiego nie powstydzilyby się rasowy maftre d'hotel.
- Mam zaszczyt pana pożegnać, mister Stunnington!
- Żebyś nie żałował. Dotrzymuję postanowień.
- Nie wstyd panu, poważnemu człowiekowi, dyrdać na siódme piętro i straszyć studenta? Nie ma pan już nic lepszego do roboty? Uthera spotkałem na Sorbonie dopiero po kilku dniach.
- Ojciec zablokował mi konto, rozumiesz.
- Nie powód, abyś od nas stronił. Twój ojciec był u mnie i proponował pieniądze.
- Jego ograny chwyt. Chce mnie zmusić do powrotu do domu. Koszmarne tato, nie? Oczywiście przedzej zdeclinę,

r

ż on postawi na swoim, ale od was powinienem trzymać
2 dała, inaczej narobi wam kłopotów. Potwór! Kiedyś
^ki nie był, z wiekiem podleje - nie patrzył w oczy, ^tydził
się.

^ Jakoś to będzie. Chodź do nas, razem przetrzymamy
szajbę twojego autora.

- Ja przez niego nie znajdę żadnego zajęcia, a was
pozbawi i pracy, i dachu nad głową. Może zastraszyć patrona
albo kazać zdemolować jego lokal. Stać go na to, potrafi
wykonać, co zapowiedział. Nigdy ci do końca nie
powiedziałem, jaki jest bogaty. Połowa akcji Standard Oil,
udziały w cynku, miedzi, kawie i Bóg wie, w czym jeszcze.

- Nie damy się s^ntażować. Idziemy do mnie. - Wycofać
się byłoby poniżej mojej godności.

Uther był smutny, wściekły i głodny. W kieszem został
mu abonament na przejazdy metrem i kilka franków. Po
powrocie ze Szwajcarii jego książeczka czekowa nagle
straciła moc.

Ojciec milioner, majątna macocha pod Paryżem, w kręgu
bliskich znajomych kilku tutejszych prominentów fi-
nansowych, a liczyć nie mógł na nikogo z nich.

- Sprzedam mieszkanie. - Uther kupił je po przybyciu
do Paryża.

- Nie sprzedawaj, wynajmij, będziesz miał na życie, i
sprowadź się do nas - aż tyle na raz powiedział Sven
poruszony sytuacją Uthera.

Jedliśmy smażone kartofle z bigosem. Stanowił obok ryb
Svena i mamałygi Otokara filar codziennego wyżywienia i
zwierciadło sja^uacji finansowej na naszym poddaszu.
Potrawa praktyczna, trwała, nie do zdarcia. Proporcje
składników w kociołku, jaki prawie zawsze dyżurował w
łodówce kupionej okazynie przez Svena, wahały się
stosownie do stanu naszego budżetu.

Pocziwe warzywo ratowało od głodu, zimna i złego 177
samopoczucia nas, Otokara, współnika od zmywania,

i wielu naszych znajomych. A obie nasze nory śmie kapustą jak królicza jama. Więc i teraz niezawodna jar^{^^*} na, ugotowana z najtańsz^{^^} mięsem, podtrzymała na ciebie i ducha jedyne go spadkobiercę kalifornijskiego potentata[^]ierdziajJI inaiar,, „

Uther dostał materac turystyczny i puchowy śpiwór Svena. Nasze sekretne przejście w ścianie pozwalało przemieszczać się bezszmerowo na wypadek niepożądanych i wizyt. Stróżka nie powinna i nie dowie się o przybyci[^] nowego lokatora, a i o cie c Stunington nigdy nie dopadnie tu syna.

Gra zaczynała wciągać. Oczywiście, przede wszystkim starałem się pomóc Utherowi w przetrwaniu trudnego czasu, ale też bardzo chciałem utrzymać nosa chamowi, co z wysokości wora z pieniędzmi traktował nonie jak istotę pośledniejszego gatunku, którą można bezkarnie obrażać. Zdecydowani na walkę do ostatniego franka i ostatniego wybiegu trwaliliśmy w oczekiwaniu ataku, lecz przeciwnik nie wydał nam bitwy. Wprawdzie konto Uthera podlegało blokadzie, ale nikt nie przyszedł grozić naszemu patronowi ani rozbijać jego lokalu, nawet nikt nie doniósł konsje- rżce o przetrzymywaniu waleta ani nie przeszkadzał Utherowi w usiłowaniach, zresztą bezskutecznych, odnajęcia kawalerki. Nie znalazł się amator, stało puste jak wiele luksusowych mieszkań w drogich dzielnicach ze względu na zbyt wysokie czynsze. A Uther związany klauzulą kontraktu kupna, nie miał prawa samowolnie komornego obniżyć.

- Nie taki diabeł straszny... - doszedłem do wniosku, zadowolony i trochę zawiedziony obrotem sprawy. Mój rozsądek cieszył się ze spokoju, waleczny duch wyzywał przeciwnika na udeptaną ziemię.

- Bierze mnie na przetrzymanie - przewidywał Uther.

- Ruszyło go sumienie—mrucał Sven.

Nastała sroga zima, całą Europę gnębiły mrozy i śnieżyce. Sekwana stanęła - zamarł ruch rzecznych barek, za-

r

piari towarowy port Zabrało pracy przy

przeładunku, ^zie udawało się niekiedy zarobić. Z braku opału Sorbona zawiesiła wykłady. Na naszym poddaszu, pozbawionym urządzeń ciepłych, siadywaliśmy zbici w gromadę yrokół prymusa, na nim perkotał kociołek z gorącą wodą dając złudzenie ogrzewania. Śmierdziało kapustą, petami

i starym, wyziębłym, zawilgoconym murem. Ani mowy o jakimś grzejniku elektrycznym. Na całym strychu nie było nawet jednego gniazodka. Podłączenie do przewodu o ^ietleniowego też nie wchodziło w rachubę. Nawet wkręcenie żarówki o większej mocy niż czterdzieści wat wywalało bezpieczniki, założone właśnie dlatego, aby lokatorzy poddasza nie pobierali więcej energii, niż zostało wyliczone dla jednej lampy na każde pomieszczenie, a wszelkie korki i liczniki, żeby zapobiec niepowołanym manipulacjom, znajdowały się pod kluczem w loży konsje-rzki.

- Płacę za mieszkanie, nie za igloo! - Sven z obrzydzeniem obserwował szadź porastającą ścianę i okrągłą szybę umieszczonego pod sufitem oeil-de-boeuf, świetlika, zwanego wolim okiem. Zaciągnięty bielmem zmarzłości dmuchał lodowatym wiatrem i niczego nie oświetlał, bxolaj na lodołamaczu!

- Ale karakony wymarzną - krzepił nas Uther w uszan-ce, szaliku i rękawiczkach.

- Wytrzymują pięćdziesiąt stopni mrozu i siedem lat bez żarcia - nie wiem skąd Otokar czerpał takie wiadomości. — Przettrzymały w dobrym zdrowiu wybuch nuklearny na Bikini, są nie do zdarcia.

- Palmy, słońce, gorący piasek. Bardzo gorący piasek. Palmy, słońce... - szemrała Ismaila, cynamonowa dziewczyna Svena. Siedziała na łożku zakopana po czubek nosa we wszystkie szetlandy Szweda, jej śliczna buzia straciła barwę rozjaśnionego mahoni, poszarzała. Dygotała z zimna. Próbowwała rozgrzewać się autosugestią.

- w Szwecji w ogóle nie ma takich parszywych mię, szkań!

- W Kalifornii zawsze świeci słońce.

- Jak mój ojciec był w partyzantce...

- Dom wariatów - jęknęła Ismaila. - Zmiłuj się, Otokar ja już wszystko wiem o ruchu oporu w Jugosławii!

- Cicho bądź, nie wszystko. A o żeliwnych piecykach w partyzanckich ziemiankach mówiłem? Nie mówiłem!

- Koza! - klepnałem się w czoło. Tylko Macedończyk mógł wpaść na to. Znana nam już z tyłu i przodu partyzantka jego taty, jeszcze wciąż inspirowała do praktycznego myślenia.

Pojechaliśmy na Belleville, w składzie starzyzny wygrzebaliśmy mały cyganek, nie większy od wiadra, obfity cylinder z fajerką i popielnikiem na trzech ugiętych nóżkach, kilka kształtek i kawałki rur.

Po przytaszczeniu wszystkiego pod bramę Sven stanął przed oszkloną łożą konsjerżki zasłaniając swą okazałą sylwetą widok na klatkę schodową.

- Nie przezięb się pani, madame? - zagał towarzysko.

Jej komórka także nie miała grzejnika ani elektrycznego gniazdzka dla wtyczki. Nędzny, stary dom przy biednej ulicy z ubogimi mieszkańcami i ubogą portiernią dożywał swych dni wraz ze swoją stróżką, która od trzydziestu lat patrzyła, jak te kamienice, szykowne pod koniec stulecia, chyły się ku ostatecznej ruinie.

Właściciel od dawna nie łożył na większe remonty, eksploatował do oporu, czekał rychłego skazania budynków na rozbiórkę. Wtedy wyrzuci lokatorów, teraz chronionych prawem lokalowym, i wpuści buldożery. Na coraz cenniejszym gruncie staną nowoczesne punktowe, komfortowe, drogie, schludne i... bez oblicza.

Olsutana w szmaty stróżka w rękawiczkach z uciętymi

palcami grzała ręce nad garnkiem wypełnionym żarzącym
drzewnym. Narzekaniom Svena na zimę wtó-
rowała narzekaniem na rząd:

_ Słyszane rzec[^], monsieur, zamiast zbierać śnieg, zbiera się
rząd i radzi, jak zebrać śnieg! A podatnik płaci, [^]ęc na co wydaje się
nasze pieniądze?

Sven, jak przystało na dobrze wychowanego cudzoziem-
ca, nie krytykował organu wykonawczego Republiki, tylko
osłabiał czujność madame, asystując upustowi jej goryczy.

I tak przeszwarcowaliśmy kożę, której konsjerżka nie
puściłaby do domu za żadne skarby ze strachu przed pożarem, a
poza tym regulamin nie przewidywał podobnych komfortów dla
mieszkańców stychów.

- Louis Piętnasty - uśmiechnęła się do piecyka
Ismaila. Cylindryczny kadłubek, wsparty na krzywych nóżkach
z zatartym ornamentem, przywiódł jej na myśl ludwиковskie
rokoko. Imię przylgnęło, pozostał Ludwikiem. Ustawiony na
środku dziupli Svena, rozpalony do czerwoności cyganek
gorzał jak serce, cieszył oczy widokiem ognia, pieścił słuch
muzyką syconych płomieni, promieniował ciepłem. W moich
wspomnieniach ta sroga paryska zima zrosła się z obrazem
buzującego szkarłatem Ludwika. Wszystko zdaw^E^ o się
sprzyjać naszemu pognębieniu. Zacięły się rodzinne dotacje
Svena, wpływało tylko ascetyczne minimum.
Demonstrowano niezadowolenie z przedłużających się
studiów syna, zapowiedzianych na cztery lata, a już
trwających sześć.

Z moim kontem zaopatrywanym przez ojca działo się to
samo, co z temperaturą. Saldo gwałtownie poleciało w dół, aż
osiągnęło zero. Zacni i oszczędni obywatele francuscy,
zatrudniający na godziny przy kuchni i sprzątaniu czeko-
ladową dziewczynę Svena, prywatnie studentkę socjologii,
wyjechali na zimowe wakacje i uwięźli w Chamonix, więc
Ismaila pozostawała bez pracy i płacy. Finanse Uthe- ra
prezentowały ustabilizowane dno.

T

Całą naszą gromadę utrzymywali Szwed z Macedończ[^] 1
kiem, zmywając gary w barze szybkiej obsługi, gdzie ja si¹ już
nie pokazywałem, aby nie narażać ich także na zemst 181

Stunningtona.

W poszukiwaniu rezerw Ismaila zlikwidowała swoje mieszkanie, i tak więcej przebywała u nas niż na swojej kwaterze w Belleville. Lecz nie zrobiliśmy na tym koka, sów, musiał ją Sven zgłosić jako współlokatorkę. Konsje- rzka zbyt dobrze znała układy; to ta mała Marokanka od naszego wielkiego Szweda.

Natomiast Jug przeniósł się do nas bez biurokracji. Tak zyskaliśmy drugiego waleta i pięćset franków miesięcznie, dotychczas płacone przez niego za łóżko w wieloosobowym pokoju w suterenie pensjonatu obok placu Republiki, prowadzonego przez Serba emigranta.

Kiedy nasze notowania przedstawiały się wyjątkowo beznadziejnie, zjawił się u nas chłopiec, kruczoczarny Puk ze „Snu nocy letniej”, może piętnastoletni - na takiego wyglądał. Nigdy go dotychczas nie widziałem. Zadzwoił do drzwi Svena. Od czasu zamieszkania z nami Otokara moje wejście nie otwierało się przed nikim.

- Zastałem Amerykanina? - rozejrzał się ciekawie po naszej jaskini, zsunął na plecy wełniany baszłyk, potrząsnął pięknie osadzoną głową. Włosy sięgające ramion podtrzymywała barwna indiańska krajka. Tego sezonu nosiły ją wyrostki na całym świecie za przykładem tenisisty Borga.

Czerwono-żółta opaska podkreślała oliwkową skórę, ciemne oczy i długie wywinięte rzęsy. Mały wyglądał na Araba, w tym wieku ci wschodni chłopcy podobni są do ślicznych dziewczyn.

- O co chodzi? - nie odpowiedziałem na pytanie. Wprawdzie prezentował się nieszkodliwie, ale najpierw wolałem wiedzieć, dlaczego chce widzieć Uthera.

r

_ Proszę się nie obawiać, jestem przyjacielem - powiedział z powagą. Mówił źle po francusku, ale moje ucho, hrażane codziennie błędami osobników pięciu narodo- ^ości, nie potrafiło odgadnąć, jaka to znowu nacja *zme^a* się z językiem Woltera.

_ Ja się ^z tego nie boję - pouczyłem szczeniaka. - A kim ty

jestes?

- Michelangelo.

_ Bounarotti? - zażartowałem. Jeśli już kogoś przypominał, to nie szpetnego Michała Anioła, tylko młodego pawida jego dłuta.

_ Michelangelo Owerola - ugiął w uśmiechu piękne usta. - Przyniosłem pieniądze dla Amerykanina.

- Trzeba było od razu tak mówić. Ale Uthera nie ma - dyżurowałem przy Ludwiku. Stunington gdzieś poszedł nie opowiadając się, Ismaila ze Svenem jeszcze nie wrócili z miasta, Otokar odrabiał w barze. - Rozgość się. Od kogo są pieniądze dla Amerykanina?

- Mamma zwraca z p>odziękowaniem pożyczkę... Ale szpan, bomba! Można obejrzeć? - zachwyty odnosił się do mojej torby, wiszącej na zagłótku łóżka.

- Można - zezwoliłem wspaniałomyślnie. Tego sezonu Dzielnica Łacińska ubierała się w stylu militarnym, kurtki, spodnie wojskowego kroju, juchtowe buty z wysoką cholewką, szyku dopełniało skrzyżowanie chlebaka z sajdakiem, noszone na pasku przez ramię. Moja torba miała klapę pokrytą srebrzystą dziczą szczecią i dwa rzędy patrontasy po bokach, pochodziła ze sklepu myśliwskiego na Nowym Świącie w Warsz^wie - była wspaniała. Na moją wzmiankę w liście przysłała ją matka pierwszą okazją, aby, broń Boże, dziecko nie czuło się ubogim krewnym w tym Paryżu i nie nabawiło się kompleksów.

- Muszę już iść, mamma kazała prędko wracać. Zostawię u pana pieniądze. - Przyjąłem dziesięć tysięcy frankovi, i razem z chłopcem wyszedłem z domu.

- Nie trzeba mnie odprowadzać - obruszył się rostek.

- Idę do sklepu, nawet nie wiesz, jak bardzo w porę twoja mamma oddała dług. f

- Pieniądze zawsze są w porę - uśmiechnął się Michelangelo i znikł w perspektywie uUcy. Przysłonił go padający grubymi płatami śnieg.

Nakupiłem różnych dobrych rzeczy z uwzględnieniem indywidualnych gustów naszej międzynarodówki. Należało się wszystkim po tygodniach kapuścianej diety, którą najgorzej znosiła, a raczej nie znosiła Ismaila. Toteż pa-

miętałem o daktylach, za którymi tęskniła najbardziej. Zaraz też \^stawiłem na korytarz kociołek z pocziwym warzywem i otworzyłem bulaj na naszym lodołamaczu, aby przewiało bukiet nieodłączny tej potrawie. I zaraz zeszedli się wszyscy jeden po drugim, i jak zwykle Ismaila nie doceniła moich wysiłków.

- Śmierdzi jak w norze u skunksa - węsząc rozdęła cienkie chrapki. Często mówiła coś takiego, gdy wracała ze dworu. - Otworzyć okno? - popatrywała na nas z rozterką.

- Od smrodu jeszcze nikt nie umarł, a od mrozu Napoleon przegrał kampanię moskiewską - przestrze^em.

- Oliwki, wino, westfalska szynka, broszetki, daktyle, cztery rodzaje sera - wyliczał Sven bobrując po stole. - Jesteś wielki! - to o mnie.

- Wiadomo, my Słowianie! - przyszył się do więzi plemiennej Otokar.

Pozwalałem się uwielbiać i pławiłem w pochwałach, ale niedługo, bo wszyscy chcieli znać źródło nieoczekiwanej fortuny.

- Przyjaźnisz się z baronem Rotschildem?— zagadywała Ismaila, wytwornie pojadając słodkiego jak patoka

ale z naszym osobistym milionerem. Uther, kole-
r ■ ggednicę pisał, oczekując go, tuszczem, lukiem i ha-
wyświetlaczem na twoj facemiek. Zażycie ciu tysięcy tran-
dwieście czterdzieści pięć. Oto reszta
położyłem przed nim pieniądze.

, A skąd je miałem? - patrzył na bankngty jak pies na
eża, nie tknął icfi, podejrzewał kawał.

- Michelangelo Owerola zwrócił pożyczkę zaciągniętą
przez jego mamkę.

- Seniora Owerola nie była mi nic dłużna.

_ Może zapomniałeś, zdarza się.

_ Kto, mówisz, to przyniósł? *

Michelangelo Owerola, wyrostek śliczny jak Ismaila-
skloniłem się dwornie pięknej dziewczynie Svena i powie-
działem, jak wyglądał mały Włoch.

- Michelangelo Owerola ma dziesięć miesięcy - zawi-
domił Uther. Seniora Owerola była dochodzącą sprzątaczką,
między innymi utrzymywała ład w kawalerce Uthera.

- Może to jego starszy brat?

- On nie ma brata, tylko czteiy siostry, ale nie wysilał się,
Bej, żadna z nich nie mogła udawać wyrosniętego chłopca.

Najstarsza ma osiem lat. Ecco! Gadaj, skąd naprawdę wzięłeś
pieniądze?

- Mówię poważnie. W każdym razie przyniósł je ktoś, kto
dokładnie zna twoje obecne miejsce zamieszkania.

- Nikomu nie podawałem waszego adresu.

Rzeczywiście zachowywał szczególne środki ostrożności,
nawet korespondencję odbierał u konsjerżki w domu, gdzie
miał mieszkanie. Pocztcę otrzymywał rzadko, przeważnie od
Cor, swojej dawnej opiekunki, a chociaż wyszła za mąż i
miała już własne dzieci, zachowała sentyment dla
wychowanka. Natomiast listy ojca zwracał nie otwierając,
o czym powiedział nam dopiero teraz.

- Twój ojciec zna adres Beja - wtrącił Otokar. Wszyst-
l

kich intrygował posłaniec z imieniem pożyczonym OH oseska,
oddający nie pożyczone pieniądze.

- Chłopiec pukał od razu do Svena, a mister Stunnin ton
nie zna naszych układów - powiedziałem.

- No to poznał - zamruczał Sven. - Ale nad czyj^
łamiecie głowy, przecież jasne. On ci zamkn^ konto, ty nig

przyjmujesz jego korespondencji. On nadal nie chce odkręcić kranu z pieniędzmi, ale też nie chce, abyś zmarniał więc posłużył się jakimś włoskim wyrostkiem, żeby dać ci środki na utrzymanie.

- Nie w stylu mojego ojca. Nie bawiłby się w szlachetnego anonima, tylko zwyczajnie uruchomił mój rachunek i kazał nAie o tym zawiadomić. Lubi, aby wiedziano o jego wspaniałomyślności.
- Dlaczego chłopiec miałby podawać cudze nazwisko?
- Zwróćcie uwagę, małego przysłano pod nieobecność Uthera!
- Co nie wyjaśnia, dlaczego posłużono się osobami rodziny Oweroli.
- A gdyby akurat nadszedł Uther?
- Pomyślano tak, aby nie nadszedł. Kto wiedział, dokąd wychodziłeś?
- Tylko Anne-Marie. Spotkałem się z nią w „Rotonde”.
- Chcieliśmy wiedzieć, kim jest Anne-Marie. - Dziewczyna z okładki. Modelka z Vogue'a - dodał jakby z przymusem.
- Może ona posłała ci pieniądze.
- Ona wie, że Michelangelo ma dziesięć miesięcy, chociaż domyśla się moim kłopotów. Nawet proponowała pożyczkę, oczywiście odmówiłem.
- Oczarowała go moja torba. Oglądał, przymierzał, doszczętnie wybebeszył! - dopiero teraz zachowanie wyrostka zaczęło mi się nie podobać. Kiedy nicował torbę, ciekaw, jak wygląda w środku, a potem krygował się z przewieszoną na ramieniu i było go f>efno w obu naszych dziuplach, kiedy bobrował wśród książek, skryptów i całej-
jjałaganu na biurku, dziwne, ale nie wydawał mi się ani
^^cibski, ani nienatur^ny, przeciwnie, szczery i spontani-
'^y. Budził sympatię. Mały hochsztapler! Ale czego szukał, co chciał znaleźć, jeśli rzeczywiście szukał.

J Nie poświęcono dziesięciu tysięcy za możliwość zrewidowania twojej torby - Sven nie wierzył w jakąś przewrotną misję wyrostka.

– Też tak sądząc - przejrzałem dokumenty, drobiazgi, jje brakowało niczego. T^lko nigdzie nie mogłem znaleźć listów od ojca. Trzymałem je w biurku. Zniknęły.

Między innymi zawierały lakoniczne wzmianki dotyczące

poszukiwań Jadwigi Surażyńskiej. Ale jeśli ktokolwiek zabrał korespondencję, aby w niej znaleźć informacje na ten temat, z pewnością doznał zawodu. Mój ojciec z zasady nie zwykł się rozpisywać, a z Utherem komimiko- wał się telefonicznie. Nawet tekst ogłoszenia ustalili w ten sposób. Brzmiało;

„Osoby posiadające wiadomości o Jadwidze Bartnik- - Surażyńskiej, urodzonej w Wigajnach w Ziemi Suwalskiej w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, proszone są o napisanie do Biura Ogłoszeń w Warszawie, numer oferty... Zapewnia się zwrot wszelkich ewentualnych kosztów. Nagroda”.

Na kilkakrotnie powtórzony ap>el w prasie warszawskiej i wschodniego obszaru Polski dotychczas odpowiedziała tylko jedna kobieta:

„Jadwiśka z Bartników-Surażyńskich, w odróżnieniu od innych, nazywanych Nikodemowymi, przyszła na świat w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, a nie trzydziestym dziewiątym, jak podano w anonisie. Została zabita mając lat sześć.

Jadźka z Bartników-Surażyńskich, z rodziny Zielarzami, urodzona w roku tysiąc dziewięćset trzyd[^] tym dziewiątym, wraz z matką Stanisławą zagmęły uj długo po wojnie w niewyjaśnionych okolicznościach”

I nie było więcej w Wigajnach Jadwieg urodzonych wpo danym czasie - donosiła sędziwa mieszkanka wioski, anna Smolarz-Surażyńska, świadek śmierci Jadwiś[^] j w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim.

Większość mieszkańców wsi miała takie same nazwiska a często identyczne przydomki, imiona ojców, a nawet dziadów. Stąd nie pisane nigdzie, zwyczajowe przezwiska jak na przykład Nikodemowi, Zielarze czy Smolarze.

Po drugiej wojnie wielu rozbie[^] o się po świecie, ale nie słyszano tu, żeby ktoś z Wigajn wyemigrował do Ameryki, Owszem, zaraz pd wyzwoleniu, tamtejsza powinowata Nikodemowych, Anna Stimmington, poszukiwała krewnych, ale nikt z nich nie przeżył.

Dopiero teraz Uther dowiedział się, że jego polska Granni interesowała się, o czym nigdy nie wspomniała, losem dalekiej rodziny w starym kraju.

Nasza niepomysłność zdawała się mijać. Otrzymaliśmy¹⁸⁷z

Utherem pracę na dworcu towarowym przy przeładunku węgla.

Słupek rtęci wciąż leciał w dół. Takiej temperatury nie wytrzymał algierscy gasterbeiterzy, siniały ich oliwkowe twarze, niewiele pomagała rozgrzewka przy żelaznych koszach napełnionych gorejącym koksem, o które zadbała wynajmująca nas spedycja. My rzadko przystawaliśmy w kręgu ciepła, praca na akord, płacono od wagonu.

- Żył z ciebie - nie doceniałem odporności Uthera. Pochodził przecież z łagodnego klimatu, w porównaniu z Kalifornią Paryż leżał w strefie chłodnej, nawet bez Liątkowyci mrozów.

Spodziewałeś się niedołęgi? - podniósł na mnie za- Jj^^ienione od wiatru oczy. - Pochodzę z twardej rasy ^redzej zdeclineę, niż dam się złamać Potworowi.

' W przezwisku dźwięczało echo szorstkiej czułości, lu_niechęci. Splot uczuć zawężlonych i nie do rozsypłana kilof rąbał z pasją, szufla z furią spychała biły. Uther uwalzał z lory węgiel przeciwko ojcu.

Wieczorem waliliśmy się jak snopy, zasypiając nad talerzem podsuniętym przez przyjaciół. A po paru tygodniach nadeszło zawiadomienie z banku, jedno na stary adres Uthera, drugie przyniósł posłaniec do fxiokoju Svena. potwór złamał się, ale dał do zrozumienia, że wie, gdzie szukać syna.

Kiedy jego książeczka czekowa odzyskała dawną moc, Uther chciał łożyć na nasze potrzeby i wynająć lepsze mieszkanie. Lecz chociaż wcale nie przyszło łatwo, oparliśmy się pokusie.

- Nie byłoby dobrze, Uther. Mkt z nas nie czułby się swobodnie. Jeśli znajdę się w prawdziwej pxDtrzebie, pierwszy strzeleć cię na pożyczkę - Otokar wyraził, co mniej więcej odczuwało każde z nas po opanowaniu chęci skorzystania z okazji.

- Możesz zapłacić nasz czynsz do końca roku - łaskawie przyzwoliła Ismaila. - To będzie sprawiedliwie, co. Euro-pejczycy?

Nadciągała paiyska wiosna.

Za szybami kwaciarni omdlewały tuberozy i nicejskie fiołki. Zaproszony przez Sorbonę rozpoczął wykłady na wydziale literatiry słowiańskiej polski pisarz. Pisał świetnie, równie świetnie mówił. Znajomość przedmiotu i dar słowa w

doskonałej francuszczyźnie jednały mu sympatię słuchaczy.
Na jego wykłady ściągali także ludzie nie zajmujący się

na co dzień filologią polską. Wielu przychodziło, jgjj przychodzi na spotkanie z gwiazdą, urzekały enidyr[^] swoboda narracji, dowcip tak ceniony przez Francuzó[^][^]

Zaciekawiony i dumny ze świetnego rodaka biegałem* jego odczyty, żadnego też nie opuścił Uther. Potem przep[^] dał w starej księżnicy, pamiętającej Mickiewicza Bibliojg ce Polskiej, obok katedry Notre-Dame. Rozczytywał sj. w książkach tego pisarza, już zupełnie dobrze radził sobie z oryginałem, prawie wcale nie korzystał ze słowników

- On robi z językiem, co chce - mówił o pisarzu -le[^] mu u nóg jak pies, zdaje się prosić: każ pochodzić tia z nadnich albo na przednich łapach, każ żonglować, tylko nie każ milczeć, bo bez ciebie waruję po leksykonach poprawny, porządny i nijaki.

Na jednej z prelekcji spotkałem Uthera z dziewczoną w rudobrazowym kostiumie przybranym mankietami i szalem z rdzawego lisa. Wpięty w futro cyklamen podkreślał twarz delikatną i drobną, smagłą skórę, orzechowe oczy i włosy płowe, opadające na ramiona.

Anne-Marie, modelka z Vogue'a.

- Zaczekajcie na mnie, niedaleko jest miły lokal - rozporządziła nami siadając za kierownicą dwuosobowego bolidu barwy morskiej wody.

- Gazeciana Gióconda - zamruczałem do własnej brody, bo nie godziłem się na urok, jakim promieniowała, i aby pozbyć się uczucia zazdrości, tak! pozazdrościłem Uthero- w świetnej dziewczyny.

- Coś mówiłeś? - nie zrozumiał mojego mamrotania.

Pośród labiryntu stajnych domów „Chez Jacques” zajmował piwnicę, zapewne pamiętającą czasy wczesnych Ludwików, ciasną, ciemną, nastrojową. Rozbrzmiewała arkadyjską melodią, dobywaną z fletu przez niewidomego grajka.

Wzdłuż kamiennych ścian biegły półki z pociemniałego dębu, zastawione cynowymi naczyniami, na prostych stowspartych na krzyżakach, migotały świece obsadzo-^o flaszki^o marze.

¹⁹⁰ *CicbB* muzyka, powietrze przesycone zapachem topio-^o wosku przywozidły na myśl dostate letnie p)ołudnie, ^jjający złotą patoką plaster miodu. Usiedliśmy J^IvykUSZU.

łuku wejścia zapłonęła brązoworuda sylwetka.
, Bonjour, Anne-Marie — uśmiechnął się do niej bar- gj, _
Hallo, Anne-Marie. Hej, Anne-Marie - zaszemrało lólka
głosów i zatrzepotały od stolików wyciągnięte dło- pie,‘ kiedy
dziewczyna przechodziła мимо nich, oddając ^rowienia.
^yask świec zapalał refleksy na jej pszenicznych włosach,
rysując wokół głowy świetlisty kontur, nasyczał kolo- ^ bluzki
ze starej koronki, barwy poźółkłej kości słoniowej, spiętej
pod szyją kameą. Frunęła wąskim przejściem. Łątka.

V

Usiadła naprzeciw nas, rzuciła obok żakiet z miedzianym
szlakiem futra, uśmiechnęła się tylko samymi wargami,
kąciki ust osłaniały cienie. Oczy koloru skorupki orzecha nie
brały udziału w tym uśmiechu, na delikatnej twarzy Anne-
Marie leżała obietnica. Otaczała aura niepokoju.

Prowokowała do zrobienia czegoś, co wyróżniłoby spośród
innych, zasłużyła na jej uwagę. A chociaż odnosiła się do nas
obu jednakowo, nie miałem wątpliwości. Nie znaczyłem dla
niej nic.

Usiłowałem przejrzeć i sklasyfikować zjawisko pod tytułem
Anne-Marie. Dziwne, wydała mi się znajoma. No tak, pewno
widziałem jej twarz na okładce Vogue’a.

Oto najbardziej zbytkowny przedmiot, jaki ofiarowuje Paiyż.
Kugłarstwo - dewaluowałem urok przeznaczony nie dla mnie.
Mona Lisa za pięć franków - tyle kosztował numer tygodnika
- ćwicząca na nas zagadkowy uśmiech podpatrzony u
florenckiej damy ze słynnego portretu Leonarda.

żywy manekin zza panoramicznej szyby na Cha Clisées,
luksusowa lala do rozbierania i ubierania, dziwę włosy
pielęgnowane u najmodniejszego frv-;

losy pielęgnowane u najmodniejszego fj pusta głowa,
zamyka i otwiera oczy, z nieporównaJ3 wdziękiem wymawia
około dwustu słów, aby się, że nie tylko jest piękna, ale i ma
coś do powiedzoi^

Mylłem się. Należała do zupełnie innego gatunku,
pszeniczną peruką znajdowało się dość rozumu i niqJo^ lity
spryt. Lecz wówczas nie podejrzewałem tej dziewczyny ani o
inteligencję, ani o sztuczną grzywę.

Kiedy wyszliśmy z winiarni, nie spostrzegłem kabrioletu tu
w kształcie tkackiego czółenka. Miał tylko dwa miejsca ¹⁹¹

Anne-Marie była osobą takto^Ama.

Uther zaprosił nas na kolację do „La Tour d'Argent” słynącej z przyrządzania kaczkki na osiemnaście sposobów knajpy drogiej i z tradycjami.

- Ależ, Uther, tam przesiaduje całe miasto. Wiesz, jak nie lubię zbiegowiska. Wolę gdzieś kameralniej - Anne - Marie wyraźnie nie miała ochoty.

Uther nalegał. Objawiła ładną cechę, nie utraciła pogody i nie usiłowała postawić na swoim, gdy ją przegłosowaliśmy, a zachowywała się tak, jakby wieczór w „La Toui” był najlepszym zakończeniem dnia.

Zazielenify się platany w Tuileries, pękały paki kasztanów na Trocadero, na skwerach zakwitły wczesne kwialj, na wystawach wielkich firm na Polach Elizejskich panowało już lato.

Przypomniałem sobie warszawskie Łazienki, drzewa na Trakcie Królewskim i bulwar nad Wisłą poniżej Starego Miasta, i tysiącletni dąb po drodze do Natolina, ostaniec puszczy z oszadziałym mchami pniem pełnym łąt, z pospianymi konarami, a wciąż ozywający młodą zielenią, i pomyślałem o Kabackim Lesie budzącym się najopieszalej, gdzie stadko sam, zrzuciws^ właśnie zimowe sukien-

. *juicedzistną* błyskawicą przebiega pośród bezlistnych Szczę-
drzew.

'u nas zima ustępuje później.

O dwa tysiące kilometrów, kilka godzin samolotem, leżało
moje miasto nad rzeką przez cudzoziemców na[^]-[^]ana
senną, dla mnie będącą czymś więcej niż tylko rzeką, a na
skraju miasta pod lasem, szczątkiem dawnych mazo-[^]eckich
borów, czekała na mnie mała uliczka Rajszych

ptaków.

Zbierałem się do odlotu.

Minęły dwa lata mojego Paiyza. Przyjechałem tu po ukończeniu
wydziału prawa na warszawskim uniwersyte- (je, chodziłem
na ciekawsze wykłady i prelekcje wielkich uczonych, pisarzy i
artystów, słynnych prawników, zapraszanych przez Sorbonę z
całego świata. Poprawiłem mój francuski, nie zapomniałem o
angielskim.

Do Heidelbergu pradziadka, Noiymbergi dziadka i ojcowego
Oxfox' du dołączyłem moją Sorbonę. Jedyne dziedzictwo,
jedyne spadek i może dlatego tak bardzo ceniliśmy sobie te
nasze gruntowne prawnicze studia.

Czas było zakończyć okres przydługiej młodości, czas
sprawdzić użyteczność nabytych nauk i najwyższy czas, aby
ojciec przestał wreszcie utrzymywać starego byka.

Rozdzielała się nasza międzynarodówka. Wyjeżdżał do
Szwecji, a później jesienią do Maroka Sven z Ismailą, chciała
swojego białego rudzielca zaprezentować rodzicom i licznej
rodzinie, w której oprócz osiadłych inteligentów byli i
koczujący nomadzi.

Poddasze z klapą w ścianie, Ludwika, umiejętność gotowania
bigosu nawet z samej tylko kapusty, używaną lodówkę,
tajemnicę opiekania po szwedzku wszystkiego, co ma pletwy,
i mycie garów w barze szybkiej obsługi dziedziczyli po nas
Otokar z pewnym Grekiem i równie niezamożnym
Peruwiańczykiem.

V-Barakuda

IM

Ostatnie dni przed [^]wrotem spędzałem w miegę-,,
chciałem się jeszcze nacieszyć Paryżem, obiegałem znaj me
kąty.

- Jadę do Oxfordu — zwierzył się Uther. Znów gonij
tego swojego profesora, u którego kicają stada identyc; nycki

żab.

Nazajutrz na stacji metra Clignancourt zobaczą tempe reny wytapetowane reprodukcjami słynnych malarzy - W pierwszej chwili pomyślałem, że to zapowiedź jakieś nowej wystawy, a rozlepiając na końcowym przystanku kolejki rozplakatowałem wszystko, co pozostało mi po wyklejeniu afiszów na całej trasie.

Była to jednak reklama nowych kosmetyków firmy Coty, a podobizny na kopiach to twarze modelek, sztuką mój żon upodobnione łudzaco do kobiet z arcydzieł sławnych mistrzów: „Kobieta z perłą” - Corota, „Wielka Oda-liska” - Ingresa. „Hiszpanka” — Van Dongena. W powielonych portretach Modiglianego rozpoznałem delikatne rysy Anne-Marie. Plakaty zawiadaniały o spotkaniu w „Olimpii” z udziałem gwiazd estrady. Prezentowanie współczesnych dziewczyn przemienionych w damy z obrazów wielkich malarzy figurowało jako jeden z punktów programu. Z imprezą wiązano reklamową sprzedaż wyrobów perfumeryjnych w kioskach. Patronował temu Vogue, a wśród imion żywych manekinów znalazłem dziewczynę z okładki, Anne-Marie.

Widziałem ją raz, wtedy przy wykładzie polskiego pisarza, wieczorem przy blasku świec w starej winiarni. Więcej Uther jej nie pokazał, nawet o niej nie wspominał. Zapytany, coś wykrył i wyglądał spłoszony. Sprawa wydała się jasna. Skreśliłem temat modelki z moich odczytów.

Teraz patrzyła na mnie z plakatów ucharakteryzowana na smukłolice i wąskookie kobiety Modiglianego. Nie namyślając się pojechałem do „Olimpii”. Ujazd miastem zaciągał lawendowy zmierzch, dopiero co alono neony i uliczne latarnie. Do rozpoczęcia spektaklu - zostało jeszcze trochę czasu. Na parkingu - tylko dla personelu i gości rewii - stał z przyniesionym dachem jedyne osobowe zielone kabriolet, przypominający czółenka kackie. Za szybą leżał łaciaty dalmatyńczyk. Ziewał. Stałem niezdecydowany. Nie bardzo wiedziałem, czy paść na trzy godziny programu, chociaż na afiszach zapowiadano Aznavoura, Distela i Dalidę, tylko po to, aby orzec parę minut oglądać na wybiegu Aime-Marie przejawianą choćby na największe arcydzieło światowego portretu.

Na podjeździe zatrzymał się kremowy buick, wyskoczył zsofer, ofożył samochód, otworzył drzwiczki. Wysiadł mężczyzna w srebrzystej morze i wyciągnął rękę do kogoś[^] głębi auta. ,Wysimęły się stopy w sandałach ze złotych pasków, z paznokciami świecącymi też złotą emalią. Wychyliło smagłe ramię z przewieszonym szalem z białego futra.

Ukazała się Szeherezada omotana w sari opalizujące w blasku lamp tonami bursztynu. Przez cienką tkaninę pKCSwiecał kształt ciała. U nasady brwi pałał szkarłatny znak kasty. Nie szła. płynęła.

Łątka.

Nasunęło się porównanie z Anne-Marie, kiedy w piwnicy u „Jacquesa” ukazała się obrysowana złotym płomieniem świec. Nie, nie było podobieństwa między tymi kobietami i nie wiem dlaczego mi się skojarzyły. Może miały coś wspólnego w sposobie poruszania się.

Paiz jest zblazowany mnogością ras, strojów, obyczajów i niełatwo obdarza kogoś zainteresowaniem, ale ta Hinduska przyciągała spojrzenia, pewno także miał swój udział cytrynowej barwy brylantowy sopel, promieniujący jak gorąca gwiazda na jej czole poniżej linii czarnych włosów.

Rozpoznałem towarzysza maharani.

Uther w smokingu z białej mory, z perłą w goj[^] z oczyma przysłoniętymi lustrzanymi okularami, ‘■ jego szkieł prześliznął się po mnie tak samo obojętnie j po mijanej właśnie latami. Nie mógł mnie nie dostrz[^] przechodziłem mimo, nieledwie się otarł.

I po co wciskał ciemnotę z Oxfordem! Przywykł kant wać tatę i już nie może się obyć bez łgarstwa. Zało[^] lustrzanki, udaje maharadżę, przekonany, że nikt go rozpozna. Struś. Znów się dekuje przed rodzicielin przed nami?

Poczekaj, schyłkowy kapitalisto - poruszyła się nicj uśpiona świadomość klasowa - ty neurotyczny przedst[^]. wiculu zdegenerowanej nacji. Sobku! prowadzący ukradkiem z dziewczynami. Kopnięte dziwadło. ![^]dak cholera! A jaki nietaktowny!

Biedna Aime-Marie, z pewnością serce jej pęknie z za. wiści, kiedy zobaczy go z maharani ilustrowaną takim¹⁹⁵

klejnotem!

Stawiam kapeć przeciwko jej perle, że ten diamei wielki jak młody szparag jest wyrazem najnowszych zainteresowań tego nieświątego faceta. Stary Potwór nie bez racji przykręca mu czasami dopływ gotówki, w przeciwnym razie ziółko gotowe roztrwonić na dziwki dorobek paru pokoleń skrzętnych angielskich prezbiterianów i pracowitego polskiego ludu niby jakiś przerafinowanej rosyjski arystokrata.

Zniesmaczył mnie. •

Kiedy na oczach widowni Anne-Marie pod wpływem mastyksów Coty'ego i biegłych dłoni charakteryzatora przeistaczała się w damę z portretu, w łożu blisko estrady dostrzegłem biały smoking obok złocistego sari.

Skierowałem na nich lornetkę, na twarze padał cien balkonu pierwszego piętra, jak zaciągnięte bielmem oczu irtyo błyskały szkła Uthera i jak odł^a gwiazda promie-
klejnot na czole maharani.

""pokaz makijażu zyskał mierne zainteresowanie, skrzy-
ały krzesła, szeleściły staniole, wymykano się do kulua-[^] Na
zakończenie nagrodzono go umiarkowaną owacją
oklaskiwano kunszt charakteryzatora, a nie
modelki-

Rozczuliłem się nad Anne-Marie. Postanowiłem zajrzeć
kulisy- Poszedłem na poszukiwanie garderób. W kory- j[^]rzu
wąskim i długim zagroził mi drogę woźny.

_ Odwiedzanie artystów wzbudzone - ziewnął.

Odźwiemi na całym świecie są tacy sami, trzeba dać[^] garść
albo nie zwracać sobie głowy, ale nim go wyceni- jem, minął
mnie chłopak w dzinsach z tacą pełną resztek jedzenia. Nie
nosił żadnych kelnerskich oznak. Zawróciłem i skor[^]stałem
z przykładu. Wziąłem z bufetu wino i gorący sandwich. Na
kiszkatym korytarzu ruszyłem śmiało na cerbera.

- Mademoiselle Anne-Marie? - powiedziałem nosowo,
dzieliła nas odległość tacy. Nie robił żadnych trudności,
uprzejmie poszedł przodem i wskazał drzwi.

Oczywiście poznał mnie. Ale w narodzie, który konieczność
zamienił w sztukę - jak powiedział, nie pamiętam kto -
szacunek dla jedzenia jest duży.

W garderobie kręciła się kupa ludzi, przed rzędem
trójskrzydłowych lustek siedziały półnagie dziewczyny,
zwierciadła odbijały i zwielokrotniały ich twarze. Przy

ostatnim w szeregu spostrzegłem Anne-Marie.

Z ledwością ją poznałem, właściwie nie ją, tylko złocistą grzywę spływającą na plecy, ujętą ciasno wokół czoła elastyczną opaską. Gruba warstwa białego kremu jak maska szczelnie okrywała jej twarz.

- Hallo, Anne-Marie - postawiłem tacę na konsoli zastawionej charakterystycznym kramem.

- Hej — znieruchomiła ręka z tamponem uniesioi ku policzkowi. Nie odwróciła się, widziała mnie w lustrze. Oczy koloru skorupki orzecha spoglądały znajomo, a zgięta, zemobco,

- O nic nie prosiłam - powiedziała niskim, nieco ochrypłym głosem. Wydał mi się inny niż ten, który pamiętałem!

- To pretekst dla liberii przy drzwiach - pożałowałem, przyjsia. I po co się wygłupiam przed dziewczyną widzig na raz w życiu. Ona mnie nie poznaje.

- Kto zamawiał jedzenie? - zawolala Anne-Marie odwracając się ku sali. Nikt się nie przyznawał.

- Mogę wziąć! - odkrzyknięto z drugiego końca sali. ~ Anne-Marie, przyslij go do mnie.

- Podaj to Jeannette - modelka wskazała identyczną maskę z białej emulsji, siedzącą po drugiej stronie, i zajęła się usuwaniem kremu z podbródka.

Jak niepyszny zabrałem tacę z gotowalni Anne-Marie Albo mnie nie poznała, albo nie chciała poznać, może ją krepował ten nieświeży występ.

Uther pokazał się po kilku dniach. Nie miałem zamiaru wypominać mu „Olimpii”. Może rzeczywiście mnie nie zauważył, zajęty kobietą z tysiąca i jednej nocy. Ale kiedy pokazał bransoletkę, którą miał zamiar ofiarować Ismaili na pożegnalny prezent, i zaczął wmawiać, że kupił u handlarza antykami w Londynie, zbrzydziła mnie jego bezczelność.

- Nie wysilaj się. Widziałem cię w „Olimpii”.

- No tak, w „Olimpii” - zamamrotał bezwstydnie i umilkł, jakby nigdy nie umiał mówić.

- Prowadziłeś się z Hinduską w sari, w gorszątkach sobie perłę - odniosłem wrażenie, jakby dopiero ode mnie dowiedział się o swojej obecności na występie Anne-Marie.

Szczególny zanik pamięci.

- Byłem w garderobie u Anne-Marie - nie puściłem mu płazem.

r

_ w garderobie u Anne-Marie? - zdawał się nie rozu- j^eć, co mówię.

_ Nie powtarzaj jak idiota! Omal nie p>oszedłem z nią na kolację-

_ Co znaczy omal? - obudził się nagle, minę miał zup>eł- iiii niewyraźną.

_ Nie poznała mnie.

_ Sprawieś jej kłopot, regulamin zabrania odwiedzin ^ garderobie - zaczął gorliwie tłumaczyć jej zachowanie j vyraznie odetchnął. Łotr! Oto z kim się przyjaźniłem, poliętnym, pwligamicznym kolekcjonerem biżuterii na ładnych dziewczynach.

- Zadzwoń do Warszawy. Są nowe wiadomości - po- wędziałem. Pod jego nieobecność telefonował mój ojciec. Wpięć miesięcy po ukazaniu się w polskiej prasie ogłoszenia o poszukiwaniu Jadwigi Surażyńskiej odezwał się Wincenty Baraszko, mieszkaniec Tłuszcza pod Warszawą, handlarz starą garderobą posiadającą jakąś wartość historyczną bądź etnograficzną, dostawca Desy i scenografów teatralnych. Przedstawił mojemu ojcu godne uwagi fakty. Stanisława Bartnik-Surażyńska z Zielarzy z córką Jadwigą, wołaną Jadźką, wykorzystując zbieżność personaliów i niewielką tylko różnicę wieku między jej dziewczynką a zabitą Jadwišką, podały się za nieżyjących członków rodziny Bartników-Surażyńskich, zwanych Nikodemo- wymi, wykorzystwały pomoc ich krewnych zamieszkałych w Kalifornii i w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym za pośrednictwem amerykańskiej misji wojskowej w Berlinie wyjechały do Stanów Zjednoczonych. Odpłynęły z Antwerpii statkiem brytyjskim o nazwie „Ru- dyard”. Podmianę i zniknięcie kobiet z wioski, tak że do dzisiaj mają je tam za nieżyjące, przeprowadził adwokat z Suwałk. Znał ludzi w Wigajnach, ich jednakowe nazwiska,

powtarzające się imiona i nigdzie nie pisane zwyczajom, przezwiska, służące rozróżnieniu mieszkańców. Sprzyjaj mu okoliczności, bowiem zamorscy powinowaci nigdy widzieli nikogo z kolejnych trzech pokoleń tutejszej faj[^]j lii Surażyńskich, zwanych Nikodemowymi. Zarobił ug tym sumę na owe czasy ogromną, tysiąc dolarów, ale nie pożywił się, bo obrabowała go banda. W rok później zmarł

Zapytany, skąd tak dokładnie zna przebieg oszustwa popełnionego przed ćwierć wiekiem, Wincenty Baraszko skromnie milczał. Jak się miało okazać, a co mój ojciec zaczął podejrzewać od pierwszego spotkania, to sam Baraszko, po usłyszeniu komunikatu radiowego, którym Anna Stunington poszukiwała wymordowanej rodziny, nawią. zał kontakt, wziął tysiąc dolarów i wyekspediował Jadżkę Ziellarzy z matką, działając w imieniu nieżyjącego już adwokata z Suwałk.

- Wiem wszystko, panie mecenasie - podjął Baraszko - o dalszych losach Stanisławy i jej córki Jadwigi, dziś już niewiasty przeszło czterdziestoletniej. Gotów jestem ujawnić miejsce ich pobytu, ale nie ukrwam, za godziwe pieniądze. Znajduję się w kiepskich warunkach materialnych, stoję u progu starości, tak się złożyło, iż nie wypracowałem sobie emerytury.

- Nie sądzę, aby mój klient chciał ufundować panu rentę.

- Są rzeczy na świecie, o jakich nie śniło się filozofom - błysnął cytatem Baraszko. - Zadowolę się jednorazowym,-, byle przyzwoitym ryczałtem. Ale dalej będę rozmawiał albo bezpośrednio z pańskim klientem, albo wcale. Pan wie, gdzie mnie szukać, mecenasie. Polecam się łaskawej pamięci.

Zrobił na moim ojcu jak najgorsze wrażenie, ale niewątpliwie znał okoliczności przeprawy poszukiwanych kobiet na drugi kontynent, co wcale nie musiało oznaczać, że zna miejsce ich obecnego pobytu.

ojciec wziął go na przetrzymanie, ale niecierpliwy Uther ~~190~~1901 zał niezwłocznego wyekspediowania typa do 4 pałyża.

_ Proszę wyprawić go natychmiast, dopóki o jego istnieniu jeszcze nie wie mój ojciec - domagał się. Mój stary, chociaż odmiennego zdania, ustąpił jednak rozumiejąc obawy

Uthera przed natrętną, zaborczą, władczą troskliwością seniora Stunningtona, zawsze wiedzącego lepiej, co jest dla syna dobre.

Mój tata po cichu liczył na przewlekły okres formalności paszportowych. Zanim Baraszko się z tym upora, Uther straci cierpliwość i sam ruszy do Warszawy, gdzie mój ojciec potrafi ustrzec klienta przed obdarciem go ze skóry czy zwyczajnym oszustwem. Ale Uther chciał mieć rzezimieszka w Paryżu. Jego ewentualny wyjazd do Polski niewątpliwie zwróciłby uwagę bardzo niechętnego takiej eskapadzie seniora Stunningtona.

Nie doceniliśmy operatywności obwiesia.

Po zakomunikowaniu mu przez mojego ojca paryskiego adresu osoby zainteresowanej zaskoczył nas. W sześć dni później lądował na Orły.

- Mam przyjemność z sekretarzem pana Pendragona Stunnington? - zagadało indywiduum przed spotkaniem z Utherem w porcie lotniczym.

- Nie. Ze Stunningtonem juniorem. Mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego. To ja kupuję od pana informację!

Facet wydał się jakby rozczarowany, co zaniepokoiło Uthera, tym bardziej więc dążył do zakończenia sprawy natychmiast po umieszczeniu gościa w pensjonacie.

Przybysz zażądał dziesięciu tysięcy dolarów gotówką, a kiedy Uther zgodził się i poszedł po pieniądze, rzezimieszek nie tylko zdążył dokłać* dni zniknąć, ale i wycofać pozostałość z rachunku hotelowego, opłaconego z góry za trzy dni.

Baraszko za działaniem warszawskiego adwokata przewidywał starego Stunningtona, a nie jego ^a. Nawet m jest pewne, czy wtedy w ogóle wiedział o istnieniu juniora. Ale spotkanie z Utherem nadało jego zamysłom nowny wymiar. Zyskał przekonanie, nie bez racji, że jego wiadomości najlepiej opłaci senior. ,

Zbliżał się dzień rozstania.

Pierwsi wyjeżdżali Sven z Ismailą, szykowaliśmy się do wydania wielkiej uczty pożegnalnej, jednocześnie instalując na poddaszu Greka i Peruwiańczyka, którzy dołączą po naszym odjeździe do osieroconego Macedończyka.

Ale proponowana lista gości przekraczała rozmiary naszej powierzchni mieszkalnej. Zastanawialiśmy się nad zupełnym

usunięciem na ten czas tekturowej ściany grodzącej dziupłę, jednak projekt upadł. Chcieliśmy zaprosić konsjerżkę, a jej obecności nie dało się pogodzić z przeróbkami strychu.

- Trzeba ciąć - nie widział innego wyjścia Otokar. - Sven, za wiele twoich dziewczyn! - odczytał jedenaście imion.

- One są nieduże, wcale nie zajmują miejsca - przekonywał Wikig. I tak nie podał do spisu wszystkich swoich przebrzmiałych miłości, tylko te, do których zachował szczególny sentyment.

- I niewiele jedzą - poparłem go.

- Dobrze gotują - zachwalał Sven. Na takie bankiety każdy z zaproszonych coś przynosił, inaczej dla gospodarzy trzeba byłoby wskrzesić więzienie za długi, i osoby umiejące przyrządzać jakieś potrawy należały do specjalnie cenionych.

- Co znaczy Andreas-Jacob plus jeden? - dochodził Macedończyk.

- Niektóre mają chłopaków.

- Wiecie, jaki byłby tłok, gdybym zaprosił wszystkich chłopaków moich dziewczyn?

w _ Nie przechwalaj się.

F _ Skreśl kochanków byłych kobiet Svena - nieubła-
[ganię żądał Otokar.

_ Skreślaj swoich kandydatów, nie moich! - obraził się Sven i nie było mowy o eliminacjach, bo każdy bronił własnych gości.

Niespodziewanie z pomocą przyszła konsjerżka.

_ Pewno będziecie chcieli się zabawić? - zagadnęła Svena. Znała pojemność swoich strychów i obyczaje swoich lokatorów, albowiem mansardy w jej dzielnicy od niepamiętnych czasów zajmowali studenci.

Poleciła nas właścicielce „Le Chat Noir”, małego bistro na naszej ulicy. Kiedy miewaliśmy pieniądze, jadaliliśmy tu gorące dania, w koszt któiyh wliczano i kawał podrobowego pasztetu podawanego na przystawkę.

Za zupełnie rozsądne wynagrodzenie, zapłacił uparł się Uther, otrzymaliśmy w pacht lokal i naczynia na dwa weekendowe dni. W sobotę rano otworzono nam wejście z podwórza, a za s[^]bą zamkniętych frontowych drzwi wywieszono napis: „Aujourd’hui fermé!”

Krzesło dla konsjerżki, ustrojone kwiatami, ustawiliśmy u czoła zsuniętych stolików. Bardzo się wzruszyła i wygłosiła mowę:

- Bien! Młodość jest wciąż taka sama, lecz każdej generacji wydaje się, że jest inna!

Już ona coś o tym wie, całe życie spędziła w Dzielnicy Łacińskiej i przez ten szmat czasu młodzież zaludniła strychy. Mieszkali tu tacy, co przybyli wprost z maquis, mieszkali egzystencjaliści bladzi i mroczni jak mimdur bractwa, noszący czarne swety, słuchający swego brzydkiego, rudego proroka, Jean Paul Sartre'a, notującego myśli na bibułkowych serwetkach w kafejce dwie przecznice dalej, mieszkali danonstniący przeciwko bombie i tacy, co protestowali przeciwko wojnie w Wietnamie i przeciwko dyktatorze w Chile, i tacy, co chcieli innego ładu na Sorbonie, tylko nie wiadomo po co wyrwali bruk i podpalali samochody.

Przygarniały jej mansardy ludzi wszelkich ras i obyczajów i będzie tak potąd, potąd nie zburzą tego domu, a ona nie legnie w grobie na wiejskim cmentarzu niedaleko Dijon, gdzie ma domek i kawałek winnicy, a także zakupione miejsce na wieczny spoczynek, bo za nic nie chce umierać w Paiyżu, gdzie palą zwłoki, a zwykłego człowieka nie stać na normalny pochówek.

Wbrew pozorom z jej lo: ^ widać bardzo wiele, więc widać również, że mło ^ iez jest lepsza i szlachetniejsza od ludzi dojrzałych, chociaż przysparza wiele kłopotów, a osobliwie konsjerżkom. Wypala dziury w pościeli, majstruje przy elektryczności, zalega z czynszem, szwarcuje piecyki nie przystosowane do pomieszczeń i miesiącami przetrzymuje waletów.

Mimo to jest lepsza i ona życzy z cał ^ o serca, abyśmy z latami jak najmniej spsieli, bo spsiejemy na pewno, każdy z wiekiem tak czy inaczej psieje. C'est la vie! - tak mniej więcej brzmiała mowa w wolnym przekładzie.

W taki wytworny sposób zawiadomiła nas, że nic nie uszło jej oka, a nasze dzieciime wybiegi traktowała jak niewprawne baraszkowanie kociąt.

Naiwni! Nam się wciąż wydawało, że potrafilimy podejść zaśową paryską stróżkę. Na jej oczach przeminęły

generacje młodych ludzi, którym brakowało pieniędzy, którzy marzli, którzy kochali dziewczyny i którzy mieli bezdomnych pr[^]jadół.

Ucałowałem jej dłoń i zacząłem „Sto lat!”, chociaż byłem jeszcze zupełnie trzeźwy. Zaraz wsparł mnie Uther. Przy różnych biesiadnych okazjach dawały o sobie znać wiadomości przyswojone od opoja, który uczył go konwersacji przede mną.

Madame wzruszyła się jeszcze bardziej. Koronkową

chusteczką ostrożnie zebrała łzę ze sztucznej rzęsy, aby nie ^{uszkodzić} tuszu i cieni z niebieskiej pasteli na powiekach, go na nasz bal przywdziała wykwinną, dekolowaną czerń, a twarz przyoblekła kunsztownym makijażem.

Zawołano mnie do kuchni.

Posłaniec wniósł kosz i ostrożnie jął wykladać zawartość opakowaną w firmowy pergamin, pokiity kolorowy- ^ nadrukami.

Maison de l'escargot, les meilleurs escargots de Paris! Dom ślimaka, najlq>sze ślimaki w Paryżu. Ulica Fonday, siedemdziesiąt pięć - piętnasty arrondissement. Dojazd metrem do stacji Emil Zola albo autobusem numer osiemdziesiąt - czynny cały tydzień, także w niedzielę rano. W poniedziałek zamknęty. Dom ślimaka!

Do najlepszych ślimaków w Paryżu dołączony był bilet zaadresowany do mnie.

„Przepraszam za zachowanie w »01impii«, Uther wyjaśnił ci powody. Życzę powodzenia, pozdrawiam - Anne- -Marie”.

Siedziała nieruchomo, podobna kamiennym aniołom unoszącym się w wiecznym locie po obu stronach balustrady okalającej galerię mieszczącą organy.

Zastygła u cokołu katafalku z otwartą trumną, obramowaną kosztowną falbaną, zwieszającą się poza krawędź, spływającą koronkową kapą w miejscu, gdzie spoczywała głowa. Trumnę umieszczono wysoko, złożone w niej ciało nie było widoczne.

Pod panneau kaplicy trzeci dzień z empory strzeżonej przez skrzydlate posągi nieustannie rozbrzmiewały instrumenty i głosy śpiewaków.

Zmieniali się muzycy, chóry i soliści, ona trwała. Kokon omotany kirem, z zakrzepłą maską przezierającą prze^ przejrzysty welon, zarzucony na głowę i opływający całą postać po czubki zamszowyci pantofli.

Ognie woskowych świec gorzały mrocznym karminetn w szlifach jej żałobnej biżuterii z melanitów. Granatów tak ciemnoczerwonych, aż czarnych, w surowej oprawie z oksydowanego srebra.

Ani jednej łzy, ani jednego słowa żalu, żadnego widomego wyrazu rozpacz, odkąd otrzymała zawiadomienie o śmierci syna.

-Zabili go - wyszeptła, i to wszvstko. Nie mówiła do

mnie, nie przywołała dotykami trzcinki, jaką miała pod ręką. Kiedy mnie nie potrzebowała, przeważnie zapominała o moim istnieniu, znaczyłam nie więcej niż sprzęty służące jej cierpliwie i bezgłośnie.

Spokojna, zatelefonowała do linii lotniczych, zarezerwowała bilety na popołudniowy rejs, i do Cardina, skąd kazała przysłać odpowiednie ubiory.

-Zapakuj - odezwała się do mnie po przyniesieniu pudeł z d(Hnu mody. Nawet nie zajrzała, co jej przygotowano na ostatnie spotkanie z synem. Z suchymi oczyma wysiadła na lotnisku w Bostonie. Czekąco na nią kilka osób z rodzinnego klanu. Niektórych widywałam na paryskich spotkaniach szefowej.

Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Wszyscy zbyt przejęci i zajęci tropieniem śladów cierpienia na twarzy Vanessy, a i poszukiwaniem piętna nałogu, o jakim donosiły plotki.

Sprawiła zawód. Opanowania, z twarzą gładką i matową, ze szczupłą sylwetką, dyskretnie i xmalowana, bez żadnych ozdób, spowita w szarości od stóp obutych w mysi zamasz po popielate rękawiczki i szyfon barwy dymu omo- tujący głowę, przez który jaśniały złociście jej wspaniałe włosy, lśniące, wypielęgowane, nie tknięte farbą ani siwizną.

Poczułam rodzaj dumy, bo jej wygląd był w pewnej 206

iiierze także i moim dziełem. Ale ten spokój! Ileż w niej

iszczyć tkwiło woli.

_ Nie będę się otępiać - odsunęła podane tabletki

■przez cały czas smutnej ceremonii nie przyjęła ani jednej.

Człowiek nie ma prawa uciekać przed cierpieniem. Jestem to winna synowi - w oczach pojawił się jakiś nie zjany blask, palił się na dnie źrenic. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak gorzej szaleństwo.

W świetle wstającego dnia za szybą czarnego forda, obszernego jak furgon, uciekał do tyłu szeroki bulwar, gęsty od pizzerii, trafik, zakładów rzemieślniczych, migwały czynszowe domy, łuki, po bokach pozostawała płatanina uliczek, muiy z czerwonej ce^. Zapamiętałam wieżowiec „Prudentialu”, kilkakrotnie widoczny wciąż z innej strony, jakby

go umyślnie obracano, i rozjazd w kształcie listka zajęczego szczawiu. Wszystko.

Nie odczułam zmiany kontynentu. Zdarzenia następowały zbyt prędko. A z okna szybkiego samochodu wielkie metropolie wyglądają podobnie. Przecieliśmy całe miaslio i znów peryferie. Parking. I furta w ogrodzeniu zasłoniętym gęstwą pnąc[^]r podobnych do głógów, obsypanych purpurowymi kwiatami.

Za bramą czekały odkryte akumulatorowe pojazdy i dwóch mężczyzn. Pierwszy, wierna kopia zestarzałego Uthera, przejął mnie jakimś transcendentnym lękiem, z pewnością miała na to wpływ aura spraw ostatecznych. Po raz pierwszy zobaczyłam seniora StunnLngtona. Drugi z panów, też ubrany w czerń, wydał się przedsiębiorcą pogrzebowym, ale okazał dyrektorem szpitala, doktorem Orlando Harrocksem.

Ten olbrzymi ogród z parterowymi pawilonami, ukrytymi pośród zieleni, w kępach srebrzystych topoli, lip, klonów i wiązów, pełen labiryntowych boskietów ze strzyżonych cisów, akacji, bukszpanu, to była klinika „Continental”.

- Pani, uczyniłem, co w ludzkiej mocy, ale nasza mop bywa ograniczona. Teraz boleję razem z wami - Harrocljs głęboko skłonił się Vanessie.

- Jestem o tym przekonana, doktorze - serdeczny[^] gestem, jakby jego należało pocieszyć, podała mu obie ręce opięte matową szarością. Z czcią dotknął ustami zamszu osłaniającego dłonie kobiety. Nie widział wyrazu jej oczu Mróz mnie przeszedł.

- Chodźmy do mego dziecka - Vanessa ruszyła ku melexowi i przypomniała sobie o nim. Zostałam wraz z bagażem odesłana do hotelu.

Nazajutrz znaleźliśmy się w Roselido.

Dom pfen ganków, podcieni i stiuków, odrobiony na mauretański, jak słyszałam od Uthera, zbudowany przez jego dziadka w fasonie modnym tutaj w latach szybkich fortun i prohibicji.

A dookoła nieograniczona przestrzeń kipiąca kolorem, tylko z jednej strony zamknięta pionową skałą, zabezpieczoną wysokim murem, opiętym winną łożą, ze stopniami wykutymi w ciosie, prowadzącymi nad ocean.

Po przeciwnej stronie na łagodnym zboczu park pełen starych drzew, za nim, jak okiem sięgnąć, pomarańczowe i brzoskwińowe sady, winnice na uskokach wygarbienia, aż po żywopłot z opuncji. Stamtąd jedna droga do zielonej doliny z ogrodowym pawilonem i kępą orzechowców, skąd biło źródło, druga wiodła do lasu sekwoi, skrywającego biały okrągłak, nakryty pozłocistą głowicą. Tutaj przez trzy doby zmarły spoczywał wystawiony w odkrytej trumnie, ale nikomu poza grabarzami nie udało się go zobaczyć.

Drugiego dnia pi[^]był Uther. Zmarniały, zbiedzony, bardzo przejęty i bardzo smutny. Ścisnęło mi się serce na jego widok, ale też zrobiło łyso. Chociaż miałam pewność, że mnie nie zdradzi, bardzo nie chciałam, aby mnie tu rozpoznał.

Oparłam czoło na splecionych dłoniach pod woalem 208

„jącem ramion, jak parandza osłaniającym twarz, a te- i ręce po łokcie obciążone czarną glacie. Siedziałam ^jniroku ciasnej niszy w stalli dla służby, zamaskowa- ^^głównym uniformem. Dodatek do Vanessy. ^^Qjęoliczności sprzyjały. Mistrz ceremonii w centralnym yjkkcie u stóp katafalku zakomponował grupę zbolalej P (jiziny z Vanessą na pierwszym planie, nie uwzględniając jejsca dla żadnej wiernej sługi. Więc byłam w miarę]^2pieczna. Szeffowej, gdyby nawet chciała, nie wypadało latać z trzcinką do ławy upchniętej w najdalszy kąt. A poza l^aplicą, przy pewnej ostrożności, spotkanie nie groziło. Ciironiła przestrzeń, moja pozycja czegoś pośredniego między cieniem a meblem i izolowanie się Vanessy.

No i przeszło bokiem. Uther nie poświęcił mi nawet przelotnio zainteresowania, jak oni tu wszyscy. Ale on w ogóle nie widział nikogo poza złotowłosą kobietą olaytą kirem. Przeżywał Yanessę jak ból, jak nieuleczalną chorobę, jak zjawisko. Po raz pierws^ i jedyny była tak blisko niego, a jednocześnie niedostępna, odgradzona charyzmą cierpienia, majestatem obrządku, podobnie jak murem posiadłości pod Paryżem.

Odjechała zaraz, gdy tylko trumna spoczęła w rodzinnych kryptach. A nazajutrz lysiące mil oddzieliło nas od białej rotundy, strzeżonej przez olbrzymy przypominające sosny. Nigdy dotychczas nie widziałam sekwoi. Skłaniały ku zadumie nad ludzkim istnieniem, krótkim jak wiosenna błyskawica. Ślad na wodzie.

Poczułam się nieważna, żuk pełznący w trawie, i głupia niczym ślepe szczenie i po raz pierwszy naszła mnie refleksja, czy aby wybrałam najlepszy sposób na życie. Tak mnie rozkleiła potęga, co się tam kiwa na wietrze od czterech tysięcy.

Wieczorem zobaczyłam Nowy Jork.

Głęboką czerń nocy w ilixminatorze stopniowo rozsreb- rzała łuna, coraz bardziej świetlista, jakby były nieprzełiczone źródła rozsiewające mlecznie opalizujący pył wynurzyły się z tego oparu bicze koralu rzucone wzdj^ ciemnego zarysu i rozsypane paciorki rozciąły nierówjj^ smugą granatowy mrok. Światła nad Hudsonem, światłą na nalarz~~ach~~ach zatoki. Pod brzuchem Jumbo Jęta leżała

olbrzymia feeryczna kolia.

Samolot schodził do lądowania nad lotnisko Kennedy

I to miasto pozostało w pamięci szybko migającą taśmą z za samochodowej szyby. I jeszcze tylko hotel „Plaza* w pobliżu Central Parku pośród platanów Piątej Avenue gdzie w swym biegu przez rodzinny kontynent zatrzymała się moja osierocona królowa.

Ledwo zdążyła zamknąć za sobą drzwi apartamentu i wziąć piysznic, poddała kontroli baterię stojącą w barze, a nie znajdując ulubionej marki, zadzwoniła na obsług[^] i zażądała armagnacu „Imperial”, jakby raz nie mogła upić się czym innym.

Niepokoiliam się, co zrobi, jeśli nie będą mieli tej firmy. Mieli. „Plaza” jest karawanserajem oszałamiająco drogim, spełnia każde wymaganie gościa.

Wysączyła koniak, nie telefonowała po następny, popra^{^^}a burbonan z zapasów znajdujących się pod r[^]ą. Nie straciła przytomności, końska dawka alkoholu rozluźniła tylko jej zapamiętały spokój, wyzwoliła łzy.

Mówiła do zmarłego syna, mówiła do siebie, ja się nie liczyłam, jeśli nie kazała uważać. A nie kazała. W tych dniach rozpaczy często, coraz częściej zapominała o moim istnieniu.

- Czuło moje serce, że ci zrobią krzywdę, mój bezbronny robaczku. Komu szkodziłeś? Mordercy! Nie chciałam cię wydać w szpony Harrocksa, ale odebrał cię twój ojciec. Na nieszczęście byłeś i jego dzieckiem. Teraz d[^]iedziczy po tobie, ale przysięgam, po nim już nie będzie komu dzie[^]i- czyć! Po trzykroć przekłęci: on, jego bękart i głupia dziwka, co go urodziła.

r

V\rołał3 pomsty na głowę pasierba ta matka boleściwa jgz pokory, bez rezygnacji, bez nadziei cierpiąca na złotej golgocie.

Czułam się winna za zdradzenie Utłierowi miejsca, gdzie ukrywany przed nim starszy brat wiódł życie porostu [^] glonu. Artur zachorował nagle. Vanessa prav/ie zamieszkała [^] 209 Szwajcarii, później w Stanach. Nie pokazywała się w Nogent-

Sur-Mame tygodniami. Nie zabierała mnie ze sobą. Do domu pod Paryżem zaglądała na kilka dni, aby odetchnąć, aby się upić. Szalała miotając obelgi na Uthera. Obarczała go odpowiedzialnością za przeniesienie jej syna z nad Lago Maggiore do Bostonu.

Teraz nie żył.

_ Wyłączy telefon. Nie ma mnie dla nikogo - skończyła burbona, pomstowanie i przypomniała sobie o mnie. - Nigdzie nie wychodź! - namiętnie na posłanie i przespiała trzydzieści sześć godzin.

Wstała znów zamknięta w sobie, milcząca. Telefonowała, umówiła się z kimś na niemożliwie wczesną godzinę w dniu następnym i zaraz wyjechała do miasta. Mnie znów nie pozwoliła ruszyć się poza obręb hotelu.

Nazajutrz obudziłam ją, jak kazała, na długo przed wyznaczonym spotkaniem.

- Załóż - podała mi perukę łudząco podobną do jej wspaniałych włosów barwy dojrzalej kukuiydzy, drugą, ciemną, włożyła sama. Musiała je ktipić tutaj, niczego takiego nie pakowałam do bagażu, zresztą ona nigdy nie nosiła sztucznych fryzur, nawet gdy byfy modne.

- Ubieraj się! - rzuciła mi swoje obrzędowe kiry. Własnon ręcznie zapięła na szyi pogrzebowe melanity, podała pierścionki i zarzuciła na głowę czarny welon, okrywający aż do stóp.

- Przejdź się! - Byłam niższa od niej, krepa wlokła się po dywanie. Wepchała wate w czubki swoich pantofli na bardzo wysokich obcasach, podłożyła korki, kazała obuf

- Możesz chodzić? - Mogłam. - Spróbuj poruszać się podobnie jak ja.

Jeszcze czego! Zrobiłam kilka kroków, uważałam, abym nie za wiernie ją naśladować, nie zdradzić, co potrafią A i nie podobała mi się rola manekina. Chciałam wiedzieć w czym mam wziąć udział.

- Chyba mnie obserwują - odpowiedziała na moje natarczywe spojrzenie. — Pójdiesz na mszę za spokój mojego s^a. Zostanie odprawiona tak wcześniej, aby nie zjawił się nikt ze znajomych, nawet przypadkowo.

Oczywiście nikogo nie zawiadamiałam.

Osiadła w mojej aksamitnej kiyimce z opuszczonym do

ramion woalem, otulona długą peleryną z aksamitu barwy sady, efektownej liberii w interpretacji Cardina, upodobniła się do mnie, elegancki[^]o rekwizytu jej żałobnego wyposażenia.

Zawiozła mnie do kościoła, gdy uklęknąłem i wsparłem się na pulpicie kłęcznika, udrapowała fałdy welonu, dopiero odeszła. Zastygłem z twarzą wtuloną w dłoń. Niobe. Kto śmiałby niepokoić pogrążoną w bólu i pobożnej medytacji.

Zjawiła się pimusualnie w chwili ukończenia nabożeństwa, z ostatnim akordem organów zebrała zwoje osłaniającej mnie gazy i przerzuciła przez przedramię, aby nie przeszkadzała powstać z kolan, i opuściliśmy świątynię.

Następnego dnia powróciliśmy do Francji.

Na rue Watteau, w zacisznym domu za kamiennym parkanem z ukośnym okapem z łupku, życie potoczyło się utartym trybem. Jakby na tamtym kontynencie pogrzebała nie tylko syna, ale nawet wszelką o nim pamięć. Nie opłakiwała, nie wspominała, nie nosiła kirów.

Dzień zaczyna się od zwykłej porannej depresji.

Le;[^] spowite w wymięte atłasy, utopione w haftach ijjęczone ciało i twarz jak ze śmiertelnej chorągwi. Kre-P[^]ozłoty kolor sypialni, zgaszony p(Smrokiem zacią-[^]jętych żaluzji, podkreśla przezroczystą zielonkawą cerę z liliowymi workowatymi podkowami pod oczyma, ciężki odbródek, szarawą skórę i archipelagi sinawych żył, ppjoywających bezwładne ręce.

r

Nie śpi już. Zdradza ją ruch gałek pod obrzękłymi pow[^]iekami, chociaż ma je zamknięte. Trwa nieruchomo, [^]óbuje wrócić w sen, odgrodzić się od dnia, którego się boi, nie czuć niewoli ciała, upokarzającej fizjologii cierpliwie neutralizującej truciznę, wydalającej toksyny wraz z potem gęstym jak żabi skrzek. Chce uciec od atakującej rzeczywistości, niedobrych myśli bojących jak obnażony jierw, znów bezlitośnie snuldy przez odczadziały mózg.

Wczoraj wieczorem było siedemdziesiąt ceel „Imperialu”, nie licząc burgunda. Dużo. Zwykle wystarcza jej sam armagnac. I przeważnie nie dociera do dna butelki. Wcześniej zwala ją z nóg - dosłownie. Bo nie jest to jedyna dzienna²¹¹

racja, chociaż pomału zaczyna się stawać jej jedyną racją bytu, już teraz zredukowanego do niewielu idei ten byt uzasadniających. Zwłaszcza jednej, najsilniejszej. Nienawiść.

Rozwija się jak rak wraz z ubytkiem innych uczuć, obumieraniem innych zainteresowań. W pustkę niczym w wyszczyłe łożysko strumienia wlewa się jad, nieustannie sycony świadomością zmarnowanego :^cia. Samowiedza niezdolna, trudna do udźwignięcia. Obarcza winą innych i nienawidzi. Zwłaszcza męża, z którym, przedzielona oceanem, od ćwierci wieku żyje w separacji.

Uwidły przyjaźnie, w niepamięć odeszły przebrzmiałe kochania, nie potrafi już nawet przypomnieć sobie twarzy bliskich kiedyś mężczyzn i smaku ich miłości. Nienawiść przetrwała, nawet wydaje się żywić tamtymi usłmitymi namiętnościami. I jeszcze przywiązanie do syna. I nie uczucie gracza do faworyta, jak początkowo sądził^j^ chociaż syn stanowił jej największy atut w rozpra^^ z mężem. Chora miłość, miłość przeciw reszcie świata.

Wczoraj musiała stracić jakiś punkt w toczonej walce lub doznać innego bólu, skoro wieczorem potrzebowała aż tyle, aby wtrącić siebie w nieświadomość.

Zwykłe zaczyna późnym popołudniem. W dzień piję Pijana nigdy nie jedzie do banku. Jej czeku powyżej pewnej sumy nie zrealizuje nikt, tylko ona sama, fizycznie obecna. Tak sobie zastrzega. W obawie przed nadu^ciem w obawie przed zupełnym brakiem obowiązków. Przynajmniej to jedno ma u siebie. W dzień wciąż jeszcze miewa różne inne zajęcia. Domy mody nadal ją interesują, składa wizyty, od czasu do czasu odwiedza salon piękności, bo na co dzień ją dbam o jej wygląd, zdarza się również i większa gala.

Wtedy powierza się rękom fachowców od irrody i otwiera wmurowaną w ścianę pancerną szkatułę, gdzie przechowuje kosztowności. Długo się nimi bawi, niby wybiera. Wkłada na siebie rzadko, przeważnie nosi mniej wartościowe lub stroi się w łudzące imitacje najcenniejszych.

Zawartością skarbczyka lubi też bawić się po pijanemu, jak stary generał, co w orderach szuka przypomnienia przebrzmiałych zaszczytów, minionej chwały, znaczenia, wygranych batalii lub tylko pozorów. Alkohol i cenne kamienie, szczególnie kombinacja nałogu i próżności,

przywracają jej złudzenie czasu, kiedy była kobietą młodą, piękną i kochaną. Jednak nawet w największym zamroczeniu nie uroni żadnego klejnotu i wszystkie zamknie z powrotem. Rano mętnie o tym pamięta albo ma tylko niejasne przeczucie, że otwierała ognioodporne pudra.

-Niczego nie zgubiłam? - mruczy nie patrząc na mnie. Pytanie jest retoryczne. Gdy jej zależy, abym czytała z ruchu warg, dotyka mnie trzcinką.

Otwiera skarbczyk. Konfrontuje przedmioty z listą in-
^eptarza. Przeżywam męki. Nigdy nie mam pewności, czy jej
coś nie zawieruszyło albo nie spadło i nie ugrzęzło
pjewidoczne w nmie dywanu, cłociąź zawsze po ułożeniu jej
do łóżka uważnie badam miejsca, w jakich siedziała, jtała,
cłiodziła przymierzając te swoje łaskotki. Kiedy pije.
nieznośnie rucliliwa, zanim nie zacznie tracić
równowagi.

Szaleństwo! Uzależniać swoją egzystencję od dobrej ^li
przeważnie zamroczonej psychopatki. Uciekać stąd, póki się
jeszcze nic nie stało - powtarzałam sobie, ilekroć robiła
remanent. Ale znów wszystko się zgadzało, mijał niepokój i nie
opuszczałam zacisznego miejsca, bo nie bardzo miałam
dokąd iść, a poza tym właśnie tu, wśród bogatyści
próżniaków, widziałam szansę dla siebie.

Nie znajdowałam sposobu, aby jej przeszkodzić w wy-
ciąganiu cennych zabawek, gdy była na bani. Sejf miał
zamek cyfrowy bez kluczy, a ona, nawet ciężko spita,
pamiętała potrójne zabezpieczenie: hasło, kombinację liczb
oraz literę dodatkowej blokady. Nie dawała się odciągnąć od
kasy, podnosiła ryk jak obdzierana ze skóiy i szarpała z siłą
furiata.

W wyniku tej uporczywej manii poznałam kod otwierają-
jący pancerne pudro, wmurowane w ścianę sypialni pod
werdiurą z Aubusson. Wprawdzie nigdy nie zapomniała
usunąć mnie stamtąd przed rozpoczęciem otwierania, ale
pewna, że niczego nie słyszę, przepowiadała sobie sentencję,
dyktowała kolejną cyfrę przed naciśnięciem odpowiedniego
klawisza, a gdy myliła szyk lub nie skoordynowanym ruchem
trafiała w niewłaściwy przycisk, powtarzała operację nieraz i
kilka razy.

- W porządku - mówiła rano po skonfrontowaniu 213

stanu posiadania ze spisem inwentarza. - Wiem, co chcesz powiedzieć. Gdy piję, nie powinnam wyjmować biżuterii. Masz rację, ale nie patrz już tak na mnie.

Nienawidziłam ją w takich chwilach. A iedyne, co mogłam zrobić, to patrzeć. Więc mordowałam ją spojrzeniem. Poczekaj, odgrażałam się w myśli, kiedy leżała jak bela, spuszczyć ci wały. Przez tydzień nie się!^ dziesz na tyłku, stara rosówko!

Nigdy się na to nie zdobyłam. Starczało udręki, jaK zadawała sobie sama. I tak pozostawało. Ona znów wyciągała klejnoty, potem ja obszukiwałam podłogę. Lecz mimp ostrożności za każdym razem od nowa bałam się, czy nję zginęło któreś z tych kosztownych gówien, bo była podejrzliwa i łatwo pomawiała ludzi.

Kiedy w rachunkach Paula - odźwiernego, sprzątacza i w ogóle osoby do wszelkich grubych robót - znalazła jakieś nieścisko, z miejsca wezwała policję. A chociaż rzecz się wyjaśniła, ot, zwyczajne niedopatrzenie, nie chciała więcej Paula widzieć.

- Cul, salaud! A niech go deportują, może się nauczy robić dobrze to, za co mu płacą! - kruczała wściekła.

Nie zatrudniała Francuzów chronionych przez związki zawodowe, tylko cudzoziemców, całkowicie od niej uzależnionych. Starczyło, aby nie przedłużyła pozwolenia na pracę, pozostawali bez żadnych szans nie tylko na inne zajęcie, lecz i na dalszy pobyt w granicach Republiki Korzystała z tej władzy bez skrupułów. Zła królowa.

We francuskim wypowiadała się lepiej niż w rodzimym języku, bardziej odpowiadał jej temperamentowi. Solidną wiedzę leksykalną, wpojoną jej w młodości przez zacne siostrzyczki w Sacre-Coeur, wzbogaciła, genialny samouk, słownictwem pozbieranym w szynkach Saint-Germain-des-Pres, Montreuil czy Clignancourt, gdzie, wprawdzie coraz rzadziej, zachowywała się jak dziwka, nie przestając być wielką damą. Na Pigalle nie chodzimy, Pigalle to dekoracja, nieustająca commedia dell' arte dla turystów My lubimy autentyk.

Zwłaszcza „Chez-Soi”. Obszerną piwnicę z niskim kamiennym sklepieniem odgradzoną od składu wina arkadą V j-~~ter~~mniałych beczek. Ciasno leżały na grubych drewnia-

ch progach, slykajac się oblymi bokami, zwrócone ku li
rzędem dekli o średnicy ponad wzrost człowieka, ®
lęranami w szpuntach, skąd gospodarz, przebrzmiały
bokser, toczył młode wino wprost do karafek
podawanych jia stół- Ale przeważnie pito tu mar i meskal
- egzotyczną pieksykańską wódkę z kaktusa.

W półmroku, pod skąpym światłem świecówek, z rzadka
zawieszonych na ścianach z wapiennego ciosu, przy table
(j' hote oszukiwali samotność handlarze, paserzy, przemyt-
j, jcy, złodzieje i inna nie chroniona fauna pobliskiego
targowiska i dzielnicy Clignancourt, skrachowane stare
kuplerki, wyszłe z obiegu, i czynne zawodowo dziewczyny,
i lubujący się w złotych ozdobach młodzi sutenerzy
noszący na przegubach, jak odznakę stowarzyszenia, grube
luniszcowe bransolety, i faceci, po wyglądzie których nie
rozpozna się uprawianego procederu, a oni o tym nie mówią
nawet w największym zamroczeniu.

Z początku nie rozumiałam, czego szukała Vanessa w
ciemnym, wielojęzycznym nurcie wszędzie obcych psy-
chicznych odmieńców, ludzkich odrzutów, groźnych inności,
dryfujących w oparach gronowej wódki pośród wrogiego im
żywołu miasta, zespolonych tu nazwą mówiącą, że chez-soi,
są w swoim kącie, u siebie, najbezpieczniejszym miejscu w
całym Clignancourt, bo dymisjonowany pięściarz trzymał na
stajni ważnego glinę i zawsze w porę bywał ostrzegany o
nadciągającej obławie. Ale też w tym rezerwacie niepisane
prawo zakazywało wszelkich porachunków, a nawet
zwykłego mordobicia, i było respektowane.

- ęa va, ęa va. Madame - padała z różnych stron, kiedy
Vanessa przechodziła do swojego kąta przy szpalerze wą-
torów opasujących denka ze szerniałej klepki.

Madame. Tak ją przezywali. Uchodziła za pierwszej
klasy dziewczynę, która miała tyle rozumu, aby odłożyć
dość pieniędzy, które teraz, po wycofaniu się z fachu, g[^] jy
wiek przekreślił szanse na bogatych Wientów, starczały ng
dostatnie ;[^] cie i na mar w „Chez-Soi”, a także na posia,
wienie przegranym lub będącym w przejściowych kłopo-
tach.

- ęa va, Madame - pr[^] siadł się do nas mężczyzna może 15
czterdziestoletni, średnio zatankowany, z tych, którym nie

powierzyłabym kasy.

- Napijesz się, Victor? - Vanessa dała znak gospodarzowi.

- Dzisiaj ja funduję, Madame - mówił z murzyńska po knajacku. Zmierzył mnie błękitnym, nieco już rybim oczkiem, i przeniósł pytające spojrzenie na Vanessę.

- Paulette jest ze mną. - Sączyła mar, gadała z ożywieniem, odkr[^]kiwała na żartobliwe zaczepki od innych stołów, robiła miejsce siadającym przy naszym.

Ubrana z seryjnym szykian popularnego magazynu w coś od Tatiego albo od Lafayetta, nie pokazywała się tutaj w sukniach od Cardina ni klejnotach, swój bezbłędny francuski podbarwiała zwrotami w śpiewnym, pa[^]tskim argot, ale z umiarem, tak jakby to robiła dziewczyna z polorem, lecz nie zadzierająca nosa, kiedy pozasłużbowe zabawia się wśród swoich.

Artycha! Zrozumiałam, co ją tak nieodparcie pociągało. Gra. Ona kreowała jedno z nich. Tu była jej scena i jej widownia, i inne życie, i inna skóra. Odświeżająca egzotyka, ostra przyprawa odnawiająca stępiiony smak, dodający wartości przeświadczeniu, że z tego ścieku w każdej chwili może powrócić na posadzki swojego środowiska.

- Dlaczego nie pijesz? - przyczepił się Victor. - Do ciebie mówię, mała! - Ciągnęłam mar, ale brakowało mi pojemności wielbłąda, jego drażniło moje umiarkowanie. - Co patrzysz? Jak mam smak na picie, nie cierpię trzeźwych wokół siebie. Działają mi na nerwy, czuję się jak goły, zwłaszcza kiedy się tak wytrzeszczają!

, Zostaw ją, Victor! Jest niema i aby rozumieć, musi z ruchu warg - interweniowała Vanessa.

_ Ale przecież nie chora na przełyk - zamruczał, ale dał p[^]n spokój.

Wyłączyłam uwagę i pr[^]glądałam się sali, jak człowiek z naprawdę odjętym światem dźwięków. Niezła zabawa, p[^]ym z papierosów jeszcze bardziej odrealniał piwniczny półmrok, niczym w płynnym roztworze kłębiły się dziwne stwory, poruszające, rozciągające, kłapiące pokrzywiony- [^] pyskami, łypiące maślanymi, pustymi albo śmiertelnie smutnymi oczyma.

- Idziemy - dotknęła mego ramienia szefowa.

- ²¹⁶ Zaczekaj, masz coś u mnie - przypomniał sobie

Victor.

Vanessa w niezłym stanie zbierała się do wyjścia. W „Chez-Soi” nie ziewała się do utraty przytomności, nie pasowało do zagrywanej postaci, a i przez ostrożność, więc do taksówki ładowała się bez kłopotów, a niedobór alkoholu dopełniała w domu.

- O kurwa - niespodziewanie zaszemrał Victor w rdzennym nadwiślańskim narzeczu. Mruczał jeszcze coś po polsku, kiedy wyciągany z kieszeni opiętych dzinsów zwitek pieniędzy wypadł mu z ręki na podłogę. Same pięciofrankówki. Zgarnął je, wyrównał, o[^]czył i zwrócił dług Vanessie.

Gruby plik zużytych, jednakowych banknotów przypomniiał mi gazetową sensację sprzed kilku dni. Zabójstwo człowieka podczas napadu na kasę metra i rabunek kilkunastu tysięcy w drobnych odcinkach. Bieżące wpłaty pasażerów, numeracja nie do ustalenia.

Ostatnio jednak zarzuciłyśmy zwyczaj włóczenia się po mordowniach. Musimy dbać o opinię, o coś, na czym Vanessie zupełnie nie zależy. Nie, inaczej: ona stanowi opinię i miarę postępowania. Zachowanie pozorów wzmagają fustrację, ale musi liczyć się ze Stuningtonem. Jego szpiedzy skrzętnie zbierają wiadomości o ekscesach, ciwnik czyni pr[^]gotowania do ograniczenia jej osobowości prawnej. Ona wie o tym zamyśle, bo z kolei też mg szpiegów przenikających do wrogiego imperium. Boks!

Sprawa jest poważna. Gra się o pieniądze.

W tym kontekście wybór ghichoniemej la damę dg compagnie, a raczej dziewczyny do wszystkiego, nie jest jak można by powierzchownie sądzić, zwariowanym pomysłem ekscentrycznej kobiety. Taka sługa z racji pełni, nych obowiązków dowiaduje się mimochodem różnych rzeczy, zwłaszcza jeśli parę razy w tygodniu wysłuchuje niekończących się monologów zamroczonej szefowej i zbiera nieprzytomną z podłogi.

Z tych samych przyczyn Vanessa coraz bardziej zamyka się w czterech ścianach, a fiorta w murze jej ślicznego domu uchyla się tylko przed nielicznymi.

Czasami, aby zdementować opinię męża i pokazać olim-

pijską formę, wraca do swego świata. Jak gwiazda przygotowuje wielkie wejście. Zabieg wymaga wyrzeczeii, przede wszystkim odstawienia butelki. Jeszcze potrafi się na to zdobyć. Wypoczynek połączony z biegłością zawodowców od przywracania urody robi twarz. Reszty dokonuje oprawa. Ale swój wspaniały, ciężko wypracowany wygląd prezentowała tylko przy specjalnych okazjach, podobnie jak prawdziwe klejnoty z pancernego puzdra.

Wypielęgowana, piękna, wytworna szła świadczyć odrestaurowanym jestestwem przeciwko pogłoskom o swej degrengoladzie.

Po najdłuższej przerwie bez trudu włączała się w nurt życia towarzyskiego, wspierana rutyną nieprzeliczonych rautów, cocktaili, five o'clockow, balów, weekendów-po w pocie czoła przepróźniaczonych tygodniach, wakacji - po miesiącach ciężkiego nicnierobienia.

Zabijanie czasu to proceder wyczerpujący.

Vanessa niszczyła go z naturalnym wdziękiem. Wieczo-

pozmieniała na migotliwe okruchy, efektowne jak paje-

r

• przy jej sukni. Słowom nie znaczącym, gestom błahym ootrafiła przydać głębi, ważkich znaczeń. Ujmowała życzością wobec świata, który w rzeczywistości w najłep-razie nic ją nie obchodził. Czarowała. Świetny materiał na hochsztaplera. Już ja się na tym znam.

Niepospolita, atrakcyjna, wyraźnie odbiegała od przeciętnej sztampy swego środowiska, potrafiła pozyskiwać jympatię. Toteż po wyjściu z izolacji szybko odrabiała jtiacone w czasie nieobecności pozycje. Kroczyła przez odzyskany teren w orszaku znów wielbiących ją poddanych. Kochana królowa. Nadal zachwycająca, nadal urocza, nadal ekscentryczna.

Słyszeliście o jej ostatnim pomysle, nie? Niezwykły.

Zabawny. Głuchoniema dame de compagnie!

Surrealizm. Prawda?

Obwoziła mnie po znajomych jak tresowanego lamparta.

Owo upośledzenie, wprzęgnięte w jej służby, stawało się wybrykiem natuiy, sensacją, jak kobieta z brodą czy bracia syjamscy.

- Zupełnie nie wygląda na niemowę - zachwycaly się panie, których głowy też nie wyglądały na puste w środku.

- Ma zupełnie inteligentną twarz - chwaliły* damy o twarzyczkach perliczek.

- Przecież jednak kalectwo, ma chfere! Nie budzi w tobie odrazy? - dopytywała się wychudzona czapla z obliczem rozdzieranym tikami.

- Paulette czyta z ruchu ust - ostrzegala moja właścicielka.

- Rozumie także po angielsku? - wywiadywała się inna, przechodząc na ten język i przezornie usuwając się z zasięgu mojego wzroku.

- Nie. Angielskiego nie zna - zapewniała moja szefowa. Mylisz się, patrona. Znam. I niewiele jest języków w Eu

ropie, których bym przynajmniej nie rozumiała. Jeśli mu, sześ, w pięć tygodni nauczę się nawet narzecza Bantu, tałą jak opanowałam niezbędny zasób wymowy gestów, nieodzowny ludziom z odjętym światem dźwięków, chociaż_ chwalić Boga, słuch mam dobry, a i dykcję lepszą od damy co ciekawa mojego anglo gruchocze sylaby, jakby je ubijała w móżdżek.

- Paulette jest Katalonką - cierpliwie wyjaśnia Vanessa - ale matkę miała Francuzkę.

- Ciekawe, w jaki sposób głuchoniemi wymieniają myśli z głuchoniemymi innej narodowości? - dociekał monsieur Filip Claparon, radca prawny szefowej, wykwintny staruch przydzielony w stylu księcia Walii, tego od lady Simpson.

Pytanie dostarczyło Vanessie okazji do zademonstrowania, jak sprawnie się ze mną porozumiewa. Nie zabierała na wizyty trzcinki. Dotykami upierścienionej ręki dała znak, abym patrzyła na jej usta. Powtórzyła pytanie.

- Podstawowe pojęcia w języku migowym przypominają esperanto - kreśliłam na bloczku ze sztywnych listków, jaki zawsze miałam pod ręką. Pisało się na nim łatwo ścieralnym rysikiem. Patent Vanessy.

- Robi błędy, oczywiście - usprawiedliwiała mnie szefowa. Prawda, z pisaniem miewałam kłopoty. Języków uczyłam się na słuch. Przyswajałam je błyskawicznie, akcent, idiomy. Mówiła do mnie ulica, sklep, kawiarnia, płyta.

- Jest całkiem ładniutka - mlasnął staruch oglądając mnie bezceremonialnie.

Stałam p[^] kroku za nimi, opięta granatową morą. Trzymałam w pogotowiu futrzany szal Vanessy, który zsunęła z ramion w przegrzanym salonie.

Monsieur Claparon nachylił się do mego ucha, wionął patentowanym zapachem płynu do ust, wyszczerzył świetną w gatunku sztuczną szczękę i wszeptał stek sprośności,

Icich nie powstydziliby się kupler z Pigalle. Widać przy-[^]oite zachowanie krępowało go jak za ciasny garnitur, [^] tym otoczeniu jednak nie śmiał folgować upodobaniom.

>Trwałałam nieporuszona z bezosobowym uśmiechem

ma- nekina-

Sposobność do małego odwetu nadarzyła się jeszcze jggo samego wieczoru. Przy wyjściu. Przez wykwinną skórkę trochę już noszonego bucika monsieur Claparona - zupełnie nowe, jakież to nieeleganckie! - wypuczał się staW palca. Przechodząc mimo, potknęłam się i odzyskując icwnowagę wdepnęłam mu na odcisk szpilkowym obca- jeni- Zaskowyczał.

Vanessa zliczała salony trzeźwa. Nieraz przez wiele godzin mężnie znosiła torturę jednego kieliszka. Poprzez stanie na niewielkiej ilości alkoholu było dla niej trudniejsze niż w ogóle niebranie go do ust. W taki sposób podważała pogład o swoim alkoholizmie.

Towarzyska ruchliwość szefowej nie pozostawała bez oddźwięku. Odkurzona przychylność środowiska owocowała opinią: Vanessa to zjawisko, któremu należą się wyjątkowe względy, a nawet ochrona przed nietolerancją i brutalnością męża. Stunington łamie reguły gry podnosząc niegodne plotki i nieszkodliwe ekstrawagancje do rangi dowodów na niepoczytalność separowanej żony. Ale do wydarcia jej majątku nie dopuszczą Stimningtonowie prawdziwi, nie przybłądy.

Vanessa nie przeceniała swoich zwycięstw. Obdarzona gorzką wiedzą o nietrwałości tłumu strącającego dzisiejszych faworytów na jutrzejsze dno, nie miała złudzeń, że jeśli dojdzie do decydującej rozprawy, będzie sama. A jednak po coś potrzebowała tej chimerycznej akceptacji, podobnie jak sympatii przyjaciół z „Chez-Soi”.

Prawie każdy wieczór miała zajęty.

W takim rytmie potrafiła wytrwać kilka miesięcy. A były to spotkania wciąż tych samych ludzi, nie mających sobie nic albo niewiele do powiedzenia, jałowe jak sieczka różniły je tylko pory roku i raz taki, a raz owaki wystroi i miejsce. Nawet trudno się dziwić, jeśli wytrzymała ten młyn najwyżej kwartał.

- Boże, jacy oni nudni - ziewała przed lustreim w pierwsze wolne popołudnie po tym maratonie gorączkowych zabiegów towarzyskich.

- I głupi jak kijanki - stroiła miny do odbicia, przesu-

wała palcami po niteczkach brwi.

- Ale poczciwi - zmywała dzienny makijaż i już nie malowała się na wieczór, przebierała w jedną ze swych sukien afro, jakie lubiła nosić po domu i w których wy^a-dała jak szczepowa aiystokratka.

I nieuchronnie nadciągał wieczór, gdy sięgała po wino Najpierw po wino. Pierwszeństwo miało bordo. Paryżanka z wyboru, mówiła.

- Francuz wkraczając w wiek męski rzuca burgunda dla bordo. Wina bordo są łagodne, wyrafinowane, bogatsze gamą smaków, słabsze, subtelniejsze. Ich przeciwieństwem jest burgund. Mocny, ostry, soczysty. Bujny jak gorąca krew młodości.

Jak Paryż rozdzielony biegiem Sekwany. Lewy brzeg to burgund, prawy bordo. Prawy - świat ludzi dojrzałych: Łuk Triumfalny, Champs filysees, Luwr, Opera, Marais. Po tej stronie mieści się administracja - L'Hotel de Ville, rząd - Pałac Elizejski, wszystkie większe sklepy, galeria Lafayette, banki, międzynarodowe korporacje. Ritz i najbardziej luksusowe hotele, najwykwintniejsze domy mody, tu mieszkają call-girls i większość ich klientów, tu Palais Royale i inne siedziby francuskich królów. Natomiast lewym brzegiem włada młodość. Sorbona, Dzielnica Łacińska, Montparnasse.

lei on pense - la-bas on depense, tutaj się myśli - tam się wydaje - mawiają Paryżanie.

Postępowała odwrotnie niż dojrzały Francuz. Porzucała

I godne bordo dla gorącego burgunda, oba zaś dla koniaku

„jitiperial”. Pociągana mroczną, nienawistną nostalgią „gjępowwała w swój Izolowany świat, niedostępny dla po-[^]ogtających poza krawędzią oliwkowego szkła.

Zabijanie siebie przeciągała dłużej w noc.

Koło południa zaczynała się ekshumacja. Wchodziłam (Jo zaciemnionej sypialni. Leżała jak portret z całuna [^], wymiętych atłasach, zagubiona w swym szerokim lit a la jurque pod spływającym z sufitu baldachimem w kształcie namiotu z pajęczko cienkiego jedwabiu.

Przystawałam u stóp łoża, wykonanego, jak twierdziła Vanessa, w pracowni Charlesa Cressenta, dostawcy trzech łątatnich Ludwików. Odgródzone żaluzjami światło dnia, rzenikając przez szczeliny, zapalało żłocenia stiuków, ślizgało się po werniksach panneau i supraportach ujętych ramami w płycinach kremowych ścian, nad ościeżkami dwuskrzydłowych drzwi.

Bębniłam w cenny szczytek wygięty w linię es i patrzyłam, jak ona ukrywa się za zamkniętymi powiekami.

- Przestań, Paulette! Nie śpię - otwierała opuchnięte oczy, dźwigała ręce do uszu i zmożona tym wysiłkiem znów zamierała w bezruchu. Udęczone królowa rozpoczynała leve.

W łazience, wyłożonej fajansem z Delft, w kabinie odnowy biologicznej poddawała się na zmianę parówce i tryskającym pod ciśnieniem biczom letniej wody. Po zabiegach wyciszających pochmiel, po pławieniu w aromatycznych solach okrywałam jej głowę maską, pod którą w gorącej wilgoci kompresu z ziołowej miazgi tęczyły obrzęki, i zabierałam się do masażu. Tak składałam ją kawałek po kaw[^]ku, a wszystko po to, aby wieczorem mogła znowu zabrać się do butelki.

- Wraca mi życie - mówiła, kiedy zmywałam jej z twarzy odżywczą papkę po zdjęciu płóciennego futerału. Zawinięta w puchaty płaszcz zasiadała przed coiffeuse i podczas czesania tropiła zmarszczki, wpatrując się w sw rozmienione odbicie w trójskrzydłowym lustrze. ®

Ubrana, pachnąca, wchodziła do pokoju, gdzie zwył[^]j[^]

spędzać dzień. Przeważnie płonęły drwa na kominku, byjg wrażliwa na chłód i lubiła prawdziwy ogień, czekało śniadanie i Coco, srebrzysty maltańczyk, cały z jedwabistych frędzli opadających do ziemi jednakowo ze wszystkich stron. Poruszając się przypominał stułbę pływającą przy pomocy wiechy falujących parzydełek.

Spasiony sybaryta ostrożnie opuszczał fotel, gdzie zwykł się wylegiwać, i rozdzierany ziewaniem, przeciągał się i prostował łapy pod tą totalną czupięną.

Po śniadaniu, jeśli miała dyspozycje, dzwoniła po Paula, Rachunki sprawdzała raz w tygodniu. Do kuchni nie wtrącała się nigdy, niepodzielnie rządził nią Czen.

Chiński kucharz to nie tylko najlepszy na świecie kucharz, jak utrzymuje obiegowa opinia. Chińskiego kucharza się ma. Należy do szyku, określa status właściciela jak rolls-royce, jak dzielnica, w jakiej się mieszka, jak biżuteria, której można nie nosić, ale powinno się posiadać.

Vanessa ceniła Czena i unikała bezpośredniego kontaktu. Czen był tu wyjątkiem, Czen był s tary.

O starości, przerażającej i budzącej żywidtowy sprzeciw, Vanessa nie chciała nic wiedzieć. Nie dawała zgody na przemijanie. Miała pięćdziesiąt pięć lat, zakłamyws^a wiek chirurgią odmładzającą, arsenalem kosmetyków i wiertła, że wygląda o dwadzieścia lat mniej.

Sprzyjały temu stare, nieszczerze lustra, zmęczone sędziwe lustra, co przez schlebianie nieprzeliczonym odbiciom zamghły się na tyle, aby nie ujawniać zmarszczek, wysłużone cenne zwierciadła, złudnie wyglądające każdą twarz.

Służba, psy, koty, nawet ptaki w ogrodowej wolierze raz na zawsze zostały nazwane: Czen, Paul, Paulette, Coco, Mufti. Rotacji poszczególnych egzemplarzy nie przyjmowały, (Jo wiadomości. Te same imiona, wciąż podobne *tode twarze, koty tej samej maści, psy tej samej rasy ały sprawiaćwrażenie, że czas nie upływa.

""jjjie pobylał długo, a już nastał drugi Paul i nagle padł tany Coco. Delikatne, przerasowane maltany wykań- a|s się u szybko. Zdychały z nudów, przekarmiania ^otyłości, lyiko Vanessie zdawał się służyć przegrzany jjiinat jej, pokoi, armagnac i brak ruchu.

Psy nie wytrzymały. Marły. W miejsce nieboszczyka [^]araz pojawiał się now[^]. Gdy Paul pośpiesznie w rogu ogrodu grzebał jedwabisty tłumoczek, złożony w jakieś [^]kwintne pudło po zakupach u Cardina, Chińczyk telefonował do hodowcy, i ten natychmiast dostarczał kopię poprzednika reagującego również na zawołanie Coco. Widocznie znał dobrze obyczaje domu i zawsze miał w pogotowiu egzemplarz maltana o takiej nazwie.

Vanessa nie dostrzegała zamiany. Ważne, aby żywa pelotka falującej wełny wylegiwała się na kanapach, lasowała, objawiała radość na jej widok.

Znacznie szczęśliwiej wio[^] o się Abelardowi i Heloizie. Imiona nieśmiertelnych kochanków nosiła najpiękniejsza para chartów rosyjskich, jaką wyprowadzano na codzienny spacer do lasku Vincennes. Championi wielu wystaw zbierający złote medale. Tedy dbano o nich ściśle według zaleceń weterynarza, który co tydzień przyjeżdżał badać stan ich zdrowia. Ich przeznaczeniem było świadczyć o dobrym smaku Vanessy w doborze rzadkiej, wykwintnej ra[^].

A tak naprawdę nie zauważała ani zwierząt, ani ludzi, zapatrzona w siebie jak Budda. Reszta to magma, z której w miarę potrzeb wynurzał się pojedynczy osobnik o nazwie Czen, Paul albo Paulette, zaopatrywał dom, sprawiał, że rosły róże w ogrodzie, dbał, aby na dywanach nie osiadał kurz, a pościel zawsze miała świeże obleczenie, podawał suknie, jedzenie, sprzątał rozbite szkło.

Do obiadu Vanessa sączy wino. Z nastaniem wieczoro[^] otwiera starą kredensową szafę, cenny renesansowy tyk, gdzie w miejsce półek umieszczono płyty z obły, ^{^^} w[^]ębieniami - spocz[^]ają w nich nachylone pod kątej[^] butelki. Wyciąga koniak „Imperial” i stawia na stolitij Zapada obok w fotel.

Zapowiada się trochę spokoju.

Vanessa czyta albo udaje, że czyta, patrzy w ogień drażni gorejące głównie pięknie kulym pogrzebaczem W milczeniu pociąga z kieliszka. Ja siedzę w wysuniętej ng pokój części dwustronnej kanapy, zamykającej przykominowy aneks. Odgradzona od szefowej oparciem, pozostaję w zasięgu jej trzcinki, jednak wystarczająco daleko,

aby moja obecność nie przeszkadza. Zresztą jestem jak Coco albo Mufti, tylko bardziej użyteczna.

Czuję lekkie uderzenie w ramię, odkładam książkę, odwracam się i patrzę na jej usta. Zaczyna się dopust, będzie gadać.

Temat pierwszy, niewyczerpany: My, Stunningtonowie!

Jej rodowe nazwisko także brzmi Stunnington, wiodła się z najlepszych, jacy istnieli, Stunningtonów, w odróżnieniu od Stunningtonów byle jakich, z których pochodził Pendragon Stunnington, nazywany przybłądą i jeszcze mniej cenzuralnie.

- Arystokraci - nadymała się na wspomnienie tych swoich przodków, owych purytanów czy prezbiterianów, nie potrafię się w nich połapać, co wypięli się na nietolerancyjną Anglię i w siedemnastym wieku odpłynęli ku Ameryce. Potem zaś na okutych obręczami furgonach przebyli w poprzek kontynent, przedarli się przez pustynię Nevada, Wielki Kanion Colorado i przełęcz Sierra Mądre, by wreszcie osiągnąć Kalifornię.

Jedno z tego wydawało się pewne, arystokraci czy plebs, wcale niezły materiał genetyczny przekazali jej w dziedzictwie. Co wieczór jak gąbka nasiąkała koniakiem, a następnego dnia powstawała z oparów dum i potrafiła funkcjonować, chociaż nie bardzo miała na co wydatkować tę umiewającą żywotność. Feniks!

ifież pochodzę z arystokracji.

Mój pradziad i dziad kochali konie. Uprawdzali araby, folbluty, uprawdzali ciężkie belgijskie i zwyczajne chłopczyce. A chociaż wymyślono zwierzętom certifikaty i cechy, moi dziadusiowie mieli kontrsplosoby. Nawet zebra potrafiliby przerobić na anglika wielkiej krwi. Ale przeminał konia.

pradziad już tej katastrofy nie doczekał, zmarł w chwale najlepszego złodzieja koni na całej Woli od Karaimów po giBchmalną. Natomiast dziadek, skoro przestały opłacać się koszta lyzyka, przekwalifikował się, chociaż wyrzeczenie przeżył ciężko. AodbrowaruHaberbuschapo Odolany śmiano się z niego. Mówili; Koniarz - taka ksywa mu po pradziadku została - zszedł na psy. I to nie była przenośnia.

Dziadek zawodowo znajdował i odprowadzał za nagrodą przeróżne czworonogi. Żywiły one rodzinę przez jedno pokolenie, chociaż nie tak tłusto jak kiedyś konie*Za to fach był prawie bezpieczny. Dziadek kochał zwierzęta i one go kochały, z przywabieniem kłopotów nie miewał. Zdarzało się też, że właściciele wcale stworzenia nie szukali. Dziadek jednak nigdy takiego biedaka nie prowadził do raka. Albo go wypuszczał w pobliżu jego domu, albo pozostawał u nas jak nie wykupiony fant. Toteż dokąd pamięcią sięgnę, żyła u nas niezgorsza gromada kundli różnej maści i kondycji, osobniki zdeklasowane, schamia-łe, ale wesołe i wolne. Dziadek potknął się jedynie raz, kiedy mu na starość odbiło i uprowadził samochód. I nawet się powiodło, no ale auto, nie pies, gdy dziadek poszedł nagrodę za odnalezienie brać, już do doniu nie wrócił.

- Tato nie rozumie nowego czasu, niech się ojciec za świeżą branzę nie bierze. Starczy na pęczak i dla noww burków - perswadował mój ojciec, kiedy dziadl^^* względu na dotychczasową niekaralność i wiek wypj^^ na wolną stopę, a później wyprawili do domu z wyrokj^' w zawieszeniu. ^

Ojciec nie podjął specjalności przodków. Pod różny^ postaciami praktykował szalbierstwo. Ze zmiennvJ szczęściem, przeważnie gorzej niż lepiej, i my dzieci chodziłyśmy już ze środowiska kryminogennego, stwierdzały różne panie, samarytanki z urzędu, z wysług lat i prawem do emerytury, które zaczynały nas nachodzj^ ilekroć nasz autor trafił pod celę.

Moje rodzeństwo poszło w porządne obywatelę, ja po, zostałam przy rodzinnej tradycji. Szczęśliwie dotychczas nie zawarłam bliższej znajomości z takim gmachem wWa-rszawie, gdzie na fasadzie wyr3rto w kamieniu: „Sprawiedliwość jest ostoją Rzeczypospolitej”.

Odeszłam jednak od zainteresowań dwóch pokoleń solidnych złodziei i jednego niewydarzonego szarlatana, uprawiam inny gatunek, chociaż to, co robię u Vanessy, nie ma nic wspólnego z moim fachem.

Mój zawód wymaga oprawy, a oprawa pieniędzy. Jako głuchoniema dame de compagnie prędzej naprawdę onie-

mieję, niż się dorobię, bo jako cudzoziemce, do tego upośledzonej, Vanessa j[^]ci poniżej wszelkiej przyzwoitości i jeszcze się uważa *ia* filantropkę.

Niech tam. Nie przyszedłam się do niej obłowić, tylko przeczekać, do czego zmusiły mnie napięte stosunki z policją Republiki. Ale zbyt szybko zaufałam pozornemu spokojowi przy rue Watteau, swojemu sprytowi, a przede wszystkim nie doceniłam seniora Stunningtona, no i dosięgnął mnie straszny starzec.

W dzień wolny od obowiązków u Vanessy, niczego nie przeczuwając, wstąpiłam jak zwykle na moje poddasze ifoło ostatniej stacji metra Vincennes i wsiąklam. O odwrocie nie było mowy.

R

Ma jedynym krześle czyhał stary grzechotnik, przeglądał książki i kopciał „Grand Corone”, grubą hawanę firmy Ulman. Framugę podpierał jego cień, Steve. Wpuścił ją ich konsjerżka. Kupił ją za pięćset franków z całą jej ^{chcivą} duszą.

Dla pozorów podał się za mojego krewnego, Ictórego obecność ma być dla mnie niespodzianką. I ona ani jowem mnie nie przestrzegła, chociaż widziała, jak wchodziłam-

- Kim panowie są? - Na nic więcej się nie zdobyłam, puch we mnie przywiadł, jedno dodawało otuchy, policji j[^]e wezwie, przynajmniej na razie. Inaczej po co by się ^{tarabanił} na czwarte piętro. Wprawdzie wyglądał czerstwo, ale przecież jest w latach, no i pewno zna ciekawsze sporty niż zaliczanie obszczanych przez koty klatek schodowych.

- Dlaczego udajesz niemowę?

- Żeby mieć co jeść.

- Lepiej karmią ułomnych?

- Na taką było zapotrzebowanie, a ja nie miałam pozwolenia na pracę.

- Wiesz, mogę spowodować, aby cię natychmiast odesłano do Hiszpanii, czy skąd tam pochodzisz - nadał się jak

kobra. Zdaje się, nie bardzo wierzył w mój hiszpański rodowód. Co za różnica, i tak miał mnie w ręku.

- Wiem. Kilka razy dziennie słyszę to od pańskiej żony.

- Pokaż paszport.

- Leży pod kluczem u madame Stunington-wyjątkowo mówiłam prawdę. Poza jedynym Czenem, trzymała u siebie dokumenty służby. Nie stanowiłam wyjątku, chociaż pracowałam u niej już przeszło rok. Teraz byłam zadowolona, wolałam, aby mojego paszportu nie oglądał, a zwłaszcza jego fachowcy.

- Jesteś Oszustką.

Milczałam. Też mi rewelacja. Przecież nie dlato, wwlndował się na facjatę, aby mi właśnie to powiedzieć[^]

- Mogę cię oddać w ręce pK>licji.

- Może pan, ale pan tego nie zrobi. Żadna korzyść. A tai. może pan mieć niezłe źródło informacji. Przecież chce pan mieć kontrolę nad Yanessą. Ale Czen nieprzeię^{^^} pny, a ci ciągle zmieniający się gastarbeiterzy są do niczg] go, za mało inteligentni i nic nie wiedzą.

- Jesteś bezczelna.

- Mogę być użyteczna. - Przecież w tym celu przyszedł

- Zawsze tak lekko sprzedajesz ludzi, u których pracujesz? - poczuł się w obowiązku zademonstrować odrazę chociaż uczynił wszystko, abym nie miała wyboru.

- Nie zawsze.

- Na ile się cenisz?

Nie odpowiedziałam od razu. Wziąć źle i nie wziąć niedobrze. Wezmę, w każdej chwili może mnie zdradzić i obsmarować przed Utherem jak ostatnie ścierwo. Odmówię, podejrzane. Muszę być w zgodzie z opinią, jaką o mnie ma, z pewnością nie ufa ludziom nie biorącym pieniędzy za parszywe Usługi. A im parszywsze, tym droższe. I tak wiszę, i tak. Niech płaci.

- Od ciebie mój syn dowiedział się o swoim starszym bracie - nie pytał, twierdził i nawet bez złości w głosie. Stało się. Pryśła ostatnia nieśmiała nadzieja, że on nie wie o moich konszachtach z Utherem. Może jednak nie o wszystkich, pocieszałam się, sama w to nie wierząc, Milcz[^]am. Upłynęło niewiele czasu od śmierci jego nieudanego syna.

- I nie próbuj żadnych sztuczek ze mną —
zapowiedział, kiedy już rrrnie zwerbował na donosiciela -
odnajdę cię nawet w Patagonii. No i uważaj na siebie, jeśli
wpadniesz w kłopoty, r^ie radzę powoływać się na mnie.
Staraj się

r

„26 chociaż w części naprawisz wyrządzone zło-znalazł” i
koniec moralną motywację.

^ Jakież pęd do dobra siedzi w ludziach. Najgorszy łajdak
ładzie swoje świństwa uzasadniał nadrzędnym dobrem, ferri
też z czystej serdeczności każe donosić na żonę, nakłaniając
mnie do tego szantażem.

Wiać natychmiast?

Skoro już wziął na mnie peleng, daleko nie odskoczę. Jak się
uprze, znajdzie mnie i trafię prosto do mamra. Tizeba
przeczekać. Pozostając nie tracę szansy urwania się spod jego
łapy. I dokąd uciekać? W nieskończoność żyć jak zając pod
miedzą, bo stary aligator, jeśli nawet wsadzi do czubów
swoją trudną kobietę, mnie zapamięta. I nie uśmiechało się
znów startować od zera, skoro tutaj zarysowały się widoki na
pieniądze.

Nie szło o obiecaną łafę, tyle mogło przynieść jedno
podrzedne szalbierstwo, sama przyzwoitość w porównaniu z
dedykowaną mi rolą. Nie żywiłam szczególnego sentymentu
do Vanessy, ale pośród niewielu rzeczy, jakich nie robiłam,
na pierwszym miejscu stawiałam kapowanie. Tymczasem
stary drań zapędził mnie jak szczura w kąt i wrabiając w
donosicielstwo stosował klasykę: kij i nagroda.

Każda laga ma dwa końce, a premię sama sobie przyznam.
Ani się domyślając odsłonił na strzał, a ja nie zmarnotrawię
okazji, chociaż z niego groźny przeciwnik i sprzymierzeniec
też uciążliwy, bardziej podobny do wroga. Jeśli mnie
przejrzy, ląduję w przechowalni. Ale ciupa plus ciupa równa
się ciupa. Wisieć za jedną nogę czy za dwie - niewielka
różnica.

Dopóki zdołam utrzymać go w przeświadczeniu, że biegam na smyczy, którą on powoduje, dotąd jestem bezpieczna. A więc mam trochę czasu na nabranie oddechu i jego. Tak mi. Panie Boże, dopomóż. Amen.

T

Zostałam.

Vanessa po okresie towarzyskiej aktywności ^{^ves>}, w znak burgunda. Podczas porannego wskrzeszania, " cze nie tak trudnego jak w fazie „Imperialu”, zatelefo,,[^] wał facet i w tragicznej niemczyźnie życzył sobie mówić ze stajm Stunningtonem albo z jego żoną. poszedł na spacer z chartami, połączenie przyjmował automat.

- Dzień dobry. Rozmowę utrwała taśma, proszę po^{^o}, stawić nazwisko, adres lub telefon. Pani Stunningtoj odezwie się po powrocie. Dziękuję.

- Znam miejsce pobytu Jadwigi Surazyńskiej urod^{^p}, nej w Polsce, poszukiwanej przez juniora Stunningtona Nazywam się Wincenty Baraszko, jestem w Nogent-Sur- - Marne w pobliżu rue Watteau, mówię z rozmowniej, w bistro - wymienił numer - i będę tutaj oczekiwał wezwania. Proszę nie zwlekać, za kilka dni opuszcza® Francję - głośnik działał, Vanessa słyszała każde słowo, lecz w tym stadium codziennego stawania się jeszcze nie reagowała na zewnętrzne bodźce.

- Jak on powiedział, poszukiwanej przez juniora? - ocknęła się z otępienia po opuszczeniu kabiny odnowy biologicznej. Otulona miękkim kimonem zasiadła przed trójskrzydłowym coiffeuse. Przyglądając się swemu rozmienionemu odbiciu przesłuchiwała zajawę Baraszki i od razu zadzwoniła do tego bistro. Tkwił tam i zaraz go zawołano.

- Może pan przyjechać, ale ludzie nie znani mi osobiście wchodząc do mego domu oddają paszport portierowi. Inaczej nie przyjmuję - ustawiła faceta, a Paulowi kazała przyprowadzić go na górę i pozostać pod drzwiami.

Zakrzętnęłam się, aby mnie nie wyprosiła. Przygotowałam wodę w misie ze starego holenderskiego fajansu, służącej za wanienkę do moczenia nóg przed pedicure'em, i zanurzyłam jej stopy. Podała się tym' zabiegom bez

r

■gcierpliwienia, wykonywałam je z ręcznie, a ona lubiła
^ania wokół swojej osoby.

Jestem, proszę pani - wszedł mężczyzna w nieokreślo- ^
wieku, z grzywą posiwiałych włosów, z gatunku t'akich,
których nie wzięłabym na współników. Zaproszo- y przez nią
gestem, przycupnął na brzegu obitego jedwabiem confidente
i obwieścił rozpaczliwy^ volapikiem, że zna tylko allemande,
a najlepiej polski.

_ Pan Stimmington przebywa w Kalifornii - powiedzia- ja
Vanessa w szkolnej niemieckim. - Kto pana do mnie
przysłał?

- Nikt. Znalazłem adres w książce telefonicznej - zda-
wał się zupełnie nie orientować w układach rodzinnych
Stunningtonów. W zasadzie liczył na spotkanie ze starszym
panem Stunningtonem, ale może rozmawiać z panią,
wolałby jednak w cztery oczy.

Pochylona nad stopą Vanessy z niezmałym spokojem
operowałam pilnikiem.

- Ona się nie liczy, jest głuchoniema. Więc słucham
pana? - Jakby bezwie^ie bawiła się medalionem zawie-
szonym na szyi. Nieprawdziwe roztargnienie i przewrotna
ozdoba. Był ukrytym w złotej kopercie, zdalnie sterującym
włącznikiem. Odpowiednio naciśnięty przekazywał impuls
czujnikom dźwiękowym, niewidoczną siecią oplatającym
dom, a te uruchamiały sygnał alarmowy na najbliższym
flikowie. Oprócz elektronicznej techniki w odsuniętej nieco
szufladce toaletki, tuż pod prawą ręką spoczywającą na
poręczu fotela, miała nabity pistolet.

Facet sprezentował ogłoszenie wycięte z jakiejś polskiej
gazety i znowu rozwinął się w swoim beznadziejnym
niemieckim, niedostatki słownictwa gęsto uzupełniając
polskimi zwrotami.

Niezła próba w mojej karierze niemowy.

- Jadwiga Surazyńska żyje, chociaż w jej rodzinnych
stronach panuje przekonanie, że zginęła wraz z matką. Na

apel zamieszczony w prasie odpowiedziałem do bi ogłoszeń. Wtedy zaprosił mnie sławny warszawski 'kat, mecenas Oskierko, rozpytał o szczegóły i niezwłocznie wyprawił samolotem do Paryża. Tu czekał pań Uther" Sturmington. Ponieważ jednak stwierdziłem, że to wiek młody, majątkowo niesamodzielny, nie udzielił mi pożądanej informacji, tylko...

- Dość. Ile?
- Sturmington junior skłonny jest zapłacić dziesięć tysięcy, ale ja myślę...
- Nie interesuje mnie, co myślisz. Wrócisz, skąd przybyłeś, będziesz milczał i słuchał tylko mnie. I niech ci nie przyjdzie do głowy wyciągać pieniądze od tej kobiety czy kogokolwiek innego, bo nie zdążysz ich wydać. Zapamiętaj, ostrzegłam cię! Tymczasem ode mnie otrzymasz jednocześnie dwa tysiące przekazem na bank handlowy w Paryżu, i w ten sam sposób, powiedzmy, po dwieście dolarów miesięcznie przez dwanaście miesięcy. A na rękę bilet powrotny. Wezwę cię, gdy mi będziesz potrzebny.
- To jest rozbój. Wycofuję się!
- Mam wezwać policję? - nacisnęła domowy dzwonek, w drzwiach wyrósł Paul, zamknął je i podpierał framugę.
- Jeśli do jutra nie pokażę się w moim pensjonacie, wiadomość o Jadwidze Surażyńskiej i adres, pod jaki udałem się w Nogent-Sur-Mame, otrzyma Uther - zajęć. Już rozumiał, że przechytrzył sam siebie, stawiając na lepszy połów tutaj.
- Jutro będziesz w drodze do siebie. Kolejną. Dla mnie nie jesteś aż tyle wart, żeby cię odsyłać samolotem. I niech cię nie łudzi odlecieć, nic ci nie pomoże, jeśli nie dotrzymasz umowy - odebrała mu inicjatywę i dyktowała warunki. Zatelefonowała do Claparona.
- Filip, natychmiast potrzebuję pańskiej pomocy i kogoś ze znajomością polskiego. Czekam! - do reszty zgłupiał ścierwnik, gdy ta para wzięła go w obroty. Niestety, się w trójkę w empirycznym gabinecie Vanessy. Słuchać też się nie dało, bo na podeście stróżował Paul. Jak znam szefową, na pewno wydusiła z niego na przyznanie się do usiłowania

popęnienia czynu Lralnego.

Jeszcze tego dnia wieczorem Wincenty Baraszko został p(stawiony przez Cłaparona na Gare de l'Est i wsadzony (Jo warszawskiego pociągu. Oczywiście przyjął warunki Vanessy. Zresztą nie najgorsze, zwłaszcza jeśli alternatywną stanowiło oskarżenie o szantaż.

Na próżno Uther szukał człowieka, który mu nawiał² hotelu i rozplynał w Paryżu, jakby nigdy nie istniał. A ja ,nilczałam.

Wisiał nade mną posępny cień Stimmingtona, byłoby samobójstwem zdradzić Utherowi udział Vanessy w zniknięciu Baraszki. Oczywiście staiy aligator także nie do-,wiedział się ode mnie, że Vanessa kupiła ścierwnika, wyszperanego na zlecenie Uthera przez warszawskiego adwokata.

I to wydarzenie, a także powrót młodego Oskierko do domu przyśpieszyły, a może i zdecydowały o wyjeździe Uthera do Polski. Ja nie miałam odwagi się urwać, zbyt mocna była moja smycz. Nienawidziłam starego, nienawidziłam Vanessy i coraz bardziej się bałam.

A czekał mnie, jak się miało okazać, jeszcze cały rok tej niewoli.

Już po wyjeździe Uthera, a w jedenaście miesięcy po pogrzebie syna Vanessy, zginął doktor Orlano Harrocks. Zastrzelono go w biały dzień we własnym gabinecie, w jednym z tych uroczych pawilonów bostońskiej kliniki, otulonych drzewami i tonących pośród kwiatów.

Wielkimi czcionkami tytułów doniosły o tym wydarzeniu amerykańskie gazety dostarczane do domu przy rue Watteau wraz z francuskimi, mlekiem i pieczywem.

Co rano zносиłam prasę do pokoju z kominkiem, najchętniej spędzała dzień Vanessa, a sprzątałam wieczorami często nawet nie przejrzaną. Teraz szefowa czytałg pilnie, śledziła wszystko, co pisano na temat zabójstwa Harrocksa.

Doniesienia brzmiały sensacyjnie.

Klinikę Harrocksa, nawiązując do ponurej opowieści science-fiction, nazywano bankiem przeszczepów i wylęgamią Alf i Ipsylonów. Notatka z brukowej popołudniów- ki

przyprawiła Yanesę o furję. Napisano w niej;

„Na skutek uszkodzeń w kolebce biologicznej rodziły si[^] także Ipsylony, osobniki niepełnowartościowe. Jednego z nich, syna pewnego przemysłowca, leczono w bostońskiej klinice...”

Vanessie krew uciekła z twarzy, odrzuciła dziennik jak jadowitą płaszczkę i chwyciła telefon.

-Kiedy zamkną brudne mordy te pismaki! - wrzeszczała przez ocean i pół kontynentu do Stuningtona.

Sensacja wygasła w sposób naturalny, po kilku dniach zepchnęły ją z pierwszych szpalt świeże wiadomości, potem przyszły nowe wydarzenia i już nigdzie nie wspomniano o źle skonstruowanym dziecku pewnego przemysłowca.

Później nadeszła przesyłka z Nowego Jorku. Gruba koperta formatu dużej książki, Vanessa nie rozwinęła jej przy mnie, zabrała do sypialni, wyrzuciła tylko opakowanie. Adresu zwrotnego na nim nie znalazłam.

Kiedy po raz pierwszy otworzyłam sejf Vanessy, obok piętrzących się etui z biżuterią zolsaczyłam teczkę z dokumentami. Niektóre spisane na papierze ze znakami wodnymi kliniki „Continental” w Bostonie.

f

Uther wylądował na Okęciu słonecznym rankiem.

Wzruszony trochę jak pielgrzym, który pokonał odległą nie tylko w przestrzeni i znalazł się wreszcie w miejscu kultu, ze skupieniem oglądał funkcjonariusza służby panicznej i celnika, aż urzędnicy poczuli się nieswojo, podejrzewając nie wiadomo co, zrobili dokładną rewizję. Operacja trochę się przeciągnęła, rozwścieczyła Beja, na Utłierze nie zrobiła widocznego wrażenia. Jak badacz zanurzał się w czas, poddawał prawom i obyczajom terra incognita.

_ Gdzie jest spedycja bagażowa? - przywitał się z Bejem i rozglądał po poczekalni międzynarodowego dworca lotniczego, nie mogąc wyłowić stosownej wywieszki.

_ Warszawski port nie dorobił się jeszcze takiej spedycji.

- Nie żartuj, niechaj mi odeślą bagaż do Wigajni.

- Tam nie ma hotelu Sheratona, Uther.

- Jedziemy - naglił, gdy z biura wynajmu podprowadzono

samochód, nagle wyczerpała się jego cierpliwość.

Bej odebrał mu inicjatywę. Posterował do domu, ruszyli stamtąd zaopatrzeni w sprzęt turystyczny.

Za Rajgrodem zanurzyli się w krajobraz pagórów porzniętych jarami, lesisty i łąkowy, spowity szkarłatnym głógiem, pachnący piołunem i macierzanką, płonący dzikim makiem nad osypiskami żółtego piachu, bogaty jagodą, brusznicą i poziomką. Krajobraz surowy i powściągliwie piękny, rozpasany kolorem wszelkiej rośliny, mnogością ziół śpieszących z kwitnieniem i owocowaniem, bo tutaj wiosna jest nagła, a lato upalne i krótkie.

Minęli przysiółek Wigajny, nie zatrzymali się. Uther pomny opowieści babki parł nad rzekę. Stoczyli się ku niej ze stromego skłonu pokonawszy ostatnie wzniesienie.

Skończyła się droga.

z drugim brzegiem, omroczonym wysokopiennym, wię kowym borem, łączyła tylko kładka rzucona nad rwącej[^] prądem. Zagród nie było. Jedynie na skarpie górowej[^] samotna dziedzina, dom pod dachówką, gumno w czworoboku opasane drewnianym płotem wraz z kępą modrzewi sadem i ulami na zboczu.

W dole spoczywało jezioro w wieńcu białych grzybieli na okręgu, przez nie przepływała i dalej toczyła byst:[^] nurt rzeka, łożyskiem krętym, pełnym spadków i przełomów w obramieniu olch, ciemnozielona od cienia starodrzewu po jednej stronie, modra z plamami jasności po drugiej, otulonej młodym lasem.

Tu stanęli.

Leszczykowy tunel zawiódł w gęstwę brzeziny. Niżej otoczona wzgórkami, porośnięta jodłą, klonem i lipą, podbita jarzębiną, otwarta na rzekę leżała zielona kotlina utkana krzewiącymi się barwami, głębokim popołudniem rozbrzeczana owadźm mrużeniem obciążonych pożytkiem miodorobów zdążających ku gniazdom.

Pasący się deresz zszedł z pochyłości, zanurzył w wodę po pierś, pochylając szyję podrzucał głową, na czoło z białą gwiazdą opadła myszata grzywa, parskał i węszył, rozdymał chrapy, czekał, aż się ustoi zmacone lustro.

U brodu zaprzewił się wasąg zaprzęgnięty w konia

czarnego jak kruk. Za nim wypadł z lasu i cofnął się z płyczny, zbyt jednak dlań głębokiej, motocyklista. Balansując przeciągnął swój pojazd przez kładkę, dosiadł go, a widząc dwóch obcych na grzbiecie wzniesienia puścił czarny kłęb spaUn i wniebogłosy zagrzmiął motorem.

Taka tam moda teraz, jeździec tym szykowniejszy, im motor bardziej rykliwy, ale ów fason dedykowano nie tyle przybyszom, co dziewczynie mieszkającej w domu pod modrzewiami. To przed nią młody elegant promenował w huku koni mechanicznych.

- D u h a - Uther wskazał nad karkiem wronego drew- I any łączący hofole. Zaprzęg przybywał do niego I ^rost z opowieści Granni. Jakby przez wszystkie lata I ^kał zatrzj^any w kadrze.

I poszli w kierunku samotnej zagrody.

Wyja dziedzińcu, tuż przy spadzistej drodze, przemienia- . cej się na drugim brzegu rzeki w leśny dukt, mężczyzna I fl^yrostek kopali rów w kształcie prostokąta wyznaczone- ' rozpiętym sznurkiem. Obok stała betoniarka, leżała Lyzma polnego kamienia i worki z cementem.

Bej zapytał o pozwolenie na miejsce pod namiot.

_ Niech stawia, gdzie chce - mężczyzna wyciągniętym jginieniem zagarnął pastwisko z dereszem, leszczynowy jar, gęstwą kiyjącą ścieżkę i wzniesienie z młodym gajem, j)aywającym p^aninę szalejącą kwitnieniem.

_ A nad rzeką?

_ Proszę bardzo. Gałęzie z olch przycięte nad btegiem *leżą*, niech na ognisko biorą, ile potrzeba. Samochód mogą u nas zostawić, bo tam nie dojadą - rozwarł wierzeje odiyiny. Stały tu traktor, siewnik, kosiarka i stara warszawa. Znalazło się dość miejsca i dla ich poloneza z wypożyczalni na warszawskim Okęciu.

Obozowisko rozło^li pod brzeźniakiem w tej kotlinie otulonej pagórkami, na łagodnym stoku, gdzie wśród boberku, ostróżki i nawłoci czerpały wziętek zapóźnione robotnice.

Gdy rozłała się nad lasem łima zachodu i dzikie kaczkę sejmowały wśród trzciny, a chruściel udawał wszystkie głosy bagien, na przeciwległym brzegu, w miejscu zarosłym

olsem, wychynęła z zarośli brodata głowa w tiarze szerokiego poroża.

Zastygł jak statua, łowił wiatr, ale chłopcy znajdowali się od nawietrznej i znieruchomieli tak samo jak i łoś. Po chwili wyłonił się cały, przybliżył, zaklaskały po sapowisku szerokie racice, stanął nad nurtem, pochylił ku wodzie ukoronowane czoło. Pił.

Kiedy zachód zgorzał i ściemniał, do obozowiska szedł gospodarz dziedziny na wzgórzu.

- Niech idą do nas, żona upiekła cibileb - zaprosił.

Była sobota. Izba paćniała ciepłym razowcem i swięj umytą podłogą. Olbrzymia, zasobna tylko w najkoniec, niejszy sprzęt. Na żółtych, wyszorowanych deskach stoły spoczywały bochny ze skórą brunatną i lśniącą, niczyją powleczone angobą. W rogu na szafce srebrzył się eki[^] telewizora. Pod lampą furkotał kołowrotek, kobieta smągła, czarnowłosa, niemłoda snuła z kądzieli nić, kaflowy piec zaścielały płatki fioletowych kwiatów, po[^] przeciwle[^] ścianą stało muzealne krosno z osnową prze-wleczoną przez szare przęsła nicielnic, z nawiniętą na wał towarowy tkaniną połyskującą szlachetnym tonem słoniowej kości, pokrytą ciemnym ornamentem. Na widok gości znieruchomiało bidło w dłoniach sędziwej tkaczki, siedzącej za warsztatem.

Kontrasty. Uther przyglądał się podejrzliwie, nie wiedział, co sądzić. Może to inscenizacja.

A jednak rzeczywistość.

Prababka, nazywana w rodzinie babką starszą, teclini-ką przedwieczną, przyniesioną na tę ziemię poprzez Persję i Ruś z arabskiego wschodu, teraz odchuchaną i pielęgnowaną przez etnografów, tkąła sławne dywany z niefarbowanej wełny o barwach naturalnego owczego runa, kremowej bieli i brązu. Babka z rzadkim już kunsztem przygotowywała przedzę. Dzieci pod okiem matki zbierały i suszyły blisko sto rodzajów ziół, skupowanych przez Herbapol. Cztery pokolenia, wciąż jeszcze na dorobku, w miarę sił i umiejętności wносиły wkład do rodzinnej wspólnoty.

Wszystko to opowiedzieli dzieląc chleb.

- Organie farming - ze zrozumieniem stwierdził Uther, biorąc skibę razowca z rąk trzeciej kobiety, żony gospodarza.

[^ Co takiego?

' _ Uznajecie produkty tylko naturalne - Uther powziął przekonanie, że i tutaj dotarł trend na żywność nie tkniętą ^tucznością. Wyraz tęsknoty społeczeństw zmęczonych techniczną cywilizacją do świata sprzed wielkiej przemysłowej

_ W Geesie też naturalny, tylko paskudny - nie rozumiała gospodyni, nie zblazowana jeszcze agrarną chemią, powód wypiekania przez nią chleba był prozaiczny i prostszy-

Najbliższy sklep leżał w odległości pięciu kilometrów, pieczywo dowożono, albo i nie, z dalekiej mechanicznej piekarni, bo lokalną, jako przestarzałą, dawno zlikwidowano. Jedna, chociaż nowoczesna, nie nastarczała na okolicę, skracano więc technologię kosztem jakości, a i zbyt nie dbano o poziom.

- Kim jest ten Gees? - Uther na próżno próbował pojąć reguły biznesu funkcjonującego wbrew znanym mu prawom handlu.

Tabula rasa. Na nic zdały się objaśnienia. Synowi i wnukowi kapitału, absolwentowi wydziału ekonomii w Berkeley nie starczyło wyobraźni na pojęcie przedsiębiorstwa, które lekceważy produkcję, gatunek wytwarzanego towaru, w ogóle klienta, i nie bankrutuje.

- Dlaczego Wigajny nie leżą nad rzeką? - Położenie wsi nie pasowało Utherowi do obrazu zapamiętanego z przekazów Granni. - Czy w Filipowie przetrwały jarmarki nadane przywilejem króla Zygmunta Augusta, czy w czasie wojny bardzo ucierpiała stara kolegiata? - zaskakiwał szczegółowymi wiadomościami z historii tej ziemi.

- Dwie wojny naród wyniszczyły - westchnęła tkac: ca, babka starsza. Mazurka z za 01ed<a. Liczyła lat osiemdziesiąt osiem, z czego siedemdziesiąt jeden przeżyła w Wigajnach.

Wartka rzeka, olsy i mokradła po jej drugiej stronie zawsze zatrzymywały tu fronty i zawsze płonęły nadbrzeżne dziedziny, szli na tułaczkę mieszkańcy. W drugą wojnę tę najokrutniejszą, już mało kto dostąpił dobrodziejstwa

wygnania. Za pomoc partyzantom zdziesiątkowano osig
dłych nad wodą.

Pacyfikacja zaczęła się nad ranem.

Młodzi mężczyźni w mundurach koloru agresywnej zję,
leni, z trupieszkami na wyłogach z czarnego aksamitu
zajechali autobusami jak na wycieczkę.

Najpierw rozstrzelali psy.

Sterroryzowanym mieszkańcom kazali wyprowadzić na
drogę konie, bydło, trzodę, wynieść sprzęty i wszystkie
gospodarskie statki.

Ordning!

Porządek! Niemiecki porządek nie znany tym wschod-
nim Untermenschom. W karnym ordynku wpędzali ryczące
zwierzęta po pochylniach na skrzynie samochodów, Czasami
klasnął pojedynczy strzał, czasami zakrakała krótka seria.
Karano opornych lub próbujących ucieczki, Salwy głośnył
śmiertelny klangor drobiu i lyk motorów transportowych
maćków, steyerów i hanomagów.

Za jednego brunatnego żołnierza stu i dwustu podludzi
i ich podludzki dobytek! Nibelundzy, jeźdźcy apokalipsy w
chmurach kurzego pierza, witezie tysiącletniej rzeszy,
waleczni rabusie kurników z gronami śnieżn' 'białych ka-
czek troczonych do pasów za ukręcone łebki, do pasów
spiętych klamrami z napisem: „Gott mit Uns.”

Jakiż Bóg był wtedy z nimi?

Przecież nie ukrzyżowany Galilejczyk ani rzeczowy,
pragmatyczny Bóg Marcina Lutra, ani siedzący na majes-
tacie w riasie złotolitej Bóg Ojciec greckiego obrządku, ani
Ten, którego imienia wymawiać nie wolno. Szadaj! Wie-
kuisty, rozstrzelany na fUipowskim kierkucie wraz z garstką
ostatnich, naznaczonych z^tą gwiazdą Dawida.

Jakiż Bóg był z nimi, gdy cuchnący krwią i gorzałką,
kolbami szmajserów rozbijali mezuzy przytwierdzone na
framugach drzwi, rozwłóczyli filakterie, rozwalali Aron
l^odesz, zdzierz haftowany złotem jedwab parochetu,
^kutymi butami wgniatali w ziemię święte rodały ze-
^wszy z pergaminów sukienkę sz^ą perłami, do swych ^ów wiązali
srebne menory i klej kodesz: keter - złotą ^onę wieńczącą
Torę, tass - ze szlachetnego kruszcu jgTCze zawieszona na

zwojach, rimon - wysadzone klejno- igjni drzewce, na którym imiocowane były wałki ksiąg, j jad - pałeczki z kości słoniowej pomocne przy czytaniu 2 rulonów.

Kulturtragerzy!

Kosztowności filipowskiej synagogi, fundowane, chronione i ukrywane podczas kataklizmów przez kilkanaście pokoleń małej gminy żydowskiej, przerobione na pierścionki, kolczyki i bransolety sprezentowali swoim kobietom albo przezornie ukryli na po z wycięstwie, mężni żołnierze fiihrera.

Ileż nobliwych fortun pracowilych i zorganizowanych obywateli Republiki Federalnej, rozkwitlych w powojennym cudzie, nosi piętno Kaina!

W Wigajnach po rozstizelanych psach wymordowano młodych mężczyzn. Starszych wywieziono do oljozów, dziewczęta od lat czternastu skazano na niewolnictwo w Rzeszy, resztę wysiedlono.

Ci nie zabici i nie wywiezieni, zanim wyzuci z całego dobytku poszli na poniewierkę, musieli patrzeć, jak płoną ich domy, potem bosakami rozdzierać zgłiszcza i do czysta rozbierać pozostałe kominy, wykopywać kamierne fundamenty, docinać resztki sadów nie strawionych ogniem. I zmuszono ich, aby zasypali studnie.

Na końcu wjechała wyższa niemiecka technika agrarna; traktor ciągnący wielolemieszowy pług. Zaorał wszelki ślad.

Wtedy v^yszła wiekowa starucha, nie wiadomo jak i gdzie dotąd ukryta, i powiedziała:

1

- Zbrodnią skalaliście się przeciwko roślinie, ziejij i wodzie! Bądźcie przekłęci. Przepadniecie!

Była stara, była w łachmanach, była brudna, chwiała sji na nogach ze starości i wycieńczenia i ptasim szponiastyj^ palcem godziła w twarz feldfebla, prastarą, straszną kią, twą gnębiłą potęgę niemiecką.

Opędził się, syty zabijania i gorzałki chciał odpocząć

Ale ona laża ze swoimi gusłami, laża ze swoją twarzą jaj[^] z kurhanu, laża gadając monotennie i groźnie:

- Kto zabija sady, strumienie czy studnie, zginie, zginie ślad po nim i plemię jego. Wyprze się was ziemia i roślina i źródło! Przepadniecie, a ja was przeklinam i niech tak si[^] stanie!

Strzelił bez złości. Tak poległa wsiowa zielarka, trochę wiedźma, trochę nawiedzona, trochę niespełna rozumu, ot, boży cd;owiek.

Z wygnania wróciła garstka. Kilka kobiet z podrostkami, kilku mężczyzn przeżyło obóz, kilka dziewczyn skazanych na pracę w zakładach amunicji w Rzeszy albo wystawionych na targu niewolników i kupionych przez wyższe niemieckie istoty. Niektóre przywiodły mężów, ludzi z innych stron, i odtąd nazwisko Surażyński przestało się powtarzać na każdym domu. Z tymi nowymi mężczyznami przybyła do zaścianka inność i odmienne obyczaje.

Młody las porastał miejsca po domostwach. Nawłoc, mniszek, rozchodnik, dziewanny i macierzanka spowiły pospólną mogiłę, otuliły ją szkarłatne głogi, rumieniła się poziomką i czerniała jagoda. Ci, co powrócili, przenieśli prochy rozstrzelanych na cmentarz parafialny, odprawili egzekwie i wspominki, i spóźnioną stypę.

Nad zbiorową mogiłą na zboczku kierkuta takie same zioła zaciągnęły warty, lecz filipowskich Żydów nie przeżyło nawet tyłu, żeby mogli odmówić kadysz - modlitwę za umarłych. I jedynym śladem po ludzie o odmiennym obyczaju, który tu żył, pracował, kochał, cierpiał i czcił swego jurowego Boga, Szadaj! pozostały macewa - pionowo Stawione pfyty nagrobne zamknięte u góry dwoma odcin-

[^] trzydzieści pięć lat później te, które oparły się czasowi i osamotnione, pochyłone, wrastające w zie-

lub powalone na wznak, zagadkowe jak megality, piemo krzyczały o pamięć fiebrajską inskiypcją i niezrozu- jjiiałymi dla nowych pokoleń symbolami: modlitewnie złożone dłonie - dla kapłana, dzban - dla Lewiły, korona, zvvój albo księga - dla mędrca, świecznik - dla kobiety, lew ,dla potomków pokolenia Judy. Zginął lud i jego druidzi j nie masz, kto by

odczytał kamienne runy i ocalał od zapomnienia.

Filipów rabowano, obdzierano, zabijano i palono kilka razy, zbrodnia poraziła ludzi i domy. Z wojny wyczołgało się okaleczone, zrujnowane niemal doszczętnie, uboższe o obywateli pomordowanych, o obywateli rozpierchłych po świecie, o obywateli okaleczonych, o odebrany lub strawiony ogniem dobytek.

Teraz jest to zadbana osada z górującym na skarpie kościołem z szesnastego stulecia, wielokrotnie przebudowywanym i odbudowywanym, z obszernym lynkiem zachowanym w tym samym miejscu i w nie zmienionym kształcie z czasów lokacji miasta, kiedy otrzymało od Zygmunta Augusta nadania miejskie, pięćdziesiąt sześć włók ziemi, raka w herbie oraz prawo trzech jarmarków w roku i targów w poniedziałki.

Zdziesiątkowanym Wigajnom powojenne migracje wdarły ostatki młodych ludzi, nielicznym pozostałym, tym, co przeżyli pacyfikację, przetrwał uraz. Więc odwrócili się od rzeki. Nowo wznoszone budynki odsunęli od niej za strome pagóry, ciągnące się wzdłuż brzegów, jak za wał ochronny.

Dawne siedliska owładnął las, wybujała trawa, zakwitła ziołami płanina, która w trzydzieści pięć lat później oczarowała Beja i chłopca zza morza, poszukującego śła, dów swoich korzeni.

Po raz pierwszy w życiu Uther usłyszał od naocznych świadków o krwawych zapasach na śmierć i życie, toczonych na ziemi jego babki o sprawy ostateczne, o biologicz, ne przetrwanie.

Oczywiście wiele przeczytał o totalnej europejskiej wojnie, nazywanej tutaj drugą, lecz uogólnienia, beznamienne wykresy i straty, okiełznane kolumnami liczb i procentów nie oddawały okrucieństwa, krzywdy, strachu i głodu' z jakimi tu się zmagano i jakich większość nie przeżyła. Ze ściśniętym gardłem zapytał o Bartników-Surażyńskich.

- O Nikodemowych Amerykanach chce wiedzieć? ~ upewniła się prababka. - Znali my ich, toż sąsiedzi. Najbliżej naszej górkii ich zabudowania stały, za leszczynami i brzeźniakiem, tam gdzie teraz jesiony.

- Wasza rodzina? - Uther bardzo chciał, aby stara kobieta, przypominająca mu Grauni, przyznała się do pokrewieństwa z tymi Amerykanami, wspomnianymi teraz w nie wróżącym nic dobr^o czasie przeszłym.

- Nie. My się piszemy Smolarze-Stirażyńscy, a oni Bartnicy. W odróżnieniu od innych Bartników, Nikodemowy- mi we wsi zwani od ich naddziada, co w sołdаты wzięty w wojnie japońskiej legł - wyjaśniła prababka Joanna.

Nikodem synów miał dwóch i trzy córki. Najmłodszą Annę stryjeczna ciotka, kucharka u bogacza w Kalifornii, do Ameryki ściąg^ęła. Miała wtedy Anna lat szesnaście. I z ciężkim sercem wybierała się na zawsze za morze, bo wtedy ludzie odjeżdżali na zawsze.

Tu była zbędna. Pięcioro ich zostało na ziemi po Nikodemie. Na tyle rozdrobione zagony bła^giej ziemi nie wyżywiłyby nikogo. Więc zwyczaj w przeludziionym zaścianku z dawien dawna zakazywał sukcesję dzielić.

Schedę obejmował najstarszy i zakładał rodzinę. Rodzeństwo, jeśli nie znalazło pracy w świecie, a najczęściej nie nachodziło, a jeszcze częściej wcale nie szukało, więc ta fgszta pozostawała bezżenna przy bracie i razem pracowała, a potem wszyscy dożywali przy jego dzieciach.

Taki los czekał Annę.

Dziedzic Nikodemowy, Paweł, twardą ręką ojcowiznę dzierżył, wiadomo, siostr nie wywianuje. Tr^o posagi z takiego gospodarstwa wykroić, znaczyło gospodarstwo zniszczyć. Córki Nikodema mo^gy otrzymać krowę, ziarno i siemię na pierwszy zasiew i wyprawę, którą bd dzieciństwa gromadziły dziewczętom matki i one same. Pierzyny i poduszki, postawy płótna zwykłego i wykwintnego, tkanego po webie, ści^oany ręczników i partu na odzież, na płachty, na worki.

Ale w latach młodości Anny, i jeszcze długo później, dziewczęta bez ziemi w posagu rzadko wychodziły za mąż.

- Moja wyprawa na trzech furach z Pnos przyciągnęła, a wniosłam też złote talary. - Teraz najstarsza ze Smolarzy z dumą wspominała poślubną podróż z za Olecka sprzed lat siedemdziesięciu.

Nie, Anny Nikodemów już wówczas we wsi nie było, mazurska prababka Smolarzy nigdy jej nie widziała, lecz znała historię z pierwszej ręki, od swojej teściowej, a pamięć o Annie przetrwała w zaścianku przez lata. I słuchy chodziły, że wyszła w Ameryce bogato za mąż i wyniesiona jest wysoko.

Syn Nikodema, Paweł, co objął dziedzictwo, do armii cara powołany w pierwszej światowej z Niemcami, legł. Następny po Pawle, Adam, w ułanach krechowieckich służąc, za wolną Polskę zginął.

Po Pawle zostały dzieci. Sami chłopcy, i było wnuków Nikodemowych czterech.

- Między wojnami dobrze im się wiodło. Dolary co roku od stryjecznej babki z Ameryki szli - opowiadała najstarsza ze Smolarzy, co działo się we wsi za jej pamięci A słuchając jej, pośrednio udawało się odgadnąć postępowanie tamtych z Kalifornii.

Mimo przyobleczenia skóry potomka angielskich ucho-dźców, pan na RoseUdo pozostał Janem Kardaszem, Janem Kardaszem bardzo już bogatym, postarzałym chłopem spod Krosna, z nie zaspokojoną tęsknotą za dziedzicem, następcą. Będzie dawał zatrudnienie Polakom, będzie pośród nich poszukiwał dziewczyny, aż wyniesie podku- cheimą do godności żony.

Anna była młodziutka, piękna, pracowita i zdrowa. Prosta jak on, lecz biedna niczym mysz kościelna. Liczył, że pozostanie skromna, niewymagająca i wdzięczna za ofiarowaną egzystencję.

Nie omylił się.

Anna przez przeszło siedemdziesiąt pięć lat życia w Kalifornii jako żona, a później matka milionerów nie zmieniła się, a byt, jaki wiodła, bardzo przypominał obyczaje za-możnej wieśniaczki w jej starjmi kraju. Dimina, cicha, powściągliwa kobieta zadowalała się dwiema sukniami rocznie, a za cały zbytek starczała hawana „Monte Christo Special” i kawa cappuccino, sekretne nałogi jej późnych lat.

Self-made man John Stunington, umyśliwszy założyć amerykańską dynastię z angielskimi przodkami, nie życzył sobie związków z rodziną drugiej żony w starym kraju, ale

tkwiący w nim Jan Kardasz, chociaż równie oszczędny jak John, powodowany poczuciem wspólnoty plemiennej, wysuływał raz do roku pieniądze i dawał, aby jednak coś tej rodzinie pozostało.

- Za te nieszczęsne dolaiy dzieciak głowę położył - wspominała teraz prababka Smolarzy. — W domu najstarszego z Nikodemowych wnuków, Antoniego, między węgarami pod warkoczem z pakuł, uszczelniającym spoiny, sęk był w belce ruchomy, wydrążony schówek maskował, w gdzie złote pieniążki w gałganek owinięte na czarną godzi- [pę czekały.

Antoniego żona, Stanisława, jak ją w gumnie obława ogamia, oszczędności z ukiycia nie zdążyła wyjąć. Kiedy ^ndarmi mieszkańców w gromadę spędzili i poczęli zabujjowania benzyną oblewać, pozostała po niej córkę Jadwiškę.

Jadwiška miała sześć lat, mała i zwinna przemknęła się, uwagi nie zwróci, a jeśli nawet, to ją na łąkę do zebranych ludzi zawróca, przecież nie skrzywdzą takiej kruszyny - tak myślała matka.

Dziewczynka istotnie przemknęła, miejsce przez matkę wyjawione znalazła, zabrała węzełek, za pazuchę wetknęła, owiązane szmatką monety dla-pewności ręką przez sukienczynę przytrzymawała, żeby nie zgubić, i pobiegła z powrotem do matki. Już się za opłotki wydostała, już ją matka i ludzie widzieli, kiedy i żandarm zauważył.

- Halt! - małe nie usłuchało, gnało dalej, tylko jej te opalone nożyny migały. Żandarm złożył się, szczełknął strzał, dziecko padło, zza płótnianki wysunęły się i rozsypały złote pieniążki.

Na widok martwego dziecka Antkowa oszałała. Wydarła z ziemi kamień i z tym kamieniem, oniemiała, straszna, bez jednej łzy ruszyła na zabójcę.

Patrzył zdziwiony, jakby nie rozimiiejąc, lecz gdy ona minęła ciało dziecka i wciąż parła naprzód - strzełił. Strzełił celnie, nawet się nie męczyła, tak jak i poprzednio małą

Jedynego syna Antkowego, szesnastoletniego Józka, zabito wraz z innymi. Tak poległ ostatni mężczyzna z rodziny. Z czterech wnuków Nikodema, z czterech wujecznych wnuków Anny - nie przeżył żaden. Antoni, ojciec pomor-

dowanych dzieci, nigdy nie powrócił z wojny wrześniowej, średni zginął w Stutthofie, dwóch najmłodszych podczas pacyfikacji. Poza Antonim, ojcem tych dwojga później pozabijanych dzieci, jego wytraceni nie żonaci bracia nie pozostawili potomstwa.

- Wyginał ród, jakby nigdy nie istniał. Z pnia Nikodema Bartnika, po zagładzie wioski, nie pozostał nikt - przekazywała kronikę sąsiadów najstarsza ze Smolar[^].

I tak przestała istnieć wieś rozsiadła nad rzeką, kilka kobiet wygnanych z małymi dziećmi przytuliło się w Fili. powie i w strasliwej nędzy, dzieląc wszelkie kłębki miasteczka, doczekało wyzwolenia. Tak też dotrwały do końca wojny kobiety Smolarzy - prababka Joanna, jej nie:[^]ąca już świekra, w on czas tak stara jak ona dzisiaj, i synowa Joanny, milcząca czarnowłosa kobieta siedząca teraz przy kołowrotku, matka gospodarza, wówczas liczącego lat pięć.

Mąż prababki Joanny zginął w obozie, starszy syn, ojciec gospodarza - w kampanii wrześniowej, mł[^]zego syna, ostatnie jej dziecko, rozstrzelano w Wigajnach.

- Dwadzieścia latmy czekali na mężczyznę w rodzinie- najstarsza ze Smolarzy wskazuje gospodarza.

Kobiety z dzieckiem wróciły do Wigaj, jak tylko przetoczył się front. Ich domu na skarpie nie spalono w pacyfikację. Kor[^]stał z niego posterunek żandarmerii odprawiający ronty nad gniewną rzeką, zza której grozili partyzanci.

Ich dziedzina sjrfonęła dopiero podczas ostatniej bitwy, lecz w zgłiszczach pozostał trzon kuchenny i komin. To było wiele. I wokół komina, który wylepify gliną, znów zaczęło odradzać się życie.

Nadciągali inni rozproszeni. Pomału lemieszce ocalałych zaoarały mogiły najeźdźców. Pospdntu na grobach ofiar i oprawców zakrzewiły się trawy, pokłoniły zboża, zaciągnęły warty młode drzewa, wspomnienie o nich poczęło odchodzić w przeszłość.

A gdy w niemieckim mieście Norymberdze odprawiano

^elki sąd nad zbrodniczymi witeziami, amerykańska jrewna zapytywała o tutejszą rodzinę przez Czerwony Krzyż-
, Nawet przez radio nadawali, ale w naszej wsi w on czas ani odbiornika, ani elektryczności nie miałim, to i nikt z tutejszych osobiście nie słyszał. Tylko z Suwałk przyjeżdżał pomocnik sławetnego adwokata. Bo mecenas, choć ^ocił z obozu, z pościeli już nie powstał i z wiosną pomarł. Ale póki dychał, chwały jego imienia pomocnik zażywał, V(finently Baraszko niejald. On skrzętnie relacje świadków zbierał i musi wysłał za morze wiadomość, jak los familii się dop^ił, bo już nigdy więcej stamtąd się nie odezwali - opowiadała najstarsza ze Smolarzy.

- A o Jadżkę Bartników Zielarzy nikt się nie dowiadywał? - Uther podejrzewał wpływ swojego ojca nawet na najwcześniejszy, wciąż nie wyjaśniony los poszukiwanej kobiety, dziecka wówczas, i jej matki.

- A kto miał o nie zadbać. To całkiem inny ród, od swego naddziada, co ziołami leczył, Zielarzami przezwanii, i oni nikogo na dalekim świecie nie mieli. A tu ich wszystkich wybili, pozostała jeno Stanisława z dziewczynką od ziemi odrosła, jedne jako grusza w polu.

Tak po dziś dzień ich dola nie znana. O reszcie wiadomo, kogo zamordowali w pacyfikacji, kto na frontach, kto po lagrach, w partyzantce czy na poniewierce legł. Kto na Ziemię Zachodnie pociągnął, kto po miastach osiadł.

Głowy ze zgłodzonej wioski uniosły, na resztę wojny w Filipowie się przytuliły, biedę straszna jako i inni znosząc, ale przeżyły. A potem z dnia na dzień zniknęły, jakby się pod nimi ziemia rozstąpiła.

Człek nie kocię, a ślad nie został, jakby je w przerębel ciśnięto. Tak jak i inne, ziemiankę ukleciły i tak zimować się przybierały. Opał z lasu znosiły, kartofle z pola, chociaż i straszno było, bo min pełno.

Ludzie jak ludzie, każdy swoją nędzę łątał, na innych ni starczyło ni litości, ni siły, człowiek ^a siebie i drugjpa^ stwardniał jak rzemień deszczami osmagany, bo wszystkim my w takie same terminy popadły. Kobiety bez nieżyczjz z drobiazgiem albo z wyrostkami! Przez parę dni nawet uwagi nie zwrócił, że ich nie widać.

Ale patrzeć, z dymnika się nie smuży, stawy nie gotują no to czym się pożywiają, jak tylko ziemniaki my mieli i tet nie pod dostatkiem. Przecież nie jedzą surowych. Może zachorzały? -pomyślałam. Bo Jadźka Stanisławy marniejsza była od wszystkich wioskowych dzieci, też zagłodzo- nych. Ale ona największy zamorek! T^lko głowa jak ką- dziel, zda się te wielkie włosy dzieckiem się karmią, dlatego ono takie wynędzniałe.

Zajrzałam do nich. A tu w ziemiance pusto, ruszt wy-
ziębły, saganek z odębiałymi kartoflami, szmaty na sienniku potaraszone i więcej nic. Straszno mnie się uczyniło. Zwierz jaki czy człowiek niegodziwy?

- Co też mama - wtrąciła się milcząca dotychczas matka gospodarza. - Poszły głębiej w las albo w pole, pewno na minach rozniosło. Zima nadeszła, do wiosny czyste kosteczki zostały, nie rozpoznasz, c^je. Kilku ludzi tak zginęło.

- Ale zawsze było wiadomo, kogo rozniosło! - upierała się prababka Joanna. - Prawda, ich nikt nie szukał, ani najpierw, ani później, ni jako żywych, ani między umarłymi. Przez lata wspomnienie po nich niepamięcią jako mchem oszadziało. Wyrosły nowe pokolenia, które nigdy nie widziały ostatnich z pnia Zielarzy. Dopiero przypomniało o nich starszym ludziom ogłoszenie w gazecie o Jadźce, a mnie aię widzi, ona tu niedawno była.

Zdarzyło się łoni przed Piotrem i Pawłem, patronami naszej parafii. Raptowny gorąc wybuchł, wszyscy do sianokosów poszli. We wsi tylko staruchy i małe dzieci. Po I nagrodach tylko psy i gąsiory na straży. Nasza wieś na I strow® leży, obyczaj nie zepsuły, sąsiad sąsiadowi niczego ruszy.

jją poziomki poszłam. Patrę, nad brzegiem auto stoi ^ielonawe jak woda zacieniona olchami, srebrnymi blachami obramione, słońce w nich gra, a przednia szyba bokami wyokraglona jak w handlu Hackla, sklep spo:grw- (jy i kolonialny na uUcy Kościuszki w Suwałkach przed wojną,²⁵¹ Musowo zagraniczne.

Najstarsza ze Smolarzy nie zna się na samochodach, turyści nieczęsto zagląдают w ich ką, bo tu żadnych moteli

ani restauracji, ani gospód, nawet do sklepu z zaopatrzeniem byle jakim też daleko. Zapłacze się najwyżej taki, co drogę zmyli, albo taki, co łakomy spokoju tej krainy 0 wygodę nie stoi. Pożywi się czerstwym glonkiem, zupa z torebki czy plackiem upieczonym na ognisku.

- A osoba z auta - z daleka nie do rozpoznania, kobieta czy mężczyzna - stecką podle nas[^]ch wisiенок kroczyła 1 dalej, aż ją leszczyny przed okiem skryły. Prosto, jak sierpem rzucił, na stare siedlisko po spalonych Wigajnach podążyła.

Babka starsza koszyk wzięła, nieśpiesznie grzbietem pagórów poszła, na stokach poziomek nabrała, a jak na skraju drzew przystanęła, przed nią pianina rozpostarta jak na dłoni.

Nieznajoma kobieta tam wolno chodziła, jakby czegoś szukała albo jakby znajome miejsce z zapamiętanymi porównując. Wreszcie siadła w cieniu jesionu.

- Pochwalony - cicho po trawach stąpając pr[^]bliżyła się babka starsza.

- Na wieki wieków - tutejszym obyczajem odparła nieznajoma, ale aż się wzdrygnęła z zaskoczenia. Okulary słoneczne zdjęła i poczęła przecierać, chociaż przecież nie miały się od czego zabrudzić ani zapotnieć.

Przemysłne szkła, babka starsza jeszcze takich nie wj, działa. Na słońcu ciemniały, w cieniu bladły, w zależności od mocy światła barwę zmieniały od silnie przydymionej do zupełnie przerozystej.

- Z daleka Bóg prowadzi? - zagadnęła babka starsza

- Z daleka - odpowiedziała kobieta, oziębłe, nieprzy, stępnie. I babka nie zapytała już o miejscowość.

- Szuka kogoś? - Babka podsiemła jej na liściu łopianu garść poziomek.

- Nie. Chcę upał przeczekać - przyjęła owoc lasu podziękowała. Brała ostrożnie, po jednej jagodzie wkładając do ust, aby nie naruszyć lśniącej kredki, jaką były umalowane.

- Myślałam, może wspomnień szuka. - Babka starsza nie przyglądała się jej wprost, jako osoba obyta zerkała ukradkiem.

Piękna kobieta, chociaż mająca swoje lata. Nie, nie starucha wyfiokowana, ale i nie młódka. Wiadomo, sposobami urodę zachowująca. Postać szczupła, ale nie wyschnięta, prosta, ciężką pracą nie pogarbiona. Spodnie na niej niebieskie, ze wszystkich stron opięte, wąskie jak fujarki. Nie dzinsy, te babka zna. Na nogach ciżmy spiczaste ze skóry rudej jak bukowe liście, a górą koszula jak męska, też modra, rękawy podwinięte.

- To miejsce po wymordowanej wsi - powiedziała babka starsza w intencji poruszenia wspólnej struny, jeśli to swojaczka, jak podejrzewała.

- Po minionej wojnie świat usłany grobami - skwitowała nieznajoma i z torby na długim pasku dostała papierosa w opakowaniu z zagranicznymi napisami, wyłuskała dłu- gachną cygaretkę, przypaliła zapalniczką płaską, połyskującą złotem i wnętrzem ślimaczej skorupy.

- Nieobca jakby - prowokowała babka starsza. Twarz nieznajomej nikogo jej nie przypominała, ale dawało do

[yślenia zachowanie i włosy. Takie wielkie, płowe włosy, *Josy* dojrzała żytnia słoma miewały kobiety z rodu Ziellarzy-

^ Podobna do Bartników - chytrze zagadywała babka starsza.

^ Ludzie bywają podobni - zbyła nieznamoma i wychy-
pęja z cienia na słońce, przez co jej przemyślnie szkła
ciemniały i zakrzyły spojrzenie, a człowiek z zasłoniętymi
oczyrna jest jak w masce, nie rozpoznasz wzruszenia, fałszu
czy strachu. Pożegnała babkę i zaraz odjechała nie czekając,
aż minie skwar.

_ Czego by się miała bać? - dociekała najstarsza ze
Smolarzy.

Może co na sumieniu ciążyło, jakaś straszność zawinio-
na, a może pochodzenia się wyparła w tamtym jakimś
świacie, gdzie dorobiła się nowego tytułu jak błyszczącego
nikłami auta. Słyszało się o takich, z własnej wsi tacy byli!

Doktorów, docentów dosłużyli się, fiatami kudłate albo
Idapouche, albo wełniste o owczym profilu psy wozili,
nazywali ich pudle albo cocker-spaniele, albo jeszcze jakos
inaczej i wielce się pysznili ich rodowodami, mieszkali w
willach, na koniach w czapeczkach aksamitnych i z
trzcinką, pętlą do przegubu troczoną, jeździć się uczyli, w
państwowych lasach polowali z nagonką, ludzi wsiowych do
tej nagonki zbierając, jak kiedyś dziedzic z Raczek.

Nie przyznawali się do swoich korzeni. Mierziło ich
wspomnienie ledwo piśmiennych ojców zgiętych nad za-
gonem. I najchętniej daleko od stron rodzinnych zakładali
to swoje pańskie życie, gdzie takim jak i oni łatwiej mogli
świecić wydumanymi antenatami. Więc może i ona po
cudzoziemsku ubrana, w cudzoziemskim samochodzie za-
pomniała, skąd nogi rosną.

- A o Jadżkę Ziellarzy wypytywali i tacy po zagranicz-
nemu ubrani i po zagranicznemu mówiący. Ja w on czj
wdowę po rybaku w chorobie doglądałam i tylko synoy^ ich
widziała, ale do niej odzywali się po naszemu. ^

- Mama przeinacza. Oni nosili się jak przebiali- i

między sobą ugadując wtrącali nieznanym słowom, ale i ci
ich wie, jakiej oni nacji - sprostowała matka gospodarz

Młodzi w polu, dzieci w szkole, ona sama w całym
dom. Piec chlebowy napaliła, właśnie żar wygarnęła, a w
dzieży już gorące wymieszane ciasto, już prosi, żeby chleby
zrobić.

I na to wszystko ci obcy.

Dwóch ich wesło, ubrani na zielono. Wyglądali jak
wypuszczone z niewoli srodki, no bo te jakieś bluzy luzem,
ani to pasa, ani porządnie zapięte i kolor spłzły jakby w
tych drewnianych wózkach, nie wiedzieć jak długo | siedzieli,
a na rękawach różne naszywki cudzoziemskie.

Jak Ruski Niemca popędził, a jeńcy zaczęli od Prus
ciągnąć, lychtyk tak wyglądali. Szli i szli, różni. Amerykanie,
Kanadyjczycy, Francuzi, Australijczycy, a nawet z Nowej
Zelandii.

Jak ci dwaj teraz do chały tak niespodziewanie weszli,
matce gospodarza zaraz tamci sprzed lat w oczach stanęli i
przez chwilę, przez moment krótki jak mgnienie wydało jej
się, że trzeba ług szykować.

Wraz z wojną i głodem maszeruje wesz. Wszechobecny,
wytrzymały, najwierniejszy towarzysz. Toteż ich wsgrst-
kich, bez względu na nację, robactwo jadło. Pozbawieni
mydła i innych miszkulancji służących schludności nie
radzili sobie z plugastwem.

Trzy pokolenia kobiet, doświadczenie trzech wojen i
przekazów pokoleń, wskrzeszające życie wokół ocalałego
komina, wiedziało, co robić, kiedy nie ma bielidła, sody ani
najmniejszego środka do prania i kiedy nie posiada się ani
masła, ani słoniny, ani niczego, na co można by je
wymienić.

¶

Zanim człowiek czyściki wymyślił, to wszystko, bez już obyc
się nie może, dar brał od roślin. Każdej Bóg nadzielił.

Poszycia na dachach przed wichrami

■ czystości strażę topola.

' Zbiera się i pali opadłe gałązki, a gdy dokładnie zgorze- „ zmiata z rusztu ich delikatny siwy popiół i gotuje zalany Później zlewa krystaliczny wywar i odpowiednio rozcieńcza, bo zbyt stężony przepala włókno. Ciemnym nicio[^] parcianym ług nadaje śnieżną biel, wygotowane [^]nim odzienie omija wesz.

Tak ratowały cudzoziemskich jeńców ciągnących z nie- śli, z babskiego współczucia, z wdzięczności, jaką budził sam fakt istnienia tych młodych mężczyzn. Są, przetrwali. A więc nie wszystkich zabito, rozstrzelano, zaćwiczono, więc może i ich ostatni z rodziny, którego losu nie znały, przeżył jak i oni. Bo przecież nie może tak być, aby Bóg miłosierny nie ocalił ostatniego.

Ogarniały z robactwa dziękujących im w mowie nie znanej, jeszcze i z poczucia wspólnoty losów, i z ukrytą bolesną nadzieją, że może gdzieś na nie znanych szlakach żdnierskiej doli ktoś odpłaci tym samym ich mężczyźnie.

Kiedy teraz łądziła bochenki, a ci dwaj weszli niespo- dziewanie, widok mimdurowych ubrań - chociaż to już tak dawno - przyprawił o ściśnienie serca i na moment stała się znów tamtą młodą kobietą piorącą jenieckie koszule, opa- trującą jątrzące się grzbieli, dzielącą skąpą miskę w imię Tamtego, na którego czekała, lecz który z wojny nie po- wrócił.

Szczerze mówiąc nie przez kipiące chlebowe ciasto w objaśnienia się z nimi nie wdała, tylko przez czarną desperację, jaka ją czasami napada. Lata nad nią przeszły, urodę starły, ciało uciszyły, wygasily bunt, nie imiosły rozpaczy. Dopada znienacka, podstępnie, nigdy nie wia- domo, co ją poruszy. Na fotografie, na filmy wojenne patrzy bez drgnienia, a czasami drobiazg, szczegół, zda się lada jaki, wystarczy i żal straszny taiga. Za szczęściemnje doznany, za miłością nie wykochaną, za [^]ciem nje żyzytym.

Wtedy ją opadło. Zdawać by się mo[^]o - śmiechu warte przez zielonkawę drelichy, przez naszywki obcojęzyczne beznadziejność jak ciężka choroba. Ani wspominać, anj odpowiadać, nawet patrzeć na nich nie mogła.

- Co chcieli wiedzieć?
- Czy ona tu pisze do kogo, czysą jacyś jej krewni, aleco z tego, kiedy nie potrafili rozróżnić Jadwiśki Nikodemo- wych od Jadźki Ziela^r. - Ponieważ jednak tym jajj z lagru strojem poruszyli bolesne urazy kobiety, ona nawet nie powiedziała, że tutejsi przez długie lata mieli Jadźkęzg umarłą, odkąd zniknęły z matką pierwszej powojennej jesieni.

A oni, chociaż wypytywali i innych ludzi we wsi, wciąż gubili się pośród jednoznacznych nazwisk i takich samych przydomków, nigdzie nie znajdując nie pisanydi, zwyczajowych przezwisk, których w odniesieniu do- szczególnych członków blisko czterdzieści lat temu do nogi wytraconych rodów nie rozeznawały już młodsze generacje w Wigajnach.

- Pozostawili wi^M:ówkę - sięgnęła za obraz przedstawiający Chrystusa z czerwonym, gorejącym sercem na piersi, wyj^{pr} brudzony kartonik. Widniał na nim adres warszawskiej kancelarii prawniczej, która, jak się miało okazać, działała z upoważnienia amerykańskiej agencji Harrisa, ta zaś na zlecenie seniora Stuningtona.

Długo popełniał ten sam Uą, co i junior, Bej i czym z kolei zasugerował się ojciec młodego OsWerki, warszawski adwokat.

Ws^tkim zabrakło wyobraźni, nie pr^uszczali, że matka i córka opuściły Stany i powróciły do kraju urodzenia. Więc zamiast szukać ich w Polsce, korzystając z pomocy ogólnie dostępnych środków, próbowali wykorzystać U^o pośrednie związki, aby poprzez ewentualną kore-ndencję lub osobisty kontakt dotrzeć do nich^reiyce.

Uther, przyjaciel mojego syna. Beja, po przyjeździe do polski zapragnął domu w Wigajnach.

W miejscu, gdzie przed stu laty urodziła się jego babka, gdzie od niepairaętnych czasów żyli jego przodkowie, skąd jrtodła się kobieta, w której przeczuwał osobę najbliższą, jhociąz głośno nigdy tak o niej nie mówił.

Kupienie poroślego lasem siedliska na starych Wigajnach

wymagało nie wiadomo jak długiego czasu. Świeżo powołane województwo odrzuciło poprzedni obiekt zagospodarowania przestrzennego, a własny jeszcze nie wypracowało. Na dodatek toczono akademicki spór o rodzaj wiejskiego i rekreacyjnego budownictwa. Piękny, lecz ubogi region nigdy nie dorobił się własnej, wyrazistej architektury, jak Podhale, Kaszuby czy Kurpie. Przedstawiłem Utherowi trudności. Zachował się rozsądnie.

- Jeśli nie na ziemi Granni, chciałbym niedaleko was, ale wśród drzew i nad rzeką.

Natychmiast, blisko Warszawy, w lesie i nad wodą, na domiar załatwić prawo własności cudzoziemcowi! Na znalezienie działki spełniającej na raz tyle warunków widoki miałem ograniczone. Właściwie liczyłem tylko na Oryl. Od dawna znałem tę wieś rozsiadłą nad Bugiem, czterdzieści kilometrów na północny wschód od stolicy, stąd pochodziła Bronidawa, gospodyni w przedwojennym domu moich rodziców; gdy po wyzwoleniu wróciłem z Anglii, ukończyłem przerwane studia i zacząłem uprawiać zawód, ona przysyłała swych licznych krewnych i znajomych, moich pierwszych klientów. I tak z czasem wielu mieszkańców obdarzyło mnie przyjaźnią.

Pewien rodzaj przywiązania objawiał nawet Miśko. Wiak, softys, pan na Orylu, potrafiący załatwić sprawy z pozoru niemożliwe do załatwienia. Wieś znała jego zalety i niedostatki i zawsze wybierała swoim rzecznikiem, jeśli należało pertraktować albo użerać się w jej imieniu, albo załatwiać interesy w rodzaju kupić, sprzedać, tanio ukraść.

Poznałem go bliżej, kiedy gromada postanowiła rozpar, celować na działki rekreacyjne nieużytki ciągnące się nad rzeką. Dzikie łągi i pagórowate piachy porośnięte sosną, świerkiem i jałowcami, jałowcami wielkimi jak katedry, podszytymi głogiem, żarnowcem i czerwonym berberyssem.

- Rada Narodowa, wyznaczyła takse po dziesiątaku za metr - zawiadomił mnie zawiedziony Miśkowiak. - Dycha za metr jest nic. Pewno, te ugory niezdatne pod uprawę, nawet krowa tam się nie naje, ale pod budowę amatorska rzecz.

- Będą kupować stare chaty.

Jak pamięcią sięgali najstarsi ludzie, przeludnione sioło klepało biedę na lichych i rozdrobnionych spłachetkach, mrowiło się zbędnymi rękoma, trwało uczeplone jałowych piachów i nadburzańskich łęgów. Przykuwało ich do zagonu nie tyle przysłowiowe przywiązanie do ziemi, od pokoleń wmawiane mieszkańcom wsi, ile zupełny brak innej perspektywy.

Aż zaczął się wielki odpływ - do Warszawy, do Ostrołęki i jeszcze dalej. Szybko ubywało ludzi, jedna po drugiej pustoszały dziedziny w głuchym łoscocie obuszków siekier bijących podzwonne porzucanym domom, w których zabijano okna i drzwi deskami założonymi na krzyż.

Przybywało chat skazanych na wymarcie, chat stawia- f
^ch kiedyś z myślą o pokoleniach, z żywicznych bierwion
^żanych w wieniec, z latami posiwiiałych od deszczów siap
nieprzeliczonych jesieni, jakie przetoczyły się nad '
jenicami; krzepkie jeszcze, rozsiadłe na planie kwadra- pod
strzechą, pod gontem, pod karpiówką, opierały się
puszczeniu, konały opornie.

Gdy po wielkich przemianach nastał czas budowy, znów jióśł się huk toporów, gin^y śmiercią gwałtowną stare (jornostwa mordowane ciosami siekiery. Sdy na opał, nie ęlczo zmurszałe, zżarte grzybem czy stoczone przez czas, lecz i te wciąż jeszcze zdrowe, nie tknięte śladem komika, odocystym wewnątrz drewnie, które rąbane, jeszcze teraz IjrwaWiło kroplami żywicy.

Uparcie gromadzono środki i nikt nie myślał adaptować jtarej siedziby do nowych potrzeb, bo żadne uzdatnienia nie mogły jej przystosować, skoro ludzie za każdą cenę pragnęli się z niej wynieść, a ją zetrzeć z powierzchni ziemi, aby nie przywodziła na myśl wszystkiego, o czym pragnęli zapomnieć.

To z przysłowiową chałupą zrosły się w ich świadomości takie pojęcia, jak: ciemnota, zacofanie, kmiotki, chamy. Teraz, przynajmniej w oficjalnej nomenklaturze, awansowali na rolników, grupę zawodową nie gorszą niż inne, wytwarzającą najbardziej cenny towar.

Nowa siedziba oprócz zwykłych funkcji miała nie tylko świadczyć o pomyślności, lecz także podkreślać nowy status społeczny właściciela. Wszystkie te potrzeby zaspokajały betonowe pudełka, ozdabiane fryzami z lusterek lub szklanego grysu, wypuczone balkonami, na których sadzili nasturcje i muszkatele w zielonych plastikowych skrzynkach. Jak w mieście, jak w blokach.

Znacznie później wielopiętrowe budynki przestały budzić nostalgię, a jeszcze później zupełnie zgasł ich mit. Zaczęto o nich mówić w Oiyłu z lekceważeniem i poczuciem wyższości. Coraz częściej podkreślano, że lud[^]j naprawdę eleganccy, ludzie zamożni albo znaczący mies[^]kają jednorodzinnie.

- Rozpocz^{^^}a się wielki boom na stare wiejskie chaty[^]
[^] Aby ich nie niszczyli, przekonywałem z różnym skutkiem[^] mieszkańców Oryła.

- Pieniądz okragły i tak się wytoczy. Zaś dobre sąsiedz. two pozostanie. Nam trzeba znaczących przywabić. Ze znacznego człowieka będzie stały pożytek. Za ważnymi niech się mecenas rozejrzy! - dopominał się Miśkowiak.

Nie miałem klientów, jakich pragnął. Dysponowałem, ofertą związków twórczych. Tereny rekreacyjne interesowały właśnie naukowców i literatów.

- Profesory? - Miśkowiak był w rozterce. - Niekiepsko niby, zawsze jak trzeba będzie dziecko na uczelnię pchnąć, jaką taką pomoc z nich można mieć... Ale moje dzieci male jeszcze - przypomniał sobie i zmarmotniał, że takiej protekcji nie będzie mógł spożytkować natychmiast.

- Dzieci szybko dorastają - judziłem.
- Nim moje wyrosną, dzisiejsze profesory pójną na renty.

- Ludzie we wsi też mają dzieci - przypomniałem delikatnie.

- Wsiowe dzieci dostają dodatkowe punkty przy przyjęciu na studia. Jak takich for jeszcze mało, znaczy, głuptak i strata jego kształcić. - Kiedy w grę nie wchodził osobisty interes, sołtys z Oryła bywał bezstronny.

- Brawo. Sprzedamy odłogi bezinteresownie.
- Zaraz, zaraz! Nam cementu, eternitu, zbrojenia trzeba. Łazienki będziem zakładać i chcemy kafłami mościć. Naukowcy mnie materiałów nie załatwią.

Rosnąca industria zmieniała oblicze wsi za życia jednego pokolenia. Najpierw sięgnęła po nadwyżki robocze, w zamian zaczęła dostarczać maszyny i przeświadczenie, że można pracować łżej.

Telewizja wtórowała obrazem. I nie trzeba było ludzi jłłą odrywać od zagonu, przestali się go trzymać pazurami, ^v^lasnej woli porzucali swe pola, ale nie darowali rodzinnych spłat. Brali bezwzględnie, jak kiedyś bezwzględnie ((^dzierali tej ziemi jej mizerny plon. Do wyjątków należa- 3 gospodarstwa nie tknięte działami, większość składała ciężką daninę dopiero co osiadłym po miastach braciom j siostróm, którzy, zwłaszcza po śmierci rodziców, spadali jak kruki na pozostałych na roli i rozszarpywali dziedzictwo.

Stało za nmu powszeclme odczucie ich prawa do ojco- flńzny. a przeciw nim ustawa państwowa wznosząca tamę nadmiernemu wykrwawieniu wiejskiej społeczności, bo feinilijne spłaly gnębiły rolników jak kraj diugi i szeroki. Ale ustawa przegrywała z obyczajem.

Tak ze wsi wyciekate jej moc i nieprzerwanie odchodziła młodzież, i ten upust był już ponad wszelką miarę. Dziczały siedliska, byliny zarastały warzywniki, z wiatrami przybywał posiew lasu. Ugór obejmował we władanie rozdrobnione poletka, ta sama wegetacja pleniła się na miedzach, zacierały sąsiedzkie granice, chwast dopełniał aktu scalania.

Po migracjach, podziałach, zdaniu za dożywocie - produktywnych gospodarstw pozostało w Orylu czternaście. Za symboliczną tenutę ludzie brali od państwa w dzierżawę gnmta, i znów lemieszce zaczęły odkładać skiby na odłogach.

A oni pracowali ciężko, zapisywali się na kiu"sy zaoczne, usypiając ze znużenia słuchali telewizyjnych wykładów rolniczych, kupowali maszyny. Zabiegali o nie w

Radach, pisali podania, wyklócali się, płacili prowizje, dawali łapówki, a także odwiecznym obyczajem, dziedziczonym po pokoleniach, przynosili prominentom podarunki: suszone grzyby, miód, gęsią tuszkę, butelkę, skłusowaną szlachetną rybę. To była stara, wypróbowana moneta na skarbienie przychylności. Lecz wciąż czegoś brakowało. Jo stąd nostalgia za potężnym protektorem.

- Naukowcy materiałów budowlanych nie ZEdatwią
^ wahał się sołlys.

- Ich uczniowie, panie Miśkowiak, w różnych branżach na takich stanowiskach, że oko bieleje - kusiłem.

Leżało mi na sercu zachowanie urody nadburzańkiego krajobrazu, wówczas nie objętego jeszcze żadną ochititią Ci ludzie, byłem pewny, nie zetną ani jednego jałowca, nip zniszczą dzikich łęgów, na których wiosną zakwitają 2J0, cistę kosaćce.

Po rygorystycznym wyznaczeniu przez Wydział Architektury obszaru pod kolonię rekreacyjną Miśkowiak prze- stał pośród kandydatów przebierać, ponieważ na parcelację najatrakcyjniejszej części terenów Rada Narodowa nie wyraziła zgody.

- Trwają prace nad perspektywicznym planem zagospodarowania okolic, a gruntów nad samą rzeką w ogóle nie przewiduje się pod działki - motywował odmową kompetentny urzędnik.

- Mydlenie oczu — zżymał się Miśkowiak. — Trzymają, jak się kto ważny trafi. Może rybkę, może polowanko, a może parcelkę nad wodą, wielmożny paniel - przedrzeźniał urzędnika, naśladowując jego sposób mówienia.

Po nowym podziale administracyjnym Oiyl znalazł się pod zarządem innego województwa. Kiedy jednak w tr^ lata później starałem się kupić ziemię w imieniu Uthera, obszar nad Bugiem nie doczekał się jeszcze perspektywicznego planu zagospodarowania, zaś w nowym urzędzie w za sadzie także nie przewidjrmano oddania nadbrzeżnych lasów pod dache dla zwykłych ludzi.

W drodze wyjątku zezwolono na wykrojenie kiUm placów, bo akurat nad samym Bugiem otrzymał lokalizację

minister, i przez ten precedens mieszkańcy wydebi troche
siebie. Pomyślałem, że wreszcie spełniły się tęsknoty
iżiskowiaka za ustosunkowanym sąsiedztwem.

, Nie za moją przyczyną dygnitarz szkarpę nabył. Całą
^sługę lu-żąd sobie wziął. My tylko pieniądze dostali, ij^ie
tam pieniądze, oficjalną stawkę. Grosze. Ale przy okazji
zwolniono mi do sprzedaży kęs jałowców z łęgiem, oddam,
jak dla pana, mecenasie, po pięćset złotych za pieter.

popiero u rejenta sołtys zorientował się, że nabywcą jest
judzoziemiec, i prawie zapłakał.

_ Pan nie jesteś jak Polak dla Polaka, panie mecenasie, jaldś
inostraniec panu bliższy. - Poddając w wątpliwość ^ój
patriotyzm, zagroził zerwaniem umowy.

_ To mój krewny - skłamedem, bo to są jedyne związki
zrozumiałe dla Miśkowiaka. Przekonywanie o etyce zawo-
dowej, zobowiązującej do dbania o interes klienta, na nic by
się zdało.

Przygotowany na podobną reakcję otarłem mu łzy do-
datkową okragłą sumą wypłaconą z ręki do ręki, co i tak
wypadło taniej. Gdyby od razu wiedział o pochodzeniu
nabywcy, sprzedawałby mu ziemię podzieloną na kawałki
równe powierzchni banknotów.

Tak zdobyłem dla Uthera ponad morgę lasu z pięknym
pagórem opadającym ku wodzie, oplecionym na zboczach
gęstwą głogu, żarnowca i berberysu, miejsce ujmujące
powściągliwą urodą leniwie rozlanej rzeki, dzikich łęgów i
rozpasanych jałowców o kształtach minaretów, fortecz-
nych blanków, gotyckich katedr, podesłanych mchami,
wrzosami i rozchodnikiem. A młody architekt z Ostrołęki
wzniósł dom tak wkomponowany w krajobraz, jakby tam
stał wiecznie: drewniany, parterowy, wiązany w wieniec,
zwęglowany w jaskółczy ogon, z nadprożem ujętym w wę-
gaiy, z mansardą pod uskokowym dachem pokrytą kar-
piówką ułożoną w łuskę.

z budową uwinęli się w kwartał i zanim senior Stuiuij^
gton znów zablokował synowi konto, stanął dom prostv jak
otaczająca go przyroda, jak dawne budownictwo t^ ziemi,

piętaiy rodzajem uiytego budulca, kunsztem roboty ciesielskiej i wyważonycli proporcji. Nie narzuca się, góruje nad otoczeniem, przeziiera przez zielen krzewów złocistością drewna, zgaszoną czerwienią dachówek, kore. sponduje z sąsiadującą kolonią profesorską, na której rozsiadły się wykupione ze wsi stare chały.

Niedługo potem zaproszono mnie do Związku. Czekają trzech z komisji dyscyplinarnej, wszyscy znajomi.

- Wpłynęła na pana skarga, kolego, o niedotrzymanie zobowiązań - wymamrotał imikając mego spojrzenia przewodniczący, pozostali także siedzieli z oczyma wbitymi w stół, było im przykro, znaliśmy się od lat, mówiliśmy sobie ty, mieliśmy się za porządnych ludzi.

- Nieporozumienie - nawet się nie zdenerwowałem, oskarżenie wydało się niedorzeczne.

- Też tak myślę - ujawnił nieregulaminową stronniczość kolega przewodniczący, lecz zaraz powrócił do urzędowej sztywności i podając chudą teczkę zaskrzypiał jak stara szafa na akta; - Proszę zapoznać się z zarzutem wniesionym przez Pendragpna Stunningtona, przemysłowca z Kalifornii.

W dniu takim i takim, w kancelarii doktora Filipa Claparona, pod nieobecność gospodarza radca prawny Stunningtona asystował przy zawieraniu następującej imiowy: za sumę trzystu tysięcy franków wypłaconych na moje życzenie gotówką, nie czekiem, przyrzekłem o ws^tkich sprawach Uthera-Caradoca Stunningtona informować jego ojca i nie poszukiwać, natomiast takie poszukiwania pozorować, Jadwigi Siu-ażyńskiej lub innych osób z nią związanych. Obietnicy nie dotrzymałem.

- Obłąkane zarzuty! - wydało mi się śmieszne traktowanie serio takich insynuacji. Przesz^o, kiedy przeczyta-

r

um oświadczenie doktora Filipa Claparona.

Stwierdzał: fja prośbę doktora Henryka Oskierko, adwokata z War- szawy bawiącego w Paryżu, udostępnił mu pomieszczenia firmy, w Ijro podręczną bibliotekę. Gość dysponował lokalem od piątkowego popołudnia do poniedziałku rano ^ takim i takim czasie, podczas tygodniowego weekendu.

Mecenas Oskierko nadużył jego zaufania, wykorzystując kancelarię do załatwiania moralnie podejrzanych jpraw, chociaż doktor Claparon pozwolił tylko na ko- fjystanie z księgozbioru, w żadnym razie nie wyrażał zgody na przyjmowanie klientów, o czym w ogóle nie było mowy.

- Nie znam człowieka, nigdy nie korzystałem z jego grzeczności, nigdy nie widziałem Pendragona Stimmingtona. Samo przypuszczenie, że mogłem się podjąć tak osobli- ^wych świadczeń, jest dla mnie obraźliwe.

- Ale przyjąłeś pełnomocnictwo młodego Stunningtona.

- Oczywiście.

- Zapoznaj się z tym dokumentem. Oryginał znajduje się u powoda - pdtożył przede mną notarialnie poświadczoną kopię pokwitowania opiewającego na trzysta tysięcy franków. Pod maszynowym tekstem stwierdzającym, kto, ile i za co bierze, widniały moje inicjały.

Zaniemówiłem i nawet zacząłem się zastanawiać, czy nie podszygnowałem czegoś in blanco. Oczywiście nie!

- To nie mój podpis! Pod dokumentami umieszczam nazwisko W pełnym brzmieniu. Cyfrą opatruję tylko kopie.

W pracy niewiele miałem do czynienia z kryninalistyką sensu stricto, jestem cywUistą, ale wiedziałem, ów skrót, a raczej pierwsza i ostatnia litera podpisu, nie wystarczy do identyfikacji. Nie da się z całą pewnością stwierdzić, nie można też wykluczyć autentyczności podpisu. Za skąpo na proces kamy, wystarczy na śmierć cywilną.

W czasie, o którym świadczyły daty na pokwitowaniu i w skardze Claparona, wyjeżdżałem w sprawach klientó\w do Niemiec i Belgii, przy okazji wstępowałem do Paiy^a zobaczyć syna. Terminy moich wizyt kolidowały z datami na owych dokumentach, lecz niełatwo mogłem to wykazać natomiast w zestawieniu z potwierdzeniem przyjęcia pie^niędzy sam fakt wyjazdów za granicę nadawał wymowy oskarżeniu. Perspektywy obrony rysowały się ponuro.

Sprawa utkn^a, zawisła nade mną jak smog. Miałem wyjście przysłowiowe, paradoksalne: udowodnić, że nie jestem wielbłądem. Jeśli nie przedstawię faktów, chociaż sąd koleżeński nie podejmie sankcji, pozostanie niesława podsycana morderczą zawiścią o trzysta tysięcy franków, jakie rzekomo zgarnąłem. -

Pomoc nadeszła z najmniej oczekiwanej strony.

- Pan Stunington senior pragnie się pilnie z panem zobaczyć, mecenasie. Najchętniej zaraz, czy potrzebny dolmeczcz? - telefonowała hostessa z „Victorii”.

- Będę oczekiwał pana Stimmingtona. Tłumacz zbędny. Znam angielski.

Słyszałem od Beja o uderzającym podobieństwie obu Sturmingtonów. Istotnie było zdumiewające, mimo widocznych różnic wynikających z wieku. Uther liczył lat dwadzieścia cztery, a jego ojciec ponad siedemdziesiąt.

- Nie był pan u Claparona - oświadczył, kiedy już mi się przyjrzał. - Niezwłocznie złożę odpowiedzie oświadczenie w pańskim stowarzyszeniu na piśmie i osobiście.

Jednak komisja dyscyplinarna mojego Związku zdobyła się na list do niego, w którym poddała w wą^liwość stawiane mi zarzuty. Dlatego przyjechał, tak twierdził.

- Nie jestem sprawcą nagonki na pana, mecenasie.

- Nie posądzam pana, mister Stunington.

Posądzałem, jeszcze jak posądzałem, ale nie musi wie-
dzieć. Jeśli nawet nie zmontował tej afery, była mu na rękę.
Godziwy pretekst pozwalający zachować twarz i znaleźć
się blisko spraw syna. I to jest właściwy powód jego
pośpiesznego przybycia, a nie ratowanie dobrej sławy
jakiegoś adwokata.

- Dałem się podejść. Pospolite oszustwo albo inspiracja
piojej separowanej żony. To osoba niezrównowazona,
yprawdzie firma „Claparon” reprezentuje jej interesy, ale
jszelka lojalność zawsze była obca tej kobiecie.

Z dwojga złego wolał uchodzić za ofiarę perfidii bliskiej
osoby niż zwyczajnych wydrwigroszy.

- Jak można zaufać człowiekowi podejmującemu tak
nieetyczne zobowiązania? - zapytałem.

- wieku prowadzę interesy i zaręczam, nie z anio-
łami.

Wtedy seniora Stunningtona widziałem po raz pierwszy.

8

Gare de l'Est.

Wysoko szklany dach z szybkami kryjącymi ażurową
konstrukcję łuków wspartych na żeliwnych filarach, wy-
modelowanych w girlandy, rozety i wymyślne zawijasy. Pod
tą zakurzoną elegancją schyłku ubiegłego stulecia, pod
sklepieniem przypominającym ogród zimowy biegną rampy
peronów i rojowisko szyn, płatanina rozjazdów, przel^dni,
las semaforów. Ruchem zawiaduje komputer.

Za kilka minut odjeżdżały dwa ekspresy: Bruksela -

- Haga, Genewa.

Do którego wsiąść? Oba mniej więcej w jednym czasie, z
niewielką tylko różnicą przekraczały granicę francuską. Ale
każdy z nich mógł być objęty pościgiem policji.

Postawiłam na Holendra. Pociąg ruszył. Paiż skończył się
dla mnie przed godziną.

Odrestaurowałam Yanessę w kąpielowym salonie wyło-
żonym fajansem z Delft, jak robiłam to codziennie od
przeszło dwóch lat, i poszłam za nią też jak zwykle, aly gjj
usłużyć przy śniadaniu. Śniadaniu! - dochodziła dwunasta.

- Odejdź, Paulette - odprawiła mnie, zasiadając w f

ote. lu przed kominkiem przy nest of tables, na któim jadała pierwszy posiłek, gdzie upijała się wieczorem. Czułam jej spojrzenie, gdy zamykałam za sobą drzwi.

Będzie telefonować. Wiedziałam. Od jakiegoś czasu wypraszała mnie wtedy z pokoju. Pod tym względem nie stanowiłam wyjątku, ale ponieważ przebywałam przeważnie w jej pobliżu, najczęściej spośród trojga służby bywałam usuwana. Usuwana, pomimo mojej głucho ty. Niedobry znak. Od dawna już powinnam stąd zniknąć. Trzymał mnie tylko mores przed bezwzględny m starcem.

Podśluchiwałam.

Podśluchiwałam i podpatrywałam wszystko, co się tylko dało, starałam się nie przeoczyć niczego istotnego. Podśluchiwałam i teraz. Na swoje szczęście.

— Mon commissaire — Vanessa połączyła się z policją- mogę się mylić, lecz mam podstawy są[^]ić, że Mercedes Amado, Katalonka, którą zatrudniam od dość dawna, nie jest osobą, za jaką się podaje.

— Na czym opiera pani podejrzenia, madame?

- Klasztor Karmelitanek z Barcelony nikomu takiemu nie wystawiał rekomendacji do zakonu w Lionie i nig(fy u nich nie przebywała głuchoniema o podanym nazwisku.

Oto skutki braku pieniędzy na porządne dokumenty. Gfdyby referencje pochodziły z klasztoru Karmelitanek i zostafy, według prawideł sztuki ukradzione stosownej osobie, a nie sprokurowane przez byle partacza z Clignancourt, nikt nie kwestionowałby ich autentyczności.

Cóż jednak zaszło, co po takim upływie czasu skłoniło szefową, kiedy, zdawałoby się, zaskarbiłam jej zaufanie, Jo weryfikacji polecających mnie listów. O to samo zapy- jgl komisarz.

_ Podobno nie jest głuchoniema, chociaż wierzyć się nie (jjce, aby można tak udawać. Wręcz niesamowite. Co mi radzi, mon commissaire?

_ Przede wszystkim sprawdzimy jej dokumenty.

_ Trzymam je u siebie. Mogę przywieźć i wyjaśnimy od

reki.

Prawda, miała mój paszport. Zamknięty w pancernym

puzdrze wpojonym w ścianę sypialni pod werdiurą z Aubusson.

- Do czego dochodzi z tą cudzoziemską służbą. Człofłnek nawet nie wie, kogo trzyma w domu! - poskarżyła się Vanessa.

No i doczekałaś się, Fela! Za długo siedziałam na jednym miejscu.

I w ogóle niewola egipska.

Uwięzłam na dobre wbrew samej sobie, ale nie mogłam porzucić Vanessy, dopóki Stumiington nie zwolni mnie z tej służby albo nie wyda się mistyfikacją. Umiął trzymać w szachu bezwzględny starzec, chociaż tkwił za oceanem. Uther wyjechał do Polski, co mnie do reszty przygnębiło. W mojej skrytce pocztowej znajdowałam czasem kartę od niego z krótkimi wiadomościami. Pochwalił się domem w Orylu, kawalerką w mieście i przedstawicielstwem korporacji kawowej, kiedy tata znów na jakiś czas zakręcił kran z pieniędzmi. Podał swoje telefony, zapraszał do odwiedzin. „Przybywaj, dziewczyno, chętnie cię zobaczę!” - pisał. Przywykłam mieć dwór. Nadawałam się na błazna.

Korespondencja od początku nieczęsta, luwała się zupełnie. Odeszłam w niepamięć. Czułam się wykreślona z życia. Już nie istnieję, ale jeszcze nie umarłam. Gorzej niż pies na uwięzi. Nienawidziłam jego ojca. Dotrwałam do ostatniej chwili, teraz mogę i muszę wiać. Poza pieniędzmi znów zostawię wszystko. Inna miałaby już złotą chałupę z rzeczy roztrwonione po metach.

Vanessa odnalazła mnie w swojej wspaniałej łaźnicy pochłoniętą czyszczeniem kiysz^owych flakonov z wszelką upiększającą alchemią, zalegających coiffeujg z trójskrzydłowym zwierciadłem.

-Wychodzę. Po powrocie będę cię potrzebowała. - Xo znaczyło, mam tkwić kołkiem.

KiAvnęłam głową, powolnymi ruchami polerowałam fla, nelą gładziznę lustra. Uosobienie spokoju. Liczyłam sekundy. Kroki Vanessy i huk czegoś zrzuconego za moimi plecami na mozaikowy pawiment. Nie dignęłam. Nie ze

mną takie numery po przeszło dwóch latach treningu. Dalej porządkowałam gotownię. Wycierałam ślady na wypadek przyścia tu policji, lepiej będzie, jeśli nie pozostawię rysunku swoich palców.

Nareszcie szmer zamykanych drzwi - pewno teraz w sypialni brała mój paszport, i znowu cisza. I od^os uruchamianego samochodu. Przez uchyloną górną szybkę nad witrażowym oknem pokoju kąpielowego widzę, jak piąty Paul - lylu już ich odprawiono za mojej pamięci - zamyka bramę. Panią powiózł Czen.

Piąty Paul nastał niedawno, nie sądzę, aby Vanessa wydała jakies dyspozycje dotyczące mojej osoby. Ma mój certyfikat, to daje jej poczucie przewagi. Punkt dla mnie. W tej chwili przestaje istnieć Mercedes Amado, głuchoniema Katalonka. Zegnaj, nieźle służyłaś! Staję się inną osobą. Nazywam się Suzanne Cartet, jestem Kanadyjką z francuskiego Quebecku, urodziłam się w Montrealu.

Od dawna noszę przy sobie nowe dokumenty. Zapłacił za nie senior Stunington. Pośrednio. Kupiłam je za pieniądze zainkasowane od niego tytułem honorarium za numer: mecenas Oskierko z Warszawy. Ładna rola Prinza.

Otwieram ruchomą werdiurę z Aubusson, maskującą stalową płytę, mówię hasło, a na płaskiej tabliczce umieszczonej na lśniącej tafli, jak na japońskim miniaturowym kalkulatorze, lekko naciskam klatki z odpowiednimi cyframi i literami.

Postusznie ustępuje gładki pancierz.

Zabieram teczkę z aktami kliniki „Continental”, która pojawiła się tutaj po śmierci Orlando Harrocksa. Nie tknę-
jęam klejnotów Vanessy. Uruchomiłaby wszystkie policje świata. O kradzieży papierów zrabowanych w Bostonie, jestem spokojna, nie zamelduje.

Zamykam skrytkę. W samą porę. Słyszę kroki Paula. Już ani chwili nie zwlekam, może kazano mu jednak przytrzymać mnie, gdybym chciała opuścić dom. Wymykam się kuchennym wyjściem i przez furtę w kamiennym miu"ze na ulicę.

Jedna taksówka, druga, trzecia. Nie zajrzałam na swoje poddasze przy ostatniej stacji metra, po drugiej stronie lasku Vincennes. Nie miałam już zaufania do żadnego miejsca w Paryżu.

Clignancourt.

W mrocznym arabskim straganie, wielkim namiocie z wojskowego brezentu, zapchanym łachami z całego świata, zaopatrzyłam się w międzynarodowy imiform wtapiający człowieka w tłum niemal na każdej ulicy każdego kontynentu: stare džinsy, bawełnianą koszulę i (i-ewniaki. Kupiłam plecak, kUka bluz na zmianę, meksykańskie poncho i toaletowe drobiazg. Stałam się podróżnym, bo człowiek bez żadnego bagażu zwraca uwagę tak samo jak z nadmiernym.

Przebrałam się w toalecie na stacji metra. Na peron Gare de l'Est weszłam bez makijażu i bez żadnych innych sztuczek przeobrażających wygląd. Z moją własną twarzą, w swoich własnych włosach, czarnych, krótkich, trochę kręconych. Upodobniona do fotografii na paszporcie Kahladyjki Suzanne Cartet.

I jeszcze tylko karta ze słowami; „Serdecznie pozdra[^]wiam!” - na adres skiytki pocztowej Messera i Prin[^]g Umówione ostrzeżenie. Po najdłuższej nieobecności w Pa[^]ryżu nie przyjdą na spotkanie w każdy pierwszy wtorek miesiąca do ustalonego bistro, zanim nie sprawdzą zawartości skiytki. Teraz będą omijać nasze wspólne ścieżki.

Przez Holandię zdążałam do Warszawy. Zdecydowałam się na kolej. Łatwiej zginąć w tłumie, kontrola nie jest tak uważna jak na lotniskach. Pewno, jeszcze nikt dotychczas nie próbował porwać pociągu.

Z grubsza wyobrażałam sobie bieg wydarzeń po mojej ucieczce z Nogent-Sur-Mame.

Komisarz pewno jest już po rozmowie z Yanessą, którą zna z różnych ekstrawagancji i ma za osobę tyle bogatą, co, mówiąc ogólnie, nierównoważoną, więc nieprzejęły zbytnio, ale też bardzo uprzejmy względem wielkiej damy, postara się wyjaśnić jej podejrzenia.

Każę, komu trzeba, zbadać znaki szczególne z wpisu w dokumencie, a także zdjęcie, zwłaszcza cechy lewego ucha, które na całym świecie każą ludziom wystawiać na podobiznę do paszportu, bo można odmienić kolor oczu, można prostymi sposobami przerobić układ twar[^], kształt sylwetki czy wzrost, lecz nie można przeobrazić rysunku ucha.

Dlatego najbardziej dostosowany dokument ma słaby pimkt. Albo pozostaje w nim portret podebranej podobieństwem osoby, albo wpasowuje się własny. W pierwszym wariacie wpada się przez różnice właściwości ucha na fotografii i u oryginału, w drugim na wkomponowaniu zdjęcia, kiedy już na dobre dobiorą się do człowieka i poddadzą wszystkie detale laboratoryjnej obróbce.

Komisarz to zleci i w jakiś czas później stanie się wiadome, że Mercedes Amado, głuchoniema Katalonka, to Lica Milović, Serbka, wcale nie upośledzona na słuchu j mowie, zbiegła z komisariatu ósmej dzielnicy Paizya, wówczas zamieszkała w Marais. Zanim jednak stwierdzą fałszerstwo, mam nadzieję być już w Holandii.

I co dalej?

Marais. Wprawdzie upłynęło sporo czasu, ale kto raz głyssał francuszczyznę Prinza, nieprędko ją zapomni. Jego lodzimy język często słyszała stróżka i arabscy gasterbeiterzy „Pod Wesołym Baranem”. Nie do ukiycia, skąd pochodził. Wiedziano o naszej znajomości. Tędy mogą trafić za mną do Polski i na nic moja okrężna droga do Warszawy przez Hagę.

Miałam wrażenie, jakbym ciągnęła lont. Biegnie po nim płomień: Marais, Vincennes, Wiedeń, pensjonat „Pod Żółtą Kotwicą”, Ritz, ogień rozlewa się dalej, przeskakuje granice. Gdzie się zatrzyma, czy się zatrzyma!

Jak się miało okazać, nie dotarł nawet do Wiednia. Vanessa nie odważyła się, jak przypuszczałam, zameldować policji o kradzieży dokumentów z jej sejfów, a oni działali opieszale, widocznie z ich punktu widzenia nie byłam znów taka ważna. No i na zdrowie.

Lecz moja opuszczona szefowa nie zrezygnowała i

czego nie zrobiła policja, zrobił Victor, jej kompan z paryskiego rezerwatu międzynarodowej fauny w Clignancourt, pamiętający mnie z „Chez-Soi”. Cholerny rodak trafił na mój ślad w Marais i niewiele tracąc czasu wytropił mnie z pomocą rodzimej szpany w Warszawie. Wysoka stawka. Kompromitujące Vanessę dokumenty i ja, niebezpieczny świadek mimo woli.

Ale się nabrałam!

Na ten pozorny spokój i ustronność domu przy rue Watteau. Zdawał się izolowanym królestwem beztroski, a okazał się gniazdem skorpionów. Później chciałam zdobyć trochę pieniędzy, ale przestałam panować nad biegiem wydarzeń niesiona jakąś nadrzędną siłą, która przywiodła mnie... właśnie dokąd?

Gadanie. Spodobał mi się chłopak i taka jest prawda Los zakpił sobie ze mnie. Podsunął okazję, za jakimi bezskutecznie uganiałam po Europie, ale wtedy przestały mnie rajcować wielkie łupy, tylko zaczęłam si[^] bawić w świętego Mikołaja. No to mam. Sama się doi- grałam!

Uther.

Zanim się pozbierałam we własnych uczuciach, wsiały. łam. A przecież wiedziałam, jaki jest. Trapiiony obsesją egocentryk. Słoneczko babimi i oczko w głowie tatusia, i właśnie ja musiałam go trafić. Nie słyszałam o mniej stosownie ulokowanym sentymencie, ale nic nie potrafiłam poradzić, a i nie chciałam, chociaż mo[^]am się spodziewać tylko kłopotów. W pełni zdałam sobie sprawę, jak ze mną jest, kiedy Anne-Marie przysłała fotografie z Pain- -Beach.

Floryda, Atlantyck. Anne-Marie w kostiumie kąpielowym na oswojonym delfinie, Anne-Marie w opiętych, kusych bermudach i tropikatowym kasku za kierownicą samochodu przypominającego cygaro i na kawałku ozdobnego kartonu pozdrowienia dla Uthera od ojczyzny.

-Zupełnie do rzeczy ta twoja ojczyzna - pochwaliłam podobizny Anne-Marie, chociaż mjiie skręcało.

-To modelka Vogue'a, poznałam ją pa wakacjach w Antibes.

Skręciło mnie jeszcze bardziej. Piękni, wolni, bogaci, z

nie skłamaną biografią. Nie liczyłam się, a przecież jakbym zechciała, też bym potrafiła wystawić goły zadek na tle drogiego auta.

Nie pokazałam się u Uthera przez kilka dni. No i odbiło mi!

Rano, kiedy Vanessa jeszcze spała, z jej zasobnej jak magazyn Lafayettea szatni skreśliłam z wykazu garderoby welurowy kostiumi lamowany rudym futrem z czerwonego lisa i kilkoma małymi poprawkami przystosowałam dla siebie. Umiejętnie, tak jak imięm zmieniać swoją powierzchowność.

Nigdy dotychczas nic nie brałam z jej rzeczy. Ale w razie czego potrafię jej wmówić, że sama kazała usiąść tę sztukę garderoby z inwentarza, bo nieraz dawała podobne polecenia. Zresztą z pewnością w ogóle nie zauważyła braku kompletu koloru jesiennych liści. Znałam jej okresowo ukochane szmaty, które nawet, jeśli się w nie nie ubierała, lubiła mieć. Inne odwieszała po jakimś czasie i nigdy więcej po nie nie sięgała. Oszczędna do skąpstwa, o stan swojej szatni nie dbała.

Przejrzałam roczniki Vogue'a, przemyślałam wiele sylwetek i wiele twarzy powielonej Anne-Marie, utrwaliłam sobie charakterystyczne cechy, starałam się przeniknąć przez tę zewnętrzną. Co może odczuwać, co myśleć, jaka jest w środku, kiedy nie pozuje.

Już do obiadu, który Vanessa przeważnie jadała około piątej, dodałam do wina nieszkodliwego, a skutecznego wyciągu z ziół, nie grożącego synergizmem z alkoholem. Zaśnie, mniej wykopie koniaku, będzie zdrowsza - miałam gotową, wygodną ideę. W dwie godziny później położyłam szefową do łóżka. O siódmej wyprowadziłam z garażu samochód Vanessy, zielonkawy jak pawi ogon, taki sam, jaki miała Anne-Marie. Nowy Paul, zabiedzony Turek, otworzył bramę z ukłonem.

Wóz pozostawiłam na parkingu. Pod dom, przy ostatniej stacji metra po drugiej stronie lasku Vincennes, gdzie wdaż wynajmowałam facjatę, nie chciałam podjeżdżać takim eleganckim samochodem. Zbyt widoczny

w tutejszym pejzażu zacnego ubóstwa.

Tak bardzo zajęło mnie przeobrazenie w Anne-Marie, że pytanie, jak przyjmie to Uther, przyszło dopiero, gdy zatrzymałam się w pobliżu jego mieszkania.

Wtedy po raz pierwszy dostrzegłam jakiegoś podejrzanego mężczyznę. Na węch, na intuicję poczułam niebezpieczeństwo. Cz[^]b[^] miała na karku policję? Na razie nie mogłam zrobić nic lepszego, niż pójść do Uthera.

-Anne-Marie! - nie poznał mnie. JMie mogłam jednak w pełni cieszyć się swoją sztuką, źle znosiłam świadomość obecności typa czającego się na ulicy.

-Widzisz, jaką złudą jest wygląd - zagałam pedagogicznie, odrzucając perukę koloru dojrzałej pszenicy, i p[^]. czułam się gościem nie w porę.

-Mercedes? - zatkało go. Znał mnie tylko pod tym imieniem. Poszedł za mną do łazienki i wciąż ponuro zdumiony przyglądał się w lustrze, jak zmywałam z twar[^] resztki Anne-Marie.

Milczący, chmurny przypatrywał mi się jakoś dziwnie, kiedy już niepodobna do dziewczyny z okładki usiadłam z nim do kolacji. Myślałam, ma mi za złe udawanie Anne-Marie, rozczarował się, że to nie ona, i na próżno szuka teraz w mojej twarzy, w mojej zwykłej twarzy, urody modelki i dziwi się sam sobie, jak mógł tak się nabrać.

W tamtej chwili wiele bym dała, aby naprawdę przemienić się w Anne-Marie. Ale wcale nie chodziło o nią, znajomą jak inne, której nie kochał, podobnie zresztą jak i mnie. Niewiele o nim wtedy wiedziałam, a zauroczonej nie dopii[^] mój wrodzony dar, jakby go nie nazwać, odgadywania ludzi.

On nie był otwarty na miłość. Owładnięty dręczącym poczuciem odmienności, wręcz upośledzenia z powodu własnej kondycji, naznaczony nieistnieniem matki. Bez jej śladu w jego pamięci, bez śladu we wspomnieniach innych, nawet bez śladu w jakiegokolwiek rzeczy. Nie chciana odrębność, dźwignana jak garb, stanowiła źródło nieustannego buntu przeciw rzeczywistości zastanej, ciągłą inspirację do odmiany tej rzeczywistości, miała też znaczący wpływ na jego niedojrzałość, zwłaszcza w sferze

uczuciowej, okaleczała osobowość i przeradzała się w obsesję.

f

Przyczyniał się do tego ojciec maniacko

obwarowujący własne tabu, przyczyniali się ludzie, jedni w dobrej wierze, inni dla pieniędzy.

I ja dołożyłam swoje, ujawniając istnienie nienormalnego brata.

- Kim jesteś, aktorką, mimem? - dotychczas nie pytał innie, kim jesteś, dopiero gdy przyszłam w przebraniu.

- Aiystokratką. Płynie we mnie krew kilku pokoleń szlachetnych koniokradów. Moi dziadowie nie brali wszystkiego, jak leci, tylko piękne rumaki. Nawet mój ojciec, nieudany szalbierz, nigdy nie zhańbił się odstępstwem od uprawianego rzemiosła. Pozostałam im wierna, ostatnia z rodu.

- Zabawna jesteś.

- Bardzo zabawna. Mówię prawdę. — Nie wziął poważnie mojego wyznania, a ja chciałam i nie chciałam, aby uwierzył. Ale jego wyłącznie zajmowały problemy Uthera- -Caradoca i zupełnie nie obchodziły cudze życiorysy.

- To znaczy wiesz, skoro postarałaś się zmienić wygląd.

- Przebrałam się dla hecy, a co powinnam wiedzieć?

- Nikogo nie zauważyłaś w pobliżu domu?

- Owszem. Jakieś dziwne bydlę włóczy się w okolicach bramy.

- Właśnie - vtnikając mojego spojrzenia wydukał skrę-

powany, że to osobnik nasłany przez jego tatę rozwścieczonego przyjaźnią syna z Polakiem. Tatę w ogóle niepokoi jego przestawianie z tą międzynarodową zgrają studentów, ale na Polaków szczególnie uczulony. Snob, wypiera się pochodzenia i dostaje szału, gdy słyszy o zainteresowaniach syna dziejami rodziny, oczywiście tą jej gałęzią, o której nie chce pamiętać.

Jak później zrozumiałam, stary Stunington sam nie bardzo wiedział, jaki udział w jego niechęci do kraju przodków miało identyfikowanie się z wzorcami amerykańskiego establishmentu, wychowanie, snobizm, a jakie przekonanie, że *syn* nigdy nie dowie się o swojej sfałszowanej biografii, jeśli wytrzebi w nim ciekawość i sentyment do ziemi dziadów.

Natomiast na Beja zawziął się szczególnie, bo dopóki nie zwrócił uwagi na mnie, młodemu Oskierce, a właściwie jego ojcu, przypisywał ujawnienie upośledzonego syna, ukrywanego nad Lago Maggiore.

- Potwór - podsumował tatusia Uther.

Odetchnęłam. A więc morda pod bramą nie łaps, tylko zwyczajny wyrobnik z jakiejś agencji, utrzymywany przez zdzieciniałego starca, mającego dość pieniędzy, aby żywić darmozjadów. Pewno mniej bym się cieszyła, gdybym wiedziała, jaki jest naprawdę senior Stunington. A tak, poczułam tylko bogate łupy. Dobra okazja na ładny kant. Sytuacja nieczęsta, wyczekiwana długo, przez cały paryski okres, odkąd tu ugrzęźliśmy po wiedeńskim niefarcie.

- Starego się nie wybiera, starego się ma -

pocieszyłam Uthera, z całą sympatią dla bzika jego taty.

- Zablokował mi konto - wypluł Uther ostatnie zwierzenie jak ość.

Biedny młody gniewny. Tato odebrał amimicję. Zaproponowałam pożyczkę, zachnął się, jakby siadł na jeżu.

- Nie mów więcej takich rzeczy - zmarszczył się, ociekał dumą.

- Wiesz, co robił król Nawarry, kiedy nie miał dziadków, tylko widoki na koronę francuską?

- Nie wiem - zamrzczał ponuro.

- Stał skryple dłużne do bankierów i jedni odsyłali je z powrotem, a irmi pożyczali pieniądze.

- Nigdy - znowu odął się szlachetną dumą, moja praktyczna koncepcja rozbiła się o kolejną zasadę. Jemu bardzo chciało się ładować węgiel albo zmywać naczynia w gar- kuchni, czym zarabiali na życie chłopcy, z którymi się przyjaźnił.

Idź! Ciekawe, jak długo wytrwasz, a może opuszczą cię urojone problemy, gdy pojawią się prawdziwe - myślałam. Wytrzymały i uparty zmagął się z węglem na Saint Lazare, dla zarobku i na ^ość tatusiowi, i ani na trochę nie wyzbył się swoich fanaberii.

Mieszkał teraz u kolegów, luksusowe studio - tak w Paryżu nazywa się kawalerka - wystawił do wynajęcia, pies z kulawą nogą tej ciężkiej zimy nie przyszedł nawet obejrzeć drogiego lokalu. Biedowali. Oceniałam, że muszę szybko wejść do akcji, inaczej skapieją, on, jego koledzy i ich karakony na poddaszu przewiewnej czynszówki.

- Dlaczego nie chcesz poznać moich przyjaciół? - Miał wielką ochotę zademonstrować mnie swoim studentom. Jeszcze czego, moja twarz to mój największy kapitał.

- Muszę pozostać w całkowitym cieniu, jeśli mam od ciebie skutecznie odwracać uwagę wynajętych oczu twojego taty - to był argument i prawie prawda.

Teraz moje przebieranki stały się koniecznością. Skóra cierpła na myśl, co się może zdarzyć, jeśli wywiad taty trafi za mną do Vanessy. No i przygotowywałam wystawienie zwierzyny. A musiałam się śpieszyć, nie wiedziałam, jak długo senior Stimmington zabawi w Paryżu.

Poszłam na Marais.

- Stało się co, dziewczyno? - ^^straszył się Prinz. Nie pokazywałam się w ich dzielnicy, odkąd przestała istnieć Lica Milović. Spotykaliśmy się w arabskiej jadłodajni na Belleville, gdzie przychodzili marokańscy gospodarze. Tam od pc^udnia przesiadywał Prinz, udzielając za przystoijną opłatą porad prawnych.

Tym razem nie mogłam czekać, aż Prinz pojawi się w knajpie, poszłam prosto do ich sutereny. Nie bałam się konsjerżki. We własnej skórze przy niewielkich retuszach w

niczym nie przepominałam Licy Miloyić, wyglądałam na włoskiego wyrostka.

- Mam dla was zajęcie i możesz mi mówić: Michelangelo.

Takie otrzymało imię czwarte, najmłodsze dziecko sprzątaczkii Uthiera, signory Owerola, włoskiej matki francuskiej obywateli.

— Paizżanin! - prezentowała oseska, kiedy po raz pierwszy po urodzeniu dziecka zjawiła się w pracy, przynosząc ze sobą niemowlaka. - Niech pani patrzy, signoring - mówiła z zaściwytem - wystarczy, że przyszedł na świat na tej ziemi i już nic więcej nie potrzebuje robić. Nigdy nie będzie musiał wystawać w prefekturze, jak jego manuna, i bać się, czy dadzą przedłużenie pobytu i na ile, i znowu dostać na" sześć miesięcy, 1 znowu się bać.

Michelangelo otrzymał wysoki dodatek rodzinny od Republiki premiującej przyrost naturalny i nikt już teraz nie śmie odmówić prawa pobytu i prawa do pracy jego mammie, bo kto odważyłby się wydalic mamkę francuskiego obywatela, któiy ma ustawowe prawo na terenie Republiki ssać piferś matki, bez względu na jej pochodzenie.

Od tej fartownej śniadej kluseczki z oczyma jak ciemne oliwki pożycz[^]łam sobie imię i poszłam na poddasze do przyjaci[^] Uthera. Z nim, aby go stamtąd wyprowadzić na czas mojej obecności. Umówiłam się daleko na mieście.

Podrzuciłam im pieniądze, a przy okazji wzięłam listy seniora Oskierko do syna, żeby coś przynajmniej z grubsza wiedzieć o człowieku, bo nawet nie znałam jego imienia. A wypytywanie na ten temat Uthera w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Koszta reprezentacyjne pochłoniły niemal wszystkie moje oszczędności z ascetycznego wynagrodzenia płaconego przez Vanesę, bo moi koledzy prawie zupełnie odwykli od czegoś takiego jak pieniądze, żyjąc wyłącznie ze znajomości kodeksów Prinza. Ci mieli charakter, prędeż zdechnąć z głodu, niż jąc się pracy. Jedyne odstępstwo stanowiły porady prawne udzielane nędzarzom za nędzarsłóe grosze. No, ale wszelaka juiysprudencja była szlachetnym hobby Prinza.

po przeszło roku Paryża ani trochę nie mówił lepiej po francusku, natomiast opanował sporo słów i zwrotów arabskich i w tym urozmaiconym żargonie potrafił wyłożyć nawet prawo rzymskie. Rozumieli się świetnie, znacznie mniej świetnie żyli. Wychudli, spadały z nich łachy. J]Vlusiałam ich ubrać, zapłacić dobry hotel, gdzie stanęli gospodą, jak przystało szanującym się członkom palestiy, musiałam wyłożyć na stosowne dokumenty i kolację dla Claparona w drogim jak diabli lokalu, który ten rozbójnik wybrał na miejsce spotkania, zanim udostępnił swoją kancelarię.

Odrestaurowany Prinz w szykownym garniturze leciutko używanym, jak się zwykli nosić ludzie wytworni, w nowiutkiej peruce, peruce z prawdziwych włosów, z tą swoją aż niesamowitą biegłością w temacie, był jak stworzony do roli adwokata z Polski, zważywszy nieznaną do żadnego innego języka.

Messer został mianowany dependentem firmy „Oskierko”. Po zainstalowaniu się w nobliwym pensjonacie, Witek zjawił się u Claparona, uwierzył w dobre dokumenty i omówił warunki współpracy.

- Jestem słowianofilem — zapewnił Claparon i wziął piętnaście tysięcy franków za pożyczanie kancelarii na jeden weekend, a później w „La Tour d'Argent” zeżarł dwa tuziny ostryg i sześć innych dań łącznie z ich słynną kaczką i pozostał chudy, jak był. Gdzie on to podziewa! Skunks! Za moje pieniądze, ciężko wysłużone u jego klientki. Miałam nadzieję, że go przynajmniej rozboleła wątroba.

Tak sprawili seniora Stimmingtona, sam się napraszał. Przebiegło gładko. W jego mniemaniu przekupność Oskierki była czymś oczywistym, takich ludzi znał z doświadczeń pięćdziesięciu lat praktyki między spdeczjiie zamaskowanymi łajdakami.

Ale nie doceniłam starszego pana i ciut się rozzuściwałam.

Opracowałam Idlka postaci i nawet nie wykorzystywałam nadmiernie Anne-Marie. Brałam jej skórę tylko wtedy, gdy bawiła poza Paryżem. Zażyłość Uthera z dziewczyną z okładki z początku nieźle usposobiała tatę, łudził się, że syn,

zajęty atrakcyjną przyjaci[^]nią, nie ma czasu i serca dla polskiego kolegi.

Mylł się.

Uther przywiązał się do mego rodaka. Coraz rzadziej z nim się rozstawał, a i ja nie umknęłam spotkania z nim. Bej zobaczył mnie w wydaniu Anne-Marie. Nie mógł oderwać oczu i były to oczy mężczyzny.

Cliłopcze z dobrego domu, nawet nie wiem, czybyś mnie zauważył na warszawskiej ulicy, czy bodaj spojrzął, gdybym usiadła obok w którejs z tych nielicznych kafejek w naszym rodzinnym mieście, gdzie podają czarną ciecz o smaku przypalonego jęczmienia, nazywając to kawą.

Jestem złudzeniem.

W kostiumie od Cardina, w markowym samochodzie, osłonięta kimszem wielkiego krawca, makijażem i aktorstwem, oprawiona w sympatię jedyne go spadkobiercy wielkiej fortimy, wydaję się piękna i pożądana, nieosiągalna jak cenny klejnot z wystawy jubilera na Champs Clisées.

Piliśmy wino na Menilmontant, dokąd nie pr[^]chodziła prawdziwa Anne-Marie, chociaż i tak zaczynało być niedobrze, bo stawałam się lokalną znakomitością. Patron 1 bywalcy rozpoznawali i pozdrawiali mnie jako dziewczynę z okładki.

A Uther wciągnięty moją grą, już tylko dla hecy, mimo moich protestów, zaciągnął nas do „La Tour d'Argent”, dokąd często przychodziła prawdziwa modelka Vogue'a.

Dobrze się bawił. Ja mniej. Głupia, niebezpieczna szarża. Wprawdzie Anne-Marie przebywała wtedy na plenerach w Nicei, ale w każdej chwili mógł wejść ktoś z jej znajomych. Nic się nie stało, ale z dużą ulgą opuściłam lok[^]. Postanowiłam wtedy na zawsze porzucić skórę dziewczyny z pierwszych stron popularnego magazynu, już dostatecznie wyeksploatowaną.

- Uther, jesteś szczeniak, zrobisz mi świństwo! - byłam zła. Miałam dla niego wiele poMażania, ale nie godziłam się na rolę tresowanego kucyka, klnącej papugi czy rachującego psa.

Miał, jak i inni z jego środowiska, skłonności do popisu. Czym sobie w końcu mogli zaimponować? Posiadali takie

same samochody i takie same klejnoty, i ubrania z najlepszych magazynów, i jachty, i rezydencje, i obrazy najlepszych mistrzów, i rasowe psy, konie i dziewczyny. Niczym już jeden nad drugiego nie potrafił wyskoczyć. Zabawną odmianę stanowiła niema służąca czy kobieta kameleon.

- Nie chciałem ci sprawić przykrości - zapewnił, ale nie zdawał się rozumieć, że mi szkodził narażając dla żartu. Oni wszyscy z tego klanu mają podobną cechę, rzadko zastanawiają się nad tym, co nie dotyczy ich bezpośrednio.

Spotkanie z Bejem przyniosło jeszcze jedną, niespodziewaną reperkusję, ale już nie z winy Uthera.

Kiedy mu szczególnie zależało, aby wywieść w pole tatową opiekę, zastępował go Messer. Byli niemal jednakowego wzrostu, reszta należała do kunsztu, w jakim Messer był tak dory, jak i ja.

- Idziemy do „Luxemburga”, sobowtór musi podpatrzeć twój sposób poruszania się - zawiadomiłam Uthera, gdy po raz pierwszy Witek miał go udawać.

- Ależ niech on przyjdzie do mnie, chętnie go poznam!

- Wykluczone - to stanowiło, oprócz zapłaty, oczywisty dla mnie warunek Messera. W naszym zawodzie trzeba oszczędzać twarz. Uther był niezadowolony, nie dano mu zabawki.

Messer już jako młody Stunnington zjawił się wieczorem pod bramą, w tym samym momencie Uther wyszedł z domu i nikt na niego nie zwrócił uwagi.

Zdecydowaliśmy z Witkiem wersję prawdopodobną, najbezpieczniejszą dla niego i jedynie możliwą dla mnie; młody Stunnington zajęty orientalną dziewczyną.

Toteż Witek byczył się przez cały dzień, nie wystawiając nosa poza studio Uthera, ja przemyślałam o zmiernym, po uśpieniu Vanessy, w wydaniu niepozornym, niezauważona. Tu przekształcałam się w Hinduskę, co dawało możliwości zupełnej zmiany wyglądu.

Wychodziliśmy oboje, nigdy przy dziennym świetle, Messer upodobniony do Uthera, ja w prawdziwym sari ze złotego jedwabiu z niewyczerpanej szatni Vanessy i z jej klejnotem, brylantowym soptem, złotawym jak skórka

cytryny.

Pod domem czekał kremowy buick wynajęty w wypożyczalni wTOz z szoferem. Uther nie miał wówczas samochodu. W taki sposób protestował przeciwko podwyżkom benzyny. Z czasem mu przeszło, bo paliwo mimo jego kontestacji wciąż drożało.

Jechaliśmy z Messerem do miasta, na kolację czy tylko przejechać się gdziekolwiek bądź, tyle, aby nas widziano, i to z bezpiecznej odległości.

Tak trwało przez cztery dni nieobecności Uthera. Piątego wieczoru poszliśmy z Messerem do „Olimpii”.

Dlaczego właśnie na występ z udziałem Anne-Marie? Przecież nie dla sztuki makijażu, którego tajniki znałam nie gorzej niż ów mistrz przerabiający na scenie twarze żywych manekinów na oblicza 2 portretów.

Poszłam z babstwa. Odwieczne babstwo przywiódło swoją zdobycz na pognębienie tej drugiej. Że łup fałszywy? Z łoży pierwszego piętra wyglądał jak najprawdziwszy.

jeja powierzchowność Messera nabrał się nawet Bej i po-
biegł pocieszyć Anne-Marie, o czym później dowiedziałam się
od Uthiera.

Tego wieczoru dla mnie i Beja Paryż okazał się małym
miasteczkiem. Nie wzięłam pod uwagę podobnego spotka-
nia. Nie przypuszczałam, że wciąż jeszcze działał urok
Anne-Marie w moim wydaniu. Zrobiło mi się żal siebie i
bardzo smutno. Dlaczego staję się niezapomniana, tylko
udając kogoś innego!

Niedługo później Paryż okazał się jeszcze mniejszym
miastem. Sfora taty Stunningtona trafiła na mój ślad. Coś
jednak robili za pieniądze, jakie im płacił. Gdy rozmnożona
Anne-Marie pokazała się jednocześnie na Florydzie i w
Paryżu, w Saint Tropez i w Paryżu, w Nicei i w Paryżu,
obstawili mnie c^okładnie i wydało się.

Na szczęście, kiedy tato Stunnington wyłuskał moją
osobę z zamętu spódnic wok^o jedynaka, a większość z nich
okazała się tą samą głuchoniemą służącą jego separowanej
żony, zdążył^o ostrzec Messera i oni z Prinzem zniknęli z
miasta. Mieli za co. Stawiał senior Stunnington. Każdemu z
nas przypadło w udziale dużo pieniędzy za numer pod
tytułem: mecenas Oskierko z Warszawy. Obłupiły ich ze
skóry jak gotowany bób, gdyby ich dopadł i rozpoznał. Mnie
też riic by nie uratowało przed francuskim kryminałem,
choć działałam z za kulis, jeśli by bodaj domyślił się mojej
roli w tej mistyfikacji. Ale wtedy on nie wątpił w
autentyczność Oskierki, z którym zawarł układ w kancelarii
Claparona. Jednak rozjaśniło mu się, kto naprawdę, wydał
Utherowi miejsce pobytu homunkulusa, więc wziął mnie na
smycz i żądał, abym donosami odkupywała wyrządzone zło!

Zło! Może jednak o istnieniu tamtego nieszczęśnika nie
należało mówić Utherowi. Iyiko wtedy, gdy powiedziałam
mu o bracie, Uther nic mnie nie obchodził, a i niewiele
o nim wiedziałam.

Kim jestem? - od czternastego roku ^ocia uporczywie
szukał odpowiedzi na dręczące pytanie. Nie znana matka i
wciąż daremne próby jej odnalezienia *cy* bodaj odgadnięcia,
kim była. Vanessa, żona ojca związana z nim małżeństwem
na długo przed jego, Uthera, urodzeniem. Kompletny

galimatias matymonialny!

Odkrycie upośledzonego brata. Skrętnie zbierane opinie krążące o bostońskiej klinice, gdzie przyszedł na świat i gdzie podobno eksperymentowano z zarodkami ludzkimi na długo przed pierwszym dzieckiem ze słoja. Literatura tematu, wszystko służyło logice jego teorii.

Kropkę postawiła głośna książka Davida Rorvika, przedmiot sensacyjnego procesu. Fantastyczną koncepcję podbudowywało jego niezwykle podobieństwo do ojca.

— Pochodzę z retorly—zawiadomił mnie, wręcz chory od tego przypuszczenia. Przyprawiało go o wściekły bunt.

Też wolę, aby pozostało po staremu. Ale jak się zastanowić bez uprze^ęn, no to co? Czy taki ważny początek? Człowiek istnieje, czuje, myśli, rozumie i może cieszyć się światem.

Jednak nie podzieliłam się tą refleksją z Utherem. Najłatwiej kwitować problemy innych. Może świadomość wyeksperymentowania mnie w laboratorium też wywołałaby mój protest.

Wylęgnąć się w probówce, jak bakteria albo jakiś pierwotniak, co się rozmnaża przez podział, no czy ja wiem? Nie zanadto zachwycające, ale nie potrafiłam wzbudzić w sobie świętej grozy, tylko niepokój przed uszkodzeniem takiej drobiny życia.

Właśnie uszkodzenie. W upośledzeniu swojego brata Uther dopatrywał się skutków manipulacji genetycznych. Pewnie, strawniej jest człowiekowi wierzyć w fuchę medycyny niż w zastarzałego syfa przodków. Ale nie zdradziłam przed nim swoich trywialnych liipotez, tylko podciągnęłam się w przedmiocie, żęły go pocies^ć naukowo.

— Jeden procent dzieci w ogóle rodzi się z wadami rozwoju, a nosicielami skaz genetycznych są prawie wszyscy.

Z tym samym efektem mogłam mówić do ściany. Nie obchodzili go wszyscy, tylko on i jego brat. Znowu podejmował pielgrzymki do kolejnego faceta z tytułami długimi jak imiona chińskich mandarynów, a w jego zastępstwie Messer wspierany przeze mnie wodził na manowce wynajęte oczy taty Stuningtona.

I tak jeden wariat latał po świecie, bo miał zmartwienie,

czy nie pochodzi z kolby, jakby świat zastany był z tego powodu gorszy albo brzydszy. A drugi robił wszystko, aby ten pierwszy nie dowiedział się prawdy.

Ale wtedy o motywach postępowania ojca Uthera nie wiedziałam nic. Kiedy słabe serce Artura nie mogło już podołać w służbie wielkiego ciała, wciąż rosnącego jak ciasto na przekór dietom i leczeniom, oni wszyscy poszaleli.

Senior Stunington ufając tylko medycynie amerykańskiej wymógł na żonie przeniesienie nieudanego syna do Stanów. Pijana Vanessa pomawiała męża o zbrodnię dokonywaną w majestacie najnowszych osiągnięć współczesnej medycyny, trzeźwa nie mówiła nic, przybita i smutna latała do Bostonu, dokąd przewieziono jej syna. Nie zabierała mnie ze sobą, w czasie jej nieobecności na rue Watteau regencję sprawował Czen.

Stary Stunington zgodził się na przeszczep i w bostońskiej klinice czekano na dawcę. Na kogoś młodego i zdrowego, i w pełni władz umysłowych, kto nagle skręci kark na tyle skutecznie, aby można mu wyjąć serce i wszczepić istocie, co do której nie jest się pewnym, czy nawet zdaje sobie sprawę ze swego istnienia.

I to budziło we mnie większą grozę niż życie poczynane w próbówce. Ale Artur nie doczekał cudzego serca, jego własne, zmęczone, przestało bić, zanim znalazł się ktoś, komu można by je było wydrzeć. Zniknął jeden problem moralny, pojawił się drugi. - Czy nowego serca nie stało w rezultacie zbrodniczego zaniechania?

- Nie czuję z nim żadnej ludzkiej więzi - zwierzał się Uther przerażony swym odkryciem i latał do Bostonu dla ekspiacji za brak przywiązania do brata, wobec którego oprócz litości nie potrafił wykrzesać żadnego innego sentymentu, z poczucia winy, że jest zdrowy i uprzywilejowany, a po trosze, nie bardzo nawet sobie zdając sprawę, i dla Vanessy.

Nigdy nie dała się widzieć w bostońskiej klinice.

- Dlaczego mnie nienawidzi, czym wobec niej zawiniłem? - rozmyślał głośno pełen żalu, w nadziei chyba też nieświadomionej, że się dowiem i mu doniosę. W pewnej mierze wiedziałam. Wyrobiłam sobie pewien pogląd, skła-

dając strzępy nietrzeźwych monologów szefowej, które nie nadawały się do powtarzania.

Czym zawinił?

Samym faktem istnienia. Odczuła je jako zniewagę wymierzoną jej kobiecości, upokorzenie przez mężczyznę, od tej chwili jej dramat, dramat matki upośledzonych dzieci, stał się nieodwracalny. I wreszcie Uther był istotą, która zabrała całą miłość ojca, nie pozostawiając już nic dla jej nieudanego syna.

Zgodziła się, kiedy jej mąż postanowił mieć własne dziecko. Nie wiadomo czym powodowana. Poczuciem winy, że nie mogła dać mu zdrowego potomstwa, kompromisem, może kochała męża i bała się go utracić, a może kierowała nią troska o Artura, który między nimi mógł być przedmiotem przetargu. W każdym razie przyrzekła dziecko męża uznać za własne. Jakże musiała czuć się upokorzona przystając na taki układ! Jednak przystała. Jej syn, jak sobie życzyła, został umieszczony nad Lago Maggiore, a ona, zgodnie z życzeniem męża, w domu pod Paryżem ukiywała się przez miesiące rzekomej ciąży.

Ale nie znała swego serca.

Nie potrafiły nie tylko pokochać dziecka męża, ale nawet nie zdobyła się na tolerancję. Na wiadomość o jego przyjsciu na świat znenawidziła je, odmówiła usynowienia i więcej nic nie chciała o nim wiedzieć. Nie podcała roli biblijnej Sary.

Rozeszły się ich drogi, a Artur stał się obosieczną maczugą w rękach obojga i zapanowała względna równowaga we wzajemnej urazie, z upływem czasu przemieniającej się w nienawiść. Piywatne piekło.

Pierwszą przerwę w podróży miałam w Hadze.

Między jednym pociągiem a drugim zatelefonowałam do Uthera. Numer na Stegnach, jeden z podanych mi przez niego w karcie pocztowej, kiedy jeszcze je do mnie pisywał, nip odpowiadał. Zadzwoiłam na drugi, do wiejskiego domu w Orylu, o którym donosił w korespondencji sprzed roku.

- Słucham! - odezwał się Uther, w tle punktowanym tym ledwo uchwytnym pulsowaniem, jakie znałam z aparatu w domu Vanessy. Widocznie miał podobne urządzenie. Na

dalszym planie słyszałam muzykę, szmer rozmów, śmiechy, dźwięk szkła.

- Mam zamiar cię odwiedzić - nie byłam pewna swego głosu, miałam tremę. Poznał mnie dopiero wtedy, gdy wymieniałam swoje imię i wspomniałam Paryż.

- Gdzie jesteś? - nawet się ucieszył. Powiedziałam, gdzie jestem. - Wsiadaj w samolot, odbiorę cię z Okęcia.

- Będę w Warszawie dopiero pojutrze - nadal nie mogłam ryzykować kontroli w aeroportach.

- Jaka szkoda. Jutro wyjeżdżam na kilka dni.

- Myślałam, że będę się mogła u ciebie zatrzymać. - Oczywiście, miałam gdzie mieszkać, ale chętnie przyjąłabym zaproszenie.

— Nie ma problemu. Zostawię dla ciebie klucze w sekretariacie naszej firmy. Mieści się w „Intraco”. Każdy ci wskaże zielony wieżowiec na ulicy Stawki. - On też nie wiedział, skąd naprawdę jestem. Nigdy mu nie powie* działałam.

— 2^powiedz Suzanne Cartet. Tak się nazywam— odłożyłam słuchawkę, aby nie wdawać się w objaśnienia, gdzie się podziała Mercedes Amado.

Nurknęłam w uliczny ruch. Sobotni wieczór, niespieszny, odświętny tłum. Cudzy język, cudze miasto, cudzy obyczaj. Wszystko to odczułam na^e, samotna, obca, poza nawiasem zwyczajnego życia. Rozpaczliwie zatęskniłam za domem. Dawało o sobie znać zmęczenie i rozczarowanie niepamięcią Uthera.

Po siedemdziesięciu ośmiu godzinach podróży non stop, przez Holandię, Danię, Szwecję dotarłam do ojczyzny. Warszawa.

Czysta, schludna, wyciszona wczesnym rankiem, swojska, wzruszająca i trochę inna, i trochę prowincjonalna po rozgardiaszu tamtych metropolii.

Restauracja - remanent! Kiosk Ruchu - zaraz wracam! Nieczynne z powodu urlopu personelu, zamknięte z powodu choroby personelu, zainknięte z powodu braku personelu. Pr^ęcie towaru. Kontrolny spis towarów. Remont!

„1^lko na Żoliborz, zjazd do bazy” - wywieszka za przednią szybą jedynej taksówki, która zawinęła na postój.

— Chcesz mieć garaż z dupy, szczyłu! - facet za kierownicą, który mnie wziął za chłopca.

— Jak leziesz, krowo! — kierowca autobusu, co rozpoznał we mnie dziewczynę.

Poczułam się w rodzinnym mieście.

I daleka Wola za cmentarzem karaimskim. I dawno nie widziany dom z pompą i wszelkimi wygodami w ogrodzie. Ale ogród piękny, a drzewa podro: ^y i przybyło gałęzi ^ koronach. I moja matka, niemłoda już, bo Ityłam ostatnim i późnym dzieckiem, o takich mawiają; wyskrobek.

Sierota z wyboru, od lat nie widywałam mojego rodzeństwa, nieźle ustawionego w życiu. Mieli mi za złe tryb życia i niejasne źródła utrzymania. Nie wpuściliby za próg, gdyby wiedzieli, czym się zajmuję. Nie chcieli wiedzieć, jlieszkali oddzielnie.

- Limia! - chwyciła mnie w ramiona matka. Jeszcze tylko ona nazywała mnie tym zdrobnieniem z czasów dzieciństwa. Ona znała prawdę. Ale matki kochają swoje dzieci, jakimi są.

Wszystko tu jak dawniej. Wyszorowane, żółte niczym szafran deski nie malowanej podłogi, szmaciane chodniki, rozłożysta kuchnia z pękniętym siódmym kaflem. W pokoju kiyta wzorzystym pluszem kanapa, nazywana otomaną, z wielką ilością haftowanych jaśków i Cyganką w sutej spódnicy usianej cekinami. Tą lalką nigdy nie pozwalano bawić się dzieciom. Nie była zwykłą sobie lalką, przydawała wykwintu kanapie, najbardziej cennemi ^ meblowi, na którym siadywało się tylko. od święta.

- Zrobię ci jajecznicę. - Nie pytała, skąd przybywam, jak nie pytała nigdy mojego ojca. Rozbijała jajka, skwierczał tłuszcz na patelni, a kiedy zjadłam, przyniosła cynkową balię, też zapamiętaną z dzieciństwa, i podrzuciła węgla na palenisko.

Czerpała wodę z kocic ^ a wpojonego na stałe w trzon kuchenny zamiast piątej fajerki, gdzie zawsze, jak pamięcią sięgnę, parował wrzątek, kiedy się tylko paliło pod płytą.

- Dziękuję ci za paczki, a pieniądze zachowałam dla ciebie. - Była córką, siostrą, żoną i matką ludzi nie żyjących w zgodzie z kodeksem karnym. Sama nigdy i w niczym nie

brała udziału. Pracowała. Wysłużyła skromną emeryturę.

- Wszystko, co przysłałam, jest dla ciebie.
- Mnie tam, dziecko, niewiele potrzeba. Może ty się kiedyś ustatkujesz, za mąż wyjdiesz... Jaka to moda dzisiaj, dziewczyny takie chude! - myła mi plecy i użalała się nade mną. - Pewnie byle jak się żywiłaś po tych zagranicach, no nic! Odkarmię cię, jeśli chociaż trochę posiedzisz w domu - przy okazji chciała się dowiedzieć, jak długo zagrzeję miejsca.

Niezmiennność matki, trwanie starego domu, tych samych sprzętów, wciąż takiego samego rytuału powitania i niekłamanej radości z mojego powrotu - przywracały spokój. Zасыpiając poczułam się bezpieczna. Ale nie byłam bezpieczna. Towarzyszyły mi pasje, namiętności i szaleństwa innych ludzi.

9

- Mecenas Oskierko? - kobiecy głos z francuska zakrzusił się moim nazwiskiem. W mikrofonie szemrało ledwo wyczuwalne pulsowanie, jakby biło dalekie tętno. Takimi właściwościami odznaczał się telefon znajdujący się u Uthera w Oiyłu. Ostatnie słowo elektroniki Telefun-kena innej równie znakomitej firmy.

- Mam wielkiej wagi wiadomość dla starego Stunning- tona. - „Starego” — powiedziała po polsku, chociaż z podobnie fatalnym akcentem, jak i moje nazwisko.

- Nie znam seniora Stuningtona, do tej pory widziałem go jeden raz.

- Nie szkodzi. Doradcę prawnego swojego syna potraktuje poważnie.

- A panią nie?

- Ze mną gorsza sprawa. Może nawet pomyśleć, że chcę od niego wyciągnąć pieniądze.

- Pani naprawdę nie chce?

- Zawsze jest pan niegrzeczny dla klientów? - znów udukała po polsku.

_ Pani nie jest moją klientką, do tego anonimem.

_ A obowiązkowa uprzejmość palestry?

_ Ogólne schamienie obyczajów nie ominęło i mojego

zawodu.

■ _ Proszę mnie traktować serio-upomniała się, punktu-
virana tym charakterystycznym falowaniem aparatury. -
pziałam w interesie Uthera, a on jest pańskim kUen-

Sceptyk ze mnie, madame. Nie wierzę w bezinteresowną
troskę o cudze dobro, zwłaszcza deklarowaną na odległość
przez osobę ukrywającą swoją twarz.

- Niech pan nie mózguje. Jest pan skłonny spełnić moją
prośbę? Niech pan nie odmawia, bo może wydarzyć się
nieszczęście!

- Co mam przekazać do Kalifornii, proszę tylko kon-
kretnie - zdecydowałem się, pośredniczyć. Może naprawdę
wiadomość jest ważna. W głosie kobiety brzmiała determi-
nacja.

I

- Dokumenty Orlano ^arrocksza znałaby się tutaj. O ile
wiem, nikt jeszcze nie posiada fotokopii. Czekam w War-
szawie.

- Jak panią rozpoznać?

- Niechaj poda dzień przybycia i hotel. Odnajdę go. Po
te szczegóły zatelefonuję do pana jutro. Proszę działać zaraz.
Liczą się godziny! Do usłyszenia.

Zamówiłem Los Angeles i nakręciłem numer Oryla, chociaż
nie wierzyłem, aby anonimowa kobieta, jeśli nawet tam jest,
podniosła słuchawkę. I rzeczywiście, w mieszkaniu Uthera
nie odezwała się żadna cudoziemska dama, tylko
mechaniczna sekretarka.

Zgłosiła się Kalifornia.

- Witam, mister Oskierko - powiedział ojciec Uthera.
Słyszałem go po raz drugi w życiu, a pierwszy z takiej

odległości i mimo że już przecież wiedziałem o ich niesłychanym podobieństwie, poruszyło mnie, Medy poprzez konflikt Tienty odezwał się głosem Uthera, łudzącym w brzmieniu i artykulacji.

Przekazałem informacje nieznanym.

- Będę w Warszawie... - Zamilkł na chwilę, po czym podał datę i poranną godzinę przybycia samolotu według zegara europejskiego, uwzględniając sześć godzin różnicy.

- Zatrzymam się w „Victorii” lub „Bristolu”. Oczywiście nie wspomni pan Utherowi o sprawie?

- Nie wspomnę. - Czyżby wciąż chodziło o tajemnicę urodzenia chłopca, czy o coś znacznie gorszego. Jedno jest pewne, na dźwięk nazwiska zastrzelonego przed rokiem szefa bostońskiej kliniki senior Stunington rzuca wszystko i śpieszy na drugą półkulę.

- Uther jest w Warszawie?

- Właśnie wyjechał do Nowego Jorku.

Po tamtej stronie szmer, jakby westchnienie ulgi i:

- Do zobaczenia, dziękuję, mister Oskierko.

Rzecz musiała się przedstawiać poważniej, niż sądziłem.

Teraz i ja zaniepokoiłem się o Uthera. Szczęście, że nie zlekceważyłem telefonu nieznanym.

Znowu pomyślałem o Orylu. Wydawało się prawie pewne, że ktoś skorzystał z aparatu w domu nieobecnego Uthera, chociaż zapasowe klucze od jego mieszkania leżały w mojej kasie.

Mimo późnego już wieczoru postanowiłem tam pojechać.

Jeśli anonimowa kobieta pozostawiła jakiś ślad swej bytności w Orylu, należało szukać go zaraz.

Nieustannie padało. Sierpień, a szaruga niemal jesienna, podszyta zimnym wiatrem. Zdjąłem z wieszaka nieprzemakalną kurtkę. Zajrzałem do środkowego pokoju, gdzie koncentrowało się nasze życie rodzinne.

Pod ścianą we własnej poświacie szemrał sobie telewizor.

Na, moja żona, siedziała w fotelu zerkając w otwartą książkę, w jej dłoniach migwały druty. W koszyku obok jędbka wełny, z którego snuła się nic, spała nasza kotka, łudząco upodobniona do tego kłębka.

- Późno wróć - nie mogłem powiedzieć, dokąd się

^bieram bez podania przyczyny należącej do tajemnic
^awodowyci. Niech myśli, że jeszcze mam sprawy w kancelarii
na Królewskiej.

- Już jest późno - wymierzyła sztych drutem w tarczę
stojącego na półce zegara. - Ten twój syn też się gdzieś
wałęsa. - Kiedy Bej budził jej niezadowolenie, był to zawsze
mój syn.

Przy drzwiach niecierpliwił się Lord, pies wielki jak nie
wyrósnięty kuc, kudłaty niczym muflon. Przystępował złapy
na łapę, jego twarde poznokcie uderzając o posadzkę
wydawały dźwięk rozsypujących się szpilek.

Nie zabierałem go wychodząc wieczorami. Tyna sama w
domu, zwłaszcza po zmroku, czuła się nieswojo, pies
dodawał jej pewności siebie. Mieszkamy daleko od śród-
mieścia, na południowym skraju Warszawy, przy końcu
krótkiej uliczki: Rajskich Ptaków. Zaraz u jej wylotu
rozciągają się Lasy Kabackie.

- LiOrd nie idzie - rozwiąłem jego niktę zresztą
nadzieje. Poczłapał przez hall z powrotem, nie spoglądając
w moją stronę, lecz kiedy wychodziłem, próbował jednym
desperackim susem przemknąć przez otwarte drzwi.
Sztuczka świetnie znana nam obu.

Na dworze wiatr siekł zimnym deszczem, targał łańcu-
chem latami zawieszanej przed wejściem u sufitu podcienia.
Ogniwa wydawały rytmiczny zgrzyt, blask przesączony
przez miodowy klosz przesuwiał się po kamiennych płytach,
jakby przedproże opływały złociste fale.

Nagle zapadła ciemność. Pogasły wszystkie światła,
tylko w dalekiej perspektywie gorzały pomarańczowo uliczne
latarnie Puławskiej. Do samochodu wsiadłem po omacku.
Stał przed domem, do garażu wprowadzałem go rzadko, bo
wtedy T^a miewała trudności z wymanewro^ waniem
swojego małego fiata.

Orylska poprzecznicą skręca z wyszkowskiej szosy. Alg
nie lubię, zwłaszcza w taką pogodę, kierunku na Radzy, min.
Wolałem nałoiyc drogi i wybrałem trasę okrężną, alg z
lepszą nawierzchnią. Minąłem Legionowo, zanim zdąży,
łem skręcić ku Serockowi, usłyszałem szelest w głębi wozu
w tej samej chwili poczułem zimny ucisk u nasady głowy. '

- Jedź, mecenas, do Oiyła - dobył się zza moich pleców męski głos.

Zeszywniał mi kark i zaciążyły ramiona, poczułem skurcz gdzieś w głębi jestestwa. Jakaś istota wewnątrz mnie, a przecież nierozdzielna, pragnęła zniknąć, stać się niewidoczna. A jednocześnie ja, kierujący wozem, prowadziłem z uwagą, tylko jakby inaczej widziałem każdy mijany szczegół.

I pełne zgrozy zdumienie: to tak, właśnie tak ma się odbyć mój prywatny koniec świata. Uczucie znane już z kamienistych plaż Dunkierki, z piasków Afryki i pewnej sławnej teraz góry we Włoszech.

I natłok myśli: wywabiono rrmie z domu telefonem anonimowej kobiety... Durniu! nie dojrzeć człowieka we własnym samocho[^]ie... Przecież nie zwracałem uwagi na tylne siedzenie... Tam leżał pled... Żuł wcisnął się za moje oparcie... Wsiadałem w ciemności... Ale tylko na mojej ulicy pogasły światła, dobrze pamiętam, na Puławskiej paliły się oranżowo nowe, przeciwmgielne latarnie... ktoś współdziałający z tym tu - nie widzę go w lusterku, bo wciąż czai się za oparciem siedzenia - więc ktoś odłączył prąd w mufie - przeżywam wieczność uwięzioną w sekundach i pokonuję strach.

- Powiedziałem do Oryła - czuję silniejszy nacisk chłodu na karku nad golfem swetra.

- Do wsi czy na kolonię? - odzyskuję jasność myśli. ViPidać, nie zorientował się, że właśnie tamjechałem, zmylija go moja okrężna droga.

- Dowiesz się, mecenas, w swoim czasie-nadal kiył się, przykucnięty za oparciem mojego siedzenia.

Gdyby tak nacisnąć gaz i nagłe załamować - rozważa- jem szansę. Zarzuci i on może mi wpakować kulę nawet piechcąty, jeśli pod wpływem niespodziewanego wstrząsu trąci palcem spust albo jeżeli jest tćliórzliwy, uczyni to gamo z czystej desperacji. Nie mogłem nic zrobić, dopóki piałem go za sobą.

- Niech mecenas uważa na drogę, nie w lusterko, bo jeszcze nas szlag trafi! — upominał nie bez racji. Od ziemi pełzła mgła, w świetle reflektorów kipiła, rozsnuwała się,

falowała jak kłęby dymu z papierosa. Pysk samochodu nurzał się w oparzę, ż[^]to prześwietlonym przez halogeny.

- Kark skręcimy w tej zupie - stras[^]łem. Byłe zatrzymać się i wywabić go zza moich pleców.

- Da się jechać - znów nacisnął mi szyję cłifodnym metalem - i niech nie próbuje żadnych sztuczek, bo zbawię życia. Nie warto się narażać. Załatwi, co musi załatwić, i wróci sobie zdrowy i cały.

- A co musi załatwić?

- Dowie się na miejscu. Mnie niech za język nie ciągnie.

- Od kogo się dowie? - Milczał. - Włazłeś do wozu, żeby się schronić przed deszczem, ogrzać i przespać.

- Ogrzać! Febry się nabawiłem, zanim mecenasa doczekałem. W tej pańskiej blaszance uszy można odmrozić. Był to wysłużony popularny citroen, przezywany bla- szanką, z którym nie mogłem się pożegnać trochę z przyzwyczajenia, trochę z braku pieniędzy.

A ta podła cytryna mogła okazać przynajmniej raz lojalność.

No, zapykaj dychawicznie, ręką, zatchnij się i zgaśnij!

- Namawiałem ją w myśli. Wtedy on przestanie dekwować się za moimi plecami i wreszcie spróbuję nakłść mu po mordzie.

Z jakiej racji mamy furmanic osobnikowi, co poniza jedno z nas zgajac w potylicę czymś, co może być pistole, tem, ale równie dobrze kluczem od komórki na króliki. zakrztuś się, zadygocz, jak zwykłaś robić, i stań - stara jesteś i zajeżdżona.

Toczyła się rażno, rozdzierając welony oparów, jak po kapitalnym remoncie. Sprzedam dziwkę, jeśli tylko wywinę się z tej imprezy!

- Włazłeś do wozu, bo chciałeś coś zwędzić, a teraz nie wiesz, jak się wycofać - prowokowałem. Może się rozgada, kto go nasłał i jacy ludzie czekają na mnie u kresu drogi.

- Niby co tu jest do zwędzenia. Tranzystor, koc? I kto dzisiaj łachy bierze. Na szmaty zbytu nie ma, chyba ekstra klasa, ale znowu moda łachmaniarska, im kto bardziej za[^]ły, tym gorzej odziany lata. Naród przestał w ubiorach się

kochać, w co innego pieniądź ładuje.

Zwróciłem uwagę na jego sposób wysławiania się. Oprócz sporadycznie użytych zwrotów: *wisz, mecenas, szoruj, mecenas*, które pewno w jego mniemaniu należały do znamion mocnego człowieka i wielkomicieskiego szyku, mówił do mnie w trzeciej osobie lub przez wy. Takiej formy używa się jeszcze dość często nad Bugiem, w widłach Narwi, na Kurpiach.

- Mamą macie szkapę, mecenas. Nie wierzę, żeby onego nie stać na lepszą. Przed fiskusem się dekuje, dobrze mówię? Przez te lata, co pan tu adwokatuje, z samego Oryła ile wyciągnął. Jak się o działy zaczęli drzeć, tylko za porady na mercedesa mógł uskładać.

- Skrzywdziły cię działy? - niejednokrotnie występowałem w imieniu pozostałych na roli. Broniełem ich przed roszczeniami osiadłych po miastach siostr i braci, często ekonomicznie zabójczymi.

- Co tu było do dzielenia? Jak pies położył się na pagonie, ogon już na sąsiedzkim trzymał, lyiko adwokatom raj, jak się sukcesory żarły.

Milczałem. Nie jest aż tak głupi, aby wobec mnie przyznawać się do pochodzenia z Oryła. To kamuflaż.

Wychynęło z ramię drogowskazu. Skręciłem wpoprzecznice i zanurzyliśmy się w las. Po kilkimastu metrach skończył się asfalt, potem wóz zarzęził na pierwszych vvybojach rozjeżdżonej żwirówki i nagłe targnięcie i cisza, pomyślałem - zgasł motor, i ostatnie słowo rozsypało się w mojej głowie bezładnymi zgłoskami...

Wiatr targa latarnią, czterościermą umbrą, sączy się światło ruchome jak fala. Boleśnie zgrzyta łańcuch w lyt- mie pr^Tplywu i odpfywu złocistego blasku. W tym samym lytmie pr^blizają się i oddalają głośy.

- Niech nie hałasuje - upomina mężczyzna. - Wiadro nie musi tak skrzypieć.

- Kabłąk je skrzywiony, to piszczy - odpowiada przeprasząco bełkotliwy kobiecy głos. Zgrzyt cichnie. - Nowej wody trza nabrać. - Nikt nie odpowiada. - Ady mówię, nowej wody trza, zimna musi być.

- Ta jest wystarczająco zimna - mówi mężczyzna.

- Jak tak, to tak - gardłowo mamrocze kobieta.
 Klap, klap, klap - idzie stępa koń, koń nazywa się Mierzyn, tak go zawołał mężczyzna. Mierzyn. Ładnie. Ale mierzyn to nie imię, tylko odmiana tatarskich wierzchowców. Żnów skrzyp. Przez świdrujący dźwięk przedziera się głos:

- Niech postawi kubeł! I niech wreszcie przestanie kręcić się pod nogami.

- Kazali okładę kłaść, kładę. Czego chcom?

- Żeby usiadła, o tam, i cicho siedziała.

- On ciebie z łowczych obierzy wyzuję /iw zaraźliwym powietrzu ratuje / ... ty jesteś kapłan do końca wieka / wedle obrządku Melchizedeka / - monotonnie wywiodła kobieta, nawet niegłośno, ale głucho brzmiąca melodyka i kaleka dykcja przykro drażnią słuch.

- Zamilcz, Babo! Możesz się modlić, ale nie śpiewaj - denerwuje się pierws[^] os.

- Znac[^], psalmów nie pozwalajom. Tak, to tak! Koronkę odmówię. Koronkę można?

- Można. Ale cicho ma być.

- Z godzina minie, zanim zacznie kojarzyć. Po coś mu dał tyle na oszołomienie, Mierzyn - ma za złe drugi głos, i on także wydaje mi się znany.

- Damn! Drugie wynika z pierwszego. Czemu łeb one- mu rozkwaślił, mógł go życia zbawić. Bardzo jestem nierad z takiej roboly, bardzo - gani poprzedni głos.

- Myślałem, specjalnie stanął, żeby dać dyla w las, proszę Steve'a - tłumaczy Mierzyn.

- T^abyło głuszyć lekcej - Steve nie daje się ułagodzić.

O kim oni rozmawiają? Muszę uporządkować wrażenia.

Z wysiłkiem zbieram rozsypujące się myśli. Znajomy tembre nazywa się Mierzyn, drugi nie ma miana, jednak też musiałem go już kiedyś słyszeć, tylko nie pamiętam gdzie. Trzeci to Steve. Głos zupełnie obcy, ale skądś znam imię. Dlaczego Steve posługuje się takimi zwrotami jak: onemu, zbawię, w znaczeniu pozbawię, skoro tak powinien mówić ten znajomy, Mierzyn.

Mozolnie wyłuskuję znaczenie słów, układam w zrozumiały tok. A zatem komuś, kogo należało tylko zamroczyć, Mierzyn rozbił głowę i jeszcze dał coś odu - rza - ją - ce -
- go. Głoski uderzają w takt wahadła zegara, usiłując je wyrzucić poza zaciśnięte zęby, które zaczynają się gdzieś w głębi wielkiego bólu.

- Majaczy - zauważa Steve. - Zbudź się, Babo, zmień jemu okład.

- Szczęśliwy prymityw. Robota, modlitwa, jedzenie, sen. Ona nawet nas się nie boi, przerastamy jej wyobrażenia - odzywa się Drugi, towarzysz mu brzęk szkła, bulgot palewanego płynu, syk wody z syfonu i coś jak grzecliot, i na tym tle ktoś idzie powłócząc nogami.

- Dałby Bóg, aby się pan już przecknął, mecenasie - niamrocze bełkotliwy kobiecy głos.

Na czole legł wilgotny chłód. A ten zajękliwy, pochlipujący głos mówi coś o Bronisławie i o tym, że mecenas Oskierko zna Bronisławę i ludzi w Orylu, i ją, właścicielkę bełkotliwego głosu, i może poświadczyć, że ona jest tu najęta do posług na pr[^]chodne.

Przestaje się majaczyć kdtysana wiatrem latarnia, a wahadło wielkiego zegara nie rozbija już pojęć na zgłoski, pod czaszką rozdyma się płonący arbuz, w ustach niesmak i chce się pić, lecz nie stać mnie nawet na tyle energii, aby wyciągnąć rękę.

Mokra świeżość łagodzi pożar mózgu. Okład. Zmieniła go Baba. Nie ma z nimi nic wspólnego, przestraszona[^] dodaje sobie otuchy powołując się na mnie. Nie wiem, kim jest. Najpewniej którąś z gromady starych kobiet spowinowacanych z Bronisławą.

Przytomnieję.

Otwieram oczy. W głębi głowy mam zardzewiałe zawiasy promieniujące bólem.. Widzę salon w domu Uthera. Półmrok rozrzedza tylko jedno źródło światła sączącego się gdzieś z przeciwle[^]ego końca pokoju. Leżę w zupełnym cieniu na kanapie stojącej naprzeciwko kominka. Ciemnieje czeluski wystygłego paleniska. Kaloryfery też nie grzeją, ale zimno nie doskwiera, okrywa mnie lekki pled, pod palcami wyczuwam puszystość wełny. Moher z mojego samochodu.

- Niech da nowy kompres - dobiega głos Steve'a. Ani jego, ani pozostałych nie ma w moim polu widzenia, natomiast jest Baba.

1

- Dopiero co położyłam świeży - bełkoce, ale posłusznie podnosi się z fotela. Dźwiga się ciężko i szurając rozdeptanymi kapciami idzie do wiadra stojącego opodal mego leża. Zanurza ścierkę, grzechocze lód i pluska woda. Ręć ma niesamowicie różowe, jak ciała plastikowych lalek straszących po witrynach kiosków, i dopiero gdy splekuje i wyżyłma szmatę, rozpoznaję ochronne rękawice, używane do domowych prac.

Sama też wygląda jak kupka gałganów.

Nieduża, przygarbiona, na obszernym kaftanie z długimi rękawami nosi serdak obszyty barankiem, wisi na niej długa, workowata spódnica, ramiona okrywa szydełkowa chusta skrzyżowana na piersi, bezkształtne nogi oblekają grube, czarne pończochy z samodziałowej wełny.

Człapie ku mnie i pochylona kładzie kojący chłód na skronie. Jeden jej policzek rozdyma opuchlizna, nad nim oko patrzy szparką, łzawią obrzmiałe i zaczerwienione spojówki. Żałośnie stroszy się na niej tradycyjny stroik pokojówki; kokieterijny fartuszek i obszyty koronką kornet zawiązany na szpakowatych włosach zwiniętych na czubku w kukiełkę.

Nie znam jej.

Odzywa się telefon. Baba truchta na niewidoczną dla mnie stronę pokoju.

- Witaszkowa, dochodząca... - i zaraz: - Do panów dzwoniom! - starucha wraca na swój postenmek w pobliżu mnie.

- Możesz jechać, Mierzyn - mówi Drugi.

- Sie robi. - Mierzyn idąc do drzwi przechodzi mimo mnie. Średniego wzrostu. Wytarte farmery i bluza. Opięty dzins podkreśla szerokie plecy, umięśnione bary i mocne uda. Łamignat. Twarz osłonięta czarną pończochą z otworami na oczy.

Dokąd posłali tego. hoplebę? Ćmiący niepokój o bliskich wybucha dławiającym lękiem. Dość. Nie będę udawał zdechłego owada. Podnoszę się i jakbym dostał między oczy, walę się z powrotem na posłanie.

- Jak się pan czuje, mecenasie? - troszczy się Steve. Nie odpowiadam.

Przybliżają się obaj. Nareszcie przestają być wyłącznie głosami. Ci nie mają pończoch naciągniętych na głowę jak Mierzyn, tylko czarne, maskaradowe domina. Arlekiny, psiakrew!

Drugi siada w dużej odległości od mego leża, Steve przystaje wsparty o okap kominka. Z tego punktu widzi drzwi, mnie i Babę człapiącą do wiadra i z powrotem, bo często zmienia mi okłady.

Drugi nosi się w modnym właśnie, stylu mUitamym. Spodnie wpuszczone w wysokie juchtowe buty i trenecz z zielonkawej tkaniny z wielką ilością patek, kieszeni i naszywek. Głowa odkiyta, włosy szpakowate.

Steve się wyróżnia. Popielaty stetson zsimięty na tył głowy, a pod zieloną kurtą US-Army widać kusy gamitu-rek w stylu Wielki Gadsby, który na jego atletycznym ciele wygląda jak za ciasny, a botforty z jałowiczej skóry nie pasują do całości.

Właściwie nie jestem pewien, czy on naprawdę nazywa się Steve. Może mi się tylko majaczyło w odurzeniu, że Mierzyn wymienił imię nieodłącznego towarzysza seniora Stunningtona. Reminiscencje z opowiadań Uthera o polszczyźnie Steve'a, snute przez rozkojarzony mózg, pod wpływem mowy tych tutaj gadających kantyczką. Kiedy oprzytomniałem, owo miano nie padło ani razu. Poza Mierzynem, zwracają się do siebie anonimowo, nawet bez przyzwisk.

- Przystąpmy do sprawy - żąda Drugi. A jego głos nadal brzmi dla mnie nieobco.

- Nie mam do was żadnej.

- Damn! Atoli my" mamy, a pański interes tyż istnieje, chociaż onemu może się wydawać, iż takowego ni ma —

Stetson mówi, jakby wybierał z kaszty archaizmy języka.

Obaj z Mierzynem używają obumarłych wyrażen. Mierzyn wtrącał je podczas drogi, natomiast tutaj, zanim się podniosłem, pewny, że jeszcze nie odbieram bodźców zewnętrznych, wypadł z konwencji i gadał żargonem subkultury plebejskiej.

Może Mierzyn naśladowuje Stetsona, który wydaje się tu autorytetem i pewno mu imponuje. A Stetson pochodzi z za oceanu, gdzie kolejne pokolenia dziedziczą gwarę zastygłą jak owad z prehistorii w kropli bursztynu, przekazaną przez chłopskich przodków przybyłych na kontynent w dziewiętnastym wieku, dialekt pomieszany z określeniami zaczerpniętymi z Nowego Testamentu w przekładzie księdza Wujka.

Czy Stetson albo jego kompani, a przynajmniej Drugi, niewątpliwie znacznie inteligentniejszy od Mierzyna, nie zdają sobie sprawy, jak bardzo to kaduczne narzecze zwraca uwagę, utrwała w pamięci osobę? A może właśnie zamierzony efekt, przestarzałe formy leksykalne mają służyć anonimowości jak maski na ich twarzach.

- Musimy przejrzeć pańskie mieszkanie. Proszę wywołać żonę albo nas zaawizować. Wybór pozostawiam panu
i pięć minut do namysłu - żąda Drugi.

- Czego szukacie, oddam dobrowolnie - nie wiem, co spodziewają się znaleźć. Na warsztacie mam parę spraw arbitrażowych, dochodzenia o sukcesję, zagraniczne spadki oraz prowadzone na zlecenie Uthera poszukiwania. Ale wszystkie akta są w kancelarii, nie w domu. Oczywiście tego im nie mówię. Etyka zawodu zobowiązuje bez względu na okoliczności chronić tajemnice klientów.

- Pańskie biuro już nas nie interesuje - odgadł moje myśli Drugi.

Odruchowo sięgam do kieszeni, portfel jest na swoim miejscu, ale nie czuję znajomego ciężaru mieszka z kluczami. Teraz rozumiem zasłyszaną przed chwilą rozmowę telefoniczną. Zawiadamiano o rezultacie przetrząśnięcia gabinetu na Królewskiej.

- Mamy sposoby także na psa, nawet tak dużego jak pański - dodaje Drugi, po swojemu tłumacząc moje mil-

czenie.

- Jest jeszcze mój syn - mówię, a usta mam jak z drewna.

- Proszę zabrać żonę, a Bejowi nic się nie stanie - Drugi z naciskiem wymawia imię chłopca.

Nie wiedziałem, gdzie jest Bej. Wyszedł z domu po zmroku z całą gromadą młodych ludzi. Teraz Drugi wymienia znany mi adres. Mieszka tam koleżanka syna.

- 'Niech nie zwłóczy - podsuwa telefon Stetson. Przystaje podierać kominiek, rusza ku mnie i wpada na Babę, która akurat znalazła się na jego drodze. Wytrącone wiadro obija się o nogi Stetsona, toczy po podłodze, woda chlusta na jego cholewy i zalewa dywan.

- Ty Babo, Babo! - wściekle, jak przekleństwo, zmełł to słowo i stanął za moimi plecami. Czuję jego oddech na karku, a chociaż w szyję nie wpija się żaden metaliczny chłód, przecież sytuacja jest jasna. - Przez śtuczek! - powiada.

- Mogę żonę zatrzymać w kancelarii. Poproszę, aby przepisała na maszynie pewien dokument, jeśli oczywiście da się tam cokolwiek odnaleźć po stratowaniu przez waszych Mierzynów.

- Nie pozostawiamy śladów.

- Właśnie widzę! - spoglądam na mokry dywan.

- Wszystko bez tego tłumoka - Stetson wytyka paluchem Babę. - Musi coś późni zaradzić!

- Jachu! - Drugi wybrał nimier na tablicy cyfrowej aparatu, zastępującej tarczę. - Mecenasa posyła cię po żonę. Odwieszasz mecenasową na Królewską. Pozostawisz jej klucze od gabinetu i materiał do obrobienia. Łączność w biurze ma nie działać, mecenas uprzedzi żonę o uszkodzeniu linii...

Baba moim kompresem próbuje zlikwidować powódź. Szmata wyżyma nad wiadrem, ściekająca woda bębni o blachę pustego dna.

- Proszę odłożyć ścierkę - interweniuje Drugi przysłaniając duchawkę i powraca do instruktazu. Baba przestawia wiadro z przeraźliwym zgrzytem pałaka.

- Cichaj, Babo! - włącza się Stetson i wali pięścią w st<^.

Teraz ja wybieram nimer telefoniczny swojego domu.

- Taki drogi kobierzec — zajękliwie ubolewa Baba - przemięknie na durch, paraturę straci, a ja pracę, i za co mnie taka krzywda - chlipie.

- Nie wytrzymam z tą debilką! - wybucha Stetson. Ciekawe, nie samym księdzem Wujkiem potrafi gadać. Odzywa się “łyna, pytam o Beja.

- Jeszcze nie wrócił, ale ty przynajmniej mógłbyś.

- Słuchaj mnie uważnie, Krystyna-powtarzam ws^s- tko, co ułożyliśmy z obwiesiami. Hekroć mówię jej coś bardzo ważnego, mimowiednie używam jej imienia w pełnym brzmieniu, teraz robię to z rozmysłem. W takich razach bez zbędnych pytań robi, o co proszę. Rozumie

1 szanuje obowiązującą mnie tajemnicę zawodową. Więc i teraz nie dziwi się ani nie złości, chociaż wyrwałem ją z łóżka.

- Z dywanem już można? - odzywa Baba, gdy tylko odłożyłem słuchawkę. - Suchych gałganów trza, aby mokość wypłyły - godzi w Stetsona ręką w tej landrynkowej rękawicy. - Niech odkluczy drzwi, puści do składziku. Dzwoni telefon. Drugi każe odebrać go Babie. Tak jak i poprzednio starucha przedstawia się i zaraz oddaje słuchawkę Drugiemu.

- Ma pan niezwykłą żonę - chwali Drugi po wysłuchaniu meldunku - jest już w drodze na Królewską i, jak pan kazał, zabrała ze sobą psa.

- Niech idzie ze mną po szmaty na pnygórek! - Baba nie daje spokoju facetowi w kowbojskim kapeluszu.

- Może iść sama - przyzwala Stetson. Na mansardę w«oda schody z tego dużego pokoju, w którym się znajdujemy.

- Trza narządzić ogień, niechaj podsusz - decyduje Stetson. Po obu stronach kominka we wnękach nakcetych okapem, odgrodzonych od podłogi kamiennymi progami, piętrzą się brzozowe okrągłaki i sękate polana.

Z góry zstępuje Baba z naręczem białego płótna. Rozpościera szeleszczące, krochmalone prześcieradła, które spijają wilgoć z dywanu. Krząta się, absorbuje Stetsona, który otwiera drzwi i chodzi za nią do gospodarskiej części

domu, zniecierpliwiony i wściekły, a Baba jakby umyślnie kręci się tam i sam. Wynosi w skrzypiącym wiadrze nawilgłe prześcieradła, znosi suche, wreszcie taszczy odkurzacza, jeździ nim po dywanie.

Znów telefon.

Stetson konfiskuje warczące urządzenie. Drugi przyjmuje kolejny raport.

- Czekać - przerwał połączenie. - Pójdzie pani na górę spać, pani Witaszkowa. Resztę sami uporządkujemy - uprzedza jej protest. Stetson pobrzękuje kluczami.

- Niech się rusza - ponagla. Ona z ociąganiem wstępuje na schody. Drugi czeka i oderwą się dopiero, gdy tamten znów staje za moimi plecami.

- Mecenasio, gdzie są dokumenty Orlano Harrockska?

- Nie wiem, o czym mowa.

- Wybiję ci wszystkie zęby, wszarzu, razem ze sztucznymi, to sobie przypomnisz - wychodzi ze swej poprawnej formy Drugi.

- Nic nie pomoże. Nigdy nie słyszałem o Orlano Harrocksie - mijam się nieco z prawdą.

- Dać mu w oblicze? - głośno namyśla się Stetson.

- Nie narażałbym bezpieczeństwa rodziny-perswaduję spokojnie i chyba moje opanowanie przekonuje bardziej niż argumenty. W każdym razie zacliowuję zęby, nie dostaję w oblicze, a Drugi zmienia ton.

- Zna pan Katalonkę Mercedes Amado? - Zaprzeczam. -

A Serbkę Licę Milović albo warszawiankę Felicję Adamiec?

- Żadnej z nich.

- To jedna osoba. Bardzo możliwe, że używa jeszcze innych nazwisk. Naszym zdaniem ona zdeponowała u pana dokumenty Orlano Harrockska. Widziano, jak dzisiaj wieczorem wchodziła do pańskiego domu. Szczupła, niewysoka dziewczyna, włosy ciemne, krótkie. Oc[^] brązowe. Ubrana w dżinsowy garnitur.

- Nigdy nie spotkałem takiej osoby-zapewniam. *Czyż-by* właśnie ona telefonowała do mnie? Kim by nie była, te farbowane mafioso z warszawskiego przedmieścia nie dowiedzą się ode mnie niczego.

- Dziś wieczorem jeden z naszych widział ją pod pańską

furtką.

- Dlaczego więc jej nie zatrzymał? Nie potrafił poradzić sobie z samotną dziewczyną!

- Miała szczęście. Zdążyła czmychnąć na teren pańskiej posiadłości.

- To bardzo zmienia postać rzeczy. Nasz ogród liczy trzy tysiące metrów, jest gęsto zadrzewiony i obsadzony krzewami. Nietrudno się w nim ukryć.

- Bierzemy pod uwagę taką możliwość.

- Powiedzmy, wesda. Ale przecież także musiała wyjść.

- Znikła. Pan mógł jej ułatwić opuszczenie terenu.

- W jaki sposób, skoro w moim samochodzie czatował Mierzyn.

- wtedy Mierzyna w wozie jeszcze nie było.

Zapada milczenie. Stetson przegamia ożogiem głównie na p[^]enisku. Poruszony żar jar[^] się czerwienią, biegają po nim drobne jęczyczki ognia, strzelają iskrami i gasną na kamiennych płytach, z którymi w pobliżu kominka ułożona jest podłoga.

- Co to jest? - nasłuchuje Drugi.

O szyby wciąż tłucze deszcz, podmuchy wiatru przyginają drzewa, z przeciągłym szelestem ocierają się o szyby łapki świerszczy. W jednakowym, znanym już poszumie ucho łowi coś nowego. Niegłośny, rytmiczny dźwięk. Dopiero przerwa w rozmowie wyodrębniła z monotonnego tła kołatanie szarpanego wiatrem okiennego skrzydła. Stetson wbiega na schody, słysząc jego ciężkie kroki na górnym podejściu i nagle owiewa nas s^Uny prąd powietrza, podnosi cłimurę popi(du z paleniska. Teraz postukiwanie ramy o ościeżnicę dobiega wyraźniej i znowu podmuch i huk zatrzaśniętych przeciągiem drzwi. U góiy pojawia się Stetson, przewieszony przez balustradę woła:

- Baby nie ma! Związała prześcieradła i po nich uciekła!

- Znów pod jego butami dudnią stopnie. - Ona mówiła, że ciebie zna! - przypada do mnie wściekły.

- Tutaj jest dużo kobiet, które mnie znają.

- Dlaczego nie powiedziałeś, żeś nigdy nie widział tej staruchy?

- Nikt mnie nie pytał.

- Jeśli mecenas iyczysz zdrowia sobie i rodzinie, zapomnij o nas i nikomu nie powiesz.

Wykręcają mi ręce, coś jak pajęczyna opada na moją twarz. Odpływam i staram się bronić przed nicością skupiając myśli, ale pierzchają. Trwa jeszcze ostatnia: Babie nie dali odurzającego środka, myśleli, że nie wydostanie się z piętra. Niewiarygodne! To jakaś mistyfikacja...

Przez wiele warstw przesącza się dwugłos. Najpierw jest 1 tylko szmerem, potem dźwiękiem, powoli przeistacza się * w oddzielne zgłoski, aż składa w zrozumiałe słowa.

- Wstanie, to powiem, budzić nie będę - gniewa się ściszony kobiecy głos.

- Za brytana Witaszkowa jesteście! - parska mężczyzna.

Witaszkowa! Wywołuję z pamięci obraz Baby z opuchniętym policzkiem i zaczerwienionymi oczyma, kiedy szurając kapciami idzie do telefonu i bełkoce w słuchawkę swoje nazwisko. Ta, którą teraz mężczyzna nazwał brytanem, mówi dźwięcznym, wyraźnym głosem. Nawiązuje się ostatnia zerwana myśl: w jaki sposób stara kobieta zdołała wydostać się z poddasza po związanych prześcieradłach, mając zniedołężniałe nogi i ręce o zeszywniałych stawach.

Stop! Nie widziałem jej rąk. Okrywały je, ukrywały rękawice z różowego tworzywa. Ale dlaczego uki^ały?

- Nie będziecie się tam pchać. Człowiek niezdrow, musi wypocząć - mówi kobieta.

- Jak Boga kocham, spił się mecenas! - cieszy się znajomy męski głos. - Ludzka rzecz, a z kim się udziurgał, czy nie z jednym profesorem z kolonii?

- Bej ojca budzić zakazał - jeszcze jeden argument wytacza kobieta.

Iskrą elektryczną przebiega przez mój otępiąły mózg imię syna.

- Pani Witaszkowa! - wołam, mój własny głos rozłiq)U- je mi głowę.

- Dobry dzień, mecenasie. - Pierwszy wchodzi sołtys, za nim Witaszkowa.

- Bej raniutko przyjechał i nie pozwolił niepokoić, póki pan sam nie wstanie - powtarza kobieta. Nie wiem, czy

to ranek, czy zmierzch, za oknami szaro i nadal pada deszcz, a mój zegarek stoi.

Witaszkowa przysiadła naprzeciw mnie, szczupła, nieduża, w obszernym kaftanie i podniszczonym serdaku obszytym barankiem, przez pierś przewiązana szydełkową chustą, nogi ma obleczone ręcznie dzianymi pończochami z samodziałowej wełny, przypominającymi polarne unty. I^{ad} twarzą drobną i suchą szpakowate włosy ulizane ku górze i ciasno upięte w kucielkę.

Witaszkowa! A rozdęły opuchlizną policzek, szparka zapłyniętego obrzękiem oka, czerwone powieki i bełkotliwa mowa nocnej wiedźmy - to wytwór narkotycznego snu?

- Pani zna mojego syna?

- No jakże, znam! Pana też, mecenasie. Ja jestem wuj- czna Bronki Brykałowej, Maiyjanna Witaszkowa, tutejsza gospodyni, a Bej list zostawił - z kieszeni workowatej spódnicy wyciąga kartkę.

Poznaję pismo Beja.

„Ojciec! Mam dzisiaj rozprawę, powinna skończyć się około czwartej. Przyjadę po ciebie na pewno. Więc nic nie organizuj na własną rękę. Nie niepokój mamy, śpi. Masz u niej kiepskie notowania. Ale się nie martw, coś wymyślimy. Odpocznij i wywietrz z koniakalnych woni”.

Witaszkowa zachowuje się tak, jakby w nocy nic jej się nie przydar^{ło}. Inaczej przecież zawiadomiłaby posterunek z Izbicy i teraz byłaby tu milicja, a nie sołtys. Lecz nie chcę przy nim wypytywać.

- Bej telefonował, zanim tu przyjechał?

- Przybył bez zapowiedzi. Kazał dać pościel.

Zniosłam krfdre z gościnnego - objaśnia Witaszkowa pochodzenie piematu, spod którego się wygrzebałem.

- Co było dalej?

- A co miało być! Okrył pana, otwor^ł okna, zakazał je zamykać i pana budzić. Wsiadł w samochód i odjechał - mówi niechętnie. Jest wyraźnie niezadowolona, że zmuszam ją do ujawniania szczegółów związanych z moim nieprzystojnym stanem w obecności sołtysa. Nie znam jej ale skoro jest spokrewniona z Bronisławą, uważa mnie zg przynależnego do klanu i dba o moją reputację.

- Która godzina? - chcę się wreszcie wydobyć z czasowego meandru.

- Minęło południe - rozpogadza się Witaszkowa. .

Bojler ugrzany, może pan, panie mecenasie, wannę brać.

- Niech pan weźmie, ja poczekam - zachęca Miśkowiak. Zbieram siły i na miękkich nogach człapię do łazienki. Miśkowiak odprowadza mnie wyrozumiałym spojrzeniem.

- Niech pan po myciu jaki chałat odzieje, wiszą różne w kąpielowym, a ubranie tam zostawi, to wyczyszczą pulower i uprasują spodnie! - wcdza za mną Witaszkowa. Coś mi się wydaje, że obr[^]gałem golf. Mnożą się dowody odrażającego upilstwa.

Kiedy przymierzam się do golenia, straszy z lustra własne odbicie. Zielonkawa, zmięta gęba, pokryta niechlujną siwąwą szczecina, wory pod mętnymi oczkami, a w nich jakby plugawy wyraz. Przestaje dziwić domyś- ność innych, sam zaczynam wierzyć, że zamroczony scW^a- tem się na dodatek jak Świnia, co mam wytrawione na tym bezwstydnym pysku.

Gorący i zimny prysznic przywracają nieco pewności siebie. A po powrocie do pokoju krzepi widok płonących na kominie dREW i nakryty stolik. Marynowany okoń, wiejska kietbasa, nie wędzona, tylko skruszała od ziół i soli i wysuszona w przewiewie. Rarytas. Grzybki w ocde, kiszone ogórki, na podgrzanej płytce w rondlu pod pokrywą pływają we wrzątku parówki. Hm, nie czuję niechęci do jedzenia.

Witaszkowa rozstawia talerze.

Spoglądam na jej ręce oplecione niebieskimi żyłami. Skóra na nadgarstkach ciemna, palce sękaty. Pytam, czy używa rękawic ochronnych.

- Nie nawykłam. Uther też namawiał, a Kazimiera, jego poprzednia gospodyni, bez to uciekła. Ona tak samo od grykałów.

- Jak ja bym niewiastę na takie miejsce rekomendował, to musowo na poziomie, jak księża gospodyni, a nie taką ciemnotę reliktową - mówi z goryczą Miśkowiak. - lyiko wstyd przed światem, chociaż Amerykan niby tutejszy, przecież zagraniczny!

Miażdżąca opinia skierowana jest do mnie, bo to ja

prosiłem Bronisławę aby wyszukała młodemu Stunningtonowi gospodynię sćciludną, godną zaufania i umiarkowaną w cłiciwości. A sołtys ma žal, że nie jego upowaźniłem do zawiadywania intratą, do której klan Brykałów już nie dopuści nikogo obcego.

- Na Brykałach języka se nie wecujcie, Miśkowiak, lepiej popijcie kwasu - Witaszkowa podsuwa dzbanek i śpieszy do kuchni.

- O wy, co nazajutrz na kwaśno lubicie! - wchodzę w rolę wytrzeźwiałego opoja. Z dwojga złego jest lepsza niż ta, do której zmuszono mnie przemocą i szantażem.

Nalewam do szklanek napój o mocnym aromacie. Zmieszany sok z kiszonej kapusty, czarnej rzodkwi i ogórczan-ki, doprawiony ząbkim roztartego czosnku i gęstą śmietaną. W Orylu patentowany środek na najtęższy pochmiel.

- Na czczo to zajzajer, panie mecenasie - przestrzega Miśkowiak. - Nam trzeba najsamprzód klina, bo ja też jestem mocno wczorajszy.

- Proszę, niech pan coś wybierze w kufrze - wskazuję rzeźbioną skrzynię pod ścianą, gdzie Uther trzyma alkohole.

- Żyta się napijemy, panie mecenasie. Żyto najzdrowsze!

- Żyto karmi, żyto poi - utwierdzam go w wyborze.

- A mnie się flaszka od pana należy i tysiąc złotych. Pana blaszankę w przydrożnych krzakach nasrfem, przyciąłem, narządziłem i właśnie przywiódłem, a ta zgaga olaboga wyczyniała, żebym do pana nie wchodził. No to opijemy to zdarzenie!

Sołtys z Oryla nie ma żadnej z cnót opiewanych przez literaturę jako wrodzone i dziedziczne cnoty ludu polskiego. O bezinteresowności nie ma co wspominać, jego uczyń, ność, gościnność i wszystko, co czyni, jest skażone biznesem. On w ogóle nie pije, tylko opija, on nawet zakąsza w imię czegoś, a nie tak sobie.

Przekrawa marynowanego grzybka, nadziewa na widelec razem z krążkiem kiełbasy i kiszzonego ogórka. Tak przygotowane kładzie na talerku. Jest to wytworne przypomnienie, że powinienem znowu nalać wódki. Ale zanim zdążyliśmy osuszyć butelkę, przybiegła ośmioletnia

córka Miśkowiaka pnyślana przez matkę.

- Prezes Geesu na tatę czeka! - zawiadomiła i sołtys pośpiesznie się zabrał, niewykluczone, że na następne opijanie.

- Pijawka! Już myślałam, przyssie się na amen-podusmowała Miśkowiaka Witaszkowa. Z rękoma splecionymi na podołku asystuje, gdy sprawdzam mechaniczną sekretarkę. Nie ma żadnej interesującej mnie rozmowy.

- Pani Witaszkowa, a teraz proszę powiedzieć, co nabroiłem!

- Eee, nic takiego, nie ma o czym gadać ani się trapić.

- Jednak chcę wiedzieć.

- Pare stłuczek, rozlana wódka, pańskie odzienie nasiałkłe kuniakiem, zamoczony dywan, a na przygórku w gościnnym powiązane prześcieradła. Drugi kłęb pościelowego zawilgocony w kuchni. Nie ma się czym przejąć, panie mecenasie, takie jedne goście Uthera, jak się popijom, to som gorzej szkodne, bo on sam bardzo dobił chłopiec.

- I u takiego dobrego chłopca Kazimiera porzuciła pracę?

- Nieświatowa ona, ale nie będzie nią sobie Miśkowiak gęby wycierał. Zawiści nam miejsca, sromotnik bezwstydnym. A z Kazią było tak: Uther kazał do siebie „ty” mówić, pilnował, a naprzykrzał, aby ręce osłaniała, jedzenie sam sobie na pokoje podawał, bywało, sam kuchar[^] i statki zmywał. Myślała, że się jej brzydzi, tylko tak zagaduje dbałością o godność człowieczą. Ja rękawic nie kładę, bo nie nawykłam, tykam go, a od saganów pędzę i żyje nam się dobrze.

- Pani tu dzisiaj nie nocowała?

- Gdzieżby, panie mecenasie - skubie brzeg fartucha.

- Przecież wyraźnie miałam zapowiedziane, żeby nie przychodzić, aż rano.

- Kto tak rozporządził?

- Kto! Ta pani, Italianka, cb ją pan mecenas tutaj na zancowanie przysłał - Witaszkowa skromnie opuszcza oczy.

Pod oknem rozlega się basowe poszczekiwanie, co przy-

prawia o szaleństwo Sawę, wilczycę Uthera. Odpowiada przeraźliwym ujadaniem, miota się, szczyrzy w pokazowej wściekłości. Bas wtóruje jej gorliwie, jakby dudnił tam-tam.

- Spokój - uciszam sukę. Milknie, łypiąc na mnie posmutniałymi oczyma. Może wstydzi się za wpuszczenie wczorajszych intruzów. Przypominam sobie jej głos na podwórku. Musiała być uwiązana.

- Nasz Burek ze starym idom - wydreptuje z pokoju Witaszkowa. Słysząc otwieranie drzwi i ściszony głos kobiety, potupywanie i krótkie skomłace powarkiwanie psa pozostawionego na dworze.

- Niech będzie pochwalony... - wchodzi stary mężczyzna. Przepasany ściemniałym rzemieniem, trzyma się prosto, w rękę dzierży sękatą łagę z jałowca, wypolerowaną od dotyku dłoni. ■

Wit Brykała. Dla odróżnienia od licznych mężczyzn rozgałęzionej rodziny nazywany Witaszkiem. Nie słoja-rzyłem sobie z nim nowej gospodni Uthera, chociaż w Orylu zamężne kobiety starszego pokolenia nazywane są od imienia swojego mężczyzny.

Witaszka znam najlepiej z kompanii Brykałów. Najbiedniejszy. Wszystkie jego dzieci osiadły po miastach, więc gdy dobiegł lat, niewiele posiadanej ziemi oddał za rentę, toteż i rentę otrzymał niewielką.

Kiedy na kolonii profesorskiej zaczęły szerzyć się wandalizmy, wspólnota opodatkowała się po dwieście złotych miesięcznie od działki za dozór. A mnie poproszono o zaangażowanie dwóch ludzi, aby mogli czuwać na zmianę.

W Orylu zawrzało. Zajęcie było atrakcyjne, przypadało po trzy tysiące złotych na jednego, żaden z rencistów nie otrzymywał tak wysokiej emerytury, chociaż w owym czasie była to simia na pograniczu minimum socjalnego.

Jednym ze stróżów został Witaszek i mimo zawiści większość uznała mój wybór za bezstronny. Wita ceniono za rzetelność, miał najniższy dochód i spotkało go nieszczęście. Najstarszy syn, zawodowy kierowca, po pijanemu prowadząc wóz zabił człowieka. Dostał dwanaście lat. Pozostała nie pracująca żona z czworgiem małych dzieci. Wit oddawał synowej i wnukom większość swej skromnej renty, zawoził

króliki i jaja. Piszczła bieda tam i u Witaszków. Teraz kobiecie syna przekazywał cały zarobek za dozorowanie.

- Pan Nowak przyjechał po samochód, panie mecenasie

- Witaszek przedstawił faceta niskiego i składającego się z dwóch okrągłości.

- Po jaki samochód? — Nie rozumiałem. Czyżby i oni chcieli reperować moją blaszankę, naprawioną już przez Miśkowi aka.

- Tej pani, co... - zacina się Witaszek. - Italianki, co u nas wczoraj fiata zostawiła.

- Nie tej pani, tylko mój. Pojazd podgrandażyła i jeszcze pani!- denerwuje się pan Nowak.
- Ano tak wygląda - przyznaje zafrasowany Witaszek.
- Książka wozu, rejestracja, dokumenty pana Nowaka, wszystko pasuje do auta, co w naszej szopie pod kluczem stoi.

Dopiero dociera do mnie powód ich zażenowania. Oczywiście oboje Witaszkowie są pewni, że łajdaczyłem się z to m paniom do białego dnia, spałem jak nieboskie stworzenie, narobiłem nieporządków i obrzygałem kanapę, na domiar wszystkiego t a pani przyjechała tu kradzionym fiatem.

Jego właściciel ma zakład krawiecki: „Modny ICrój”, na Żołny, następnej ulicy za ulicą Rajskich Pt[^]ów, przy której stoi mój dom. „Modny Krój” mieszka na dnigim krańcu miasta, jeśli ma dużo roboty, nie traci czasu na dojazdy i śpi w warsztacie, gdzie też spędził ubiegłą noc, a wóz jak zwykle parkował obok na nie zabudowanej parceli.

- O piątej rano obudził mnie telefon - mówi - zagadała babka, a ^os miała jak gołębicą Picassa, Vigiella Mellogi- na jestem, powiada, i przyjechałam z Mediolanu śpiewać u was. Wczoraj w pilnej potrzebie pożyczylam pański pojazd, ale nie mogłam odprowadzić na miejsce, bo skończyła się benzyna i musiałam go pozostawić. Jest pod opieką państwa Witaszków we wsi Oiył numer domu dziesięć.

- Nie zawiadomił pan milicji?

- Nie. Zanim zadzwoniła, nie wiedziałem o zginieciu auta. Spałem jeszcze. Później elegancko mnie przeprosiła, a na progu pracowni znalazłem butelkę szkockiej, camele i widokówkę z podziękowaniem. Ekscentryczna kobietka!

Ekscentryczna - przyznaję i myślę o młodej osobie, raz Katalonce Mercedes Amado, innym razem Serbce Licy Milović, jeszcze innym warszawiance Felicji Adamiec ściganey przez ludzi Stetsona aż po próg mojej furtki dziewczynie, która w kolejnym wcieleniu prawdopodobJ nie nazywa się Vigiella Mellogina. Co za imię, brzmi jak zart!

Aby z mojego ogrodu przedostać się na ulicę Żołny[^] wystarczy sforsować parkan, za nim leży nie zabudowany, nie ogrodzony i zarośnięty plac, gdzie szef firmy „Modny

Krój” zwykł parkować samochód.

Kimkolwiek ona jest, uciekając przed farbowanymi mafioso Stetsona nie zastanawiała się, czy w napotkanym wozie jest dość paliwa. Gdyby nie to, fiat powróciłby na swoje miejsce, zanim szef pracowni „Modny Krój” odkryłby jego brak. Daję mu kanister z benzyną z mojej blaszanki i pozbywam się ich wraz z Witaszkciem.

- Co Włoszka mówiła? Proszę wszystko, po kolei - biorę w obroty gospodynię Uthera.

- Italianka jestem, mecenas mnie przysłał na kwaterę, bo w warszawskich ścisk.

- O której tu przyjechała?

- Dobrze po zachodzie, już ściemniało. Ale ona najpierw do nas na wieś przybyła - unikając mego spojrzenia wyjaśnia bez przekonania Witaszkowa, pewna, że całą mowę trzymam dla ratowania pozorów. Stary liipokryta, w wiadomym celu sprowadził kobietę, naliukł szkła, za- świnił dywan i sam się zalał w trupa, a teraz udaje Greka.

- Akurat mój powieczerał i do obowiązków wychodził, jak na podwórko wtoczyło się auto. Ona wysiada, do psa zagadała z cudzoziemska, a stworzenie z miejsca zacaęło się łąsić! Dziw! Burek pr^uczony obcym nie ufać, a i karmiony dobrze, bo z morzonego głodem żaden obrońca, za kawałek chleba o dozorowaniu zapomni.

Do mnie mówiła: pani Witaszkowa, chociaż się jej nie rekomendowałam, widać wiadome jej moje zawołanie. Wóz, powiada, u was pozostawię, bo bak pusty, ale w szo- pie schowajcie, nikt nie musi wiedzieć, że nocuję u Amerykana.

Wieś, powiada, plotki lubi, a kolonia intelektów nie lepsza. Ludzie takie som, uczony czy alfabetą, ciekawość jednaką do drugich żywią, a osobliwie, co w nocy robiom, no to nie trza, żeby mecenas obnosili.

- Powiedziała, że ja się z nią tutaj umówiłem?

- AniechBógi3roni,nie! - zatrzepotała rękoma Witaszkowa. - l^lko powiada, mecenas w Oiylu i na okolice figura znana, a ona, znaczy, Italianka, sławna jest. Te tam publikatory jakby się zwiedziały, zaraz by redaktorów najechało, bo łąse na artystów jak kot na śmietanę, i od razu by po gazetach obnieśli. A wyglądj^oby nieobyczaj- nie, bo

gospodarz na wyjeźdźnym, a domem rozporządza jego adwokat, meszczyzna przystojny i niestary.

- Hm, tak mówiła! - mimo woli przejechałem palcami po ^owie, włosy mam gęste, sylwetkę prostą i imięśnioną dzięki wioślarstwu i pracy w ogrodzie, a gimnastyką utrzymuję w ryzach mój felemy dysk. I proszę, jeszcze się podobam kobietom. Poważnie się zastanawiam, gdzie mnie mogła widzieć intrygująca Vigiella, i wcale nie wydają się sobie śmieszny.

- Tak powiedziała. Mecenaz przystojny i niestary. Zaś z jego poręki zjeżdża na noc kobieta samotna i sławna, zaraz by ludzie wzięli na języki.

- Jak wyglądała kobieta samotna i sławna?

Witaszkowa naturalnie wie swoje. Naznaczyłem sobie spotkanie z tom panio m, a teraz wypieram się bezwstydnie w żywe oczy nawet znajomości. Ot, wybiegi chłopca, co nabroił, wstydzi się ludzi i boi żony. Ale honoruje reguły gry i odpowiada na pytanie.

Jednak nie mówi o szczupłej dziewczynie w dżinsowym ubranku z krótkimi włosami i brązowymi oczyma, o której słyszałem od farbowanych mafioso, tylko opisuje zupełnie inną osobę: jasne włosy do ramion, niebieskie o<zy, nieprzemakalna kurtka koloru kawy z mlekiem, czarne aksamitne spodnie i lakierowane buty sięgające połowy uda.

1

A kim jest Baba z kaleką wymową, opuchniętym policzkiem, o oczach jak bławat i czerwonych, obrzękłych powiekach? Kolejną postacią tej samej osoby, możliwa jest aż taka przemiana?

Ale widać nie sposób skutecznie przeobrazić młodych rąk w starcze, węzłaste, zniszczone pracą i wiekiem i dlatego ukrywała je w ochronnych rękawicach.

A ciągle płatanie się pod nogami? Wiadro z przeraźliwie zgrzytającym pałakiem postawione, podstawione pod nogi Stetsona. Przyzwyczajają czujących się pewnie męż-

czyzn do swojego dreptania na górę, zwłóczyła prześcieradła do osuszenia dywanu przygotowując ucieczkę z piętra, co stanowiło jedyne wyjście z gij, która w razie zdemaskowania mo^a się dla niej skończyć ponuro. Pomijając wszystko imre wystarczyłoby powiedzieć, że jej nie znam. Ona jednak postawiła na moją lojalność, człowieka podobnie zagrożonego.

- Ta pani miała klucze od domu Uthera?

- Nie wiem. Nie mówiła. Wpuściłam ją swoimi, ale nie zostawiłam. Podziękowała za przyrowadzenie, papierkowego dolara za fatywę dała i prosiła nie przychodzić, dopiero dzisiaj około ósmej. I tak ja zrobiłam.

- Zależy mi na sekrecie, pani Witaszkowa - w niczym już nie narażam swojej zaszarganej opinii. A z wyjaśnieniem sprawy muszę poczekać do czasu porozumienia się ze Stunningtonem.

- My za pana krzywoprzysięgać gotowe za dobro, co nam pan wyświadczył, a cóż dopiero język za zębami trzymać.

Po południk przyjeżdża Bej.

- Jeszcze używany, ale już w pozycji pionowej - wita mnie syn.

- Jak mnie znalazłeś?

- Byłeś zabalsamowany na mumię faraona.

- Jak mnie tu znalazłeś? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- W nocy telefonowałeś do matki z miasta i zadałeś jej kretyńską robotę. Pamiętasz? - bada moje inteligentne dziecko, jednoznacznie oceniając sytuację. Gdyby od małżeńkości widywcii naprawdę zalanego tatę, teraz nie popełniałby krzywdzącej omyłki.

- Nie piłem wódki.

- Ilyiko nie wmawiaj tego matce. Schlałeś się w niedyskretnym towarzystwie. Tak, tak! Nie patrz na mnie okiem dręczonego królika. Telefonowano nad ranem do starej, że jesteś do odebrania loco chata Uthera.

- Vigiella Mellogina?

- Ooo, były i szansonety? Do dziewczyn możesz się nie przyznawać, donos złożył mężczyzna, o paniach nie wspo-

minał.

- I mówił, że jestem pijany?

- Mówił. Zalałeś się i śpisz, nie budzić wcześniej niż koło południa. A podniósł rodzinę o piątej rano, aby się o tatę nie niepokojono.

10

Szerokie ramiona zdawały się rozpychać marynarkę w stylu Wielki Gadsby, gruby węzeł krawata miał rozluźniony i rozpięty pod szyją guzik koszuli w gołęzim kolorze.

Chociaż dni późnego sierpnia styły w zimne wieczory, on się pocił. Gniótł w rękach popielatego stetsona, którego wchodząc ściągnął z głowy. Patrzył mi w oczy oczyma jasnymi niczym woda z wyrazem twarzy zmartwionego psa. Gadał skansenem.

- Pon proszom, aby mecenas przybył zaś duchem do Oryla.

- A kim ty jesteś? - od razu się domyśliłem, słyszałem o nim, a i spotkaliśmy się, jak myślałem, nie tak znów dawno, chociaż on zachowywał się, jakby mnie nigdy nie widział.

Śmiał przyjść do mojego domu, pewien bezkarności.

1 żadnego skrępowania, nawet nie odwrócił wzroku. Chętnie wziąłbym go za kark, za ten modny kusy gamiturek, w czym wyglądał jak wyrośnięty z ubranka stary chłopiec, i wyrzucił za drzwi.

Ale on wyglądał na bardzo silnego starego chłopca, podejrzewałem, że jeśli coś mu się nie spodoba, z tym samym poczciwym wyrazem połamie mi kości i nawet się nie zdenerwuje.

Byłem w domu sam.

To tylko najemnik. Wykonawca. Mieć do niego pretensje, to mieć je do żywiołu, który nie jest ani dobry, ani zły, ani mądry, ani głupi - podpierałem urażoną godność.

- Steve - przedstawił się. - Jam sługa pona starszego.

- Ale ja jego sługą nie jestem.

- Lepiej iść, bo pon bydzie nierad - znowu gniótł ten swój szerokoskrzydły kapelusz, pocił się coraz bardziej, miał minę, jakby go bolsdy wszystkie zęby, i nie przyjmował do wiadomości mojej odmowy.

- Wracaj. Zadzwoń do Oryla.

- Pon przykazowali onego przywieźć. Jego wola kazać, moja słuchać.

- Wtedy także pon polecił sprowadzić mnie pod pistoletem!

- I do not know at all! - wspomógł się angielskim, brakowało mu słów. - Ja was nigdy nie widział, dopiru tutaj. Milczałem niezadowolony z siebie. Po co w ogóle przypominałem tamto zdarzenie. Przecież nie oczekiwałem, że on się przyzna do czegoś, czemu kategorycznie zaprzeczył jego szef.

- Powiedziałem; zatelefonuję.

Przestąpił z nogi na nogę, energicznie potarł sobie stetoskopem. Z jego grubo ciosanym ciałem kontrastowały ręce, szczupłe, długopalce. Ze zmarszczonym czołem zbierał w myśli skapą polszczyń, nie zachęcałem go do porozumiewania w angielskim.

- Fon je ranion, trza go ratować.

- Jędziemy.

Wybieg przede mną, po drodze wcisnął na głowę owo jowbojskie nakrycie. Podążyłem za nim. Kiedy wsiadałem, już niecierpliwie mrucał motor w samochodzie, a on trzymał ręce na kierownicy. Poznałem Morrisa Uthera. Zawracając omiótł światłami kończącą się tu uliczkę, ścianę lasu graniczącego z moim domem, na pełnym gazie śmignął Puławską i pognał jednokierunkowym pasem niedawno poszerzonej jezdni.

- Dlaczego nie powiedziałeś od razu, co się stało. Szef ciężko ranny?

- Lekceja. A mowa jest srybro, a niemowa... gold - zamruczał.

- Wezwafes lekarza, milicje?

- Pon wszystko urzadz - wydukał. Pytia.

Przeszedłem na angielski. Z objaśnień, jakimi wspierał lapidarne polskie zwroty, dało się zauważyć, że wypowiada się w tym języku swobodnie, jak człowiek z pewną ogładą. Ale on uparcie milczał.

Posiadłość Stimmingtona okrywała noc. Ciemności panowały egipskie. Na nasze spotkanie nie rozbłysła ani jedna z lamp

zapałanych tu fotokomórką.

- Wyłączyli automat - powiedział Steve i zniknął w mroku. Po dobrej chwili zapaliły się żarówki nad wjazdem do umieszczonego pod ziemią garażu. Powrócił Steve.

- OK, śpieszmy.

W głębi majączył uskok spadzistego dachu. Do domu na skarpie nie było podjazdu, w górę pięła się tylko wąska ścieżka ginąca pośród jaiowców, znacznie przewyższają, cych wzrost człowieka. Gdy na nią weszliśmy, rozwidniła się latarniami.

Steve nagle silnie pociągnął mnie za ramię, skřęcilišny w gęstwą krzewów, zgašł różaniec prowadzących nas świateł, ale zaraz przedarlišmy się z oćmy w krąg przydomowych kandelabrow. 1 tam zobaczyłem, dlaczego wyko-nališmy okręžny manewr.

W poprzek dróžki, tuž przed wejściem do budynku, leżał zabiły człowiek. Stopami niemal dotykał kamiennego sto-pnia przedproža, ^owę miał niżej i już w cieniu.

- Dlaczego o tym nie uprzedziłes?

Zamruczał niezrozumiale i bezceremonialnie pociągnął mnie ku drzwiom. Zamknął je za nami dokładnie.

W dużym pokoju na parterze, w czerwonym półmroku żarzących się na kominku ^owni, odwrócony do nas plecami spoczywał w fotelu bezwładny mężczyzna. Ramię z oderwanym rękawem koszuli spowijała biała gaza z jaskrawą plamą krwi. Zza wysokiego oparcia widać było czubek głowy przechylonej na bok i zwieszoną rękę z zaciśniętą pięścią, dosięgającą dywanu. Na podłodze u jego stóp poniewierał się strącony aparat telefoniczny.

- Jak się pan czuje?

- Like a prisoner or like an animal - jak więzień albo zwierzę - wychrypiał.

- Pogotowie - rzuciłem się do przewróconego telefonu. Tablicę wybiórczą miał rozbitą. Nie działał.

- It is pointless - to nie ma sensu - skwitował moje usiłowania ledwo dosłyszalnym szeptem i nie dowiedziałem się, czy miał na myśli zepsute urządzenie, czy interwencję lekarską.

- Why not - dlaczego nie?! - przypadł do niego Steve.

Zabrzmiało to jak błaganie, jak zakłęcie.

- Mister Oskierko... - ^os mu się załamał i zamarł. Tracąc przytomność, ruchem, w którym zebrał uciekające siły, upuścił mi pod nogi kluczyk dotychczas trzymany w tej kurczowo zaciśniętej dłoni.

- Ja po doctora-wybiegł z pokoju Steve. Niedo wiayi, po jego twarzy toczyły się grube łzy.

Byłby to ten sam człowiek, który zaledwie przed kilkoma dniami, niezadowolony z moich odpowiedzi, radził się kamrata, czy ma mi dać w oblicze, i owo pytanie nie zawierało złości ani żadnej osobistej barwy, tylko zwyczajny namysł sumiennego rzemieślnika, szukającego sposobu na uzyskanie pożądanego wyniku?

Gdy mnie pod przymusem sprowadzili do Oiyla, na głowie miał także popielatego stetsona, zsuwał go z czoła gestem podobnym, a pod zieloną wojskową kurtką US-Army, pełną patek, suwaków i sprzączek, nosił również kusy garniturek w stylu bohatera powieści Fitzgeralda. Mówił skansenem, lyko twarz ukrywał pod karnawałowym dominem.

Dotychczas nigdy nie widziałem Steve'a, zaufanego człowieka seniora Stunningtona, jednak słyszałem wystarczająco dużo, żeby zwrócić uwagę na pewne właściwe mu cechy. Przy różnych okazjach wspominał go Uther, a także Bej. I chociaż mój syn zetknął się z nim jedynie raz, zapadł w pamięci mężczyzna w teksaskim kapeluszu gadający kantyczką.

- Steve nie mógł być jednocześnie w Orylu i ze mną w Kalifornii, to jest fakt. Sprawdzalny. Napad na pana jest prowokacją wymierzoną przeciwko mnie - stwierdził senior Stunnington po wysłuchaniu o wydarzeniach w Orylu, kiedy stawił się u mnie wieczorem, po trzech dniach od wywołania go przez anonimową kobietę, w czym pośredniczyłem. Lecz słowem nie wspomniEJ: o przyczynie spiesznego przyjazdu, ani razu nie wymienił nazwiska Orlano Harrocksa. Ja nie zadawałem pytań, nie miałem żadnego tytułu wnikać w jego sprawy.

- Powiadomił pan policję? - Spojrzał na mnie zmarcwionymi oczyma Uthera, wydało mi się, że do tej pory nje

brał pod uwagę dalszych konsekwencji wypadków w Oiyłu.

- Nie. Decyzję pozostawiłem panu.

- Dziękuję. Bardzo mi zależy na dyskrecji i niemieszaniu policji do moich rodzinnych sporów. Jestem panu zobowiązany i gotów udzielić każdej rekompensaty, tylko proszę mi zaufać i okazać trochę cierpliwości. Sprawa jest poważna, chodzi o roszczenia majątkowe od dawna wysuwane przez moją separowaną żonę. Zaczęła stosować chwyt poniżej pasa. Potrzebuję kilku dni, a wszystko wyjaśnię, jestem to panu dłużny.

Milczałem.

Nie wierzyłem mu. Nie wierzyłem, aby jego żona, która nigdy mnie nie widziała, która nawet udaremniła nieliczne moje próby skomunikowania się z nią telefonicznie, właśnie na mnie nasłała gangstera upodobnionego do zaufanego człowieka jej męża. W pewnym sensie miałem rację. Celem był kto inny, ja tylko znalazłem się na drodze. Ale wtedy o tym nie wie^aiałem.

- Niebawem odezwę się do pana - zapewnił. Odszedł przygnębiony, niespokojny, wyraźnie spięty. Śpieszył na powrotny samolot. Tak twierdził.

I oto dotrzymał słowa.

- Syrcze mu penkło - zapłakał Steve, gdy lekarze na próżno stosowali całą swoją sztukę.

Pękło. Prawie dosłownie. W przeciągu paru godzin poraziły go dwa ataki. Zniósł jeden ciężki zawał, drugiego nie przetrzymał. Kiedy wysłał po mnie Steve'a, musiał czuć się już bardzo źle.

- I am fine, it is nothing - nic mi nie jest, czuję się świetnie - zapewnił. Rana rzeczywiście była powierzchowna i Steve nie zorientował się w ostatnim niebezpieczeństwie grożącym szefowi.

Zresztą przywykł bez zwłoki spełniać każde polecenie i nie proszony nie udzielał rad, więc i tym razem pojechał po adwokata, skoro szef żądał prawnika, a nie lekarza.

- To je do tego klucza - powiedział Steve podając stalową kasetę pokrytą krokodylową skórą. Wyglądała jak peseser na przyboju toaletowe.

„Mr Oskierko, jeśli nie przeżyję..”-na samym wierzchu

Icartka wydarta z notesu, nonszalancki świstek jak zlecenie dla urzędnika, którego ma się pod ręką. Rozchwiane liteiy, dzisiejsza data i godzina. Pewno nakreślił to po vi^słaniu po mnie Steve'a.

- Od dawna tu jesteście? - najmniej spodziewałem się spotkać z seniorem, a już wcale wyznaczenia wykonawcą jego ostatniej woli, którą podkreślił rzucając mi pod nogi ten klucz.

- Bydzie jeden z tygodniów - wymruczał w swoim kaducznym narzeczcu. A więc Stunnington kłamał, wówczas nie jechał na lotnisko, tylko do Oryla.

- Co tu się wydarzyło, Steve?

- Paniątko zamiarowali ubić.

- Gdzie jest Uther?

- Jedoma.

- Steve, nie zaśłaniaj się gwarą, mów po angielsku.

Gdzie, w jakim domu, na Stegnach czy w Kalifornii?

Nie widywałem ostatnio młodego Stunningtona i specjalnie nie zastanawiałem się, dlaczego od tak dawna od nas nie zajrzał. Zbyt zajmowały mnie sprawy zawodowe, zawsze spiętrzone po wakacyjnej przerwie.

- Zadekował się z dziewczyną - uznał Bej po próbach skomimikowania się. Beja spławiła nieznajoma kobieta i nawet nie siliła się specjalnie na tłumaczenie, dlaczego Uther nie podchodzi do aparatu. Nie ma czasu dla znajomych.

- Kto przyjmował telefony, Steve?

- Panna. I jak kto był mniej znany Utherowi, włączał się szef i udawał syna. Bardziej znanych ona odprowadzała.

- Gdzie jest panna? ^
- Nie musisz o niej wiedzieć, a chłopca szef zatrzymał w Stanach, bo zrozumiał, że jego żona oszalała. Odkąd straciła syna, pograżała się w chorobie, aż prześladowająca ją myśl przeteztała się w kategorię nakazu, aby wziąć głowę za głowę. Ojciec dostrzegł niebezpieczeństwo wtedy* gdy wszystko się już toczyło. Nie mógł inaczej małego stąd wymanewrować, więc sprawił, że wezwała go firma. Tak. Neandertale sprowadziły mnie do Oryla w dzień po wyjeździe młodego Stunningtona. Poleciał w sprawach swojego konsorcjum, którego zarząd mieści się w Nowym Jorku na Park Avenue, niemal po sąsiedzku z tamtejszym oddziałem Standard Oil. I tam czekał na niego ojciec.
- Znów mnie tropisz! Wciąż chcesz żyć i za mnie! - wybuchnął Uther.
- Odnalazłem twoją matkę, Uther.
- Oonę Sullivan, modelkę Tiffaniego? - Uther nie zapomniiał ojcu kłamstwa, kiedy ten, po raz pierwszy zapytany przez syna o matkę, podsunął chłopcu portret dziewczyny z szafirem, wiszący w małym pasażu ich domu w Los Angeles.
- Jadwigę Surażyńską. Plastyczkę. Jest scenografem i utalentowanym kobiernikiem. Za kilka dni na Madison ma aukcję urządzaną przez Hermesa.
- Zapomniałeś dodać, szlachcianka polska.
- Nie przeczę, pochlebia mi, że matka mojego syna okazała się nieprzeciętną i dzielną kobietą. Ale nie dlatego ci o niej mówię.
- Późno mówisz.
- Nie potrafiłem się zdobyć, to bardzo trudne wyznanie. Skrzywdziłem twoją matkę.
- Zapłaciłeś jej za nonie?

- Nie. Odebrałem podstępem. Była młoda, mogła mieć jeszcze dużo zdrowych dzieci, a Vanessa nie. Miałeś zostać dzieckiem Vanessy, przyrzekła cię usynowić.

- Zanim się urodziłem?

- Zanim. Ale kiedy zjawiłeś się na świecie, nie cliciała cię nawet zobaczyć.

- Wtedy zamiast Vanessy kazałeś wpisać nazwisko czarnej pielęgniarki z Bostonu.

- Wtedy podyktowałem nazwisko francuskiej linii naszych krewnych z Kanady i imię czarnej pielęgniarki. Zrobiłem tak, aby zatrzeć wszelki ślad, żebyś był już tylko mój.

- Babka wiedziała, jak postąpiłeś z moją matką?

- Nie wiedziała.

- Powiedziałeś Granni, że ona mnie się wyrzekła?

- Tak powiedziałem.

- Dlaczego odsłaniaasz to wszystko właśnie teraz?

- Latami przeciwstawiałem się twoim poszukiwaniom, daremnie. Mimo wszystko bezsilny, mo[^]em się tylko przyglądać, jak bez względu na przeszkody wciąż zbliżasz się do kraju jej pochodzenia, dokąd dawno powróciła i gdzie byś ją i tak odnalazł.

- Jesteś brutalnie szczery.

- Skoro postanowiłem, mówię całą prawdę bez względu na to, w jakim stawia mnie świat. Proszę cię tylko

0 jedno: zanim oboje się spotkacie, najpierw chcę jej sam wszystko powiedzieć.

- Spodziewasz się przebaczenia?

- Nie robię tego dla przebaczenia, robię dla ciebie.

1 tylko proszę, daj mi kilka dni. Pozwól, żebym to ja zwrócił ci matkę.

Takiego ojca Uther nigdy nie widział. Po raz pierwszy spojrzał na niego innymi oczyma. Za wizerunkiem, jaki w sobie utrwalił, bezwzględного, apodyktycznego i władczego mężczyzny, dojrzał udręczonego pamięcią, utrudzonego kolejami życia starego, pokonanego człowieka, któj, go kochał.

Wbrew żalowi o matkę poczuł silną aż do bólu więź i czułość dla ojca i wyrzuty sumienia. Za to, że bywa} wobec

niego oschły i niesprawiedliwy, i okrutny i nie miał żadnych względów wobec jego ludzkich słabości.

Dopiero w tym momencie Uther naprawę *zrobił* sobie sprawę z przemijania. Ojciec nie jest wieczny, zdarzy się dzień, kiedy go zabraknie, a wtedy sprawione mu przykrości będą nie do odrobienia, krzywdy nie dadzą się naprawić, każda odmowa stanie się odmową ostateczną.

Poruszony do głębi, pojednany z ojcem, zgodził się poczekać w Nowym Jorku na jego rychłe wezwanie.

- Mieliśmy rozwiązane ręce i tydzień na unieszkodliwienie wynajętych morderców. Tymczasem Yanessą zajęła się rodzina. Na początek odizolowano ją oddając pod straż wykwalifikowanego personelu psychiatrycznego.

Stunnington ze Steve'em zamknęli się w Orylu.

- Aby o nas we wsi nie wiadano, najpierw panna gospodynię na płatny urlop wysłała i odebrała jej klucze. Łebska panna - dodał Steve w tej swojej polszczyźnie. Ale szef ani myślał siedzieć i czekać, co tamci wymyślą. Nie miał czasu, a i nie leżało w jego charakterze, on przywykł wpływać i zmieniać bieg wydarzeń.

Nadkruszył najstarsze ogniwo. Groźbą i pieniędzmi zmusił do posłuchu i współdziałania dostawcę garderób teatralnych, Wincentego Baraszkę. Posłał po niego swojego zaufanego człowieka. Wtedy to Steve jedyny raz głęboką nocą opuścił Oryl i złożył niekonwencjonalną wizytę staremu oszustowi.

- Zbieraj się - wyciągnął Baraszkę z pościeli - mój pon na cie czeka i bydzie nierad, jak sie bydziesz ociungał.

- Nie rusz mnie, będę krzyczał, zbiegną się ludzie - zaskomlał tamten. Z ledwością słyszał własny głos w łoskocie właśnie przejeżdżającego pociągu pobliskiej trakcji elektrycznej.

- Nim gwiakniesz, ducha wypuszczę - zagroził Steve biorąc go za kark. - A jak bydziesz pokorny, mój pon da ci piniundzów.

- Za co, królu złoty - kwilił Baraszko chcąc w ten sposób wyrazić swą c[^]kwitą niewinność, co Steve nie znający niuansów języka wziął za konkretne pytanie.

- Za coś. Nie rozdaje money za nic. Prędej, odziewaj

nagość, przed jutrznią musisz się wrócić do domu.
I jak obiecał, odwiózł go przed świtem z powrotem.
Baraszko otrzymał zaliczkę i list z firmowym nadrukiem
oraz podpisem Uthera, sprokurowanym przez jego ojca.
„W dalszym ciągu skłonny jestem zapłacić umówioną sumę
za informacje dotyczące Jadwigi Surazyńskiej. Oczekuję
pana u siebie... Stunnington jr.”

Tę korespondencję Baraszko miał pokazać kamratom.
Istniało duże prawdopodobieństwo, że chwycą przynętę
i przyjdą za nim.

- Ale w oznaczonym czasie Baraszko nie dał znaku
życia. Może tamci stracili do niego zaufanie? W każdym
razie list zrobił swoje, sprowokował ich działanie. A my,
mimo przygotowań, daliśmy się zaskoczyć.
Na obwodzie posesji czuwa elektroniczny stróż. Potrafi
sygnalizować także i miejsce naruszenia granicy posiadłości.
Ale Uther od początku pozostawił nadwodny pas wolny od
czujników. Sam w ogóle nie sprowadziłby takiego patentu.
Przysłał go ojciec, gdy już pogodził się z istnieniem
tutejszego domu syna.

- Teraz mieliśmy na uwadze nie uzbrojony brzeg.
Na zmianę Steve, Stunnington i panna z poddasza w dzień
przez teleobiektyw, w nocy przez noktowizor obserwowali
nadrzeczne łągi. Ich stanowisko górowało nad skarpią i nad
całą posesją porośniętą na skrajach sosną, a w całości
jałowcami wybujałymi ponad wzrost człowieka.

- Mimo ukrytych czujników znali usytuowanie przy-
najmniej jednego z nich. Widać rozpracowali schemat
urządzenia alarmowego, kiedy tu ciebie trzymali.

Jednocześnie zabrzmiało ostrzeżenie z sektora w pobli-
żu wjazdu i odezwał się domofon, co odruchowo w tym
kierunku odwróciło uwagę także i Steve'a dyżurującego na
górze.

- Przyszedłem w związku z pańskim listem -
zaanonsował się Wincenty Baraszko.

W tej samej chwili trzej bandyci zakradli się na teren od
strony rzeki. A chociaż Steve spostrzegł się niemal natych-
miast, tamtych zdążyły osłonić krzewy. Parcelę otacza nie
zamieszkały las, wystarczyło ominąć przytykający do wody

parkan przechodząc kilkanaście kroków nurtem. Nawet nie musieli płynąć, w sierpniu lustro sięgało ramion dorosłego mężczyzny. I gdyby nie warta na strychu, w sytuacji wytworzonej alarmem przy bramie — przedostaliby się nie zauważeni w pobliżu domu.

Stunnington zwolnił blokadę, furtka uchyliła się i zamknęła za Baraszką, a on wszedł na ścieżkę rozbłyskującą przed nim zapalającymi się lampami i wciąż kroczył w plamie światła widoczny jak na rampie.

Senior ostrzeżony o wdarciu się obcych czekał na dalszy rozwój wypadków, obserwując idącego przez okno z głębi ciemnego pokoju. Steve z poddasza śledził zamarłe jałowce.

W tej beczynności potęgującej napięcie wszyscy w domu słyszeli wciąż brzęczący sygnał czujnika w pobliżu bramy. Steve już rozumiał przyczynę. Nikt nie próbował przejść przez parkan, tylko przerzucono przez niego jakiś przedmiot, który zawisł przed oknem kamery powodując alarm. Później odnaleziono tam uwiązany do kija na długim sznurku woreczek napełniony piaskiem. Pewno w podziale czynności między współnikami ta przypadła Baraszcze.

Kiedy dostawca garderoby, wciąż doskonale widoczny w blasku latarni, znalazł się pod domem w najwyższym punkcie wzniesienia, zza krzewów w pobliżu ścieżki oddano do niego strzał. Upadł. Niewidocznemu bandycie, zdradzonemu rozchwytanymi łapami jałowców, posłał kulę Steve i trafił.

Zakipiało w krzakach. Wyprysnął stamtąd drugi napastnik i zdążył przeskoczyć dróżkę, ale przebiegającego bezlitośnie oświetliły żarówki posłuszne sygnałowi fotokomórki.

- Władował się w celownik szefa. Strzelił przez uchylone okno, sam osłonięty mrokiem pokoju, skąd obserwował zbliżającego się Baraszkę. Drugi facet zważył się w gąszcz i obsiął po pochyłości wzgórza. A mister Stimmin[^] na poniosło, postąpił nieostrożnie, wybiegł przed ganek i w tym momencie ranił go trzeci, a ja trafiłem trzeciego. Wszystko stało się bardzo szybko, prawie jednocześnie. Lepiej nie umiem ci opowiedzieć.

A Baraszkę, który usiłował ciągnąć korzyści z dwóch

stron, niełojalny wobec żadnej, oni chyba od początku spisali na straty. A może i tak by go zabili, żeby nie pozostał żaden świadek. Bo wątpliwe, czy go wtajemniczyli, w czym naprawdę bierze udział.

Zobaczyłem ich, kiedy się rozwidniło i gdy milicja zakończyła na tyle czynności, aby można było chodzić po terenie.

Żaden z nich nie miał na sobie ani garnituru w stylu Wielki Gadsby, ani kurtki khaki wojskowego kroju, ni juchtowych wysokich butów i nigdzie nie leżał teksański kapelusz z szeroką kresą. Wszyscy ubrani jak większość tutejszych ludzi, niczym się nie wyróżniający. Tych twarzy

nie widziałem nigdy. Rozpoznałem tylko leżącego u progu domu Wincentego Baraszkę.

Nazajutrz w ciszy mojej kancelarii czytałem opowieść dokumentów, w beznamietnej treści uchwycony jak w kadrze kształt życia. Pomieszane razem i te z teczki Orlando Harrocks'a, i inne, ułożone według dat.

>

„Zobowiązanie. Ja Stanisława Bartnik-Surażyńska, przybyła do Nowego Jorku z córką Jadwigą, przyrzekam zwrócić dwa tysiące sto dolarów wraz z odsetkami, posłane przez Annę Stunington mecenasowi Wincentemu Baraszcze na naszą podróż i jego honorarium. Nowy Jork 1 września tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku”.

Obie zniknęły bez śladu ziemianki w Wigajnach, krótko po komunikacji radiowej, którym kalifornijska krewna poszukiwała członków swojej rodziny wymordowanej podczas wojny. Obie, chociaż obce, o identycznych imionach i nazwiskach, jak nieżyjące dziecko i kobieta z tamtego klanu.

Drugi w kolejności akt pochodzi z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego. Jest o jedenaście lat późniejszy niż poprzedni i nosi pieczęć kliniki „Continental” w Bostonie. „Ja, Orlando Harrocks, stwierdzam”.

Nic niezwykłego.

Dwadzieścia cztery lata temu przyszedł na świat zdrowy chłopiec, otrzymał imiona Uther-Caradoc. Dziecko nie-, ślubne Pendragona Stuningtona i Jadwigi Bartnik-Surażyńskiej. Pisownia nazwiska zniekształcona angielską transkrypcją.

Następny dokument: kopia zaświadczenia wystawionego dla Urzędu Stanu Cywilnego z tą samą datą, co poprzedni nieformalny zapis, tylko w rubryce dla imienia matki figurują dane: Lucienne Berville. Podpisał właściciel, dyrektor Ikliniki, Orlando Harrocks.

I dossier obojga rodziców. Notatki zbierane skrzętnie latami. Po niedługim czasie już tylko zapiski dotyczące ojca. Po co robił to doktor Orlano? Nie wiadomo.

Para niecodzienna.

Przemysłowiec ze Standard Oil i polska imigrantka, sprzątaczką w gmachu" nowojorskiego oddziału firmy przy park Avenue, słuchaczka kursu rysunku i tkactwa artystycznego.

Dziecko urodziło się, kiedy jego ojciec pozostawał w legalnym związku z inną kobietą i nigdy tego związku nie unieważnił, poprzestając na separacji. Matka dziecka miała lat osiemnaście, ojciec czterdzieści osiem. Między nimi wielki przedział pokoleniowy, społeczny, majątkowy, kulturowy.

Dlaczego właśnie ona, mała sprzątaczką, jakich wiele w tym samym budynku? Jak ją w ogóle zauważył, imigranczkę z kraju swojej matki, czy nie to zdecydowało?

W jego rodzinie nie darzyło się potomstwo, i tej dawnych Stuningtonów, i tej zapoczątkowanej przez Jana Kardasa. Sam Pendragon był jedynakiem, dzieckiem późnego wieku ojca i wiejskiej dziewczyny przybyłej z Europy.

Stunington utracił dwie żony, jedną z nich i dwoje dzieci w wypadku, z trzecią żoną miał troje potomstwa głęboko upośledzonego. Dwoje zmarło we wczesnym niemowlęctwie, trzecie niedawno, licząc blisko trzydzieści pięć lat.

Wtedy, gdy zwrócił uwagę na tę dziewczynę przybyłą ze wsi pochodzenia jego matki, zbliżał się do pięćdziesiątki, miał wciąż piękną żonę i ośmioletniego syna przewijanego i karmionego jak niemowlę w szwajcarskiej klinice, i pewno z latami potęgowane pragnienie zdrowego, normalnego dziecka.

Jeszcze jedna umowa:

Matka dziecka, za straty moralne i materialne poniesione w związku z porodem i śmiercią córki, przyjmuje jednorazowo od ojca dziecka, Pendragona Stuningtona, odszkodowanie w wysokości... i niniejszym zrzeka się raz na zawsze wszelkich roszczeń.

W rezultacie przestępczej zмовy Stunningtona i Harrocksa zdrowy chłopiec Jadwigi Surazyńskiej przemienił się w martwą dziewczynkę. Dlaczego w dziewczynkę?

Aby bardziej zagmatwać ślad. A także, pewno w odczuciu ojca, dziewczynki mniej żal, więc i matka powinna łatwiej znieść stratę. A może zabobonny lęk, aby los nie sięgnął naprawdę po to na niby uśmiercone dziecko? A więc na jego pastwę - nie istniejąca dziewczynka. Za jednym zamachem okpiono i fatum, i matkę.

I ostatni dokument:

„Ja, doktor Orlano Harrocks, oświadczam, co następuje. Pod wpływem nalegań Pendragona Stunningtona i całkowicie od niego zależny sfałszowałem zaświadczenie stanowiące podstawę wpisu metrykalnego Uthera-Caradoka Stunningtona, syna Pendragona i Jadwigi Surazyńskiej, umieszczając nieprawdziwe personalia matki, na życzenie Pendragona Stunningtona brzmiące: Lucienne Berville urodzona w Kanadzie.

Natomiast dziewczynka, którą na podstawie mojego zgłoszenia wciągnięto do rejestru wystawiając akt urodzenia i zgonu na imię Cynthia Surazyńska, córka Jadwigi i Pendragona, była martwo urodzonym bliźniaczym dzieckiem Lucienne Berville, czarnej pielęgniarki zatrudnionej w klinice »Continental*..

Daję świadectwo prawdzie z myślą o Utherze-Caradoku Stunnington, której jednak nie ujawnię za mojego życia ani za życia jego ojca, ponieważ nadal pozostaję całkowicie zależny od Pendragona Stunningtona, a także zagrożony odpowiedzialnością karną i zawodową za popełnione fałszerstwa. Boston, dziesiętnastego lipca, tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku”.

Oświadczenie zostało napisane w dniu, kiedy młody Stunnington przybył do kliniki doktora Harrocksa.

Kim była matka Utliera?

Ocalałe z rzezi ostatnie dziecko kobiety pozbawionej bliskich. Okruczeństwo między głodem, ogniem, zbrodnią,miotany przetaczającymi się frontami po ugorującej ziemi, gdzie zamiast zboża kłosiły się miny. Miny przeciw ludziom, miny przeciw zwierzętom, miny przeciw drzewom i

roślinom.

Okrucz ludzki z rozstrzelanej wsi, w zamordowanym miasteczku. Ośmioletnia emigrantka z upiornego świata, którego ni ogarnąć, ni zrozumieć. Niepiśmienne dziecko z matką umiejącą nakreślić swoje nazwisko, z jednej nędzy w inną nędzę, ze zro'vnanej z ziemią wsi w kamienną obcość miasta mrowiącego się wielonarodową biedą, ciemną jak i one.

Mieszkancka odmiennego ładu, żyje obok bogactwa, obfitości, niesłychanego zbytku i marnotrawstwa, karmiona legendą sukcesu, powielaną przez masowe media kultury.

1 epilog, też zamknięty w tej kasecie obszytej krokodylą skórą. Zupełnie świeżej daty raport wyspecjalizowanej agencji wywiadowczej Harrisa:

„Jadwiga Wachniewicz z domu Bartnik-Surażyńska, pseudonim artystyczny Gaja. Rozwiedziona, córka Hanna lat czternaście, matka Stanisława. Zamieszkałe: Warszawa, Sadyba... Plastyczka, scenograf, kobiemik. Wystawy: Paryż, Nanterre, Warszawa, opcja u Hermesa, galeria przy Madison Avenue...”

Na wewnętrznej stronie okładki wklejona duża fotografia.

Wielkie, wspaniałe włosy, zebrane w ciężki węzeł, łagodne oczy, trochę smutne, trochę zmęczone. Twarz bez uśmiechu, uparte czoło i dwie gorzkie bruzdy od cienkich chrapek w dół ku kącikom warg. Wciąż jeszcze czysty owal twarzy nad gładką szyją, a może tylko komplement kamery.

„Mr Oskierko, jeśli nie przeżyję... I loved my chilcj^ i loved myself, kochałem moje dziecko, kochałem siebie...” - umierając napisał ten człowiek na kartce wydartej z notesu. A chociaż mógł, nie zniszczył żadnego z tych świadczących przeciwko niemu papierów. Nareszcie zachował się uczciwie wobec tamtych dwojga.

11

Miałam nie lada zgryz. Nie zawiadomiłam Stunningtona o dokumentach z kliniki „Continental” odkiytych w kasie Vanessy. Bałam się przyznać, że potrafię się dobrać do jej sejfu, a jeszcze bardziej bałam się wiedzy zawartej w tych dokumentach. Po co je brałam? Odruch. Jako

usprawiedliwienie przed starym grzechotnikiem mojej ucieczki od Vanessy bez jego zezwolenia. Niedobrze zrobiłam.

Ani tego przełknąć, ani tego wypluć.

Oddać staremu Stuningtonowi? Przecież nie wmówię mu, że nie zajrzałam do środka. A on może sobie nie życzyć takiego współnika do rodzinnych tajemnic. I jeszcze coś mi się przytr^ęi, jak temu bostońskiemu kolekcjonerowi intymnych informacji o klientach kliniki.

Oddać Utherowi? W takim wypadku jego tato z pewnością skreśli. I naprawdę poszuka nawet w Patagonii, i odnajdzie, jak obiecał. Wierzę mu bez zastrzeżeń. Zdążyłam się przekonać, co potrafi i jaki bywa słowny.

Ukiąć i nikomu ani słowa? Równie dobrze mogę usiąść na worku ze żmijami. Vanessa może mnie dopaść, bo też ma hyzja, pieniądze i z pewnością siwieje ze strachu na myśl o kompromitujących dokumentach, które wydestaty się z jej kasy.

Wyzwoliłam dżinna.

Biada słabym, którzy dostali się między ostrza potężnych szermierzy! Tyle Szekspir. Właśnie się dostałam i dopiero pojęłam dosłowność tej frazy.

Nie obronię się przeciw wszystkim.

Najpierw wynieść się stąd i dobrze ukryć papiery. U mojej matki musi być dom czysty. Nie mogę jej robić takiego gnoja, żeby na starość szarpała ją policja albo jakieś łapsy. A i sama nie miałabym już żadnego miejsca na ziemi.

Muszę jednak zabezpieczyć sobie jakieś mety w odwodzie. Nie do pogardzenia na początek wydały się oba lokale Uthera, zanim się za czymś rozejrzę, o co w Warszawie dla tubylca niełatwo. Znów ludzie bali się wynajmować, bo jakieś młodzieżowe pismo właśnie poszczuło tyćli, co mieszkają nie mają, na tych, co mają. Powiało grozą.

A póki nie było najzupdniej konieczne, nie chciałam występować jako cudzoziemka dewizowa Suzanne Cartet. Ja miałabym dać się łupić rodakom, karmić wielopiętrową biurokracją przedsiębiorstwa wynajmu! Przecież to wbrew naturze, to jakby mysz ganiała kota.

No i jak najmniej narażać Suzanne Cartet, ostatnią

strzałę w kołczanie. W Warszawie o dobre dokumenty trudniej niż o dach nad głową. Samo dotarcie do takiego źródła kosztuje majątek, zżerany przez armię pośredników.

Odebrałam pozostawione przez Uthera klucze.

„Czuj się jak u siebie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, porozum się z panią Witaszkową, jest moją gospodynią, mieszka we wsi, numer domu dziesięć” — napisał na dołączonym bilecie.

Pojechałam na Stegny, gdzie miał mieszkanie w mieście.

Pod moją nieobecność wykończono tę część dzielnicy między Sobieskiego, Bonifacego a Wilanowską. Granias-tosłupy ustawione w szachownicę i niskie pawilony usług, jednakowe, jak spod sztancy. Poprawne, symetryczne i anonimowe wśród nie wyrosniętej jeszcze zieleni, która nie jest w stanie przydać charakteru owym wieżom z betonu, tak nowoczesnym, aż ludzie nie mogą w nich wytrzymać.

I chyba tylko dzięki owej schludnej monotonii, prześwi-tom przestronnym jak boiska, uliczkom otwartym na prze-ciągi i wszystkie strony świata - dostrzegłam jakiś podej-rzany ruch w pobliżu mojej osoby.

Byłam przygotowana na coś podobnego, ale nie spodziewałam się, że nastąpi tak szybko. I dopiero poniewczasie zrozumiałam: Oni tu, kimkolwiek są, byli. Widać mieli peleng na adresy Uthera i czyhali jak pająk w sieci.

Pół dnia gubiłam ich po mieście. Wrogowi nie życzę trafić w takie opałę w Warszawie. Nie postarałam się dotąd o wóz, bo to znak rozpoznawczy, ale teraz nie miałam czym uciekać. TaksówH są z kategorii towaru, co jest, ale go nie ma. Ich istnienie sugerują tylko kolejki potencjalnych pasażerów na postojach.

Stolico moja europejska! Ganiałam się w tego berka komunikacją publiczną, aż w jednym rozpadającym się autobusie pozostawiłam drewniak i prześladowcę. Zacięły się na nim drzwi - na prześladowcy, nie drewniak - i nie chciały puścić. A że mniej wystawał na zewnątrz niż odwrotnie, uwolniono go z uścisku rozkojarzonych pneu-matyków ciągnąc do środka. Potem musiał się jeszcze

przebić przez cały pojazd do pozostałych czynnych drzwi. Stracił punkty, zyskałam przewagę. Nie na długo.

Wpadłam do domu. Zebrałam trochę drobiazgów. Nie było czasu na zabiegi nad zmianą wyglądu.

-Łapsy? - zafrasowała się moja mama.

-Ale nie państwowe.

-I za to podziękować Bogu - westchnęła pobożnie. -

Trafia za tobą, jak myślisz, moje dziecko?

-Nie wiem. Jeśli przyjdą, powiedz, że ja to nie ja.

Resztę dnia przeczekałam w muzeum. Cisza, klimatyzacja, spokój dzieł sztuki, znamion umarłego czasu, nieliczni ludzie. Tu jeszcze łatwiej zauważyć tropicieli niż na przewiewnych Stegnach. Nikt mnie jednak tutaj nie szukał.

I

Po zmierzchu znalazłam numery i adresy Oskierków w książce telefonicznej. Połączyłam się z kancelarią - cisza. W miebzkaniu słuchawkę podniosła kobieta.

Rozłączyłam się bez słowa. Ważne, że w ogóle ktoś jest w domu. Złożę w nich papiery i stamtąd odezwę się do Stunningtona. Jeśli ściga mnie 'ego sfera, powinien ją przywołać do nogi, skoro się dowie o depozycie u adwokata, jeśli mam na karku wysłanników Vanessy, zyskam w nim sprzymierzeńca, chociaż to sojusznik podobny do wroga. Ale wyboru nie miałam.

I tu na mnie czekano. I tu sprzyjał traf, przyjaciel ściganych. Kiedy się ściemniło, stanęłam przed furtką mecenasa na końcu bezludnej uliczki Rajskich Ptaków, ze ścianą Kabackiego Lasu o rzut kamieniem i gdy wyrosły za mną dwie sylwetki, w tym samym momencie w wdlili otwarły się drzwi i spod podcieni wyskoczył z wielkim wrzaskiem olbrzymi czarny pies, a za nim ukazali się ludzie.

Już sięgające po mnie łapy rozplynęły się w ciemności, jak gdyby były tylko zgęszczonym mrokiem.

-Czy Oskierko senior w domu?! - zawołałam, aby odstraszyć łapsów, aby ponaglić tamtych, co wyszli przed próg, i dla dodania sobie otuchy.

-Proszę - podbiegł i otworzył furtkę Bej, przy czym wymknął się na ulicę jego wielki pies i z szalonym ujadaniem runął w otmę nie oświetlonej uliczki.

Dzień od rana kiśł w mrzawce, atramentowy wieczór z zasnutyim niskim niebem rozpadał się drobnym, zimnym deszczem i bardziej przypominał listopad niż drugą połowę sierpnia. Ciepło ziemi, parujące w chłodzie powietrza, u dołu kłębiło się oparem, ludzie, zatuleni w nieprzema* Icalne folie, w miodowym blasku latarni nad wejściem,

odrealnieni tym obłokiem u nóg, odpływali za krawędź światła wciłnianiani przez mrok.

-Lord, Lord! - za psem pognał Bej, grupa jego przyjaciół przystanęła przy furtce. Nurknęłam w ogród. Bezpieczna za ich plecami przebiegłam na drugi koniec posesji, przez parkan wydostałam się na nie zabudowaną działkę już na innej ulicy, a po kilku krokach niemal potknęłam się o zaparkowany samochód naprzeciwko zakładu krawieckiego.

Jeszcze wciąż niosło się stłumione szczekanie Lorda, kiedy udało mi się otworzyć drzwiczki fiata i uruchomić motor. Dojeżdżałam do Puławskiej, gdy reflektory wyłuskały na skraju pustej, zarośniętej byliną przestrzeni samotny słupek z granatową tablicą i białymi literami: ulica Żołyń. Miałam zamiar odstawić później wóz na swoje miejsce.

Powróciłam na daleką moją bezpieczną Wolę.

-Lunia, one tu niedawno byli!

-To zaraz nie wrócą, jak wyglądali?

-Jeden mówił, drugi się nie odzywał. Krępy, małpi, kawał byka. W portkach niebieskich, takich jak i ty, bój się Boga, dziewczyno, z sadzawki cię wyjęli! - ostatni okrzyk dotyczył mojego wyglądu.

Moja dzielna mama, córka i wnuka koniokradów, wywiodła ich zgrabnie.

-Felicja Adamiec, owszem, moja córka. Pewno, że mieszka, a gdzie ma mieszkać! - zapytana, przyznała się bez wahania - ale jest na urlopie. Jednak mnie się widzi, znowu jakaś szumowina narozrabiała. Bo trzeba panom wiedzieć, memu dziecku ukradziono wszystkie dokumenty 1 ktoś je przyswoił. Od tej pory wciąż jakaś heca, chociaż się w prasie ogłosiło o zgubie. Z komisariatu przychodzą i fotografie do oglądania podtykają, złodzieja szukając. Chodźmy razem do śledczego, panowie jemu zaraz powiedzą, co znowu zrobiono na rachunek mojej córki, bo już skaranie boskie się robi!

Nie wiadomo, czy chociaż na moment nadkruszyło to ich przekonanie, ale się wynieśli zbrzydzeni desperacką gotowością matki pójścia z nimi na milicjanowo. Rozmowa miała miejsce na podwórku, mama przezornie nie zaprosiła

ich do domu, za płotem w ogródku coś robili sąsiedzi.

- Znalazłaś się, jak lepiej nie można - pochwaliłam. Zrzuciłam ubłocone dżinsowe ubranko. Musiałam się odmienić. Jasna peruka, szkła kontaktowe z niebieskim kolorem oczu, czarne aksamitne spodnie, czarne botforty, nieprzemakalna loirtka.

Co dalej?

Skończyły się adresy, pozostał jedynie Oryl. Z pewnością też namierzony, ale nie powinno przyjść ino do głowy, przynajmniej zaraz, szukać tropionej zwierzyny właśnie tam.

Potrzebowałam telefonu i chociaż godziny odetchnienia w mordeczym biegu. Koniecznie musiałam porozumieć się ze Stunningtonem albo ze Steve'em. W wiejskim domu Uthera, z dala od Warszawy, w lesie, miałam szanse ucieczki i łączność bez ograniczeń.

Bałam się, ale pojechałam do Oryla. Po drodze pomyślałam o legendzie dla gospodyni Uthera. Przyszło na myśl nazwisko z plakatu widzianego w mieście. VigieUa Mello-gina. Sopran koloraturowy. Włoszka. Może być. I tak będzie miała krótki żywot, nikt nie zdąży sprawdzić jej talentów wokalnych. Witaszków potrzebowałam tylko po to, aby u nich ukryć wóz.

Dom numer dziesięć. Na podwórku skończyła się benzyna w baku, musieliśmy wtoczyć fiata na klepisko do stodoły, gdzie został zamknięty.

- Zaczarowała pani Burka - niby żartem, ale z cieniem

iirazy powiedział Witaszek, gdy jego groźny towarzysz zamiast na mnie szczeakać, merdał.

- Mnie lubią wszystkie psy - wyjątkowo nie skłamałam. Może dziedzyczyłam po dziadku, tym, co zszedł na psy, sympatię czworonogów, może przyjęły mnie raz na zawsze do swojej społeczności, odkąd w dzieciństwie pomieszki- wałam w ich budacli, a te znajdy sypiały w moim łóżku

i razem braliśmy w skórę, jeśli któreś z nas, obojętne, kundel czy dziecko, próbowało zagnieździć się na pluszowej kanapie, nazywanej otomaną. Może od tamtej pory one wszystkie czują we mnie brata-łapę.

- Uther na wyjeździe, pewno dał pani klucze - badała Witaszkowa, ciekawa, skąd się wzięłam, i wtedy legenda na doraźny użytek sama spłyn^a mi z ust.

Złapałam się na tym, że włoskie zwroty wymawiam z akcentem signory Owerola, gwarą południa, jak italscy chłopi ze wsi gdzieś za Neapolem, skąd przybyła do Paryża, wygnana nędzą, włoska matka francuskich obywateli.

Witaszkowa, prowadząc mnie skrótami nad brzegiem Bugu, skrajem łągów i rezerwatem wyniosłych jałowców, zdążyła opowiedzieć o zwyczajach kolonii profesorskiej, Brykałach, o sobie samej, o Miśkowiaku, a także o wielkim poważaniu w Orylu dla mecenasa Oskierko.

- Będzie ci tu jak u Pana Boga za piecem - powiedziała prezentując wygodę siedziby Uthera. - Jak kto przyjdzie, to się zapowie, a ty usłyszysz. Wtedy ten guzik naciśniesz, tylko nie pomył zielonego z czarnym. Zielony od bramy, czarny od wyjca. Wyjec je włączony. To stróż. Jak kto śmiałyby parkan tknąć, on zara olaboga! Zmyślna gadzina-poczyła Witaszkowa i poszła.

Dom tchnął spokojem i bezpieczeństwem.

Nie kusić losu! Przeobrazić się w babę, w mało rozgar-niętą sługę. Powierzchność i ubiór zapożyczyłam od Witaszkowej, nawet odpowiadała mi kompleksją.

Na twarz mastyks, łudząco ściągający skórę jak prawdziwą zmarszczki, a na moje własne włosy farba. W mgnie-niu oka poszarzały, zrobiły się szpakowate. Ściągnięte na czubku głowy w kukielkę pod koronkowym stroikiem wyglądały jak ciasno upięty przerzedzony warkoczyk no-szony przez Witaszkową. W pomieszczeniu za kuchnią znalazłam odpowiednią garderobę.

Nierówno i krótko ścięłam paznokcie, a na icli obrzeża wtarłam miałki grafit. Po zewnętrznych stronach dłoni brązowe kleksy henny, a na całe - postarzący preparat.

Nawet z bardzo bhska są to teraz zniszczone stare ręce, pokryte wątrobianymi plamami. Mają jeden feler, zmoczone młodnieją. Dające naturalne efekty barwniki rozpuszczają się w wodzie.

Często odzywa się telefon, mechaniczna sekretarka wy-głasza swój tekst w trzech językach, ale nikt się nie odzywa,

słysząc tylko dźwięk odkładanej słuchawki.

Teraz przychodzi mi na myśl, że jeśli będę długo zajmowała linię, zdradzę obecność żywej istoty w domu. Powinam więc rozmawiać jak nakrójce, najlepiej tyle, ile może potrwać przekazanie automatowi zlecenia przez osobę telefonującą z zewnątrz. Spróbuję nie ryzykować połączenia z Kalifornią, muszę nakłonić do pomocy Oskierkę.

Unieruchomiłam taśmę i wybrałam na tarczy numer mecenasa- Zrobiłam, co mogłam, aby go nie naprowadzić na Oryl, niezdrowy teraz dla nas obojga. Jego albo już dawniej namierzeli, albo ja tam przywlokłam ogon. Z kolei - znów za nim sfera może przyciągnąć tutaj. Niedobrze, jeśli moje miejsce pobytu zdradzi ten pulsujący, ledwo uchwytny rytm w membranie, lecz na właściwości aparatury nie miałam wpływu.

Nareszcie za mną ta rozmowa. Całej prawdy nie powiedziałam, skutek osiągnęłam, poczułam się pewniej.

Trochę taje napięcie i trochę zadrzemałam w fotelu, kiedy skądś bierze się pewność, że na nic wszystkie ostrożności. Idą!

Zamieniam się w uszy, w radar, jestem kamertonem. I chwila paraliżującej paniki. Zmaleć, zniknąć, stać się niewidzialną. I zaraz wręcz przymus, aby podjąć grę. Jak długo można uciekać, nie wiedząc nawet przed kim. Przynajmniej dowiem się, co mi może grozić. Przyjąć wyzwanie nie czekając na mniej korzystne warunki. A tutaj mam odrobinę przewagi. Jestem na swoich śmieciach, a oni, jakiego by nie użyli wybiegu, nachodzą cudzy dom.

- Mówi kolega Uthera, proszę otworzyć - odzywa się domofon.

Stało się, ale jeszcze mam możliwość ucieczki. Nie! Będzie, co postanowiłam. Prędko krople do oczu, zapiekło, zaogniły się spojówki - o to chodziło, chociaż wywoła prawdziwe zapalenie. Drastyczny środek, rzadko przeze mnie stosowany. I tampon do ust trochę z boku nad górną szczękę. Policzek wydał się jak spuchnięty i zmniejszył jedno oko. Podwiązuję chustką bolące zęby.

- Mówi kolega Uthera, jest tam kto?

- Witaszkowa - mamrocze w membranę domofonu

ustawiając głos, wychodzi głuchy, bełkotliwy. - Zara od-
kluczam, tylko zawołam psa, bo pędza po ogrodzie.

Nie muszę wołać. Sawa leży koło mnie, na słowo: pies,
uchyla jedno oko i stawia ucho.

- Chodź, piesku, tak będzie dla nas obu najlepiej -
biorę ją za obrożę, gładzę płowy łeb. Dźwiga się niechętnie,
jest w niej niepokój, pewno czuje tamtych, chociaż są daleko
za ogrodzeniem. Uwiązuję ją przy budzie. Deszcz wciąż
pada. Wracam do domu i uruchamiam automat zwalniający
furtkę. Teraz już nie mam wyboru. Czas, zanim oni przeby-
wają ścieżkę, trwa wieczność. Wreszcie stukanie do drzwi.

- Ide, ide, leecce! - człapię przez obszerną sień, boję
się przerażająco, przyrzekam sobie, że już nigdy więcej
takich numerów, tylko niech się ten uda. Nic nowego, za
każdym razem tak sobie obiecuję. Gmeram przy zamkach,
tak aby słyszeli, dygocą mi ręce.

otwieram.

- Uther gdzieś baluje - znika strach i znikam ja. Na
progu stoi stara, nierozgamięta Baba z zapaleniem okost- nej
i zniekształconą wymową. I pozostaję Babą, chociaż
zderzam się twarzą w twarz z zagrożeniem, że już o gorsze
trudno. Znajomi.

Dwóch. Jeden militarny, cały khaki z odkrytą głową,
szpakowaty, drugi w szarym stetsonie. W zielonym rozpo-
znaję Baraszkę, ananasa wynalezionego przez Oskierków,
importowanego przez Uthera i sprzątniętego mu sprzed nosa
przez Yanesę w Paryżu, a pod rondem teksańskiego
kapelusza - Victora, jej kompana z rezerwatu „Chez-Soi” na
Clignancourt. Tandem urwany ze stryczka.

Żaden z tej pary nie ganiał za mną po mieście, gdybym
wiedziała, nie jestem pewna, czy odważyłabym się stawić im
czoła nawet w skórze Baby.

W izbie z kominkiem wytracili impet, rozleźli się po
domu. Zaszyłam się w najciemniejszy kąt, kupka gałga-
nów. Ale Stetson manipuluje światłami i na moment bucha
spod sufitu oślepiająca jasność trzech żyrandoli. Trzy razy po
sześć świecówek osiemdziesiątek obsadzonych w rzeźbione
drewno.

Kulę się w swoich ochromnych szmatach, ale on zaraz

wygasza iluminację. Też woli oszczędne światło, pozostawia tylko ascetyczną lampkę osłoniętą abażurem, którą paliłam, zanim weszli. Wraca półmrok. Dudnią schody pod stopami Baraszki w wysokich juchtowych butach schlapanych błotem. Wchodzę do gry. Interweniuję.

- Niech trzewiki wj^rom, jakże z takimi na pokoje!

- Co ona mówi? - duka po angielsku Victor. Udaje zamorskiego ważniaka, mnie nie obdarza nawet spojrzeniem, ganguś!

- Brudzimy - wskazuje swoje cholewy Baraszko. Bez protestu, pojedynczo wycofują się do sieni i starannie wycierają nogi wilgotną ścierką.

Jestem Babą.

- Kto stąd rozmawiał, wy? - wymierza we mnie palec Baraszko. Trzęsę głową przecząco. - Linia była zajęta, więc jeśli nie wy, to ktoś dzwonił tutaj - upiera się. To znaczy wiedzą, że w tym czasie numer Oskierki także był zajęty.

- Ja ta nie wiem, maszyna odbiera, maszyna pisze.

Przesłuchują taśmę. Oczywiście nie ma tam żadnego tekstu, tylko dźwięk odwieszanej słuchawki anonimów, którzy się nie zajmowali. Rozumiem, to oni sprawdzali, czy w domu ktoś jest.

- Co się dzieje z tym telefonem? - nie daje za wygraną Baraszko, a mnie ich wypytywanie przyprawia o szalone napięcie. Niedługo. Zaraz mają inne zmartwienie.

Wpada trzeci w dżinsowym ubranku. Rozpoznaję faceta ściśniętego drzwiami w autobusie. Ma końską ksywę: Mierzyn, i tylko on nosi przezwę.

- Uszkodziłem mecenasa - powiada łamignat. Robi mi się niedobrze.

- Damn you! - klnie Stetson i obaj wylatują jak z procy. Niebawem taszczą Oskierkę.

Stetson jest wściekły, piekielnie wściekły przez nawalankę z mecenasem, chociaż się hamuje. Bluzga tylko po angielsku, gada natomiast dziwną polszczyzną, jakąś zamierchłą gwarą, a pozostali usiłują go naśladować. W pewnej chwili Mierzyn tłumacząc się, mówi do niego: „Steve!”

Nareszcie rozumiem. Victor, bandyta z Clignancourt,

udaje goryla starego Stunningtona. Ten amerykański
wygląd i ta mowa. Puścizna po chłopskich przodkach,
zachowana przez następne pokolenia w nie zmienionym
kształcie, jak stary modlitewnik, obrazek Częstochowskiej
czy bicz korali po wieśniaczej prababce.

Wiem od Uthera. Steve, zasymilowana i daleka genera-
cja, pochodzi od polskich emigrantów. Nie wiedziałam,

jak i na ile władza językiem przodków, ale Victorowi, z twarzą ocienioną tekszańskim kapeluszem, kiedy mówił do pomocników, a zwłaszcza do mecenasa, mowa służyła jak ubiór i maska na twarzy.

Rozumiał to nawet Mierzyn, już nie mówiąc o przebranym w uniform khaki Baraszce, dlatego też mazurzył jak idiota, chociaż wszystkimi porami wyłaził z niego prymitywny żargon podwarszawskiej szpany, i mógł równie dobrze pochodzić spod Tłuszcza, jak i spod Piaseczna.

Rządził Victor, chociaż przeważnie gadał Baraszko, ale on grał określoną osobę i czuł się bezkarnie. Wszystko, co czynił, i tak miało pójść na konto Steve'a, nieodłącznego towarzysza Stunningtona. Pewno też z tego powodu, a trochę z lekceważenia, nie osłonili twarzy przed Babą, nierozgarniętą sługą, starą, ciemną prostaczką. Dopiero kiedy mecenas zaczął otwierać oczy, nałożyli swoje maskaradowe domina, a Mierzyn naciągnął na głowę pończochę.

Później widziałam ich jeszcze raz. W komplecie. Także tutaj. Leżeli za kępą jałowców strzelistych jak gotyckie wieże, przypominali przewrócone makiety strzelnicze. Nie żyli.

Dociera do mnie jeszcze jedna prawda. Chroni mnie nie tylko charakteryzacja i dobre udawanie. Ukrywa mnie także ich nieuwaga. Nie przyszli szukać tu mnie. Nie podejrzewają dziewczyny, która pod Paryżem ukradła dokumenty Harrocksa, o taką metamorfozę na ich oczach w Orylu. Są przekonani, że ze strachu zdeponowała papiery u Oskierki i dlatego uprowadzili Oskierkę, bo im przede wszystkim zależy na dokumentach.

Ale nie mogłam pozostać. Moja mimikra nie przetrzymałaby operacji przymusowego usypiania, a patrząc, jak budził się Oskierko, nietrudno było się domyślić, co nas jeszcze czeka.

Drogę ucieczki miałam jedną - okno mansardy, ale nie potrafiłam przewidzieć, jak szybko odkryją moją nieobecność i czy przez ten czas zdołam wydostać się z terenu posiadłości i ująć bezpiecznie przed nieuclironnym pościęciem.

Kryjówkę miałam upatrzoną na miejscu. Więc bez wa-

hania wśliznęłam się do psiej budy, a pies odsunął się dając schronienie i legł u wejścia. Płowe ciało Sawy wypełniało otwór drzwiczek odgradzając mnie od prześladowców.

Prędko odkryli moje zniknięcie, przez ten czas nie zdążyłabym nawet dotrzeć do żwirówki. Słyszałam, jak opuszczali dom. Rozbiegli się pośród jałowców, niczym złe oczy błyskały ich ślepe latarki w siekającej deszczem ciemności.

Sawa szalała. Jej wściekłe ujadanie wsiąkało w tuman wi^oci. Nikt nawet nie zajrzał w jej pobliże.

Ścieżkę okrywał mrok, zanim nadeszli, wyłączyłam automat zapalający lampy. Teraz snuli się jak duchy, bez jednego słowa. Zanikały za nimi szelesty. Dobiegł jak przez węgę pomruk samochodowego starteru.

Nie ruszyłam się, przytuliłam plecy do ciepłego boku suki. O świcie opuściłam legowisko czworonożnego przyjaciela. Wyprowadziłam z garażu morrisa Uthera. Nie miałam odwagi zajrzeć do domu.

Wiałam stamtąd, aby nikogo nie spotkać. Zawiadomiłam właściciela fiata, gdzie znajduje się jego wóz, nie mogłam narażać się, aby do tego wszystkiego jeszcze zaczęto mnie tropić za kradzież samochodu.

Morrisa pozostawiłam na parkingu w śródmieściu i przekradłam się na Stegny. Tym razem nikt w pobliżu nie czyhał, więc zadekowałam się w kawalerce Uthera. Wieczorem ze złymi przeczuciami zatelefonowałam do domu Oskierki. Jednak istniał. Odetchn^am. O nic nie zapytał, powiedział, że Stunningtona należy spodziewać się za trzy dni. Zatrzyma się w „Victorii”.

Cały ten czas przetrwałam na Stegnach nie wychodząc i nie dając znaku życia, zamknięta w mieszkaniu. W określonym terminie, zachowując wszelkie środki ostrożności, odnalazłam starego w hotelu.

- Proszę - położyłam przed nim szarą kopertę z pakietem Harrocksa i zawiadomiłam o ostatnich wydarzeniach.
- Niech mi pan pomoże, nie wiem, gdzie się podziać, boję się tych pitekantropów!
- Czytałaś? - spojrział na mnie ponuro, odruchowo wygładzał papiery. Były trochę pomięte, przez tę najcięższą noc w Orylu tkwiły pod psem w legowisku Sawy, a później

nosiłam je pod bluzką.

- Jeśli zaprzeczę, pan uwierzy?

- Zrobiłaś kopie? - Stunington pr[^]jrzał mi się jeszcze bardziej ponuro.

- Nie.

- W jaki sposób je zdobyłaś?

- Nie ma pan większych zmartwień?

- Nie bądź bezczelna.

- Jednak przyniosłam dokumenty panu, chociaż gonili mnie przez pół Europy.

- Ale nie dałaś znać, gdy przesyłka wpłynęła do Nogent, nie uprzedziłaś, kiedy Vanessa kupiła tęmałą kanalię, tego shit! - Baraszko, ledwo się domyśliłam, o kim mówił, tak zniekształcał nazwisko. Rozmawiał ze mną po francusku, ale brzydкими wyrazami rzucał w języku rodzimym.

- Pan ją na mnie poszczał! - nareszcie mnie oświeciło. - Przez pana musiałam nawiewać i wszystko zostawić. I nie wstyd panu, żebym jeszcze musi[^]a do pana pieniądze dokładać, jak do jakiej nędzy ze świadectwem ubóstwa! Pan ma za nic człowieka, ale żąda lojalności, i po co się narażałam dla pańskiej makulatury!

A więc beze mnie wiedział, co się dzieje u Vanessy. Nie tylko noną się posługiwał. Dopiero właściwie zrozumiałam rotację Pauli. Pewno dlatego uciekając od Vanessy nie zastałam piątego Paula przy bramie. W dyżurce osłoniętej rozpiętą na kratkach winoroślą znajdowało się jego łóżko i miejsce, gdzie miał obowiązek przebywać, jeśli akurat nie robił czego innego. A on wykorzystywał nieobecność szefowej, żeby węszyć po domu i kablować staremu. Tylko ja okazałam się nieposłuszna i dlatego Stimmington mnie skreślił.

- Ale tyśli dokumentów nie zdobyłby żaden z pańskich Pauli! — nie odmówiłam sobie drobnej satysfakcji.

- Nie. Nie one są jednak najważniejsze.

- Mówi pan tak, żeby mnie pomniejszyć. Pan by się cłiyba udławił odzywając się do człowieka dobrym słowem.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz?! Ona cłice zabić mojego syna. Jest szalona. Żyłaś przecież obok niej, widywałaś ją dzień po dniu przez tyle czasu i ani razu mnie nie

przestrzegłaś, naprawdę nic nie zauważyłaś?

Dopiero teraz zastanowiłam się nad postępowaniem Vanessy.

Przebieeranka w Nowym Jorku, gdy wracając z Kalifornii po pogrzebie syna przystanęła w hotelu „Płaza”. Czy nie wtedy uruchomiła tyby, które zmiażdżyły Orlano Harrocksa?

Jej pijane monologi: „Pendragon jest z długowiecznych, może żyć jeszcze i dwadzieścia lat. Dwa dziesiątki lat życia - nie tak dużo. Dwa dziesiątki lat piekła - nieskończoność. Oni zabili moje dziecko, po synu dziedziczy ojciec, ale po nim nie będzie komu dziedziczyć”.

Wszystko puszczałam mimo uszu. Ot, gadanie nieszczęśliwej, samotnej i nietrzeźwej.

Co dotychczas w jej zachowaniu wydawało się skutkiem złej doli, nałogu i skłonności do ekstrawagancji, teraz nabrało innego ciężaru; od dawna narastających symptomów manii prześladowczej. Utajona, nagle wybuchła gwałtownie.

i

Stunnington, zajęty dążeniem do ograniczenia swobód finansowych Vanessy, też nie zdawał sobie sprawy z postępującego zagrożenia, skoro spostrzegł się dopiero, gdy mechanizm zniszczenia został puszczonej w ruch przez niepoczytalną kobietę.

Groza sięgnęła mi do pięt.

- Pańskiego goiyla udawał Victor, bardzo nieprzyjemny gość z Clignancourt.

- Nie nazywaj Steve'a gorylem, to przyjaciel.

- Jak pan sobie życzy. - Kto by pomyślał, patrzcie, on ma przyjaciela, nie tylko samych najmitów'. - Widywałam Victora w „Chez-Soi”, rezerwacie szpany z całego osiemnastego arrondissement.

- Wiem - rozłożył przede mną w wachlarz kilka fotografii. Zauważyłam, ws^stkie nosiły w prawym górnym rogu tłoczoną pieczętkę agencji Harrisa.

- Kogoś poznajesz?

- Victor - Stetsona namierzyłam od razu, trudniej poszło z Baraszką. Zdjęcie niezbyt aktualne, gość, którego widziałam raz jeden u Vanessy i kilka dni temu w militarnym

khaki, na tym portrecie był o dwadzieścia lat młodszy.

- Wieczorem jedziemy do Oryla. Napisz, jakich rzeczy potrzebujesz. Każę kupić.

- Obejdzie się - mruknęłam w jego tonacji. Ale zrobiło mi się lepiej, stary grzechotnik brał mnie pod swoją zbliżoną do niewoli opiekę.

Do Oryla przyjechaliśmy nocą. Steve już tam urzędował i zaraz zdał Stunningtonowi sprawozdanie, w jakich warunkach i w jakich układach mieszka Baraszko.

Okazało się, że sam, w trzyizbowym domku z wygodami na podwórzu, na działce liczącej tyle i tyle akrów, w takiej, i takiej odległości od torów kolejowych i łoskot elektryczki przebiegającej z taką i taką częstotliwością ma tam znakomity rezonans.

- Zwinę go, zanim usłyszysz własny głos - zapewnił. Zrozumiałam, że szykuje się dostawa ścierwnika do Oiył[^] a bieżące informacje zbiera nie Steve, tylko nadają ją z miasta jakiś wyrobownicy, pewno też od Harrisa.

- Poczekamy dzień — zdecydował Stunnington i pilnował przełączonego na głośnik telefonu, oczekując dalszycj[^] raportów o atmosferze wokół Baraszki.

Steve warował na strychu, ja po odprawieniu Witaszkowej pokazałam się we wsi i tam na agorze, czyli w sklepie, gdzie miałam frapujący wybór między musztardą a octem, zadawałam szyku jako dziewczyna Uthera, co nie było niemiłe, ale chociaż towarzyszyła mi Sawa, z ulgą powróciłam na kolonię do domu Stunningtonów.

- Wciąż jest sam - wieczorem zawiadomił Stunnington o sytuacji u Baraszki i zmienił swojego przyjaciela na czujce, a Steve pojechał i wywłókł ścierwnika za kark w momencie, gdy odgłosy przemocy zagłuszał łoskot ostatniego pociągu zdążającego do Warszawy przed nocną przerwą.

- Zejdź do living-roomu, posłużysz za tłumacza. Zaraz Steve przywiezie tego, tego shit! - znalazł mi zajęcie Stunnington i widząc moją rezerwę: - Nie bój się, to tylko mała kanalia!

- Dla kogo mała, dla kogo nie. A moja twarz jest moim największym kapitałem, szefie. Nie chcę, aby ją

zapamiętał. Przerobię się na Ba[^], co?

- Możesz. Nawet mi trochę oszczędzisz niepotrzebnego gadania - mruknął. Po raz pierwszy dodał coś w rodzaju wyjaśnienia. Niestłuchane, zupełnie jakby zaczynał podejrzewać we mnie człowieka.

Kiedy Baraszko zobaczył Babę, zachował się jak jeden z kundli mojego dziadka. Widząc mocniejszego siadał do niego tyłem i udawał, że tamtego nie ma. Dziadek, filozof samou[^] przezwiał go solipcystrą.

- Wiem o tobie wszystko i z mety mogę cię zapuszkować

- kiedy przełożyłam pierwsze związane zdanie Stuningtona, gangus zbaraniał, ale zaraz pozbiarał się i nadal nie przyjmował do wiadomości mojego wyglądu.

Stunington otwor[^]ł przygotowaną teczkę w taki sposób, żeby ścierwnik mógł widzieć, co jest w środku. Wprawdzie znajdujący się tam tekst napisany był po angielsku, lecz wpięta na pierwszej stronie duża odmłodzona podobna Baraszki, z wypukłą pieczętką Harrisa, nie pozostawiała wątpliwości co do istoty fabuły zgromadzonej w skros[^]cie.

-Zapytasz, dlaczego dotychczas nie zawciałem policji. Ponieważ wolę domówić się z tobą, jeśli jednak nie spełnisz moich warunków albo spróbujesz kantować, będziesz kiblował - dobór określeń polskich należał do mnie.

-Czego chcecie od biednego człowieka? - wyjąkał ścierwnik. Zapodział się gdzieś ze szczeniem waleczny Ojciec Chrestny Mierzyna, prawa ręka zagranicznego bravi, jakby wraz z miUtamym ubrankiem khaki zdjął z siebie i charakter. Przed Stuningtonem wiła się człękoksztalna glista odziana schludnie i nijako.

-Ilu jest twoich kamratów?

-Jeden Amerykaniec i dwóch tutejszych, Jachu i Mierzyn, ale to jego wynalazki, nic o nich nie wiem. Przysięgam.

-Bozia cię ukarze za krzywoprzysięstwo, i- nie żaden AmerykaniecJ tylko tutejszy. Poszukiwany za zabójstwa i napady rabunkowe przez policje Polski, Francji i Maroka - Stunington w taki sam sposób, jak poprzednio teczkę Baraszki, zaprezentował teraz dossier Victora. Ścierwnik

lypn^ na fotografię i sflaczał doszczętnie.

-Zbyt zasłużony kolega, nie? — zauważyłam.

-Co mam robić?

Stunnington dał mu podrobiony list Uthera i wyjaśnił, czego oczekuje.

- Poza tym, przedzam, za Surazyńską nie wyciśniesz już od nikogo ani grosza, ale tu powiesz, jak ją odnalazłeś!

- Stunnington badał go wzrokiem, wyraźnie ciekaw człowieka, który lata temu, ani wiedząc, wpis^ się w jego los i żaden nie przeczuł, że razem dopełni się ich przeznaczenie, chociaż potężnego bogacza i nikczemnego pariasa dzieliło pół globu i dwa bieguny społeczne.

Ścierwnik popatrywał spode łba. Milczał. Nie biją w mordę, dają zaliczkę, znaczy, potrzebują go. Gangus zaczął się prostować.

- Wiem bez ciebie. Ona mieszka na Sadybie i pracuje w teatrze, a ty sprzedajesz tam szmaty. Chciałem usłyszeć, jak ją rozpoznałeś, przecież widziałeś ją jako dziecko, a od tamtej pory minęło blisko czterdzieści lat. Ale nieważne, możesz nie mówić.

- Raz natknąłem się na jej matkę, gdy wychodziła z pracowni teatralnej scenografa... - Oczywiście, wtedy dał nogę, bo nie miał żadnego interesu im się przypominać, ale skorzystał ze swojej przypadkowo zdobytej wiedzy, kiedy przeczytał w gazecie pamiętne ogłoszenie.

Steve odwiózł go do domu przed świtem.

Handlarz teatralną garderobą nie dotrzymał zobowiązania, a może tamci nie dopuścili, aby dotrzymał, nie pokazali się w Orylu w umówionym dniu. Zjawił się pod bramą nie zapowiedziany, w momencie gdy Stetson z pomocnikami zaczęli przeprowiać się korytem rzeki, maskowani fałszywym alarmem elektronicznego strażnika. A gdy już zalegli pod osłoną jałowców, pewni siebie, zaczęli od usunięcia kłopotliwego świadka. Zabili ścierwnika! Widać żywa noga nie miała stąd ujsć. Stało się inaczej, to oni zginęli: Wszyscy.

Stunnington nawet nie poszedł, aby na nich popatrzeć. Padł na fotel i zatulił się w koc. Nie miałam pojęcia, że życie niespożytego starca właśnie dobiega toesu. Jego apatię

wzięłam za jakże zrozumiałą reakcję po niesamowitym napięciu ostatnich paru dni, a zwłaszcza po przeżyciach tego wieczoru.

- Idź, przyjrzyj się im, chcę wiedzieć, czy to na pewno ci sami - rozkazał. Dygotał pod pleciem i nie mógł się rozgrzać, chociaż opatuliłam mu nogi.

Chlusnęłam denaturatu na drwa przygotowane na ruszcie kominka i przytknęłam płonąca zapałkę. Bucmął niebieskawy ogień.

- Czy to ta wódka, którą można trawić żelazo? - uchylił przymknięte powieki i spojrzał na zajmujące się polana.

- Nie. Też spirytus, ale skażony. Tani - przysunęłam fotel z nim bliżej ognia. Karbowy! Razem z gorylem naszatkowali ludzi, sam ledwo zipie, ale nie zapomina o oszczędzaniu.

- No idź - zniecierpliwiał się - i podaj mi telefon.

Wyprawił mnie w złowrogą ciemność za oknem i dlatego jeszcze, że chciał z kimś rozmawiać bez świadków.

Musiałam jednak wiedzieć, z kim, może z milicją. W takim razie beze mnie. A w ogóle najwyższy czas pomyśleć o sobie.

- Proszę Gaję - powiedział. - Nie ma jej, a gdzie jest?! - zniecierpliwiony, apodyktyczny ton. - Nie wie pani? Z kim rozmawiam, z córką Gai? Ach tak! Moje dziecko, powiedz matce, żeby do mnie w żadnym razie nie przyjeżdżała. Tak, byliśmy imiówieni, miała być u mnie przed dziesiątą, sądzę, że już się nie pokaże, ale na wszelki wypadek bardzo proszę, powtórz jej, że kategorycznie odwołuję spotkanie! Nie zapomnij: kategorycznie! I niech koniecznie leci do Nowego Jorku, tam się z nią skomunikuję!

Usłyszałam trzask spadającego aparatu, pomyślałam, że ze złości, bo coś nie poszło po jego myśli, cisnął go o podłogę.

Powlokłam się w mrok jałowcowego gąszczu, musiałam się przemóc, żeby nife uciec. Łatwo powiedzieć: - Idź

1 przyjrzyj się! - Boję się martwych.

Leżeli jak połamane manekiny. Eozpoznałam Victorg i Mierzyna, tych samych, przed którymi kryłam się w skórę Baby, tych samych, przed którymi uciekłam do legowiska

psa. Trzeciego z nich nie widziałam nigdy, ale słyszałam jak mówili o nim „Jachu”.

- Na nic więcej się panu nie przydam. Proszę pozwolić mi odejść. Przecież obiecał mi pan wolność po wszystkim- poprosiłam po zdaniu sprawy z oględzin. Chciałam rozstać się z nim w zgodzie. Wciąż się go bałam.

- Zostaniesz, dopóki nie powróci Steve - rozkazał. I po chwili milczenia, z wysiłkiem: - Byłem umówiony z Gają. Nie chcę, aby mnie zobaczyła w takim stanie, nie chcę, aby zorientowała się, co tu zaszło, nie chcę jej w to wikłać. Nie wiem, czy w ogóle przyjdzie, ale poczekaj na dworze, gdyby się pojawiła, zawróć ją stąd, użyj, jakich chcesz argumentów, zresztą kręcić lepiej potrafisz ode mnie, nie muszę cię uczyć. Lecz o czym dowiedziałaś się służąc Vanessie, a teraz mnie, milcz! Nie waż się wspomnieć nikomu. Dowiedzą się ode mnie, tylko ode mnie. Nie od obcych!

Gdy powróci Steve, możesz się w domu nie pokazywać. Aby się stąd wydostać, weź samochodzik - tak nazyw/ał malucha, jeden z dwóch wozów Uthera. - Zostawisz go pod „Yictorią”, a kluczyki w recepcji.

- Masz pieniądze - podał mi czek wypełniony na okaziciela - nie byłaś zła - udzielił jedynej pochwały. - A teraz już idź! - przymknął oczy.

Miałam zamiar czekać na Gaję albo na Steve’a w pobliżu furtki, skąd blisko do garażu. Ale przyszło mi na myśl, że Stunington pod wpływem swej niedyspozycji zapomniał o czymś istotnym. Przede wszystkim należno przeszukać kieszenie tych ludzi.

Groza sięgnęła mi do pięt, ale zrobiłam to. I w portfelu Baraszki znalazłam notes z adresem Gai i wycinek z pamietnym ogłoszeniem, którym Uther poszukiwał matki,

Zabrałam skrawek dniku, należało zlikwidować ślad, jeśli gliny nie miały z punktu dotrzeć do tej kobiety.

Zanim poszłam przetrząsnąć kieszenie Victora i jego kamratów, na wszelki wypadek wyłączyłam światła na ścieżce i koło garażu, pozostawiając tylko przyścienne latarnie ganku, tak że dom wyglądał, jakby w nim nikogo nie było. Przy tamtych nie znalazłam nic. Żadnego świstka.

Wracając usłyszałam czyjąś obecność. Uckiyliłam łapki jałowców i zobaczyłam kłęzącą kobietę. Znałam ją z fotografii. Przede wszystkim jej wielkie włosy zebrane w ciężki wężd, podobne do włosów Vanessy. Tylko głowa Gai miała ton żytniej słomy, a Vanessy gorącego złota dojrzalej kukuiydzdy.

12

Nalewam koniak, przyjmuję gratulacje, na kremowym welinie kart księgi pamiątkowej o wydoconych brzegach wysuszam bibułą atrament po mont blancach, watermanach, schaffersach i widzę, jak batuta spikera zatacza łuk, zbierając na'wypolerowanym obuszku światła odbite w soplach kryształowych pająków.

- Sold, sprzedane! - obwieszcza spiker pod dźwięk srebrnego młotka, a pracownik Hermesa przypina wizytówkę nabywcy do weduty zajmującej ścianę naprzeciwko mnie.

- Zmęczona jesteś - troszczy się Hermes i podaje środek na podtrzymanie formy. Pewno zażycie przeze mnie czegoś takiego zaprogramował już w scenariuszu wystawy, więc nie ma sensu tłumaczyć, że nigdy nie stosuję żadnych ożywiających pigułek.

Przyjmuję płaskie opakowanie. Leżą w nim trzy pastylki, widać odmierzona doza, trzy delikatnie różowe kulki, » podobne do pereł opasujących szyję damy witającej się właśnie z Hermesem.

Od stóp do głów zamotana włnodne przejrzyste żorzęty koloru konchy. Na platynowych włosach leżą różowe refleksy, chwycie się egreta z różowych piór i brylantów 1 różowa jest brosza spinająca paciorki. Tylko rękę, gdy ją podaje Hermesowi, oblewają białołędkitne błyskawice, chociaż diamenty nanizane na palce też są różowe.

Cała w tonacjach rose Pompadour, jak cenny wyrób z Vincennes, i dysonans w tej harmonii - pergaminowa skóra na skroniach, napiętki splamione brązowym pigmentem i twarz jak dzieło sztukatora.

- Miło cię poznać. Gaja - wymieniamy uśmiechy. Wy-
ciąga do mnie rozmigotaną dłoń niczym czek, jakim przed
chwilą zapłaciła za: „Miasto o zmierzchu”.

Dyskretnie pozbywam się różowych draży. Wpuszczam
je w kałamarz z grubościennego szkła, osiemnastowieczny
bakarat bez atramentu, bo wetknięte w niego gęsie pióro ma
wpasowany w stosinę długopis, i podaję damie kieliszek.

Upijamy łyk.

Poruszają się uczeplone płatków jej uszu dwie wielkie
krople, cudownie asymetryczne łyzy, lśnią pastelowym od-
biciem porannej zorzy, ciężą ku ramionom, jakby zaraz
miały spłynąć w pajęczy jedwab.

1 nagle za plecami różowej damy pojawia się ktoś z
innego czasu. Pod łukiem arkady, jak w kamiennej ramie,
ukazuje się widmo. Powoli rusza ku naszemu podium wiemy
obraz człowieka, który dawno temu zaważył na moim losie,
zjawa wpatrzona we mnie oczyma barwy słodowego piwa.
Nosi żałobę. Klapę smokingu przekreśla pas czarnej krepy.

Podobieństwo do mężczyzny z innej generacji jest tak
niebываłe, że wzbudza lęk. Nie mogę oderwać wzroku od
tych oczu jak brunatne kasztany.

Ale tamten, gdy go zobaczyłam po raz pierwszy, m[^]ał
skronie przyprószone bielą. A jego głowa jest ciemna
i twarz młoda, nawet jeszcze z jakimś ujmującym chłopięc-
ym wyrazem.

I tak nadchodzi z sąsiedniej sali, nadchodzi z dalekiej
przeszłości, nadchodzi z innego [^]cia, i pewno dlatego ta
wędrownka trwa tak nieskończenie długo.

Do mojej porażonej transcendentálną grozą świadomości
przedziera się głos Hermesa:

- May I introduce you! Pozwól, Gaja, to Uther-Caradoc
Stunnington.